Paweł Szumił

**Dawno zapomniana planeta**

Tom III cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

Tłumaczył **z** rosyjskiego

**Jacek Izworski**

**Tytuł oryginału rosyjskiego: ДАВНО ЗАБЫТАЯ ПЛАНЕТА**

**SEKOND**

Sandra ocknęła się od bolesnego chlaśnięcia gałązką po twarzy. Koń pod nią biegł równym kłusem. Przy każdym kroku czyjeś kolano, obciągnięte grubymi, ale przetartymi skórzanymi spodniami, uderzało po skroni. Śmierdziało końskim potem, psami i czymś jeszcze, nieznanym i nieprzyjemnym. Ręce i kostka prawej nogi były związane za plecami. Po twarzy znów chlasnęła gałązka. Sandra odwróciła głowę, ale teraz w twarz biło ją kolano. Zaczęła się miotać, próbując się obrócić. Związane sznurkiem nadgarstki odpowiedziały bólem. Pokryta odciskami ręka zatkała jej usta. Sandra ucichła. Sandra ucichła i ręka po jakimś czasie się cofnęła. Dziewczyna spróbowała się rozejrzeć, ale tutejszy księżyc dawał zbyt mało światła. Koło niej przemykały ciemne sylwetki krzaków, z przodu i z tyłu dobiegał przygłuszony tętent końskich kopyt, zapewne czymś owiniętych. Ostrożnie zgięła i wyprostowała lewą, wolną nogę, spróbowała poruszyć palcami rąk. Nie czuła ich. Bolące nadgarstki, a dalej – nic.

„Jestem w niewoli” – pomyślała. – „Ale dlaczego? Przecież nikogo nie ruszałam. Nawet nie chciałam tu lecieć, wszyscy chcieli, a ja nie. Jestem tu tylko dla niego. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Wyjdą dopiero za trzy tygodnie i będą mnie szukać. Ale po trzech tygodniach nie zostanie ani śladu. Ba, już jutro nie zostanie. A mnie pewnie wiozą daleko. Co robić? Jak zostawić ślad? Łamać gałązki? Jak? A jak długo wieźli mnie, gdy byłam nieprzytomna? Nie znajdą mnie… Za to oni przeżyją. Nie chcieli mnie wziąć, a ja wszystko zdążyłam zrobić. Chociaż lepiej byłoby, gdyby na moim miejscu była teraz Liwia. Ona jest stanowcza, zawsze wie, co robić. Na kursie komandosów miała same «bardzo dobre» i «dobre». A ja tylko «słuchała». Ale przecież nie wiedziałam, że tu trafię. Uczyliśmy się tam, co należy zrobić. Najpierw się rozwiązać… Jak, jeśli nie czuję rąk? Kontakt psychiczny… Ba, łatwo się o tym mówi na wykładach! Boże, o czym to ja myślę? Mnie tylko spętali jak owcę, a oni przeszli przez coś takiego… Mamusiu, czyżby mnie też? Sama… Trzeba skakać jak żaba w dzbanku, inaczej przepadnę. Jak uczyli: wdech, wydech, jestem spokojna, kontakt psychiczny”.

– Hej, kim jesteś? – zapytała półgłosem.

– Cicho – także półgłosem odrzekł mężczyzna. Ręka zatkała jej na sekundę usta.

– Boli… – wyszeptała i znowu zaczęła się wiercić, pragnąc usadowić się wygodniej. Silne ręce ją przełożyły. Teraz sznurek nie szarpał prawej nogi, ale twardy łęk siodła zaczął wbijać się w żebra. Nie zrobiło się lżej.

**ZIEMIA (cztery miesiące wcześniej)**

W sali gimnastycznej trenowały dwa smoki.

– Nie jesteś przecież ptakiem – wyjaśniał czarny jak noc drugiemu, którego łuski mieniły się wszystkimi odcieniami od szmaragdowo-zielonego do błękitnego. Nie musisz w ogóle machać skrzydłami. Najważniejsze to naprężać i rozluźniać mięśnie. Patrz.

Czarny smok rozłożył skrzydła, sprężył się. Pod skórą wypięły się pagórki mięśni, ale koniuszki skrzydeł ani drgnęły. Rozluźnił się, pagórki opadły. Znowu naprężył się, rozluźnił się, i tak raz za razem, coraz szybciej i szybciej. Łapy oderwały się od podłogi i ciało zrywami, w takt pracy mięśni, poszło w górę. Po wyrównaniu lekkiego przechyłu machinalnym ruchem ogona, czarny smok rozpłaszczył się grzbietem i skrzydłami na suficie. Jego oddech stawał się coraz cięższy i głośniejszy.

– Złaź, Węgielku! Zrozumiałam.

Czarny smok nieco spowolnił pracę mięśni i płynnie wylądował na wszystkich czterech łapach. Zielony się roześmiał.

– Węgielku, zobacz, jak się zabrudziłaś. Chodźmy szybciej na tusz.

– Proszę mi tu nie mydlić oczu, lady – odrzekła Węgielek, ciężko oddychając i oglądając swoje pokryte kurzem skrzydła. Potem przeniosła wzrok na świeże jasne plamy na suficie. – Dopóki nie oderwiesz się od podłogi, nigdzie stąd nie pójdziemy. Patrz na mnie i rób to, co ja. No, Kora, zaczynamy! Raz, dwa! Szybciej! Raz, dwa! Jeszcze szybciej!

W drzwiach sali pojawił się trzeci smok, wymienił z Węgielkiem spojrzenia i przyłożył palec do warg, nakazując milczenie. Węgielek skrycie mrugnęła porozumiewawczo do niego.

– Raz, raz, raz! – komenderowała ochryple, wisząc metr nad podłogą.

Zielononiebieska smoczyca stała na czubkach łap, nieco podlatując na każdą komendę, aż wreszcie oderwała się od podłogi i, nabierając szybkości, ześliznęła się bokiem do ściany.

– Trzymaj poziom! Gdzie cię niesie? Stój, stój, mówię! No, jak na pierwszy raz nieźle.

– Oj, ale się przestraszyłam!

– To nie ty. To Mistrz tak zląkł się o ciebie, a ty poczułaś.

Kora obejrzała się, zobaczyła smoka w drzwiach, speszyła się i zmieszana podkuliła ogon.

– Słuchaj no, Mistrzu – kontynuowała Węgielek. – Zajmij się swoimi sprawami, nie pesz dziewczynek. My zresztą idziemy już na tusz, Kora. I tak zaraz tu zbiegną się ciekawscy, wyjaśniać, co tak przestraszyło Wielkiego Smoka. Mistrzu, idziesz z nami? Potrzesz grzbiecik?

– Po co tak na niego napadasz? – zapytała Kora, kiedy za nimi zamknęły się drzwi sali z natryskami.

– Zasłużył… Nie, nie słuchaj… Zaczęłam się go ostatnio trochę bać, a mama uczyła: jeśli się czegoś boisz, pokonaj strach. No i stawiam się.

– On ciebie obraził?

– Nie, coś ty! Mama mówi, że to dlatego, że dorastam. No wiesz, mężczyzna, kobieta, seks i tak dalej. Rozumiesz? A on to zauważył i się śmieje.

– Ach tak! A wiesz, że dokonałyśmy teraz teoretycznie niemożliwego? Afa mówił, że biograwy nie mogą wziąć więcej niż 90% wagi.

– Ale to w warunkach ekonomicznego lotu. A my w ciągu dwóch minut dałyśmy z siebie wszystko, jakbyśmy wzniosły się na wysokość pięciu kilometrów. Kora, czy mogę cię zapytać o coś bardzo ważnego? Tylko albo powiedz mi prawdę, albo lepiej nie odpowiadaj w ogóle. Nie obrażasz się na Mistrza o to, że z ciebie zrobił smoka?

– Jeszcze nie do końca uświadomiłam sobie, że jestem smokiem. Po nocach śnią mi się ludzkie sny. I te oczy. Ludzie mają je blisko siebie, patrzą tylko w przód. Póki o tym nie myślę, wszystko jest normalne. A gdy pomyślę, że widzę prawie wszystko naokoło, zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie śmiej się ze mnie, ale myślałam, że zamienię się w jakieś monstrum.

– Więc nie gniewasz się na niego? Ani trochę?

– Nie.

– Chodźmy szybciej! No chodźże! A on dziesięć lat bał się, że będziesz go nienawidziła! Do dzisiaj się boi. Musisz mu wyjaśnić… O-o nie, poczekaj! Czujesz? Znowu wplątał się w coś nieprzyjemnego. Wyciąganie go z takich kłopotliwych sytuacji to moje zajęcie. Ciebie on i tak kocha. Najważniejsze w tym jest znalezienie się na czas w odpowiednim miejscu. Oho, ktoś mu teraz zadaje pytania, na które nie chce odpowiadać, czujesz? A ja się tam zjawiam i wyciągam go pod wiarygodnym pretekstem.

– Węgielku, nie biegnij tak szybko, nogi mi się plączą. Jeśli my czujemy jego nastrój, to znaczy, że i on nasz?

– To nic nie znaczy. Dwa razy strasznie się rozbił. Mówi, że to uboczny efekt regeneracji. No, przybyłyśmy, on jest za tymi drzwiami. Czekaj tu, ucz się. Zaraz go wyciągnę.

Węgielek z impetem otworzyła drzwi i wpadła do sali ekranowej.

– Mistrzu, szukam ciebie po całej bazie! Pilna sprawa!

– Zamknij drzwi z tamtej strony – rozległ się gniewny kobiecy głos. – I, skoro już jesteś, popilnuj, żeby nikt nam tu nie przeszkadzał.

Węgielek wyszła z sali tyłem, dokładnie zamknęła za sobą drzwi, wyjaśniła Korze:

– To mama robi Mistrzowi lewatywę. Przesłuchanie trzeciego stopnia. – I usiadła na ogonie.

**SEKOND**

Droga poszła w dół. Potem pod kopytami zachlupotało – konie przeszły w bród błotnisty strumień. Zrobiło się zimniej. Księżyc, i tak słabo świecący, zniknął za chmurami. Zaczął kropić deszcz. Cienki kombinezon przemókł i przylgnął do ciała jak zimny kompres. Zęby zaszczękały z zimna. Wjechali w las, Sandra przestała cokolwiek widzieć. Obca noc, niezwykłe dźwięki obcego lasu, czerń dookoła. Przynajmniej przenikliwy wiatr już nie dokuczał.

Z przodu dobiegły głosy. Koń zwolnił i niebawem zatrzymał się.

– Przyjechaliśmy? – zapytała cicho Sandra.

– Nie – odrzekł gruby męski głos. – Tu tylko przenocujemy. Możesz mówić głośno.

Niektóre słowa trochę zmienione, akcent na końcówkach, ale wszystko zrozumiałe.

– Rozwiąż mnie, proszę.

Kilku ludzi się roześmiało.

– Ona naprawdę jest stuknięta – powiedział właściciel grubego głosu. – Nie uwierzycie, ale sama poszła w zero. Łoś tu jest?

– Łoś będzie jutro w nocy. Upadłą gwiazdę my znaleźliśmy, więc on jej nie znajdzie. A jeśli nie znajdzie, to będzie szukał, dopóki czas mu nie minie.

– Zgadza się. Ale to nie była gwiazda, tylko Czarny Ptak.

– Głupiś. Czarne Ptaki na Ziemi nie umierają.

– Sam jesteś głupi. On umarł w niebie i dlatego spadł.

– Zamiast strzępić języki, lepiej rozpalcie ognisko.

– Ślad poszedł po drwa.

– Co on znajdzie w takiej ciemności?

– On – znajdzie.

Ktoś podszedł do konia, zakrzątnął się przy siodle, po czym zarzucił Sandrę na ramię jak worek i zaniósł w kierunku głosów. Tam rozległy się uderzenia kamienia o kamień i szybko błysnął ognik. Rozpalono ognisko i kilku mężczyzn usiadło przy nim. Ten, który niósł Sandrę, też usiadł, niedbale rzuciwszy ją na ziemię. Uderzyła czołem o mokrą trawę, przygryzła język. Czyjaś ręka złapała ją za włosy, podniosła, posadziła. Wszyscy z ciekawością obejrzeli ją, pomacali jej ubranie.

– Chłopcy, a wiecie, o czym ja pomyślałem? Jeśli Czarny Ptak umarł, to ten, po kogo leciał, jest teraz nieśmiertelny, jak myślicie?

Wszyscy momentalnie stracili zainteresowanie Sandrą.

– Komuś się udało. Teraz nie weźmie go ani miecz, ani strzała. Może iść sam przeciw całemu klanowi.

– Miecz będzie od niego odskakiwał czy przeciwnie, przejdzie przez niego na wskroś jak przez ducha, wie ktoś z was?

– Nie wygłupiajcie się, co za brednie: sam przeciw klanowi?

– Przecież żadna broń go nie weźmie!

– Broń nie weźmie, a zwykły sznurek weźmie! Związać go i zakopać w ziemi. Można jeszcze kamieniami przywalić.

– Przecież on i tak nie umrze!

– O właśnie! Jeśli zakopią cię żywego na tysiąc lat, będziesz modlił się o śmierć.

Mężczyźni przy ognisku zamilkli, rozmyślając nad nowym wątkiem tematycznym.

– A może Czarny Ptak już wziął tego, po kogo leciał? Gdzie on się teraz podziewa?

– Mógł go gdzieś upuścić, a mógł tak ścisnąć w pazurach, że biedak jeszcze pod nim leży.

– Umarły nie ma po co wracać na ziemię.

– A po baby Czarny Ptak przylatuje?

– Aleś ty głupi, a co, baba nie czło…wiek?

Nad ogniskiem zawisła pełna napięcia cisza. Sześć par oczu wpatrzyło się w dziewczynę. Sandra zobaczyła, jak ten, który łapał ją za włosy, gorączkowo wyciera ręce o spodnie. Pozostali też odsunęli się jak najdalej. Z metalicznym piskiem wyskoczył z pochwy czyjś miecz.

– Szramie, ty ją wiozłeś, ona jest żywa czy martwa?

– Wygląda na żywą. I posłuszna. Tylko jakaś dziwna.

– Serce jej bije?

– Bije. I drży z zimna. Poza tym skarżyła się, że ją boli.

– Musimy wiedzieć na pewno. Jeśli przebić ją mieczem…

– Mądry jesteś. Jeśli żywa, to umrze, a jeśli martwa albo nieśmiertelna – co wtedy?

– Jeśli martwa, krew nie popłynie, a jeśli nieśmiertelna, rana się zasklepi.

– Coś w tym jest – powiedział w zamyśleniu ten, którego nazwano Szramem. – Jeśli się dowiemy, czym ona jest, będziemy także wiedzieli, co z nią zrobić.

– Wy, wy, wy, coście wy, chłopcy, zwariowaliście czy co? – z przerażeniem zatrajkotała Sandra. – Jestem żywa, chłopcy, i nic złego wam nie zrobiłam, no proszę, nie zabijajcie mnie.

**ZIEMIA**

– Mistrzu, nie przeciągaj, zacznij wreszcie śpiewać!

– Nie mogę, zrozum, Anno! Wasza cywilizacja nie dorosła jeszcze do tej informacji.

– No dobrze, łuskowaty, a teraz się nie obrażaj. Patrz mi w oczy! Daleki kosmos! Tak, znasz ten termin. Idziemy dalej. Zero-t! I ten znasz. Sekond! Też znasz. Widzisz, na ciebie nawet detektor kłamstwa nie jest potrzebny. Sam dla siebie jesteś detektorem.

– Czekaj, Anno, skąd wzięłaś to „Spójrz mi w oczy”?

– Nie pamiętam. Chyba od Liry.

– Aha…

– Nie wykręcaj się. Co możesz opowiedzieć o Sekondzie?

– Wszystko. Najbliższa Ziemi planeta typu Ziemi. Nie pamiętam, czy o dwanaście, czy o dwadzieścia lat świetlnych od Słońca. A może o dwadzieścia dwa? Nie jestem astronomem, nie wiem. Druga od swojego słońca, druga oswojona. Pod każdym względem druga. Masa – 1,1 ziemskiej. Siła ciążenia na powierzchni – 1,06. Ciśnienie atmosferyczne na poziomie morza – 1,2. Tlenu w atmosferze – 19,2 %. Ląd stanowi dokładnie połowę powierzchni. Przeważający krajobraz – pagórkowaty step. Co jeszcze? Nachylenie osi do ekliptyki – trzydzieści jeden stopni. Doba trwa nieco ponad trzydzieści dwie godziny. Tam są znakomite warunki do uprawiania sportów zimowych. Do letnich zresztą też. Kiedyś jeździłem tam na nartach. No, niezupełnie ja – Dżafar.

– Mistrzu, mnie interesuje nie wasz Sekond, tylko nasz. Co możesz o nim powiedzieć?   
 – Nic. Ale na pewno jest bardzo podobny do waszego.

– A dokąd skierowaliście gwiazdolot po zbudowaniu u nas bazy orbitalnej?

– O Boże, chyba właśnie na Sekond.

– O właśnie! Wiesz już, do czego zmierzam?

– Ależ posłuchaj, na Sekond leci się ponad piętnaście lat, a my odeszliśmy po ośmiu. Potem położyłem się w anabiozę na tysiąc lat. Nie miał kto stworzyć tam stacjonarnej bazy zero-t. A cybery statku dawno już zdechły od radiacji. Na statku wszystko jest radioaktywne. Procesory nie mogą długo pracować przy tak wysokiej radioaktywności. Sto, dwieście lat – i kryska.

– Baza została zbudowana. Władcy zdążyli przygotować następców. Na Sekond odeszło kilka tysięcy ludzi. Ilu dokładnie – nikt nie wie. To były straszne czasy: rozłam, dwuwładza. Krew lała się strumieniami. Dokładne relacje się nie zachowały. Wiadomo tylko, że między kościołem a postępowcami była wojna, najpierw zimna, potem gorąca, trwająca około ćwierć wieku. Kościół okazał się silniejszy, likwidował gniazda oporu jedno po drugim. Słyszałeś coś o północnym bunkrze?

– Czekaj, niech sobie przypomnę. Mieszkałem we wschodnim. Na pewno były i inne.

– Pewnego razu wszyscy ocaleli postępowcy z rodzinami rzucili się do północnego bunkra. Nikt nie wie, ile tysięcy ludzi zdążyło tam dojść zanim zamknięto drogi. Ale i potem ludzie szli lasami i ci, którzy zdołali tam się przebić, znikali. Na zawsze. Gdy wojska kościoła odkryły i otoczyły bunkier, była tam straszna walka. Postępowcy używali w niej broni laserowej, ale było ich mało. A wojska zakopały się w ziemi i ostrzeliwały bunkier z katapult zabitymi końmi, bukłakami z naftą i płonącymi strzałami. W gęstym dymie z lasera nie ma większego pożytku niż z noża. Tymczasem saperzy dniami i nocami budowali tamę i kopali nowe koryto dla rzeki. Ale zatopić bunkra nie zdążyli. Pewnej nocy wybuchnął z potworną siłą, grzebiąc ponad połowę armii. Na jego miejscu do dziś jest jezioro, okrągłe i głębokie.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– Dawna sprawa. Kiedyś kazałam bratu Apoloniuszowi zbadać historię Przyjścia. Pamiętasz go, to ten przywódca frakcji mokrych spodni? Wykopał to wspólnie z twoim Tytusem Gadułą. Już rozumiesz, po co mi potrzebna jest wiedza o zero-t?

– Chcesz lecieć na Sekond czy co?

– Chcę i nie chcę. Nie o to chodzi. Muszę wiedzieć, co się tam dzieje. Postaw się na ich miejscu. Tysiąc lat temu wyrzucono ich z tej planety. Niezbyt uprzejmie, łagodnie mówiąc. Wyobrażasz sobie, co oni o nas myślą? Boję się ich, boję się, rozumiesz! W ciągu tysiąca lat mogli zrobić się tacy silni… Dlatego muszę tam być pierwsza!

– I co tam sama zrobisz?

– Skąd mam wiedzieć? Zorientuję się na miejscu. Może wszyscy wymarli od miejscowej odmiany kataru? A jeśli nie, powinna tam już istnieć psychologia i dyplomacja.

– A w najgorszym przypadku?

– To znaczy, jeśli ostrzą na nas miecze, noże, czy co tam mają? Stanę przed nimi i powiem: „Chłopcy, mieliście rację, nasza sprawa wygrała! Chociaż wy, zasrańcy, żyliście tu sobie beztrosko, kiedy myśmy za was walczyli, kto chce, hajże do domu!”. Przecież sam zawsze mówisz, że najważniejsze jest niedopuszczenie do tego, by cię uznali za wroga.

– A jeśli się zdegradowali? Biegają w skórach, mieszkają w jaskiniach?

– Wtedy będę płakała z zachwytu. Nie, poważnie. Wyślemy tu misjonarzy z Amazonii. Jeśli są mniej zaawansowani w rozwoju od nas, żadnych problemów nie będzie. Kościół ma wielowiekowe doświadczenie w przyśpieszaniu rozwoju opóźnionych narodów.

– To brzmi jakoś nieprzekonująco. Mieszkają tam, tysiąc lat, nikomu nie zagrażają. I nagle – masz! Poza tym w ciągu tysiąca lat dawno zapomnieli, że ktoś gdzieś kiedyś ich obraził.

– Sama wiem, że to nie brzmi przekonująco. Ale istnieje jedna szansa na tysiąc, że mogą na nas napaść. I ta szansa nie daje mi spać. A zresztą, czy tobie nie wstyd?

– Nie zrozumiałem?... – powiedział smok i zamrugał nieco urażony.

– Od dziesięciu lat jęczysz, że życie jest nudne, że brakuje ci przygód. A tu masz cały świat do przygód. I właściwie dlaczego tylko mnie ma boleć dusza za całą planetę? A no przypomnijmy sobie, kto mnie zmusił do zajęcia się polityką? Taki jeden ze skrzydełkami… Nie znasz go przypadkiem?

– Pewnie anioł.

– I zapewniał, że smoki zawsze mówią prawdę.

– Zawsze.

– Gdyby to usłyszała Węgielek… No dobrze, kogo zabieramy w ekspedycję? Ja, ty, Sam, Kora. Weźmiemy Lirę?

– Anno, wiesz, kim jesteś? Przecież ja chyba nie udzieliłem zgody.

– Wiem, wszystko wiem. Szantażystka, lisica, wiedźma. Tak mi się podoba. Diabeł kłócił się z babą, ale zdechł. A ty jesteś aniołem. Sam to powiedziałeś. Dlatego twoja zgoda jest już przesądzona. Zastanówmy się nad czym innym. Twój przodek Dżafar wysadził wschodni bunkier.

– We wschodnim bunkrze nigdy nie było aparatury zero-t.

– Tak? No cóż, to zmniejsza szanse. Północny bunkier wysadzili albo postępowcy, albo żołnierze. Tam ta aparatura była. Zgodnie z logiką powinne istnieć także bunkry zachodni i południowy. Nie wiesz przypadkiem, gdzie?

– Nie wiem. Ja – a raczej Dżafar – zawsze krążyłem między bazą a wschodnim bunkrem. Ale cała aparatura zero-t na powierzchni planety była wyposażona w samolikwidatory. Tak, że nie miej szczególnej nadziei na znalezienie tam czegokolwiek. Poza tym te ruchome przekaźniki są słabe i mają małe komory. Wy się zmieścicie, a ja mam być przekazywany w kawałkach, jak ten słoń w anegdocie? Co innego na stacjonarnej bazie orbitalnej. Ale zacząć trzeba oczywiście od poszukiwań bunkra.

– Ale czasem z tobą trudno, Mistrzu. – Zmęczona Anna opadła na oparcie fotela. – Łatwiej przekonać pół Synodu. Otwórz drzwi. Tam Węgielek czeka na ciebie z jakąś ważną sprawą.

**SEKOND**

Sandrę przewrócili na brzuch, zadarli lewą nogawkę, coś ostrego dźgnęło ją w nogę.

– Krew…

Mężczyźni radośnie zagadali, klepiąc się wzajemnie po plecach. Pochlipującą Sandrę znowu posadzili. Krótkie, ale dość głębokie nacięcie na nodze bolało i krwawiło.

– No widzisz, a tak się bałaś. – Szram klepnął ją po plecach.

– Mówiłam przecież, że jestem żywa. Rozwiąż mnie, proszę. Muszę teraz pójść w krzaczki.

– Szram, ja mam łańcuch – powiedział ktoś.

Nogę dwa razy okręcili łańcuchem, zamknęli na kłódkę – niewiele mniejszą od używanej do zamykania spichlerzy. Drugi koniec tak samo okręcili dookoła grubego drzewa. Sandra otrzymała dziesięć metrów wolności.

– Jutro trzeba będzie zobaczyć, czy rzuca cień – powiedział ktoś.

Dziewczyna cicho jęknęła. Krew zaczynała ponownie krążyć w rękach i czuła teraz pod skórą tysiące igiełek.

– Szramie, ty chyba mówiłeś, że ona sama poszła w zero. Opowiedz.

– Zgadza się, sama. Gdy się rozdzieliliśmy, wy poszliście w kierunku Czarnego Ptaka, a Ślad i ja – na zwiady. Ślad na prawo, a ja na lewo. Widzę – ognisko. Podkradam się – ta dziewczyna przy nim siedzi, coś gotuje, drzemie. Okręciłem strzałę sennym mchem i puściłem cichutko w ognisko. I co myślicie – obudziła się! Zobaczyła strzałę – i w te pędy w las. Z trzaskiem, tupaniem, jak ursus, na przełaj, przed siebie. Ja za nią. Odbiegła o sto kroków, nagle odwraca się i z powrotem do ogniska. Omal nie stuknęliśmy się głowami. Ale ona patrzy tylko przed siebie, nie na boki. Dobiega do ogniska, patrzy w kierunku, skąd wypuściłem strzałę i pokazuje ręce. Że puste, bez broni. Ja już stoję za jej plecami. Sennym mchem śmierdzi dookoła tak, że umarły poczuje. A ona podnosi z ogniska moją strzałę, ogląda uważnie, po czym podnosi do nosa i jak nie odetchnie pełną piersią! Oczywiście od razu poszła w zero. Gdybym jej nie pochwycił, wpadłaby głową do ogniska.

– A nie zmyślasz?

– Tak właśnie było – nieoczekiwanie dla samej siebie odezwała się Sandra.

– Patrzcie no! – Szop spojrzał na nią ze zdumieniem. – A po co wąchałaś mech?

– Byłam głupia. Nie wiedziałam, że od niego się zasypia – chlipnęła dziewczyna. – U nas tego nie ma.

– Skąd jesteś taka? Czarny Ptak cię przyniósł?

– Jestem z Ziemi. Ziemia to miejsce, z którego przybyli wasi przodkowie. Najpierw skoczyliśmy przez zero-t, a potem lecieliśmy promem. Wy nazywacie go Czarnym Ptakiem.

– Umówiliście się z Czarnym Ptakiem, żeby przyniósł was na Sekon?

Sandra uśmiechnęła się. Ci ludzie uważali prom za żywą istotę. Ale zaraz przypomniała sobie, jak Kim i około dwudziestu cyberów naprawiali prom. Kim, oczywiście, nie uważał go za żywego, ale chwalił, głaskał, klął… I tak głupio wszystko wyszło.

– Kim dogada się z każdą techniką.

– Z Czarnym Ptakiem też?

– Czekaj, Ślad. Nie jesteś więc sama? Ilu was jest? Gdzie są pozostali?

– Było nas pięcioro. Ja, Liwia, Sam – to nasz kapitan – Kim i Dick. Oni… – Sandra urwała, zrozumiawszy, że omal nie powiedziała za dużo. Dzikusom informacja o biowannach, w których leżą ciała jej przyjaciół, jest zupełnie zbędna.

– Dlaczego urwałaś?

– Oni… oni wszyscy tam zostali… – i nagle się rozpłakała. Na cały głos, całą siłą płuc, wylewając we łzach wszystkie swoje strachy: i ten śmiertelny, niedawno przeżyty, i ten, który nagromadził się w niej w ciągu godzin nocnej jazdy, i ten z doby samotnie spędzonej w obcym lesie, i ten z krótkich, zbyt krótkich chwil, kiedy taszczyła po korytarzu poranione ciała swoich przyjaciół, i ten z długich minut spadania w nocy na śmiertelnie rannym promie.

– Więc to tak… Nieszczęścia chodzą parami. Niech dziewka popłacze – powiedział ktoś.

**ZIEMIA**

– Cyr… Afa, ja już nie mogę. Siądziemy?

– Węgielku, lądujemy. Kora się zmęczyła.

Trzy smoki wylądowały na skraju lasu, po czym odpięły i ułożyły obok siebie skrzynie wykrywaczy metali z długimi wąsami czujników.

– Mistrzu, niech Kora na razie odpocznie, a my przeszukamy te kwadraty we dwójkę.

– Akurat! A kto musi trenować skrzydła?

– Jesteś zwyczajnym sadystą, Mistrzu. Zobacz, do czego doprowadziłeś biedną dziewczynkę! A dlaczego właściwie nie możemy wykorzystać flyerów?

– W każdym flyerze jest dużo metalu. Poza tym elektryczność, prąd zmienny. Ogromne zakłócenia. Dlatego trzeba byłoby nim lecieć bardzo nisko, nie wyżej niż pięćdziesiąt metrów nad ziemią i nie sprawdzi pasa szerszego niż sto metrów.. A czy da radę wylądować na bagnach? Nie. My w trójkę za każdym przelotem sprawdzamy pas o szerokości pięciu kilometrów. To jest pięćdziesiąt razy szybciej.

– Aha, co pół godziny w górę, w dół, w górę, w dół. Flyer podnosi się na pięćdziesiąt metrów, a my na cały kilometr… Mistrzu, czy ty naprawdę myślisz, że tak jest szybciej? Zaczynam żałować, że nie mam w sobie żadnej metalowej kosteczki. Może połknę klucz francuski?

– Bunt na statku?

– Dobrze, dobrze, już milczę. Nastał świt i Szeherezada przerwała dozwoloną opowieść.

– Kora, już odpoczęłaś? Patrzcie na mapę. Tu już wszystko sprawdziliśmy. Zostały kwadraty: szósty, siódmy, ósmy i dziewiąty. Na kwadratach od dziesiątego do szesnastego jest albo morze, albo pobrzeża. Tam nie budowałbym bunkra. Serce mi mówi, że on jest w kwadracie dziewiątym. To naprawdę bardzo wygodne miejsce.

– W takim razie sprawdźmy go od razu.

– A plan? Zawczasu opracowany i zatwierdzony?

– Afa, zobacz, tu jest narysowana rzeczka. Zupełnie jak przy naszym bunkrze.

– Zmówiłyście się? Dwie przeciwko jednemu, co? No dobrze, przekonałyście mnie. Lecimy do dziewiątego kwadratu.

**SEKOND**

Ognisko dogasało. Mężczyźni rozłożyli na ziemi skórzane derki, zawinęli się w koce i zasnęli, z głowami ułożonymi na siodłach albo torbach wyjętych z juków. Sandrze też rzucili derkę i sztywny jak brezent koc. Początkowo próbowała zasnąć, ale było jej zimno i strasznie. Dorzuciła więc do ogniska resztę drewna, opatuliła się kocem, zawinęła się jeszcze w derkę i zaczęła obmyślać plany uwolnienia się. Najpierw trzeba pozbyć się łańcucha. Zamek kłódki jest ciężki, mocny, ale prosty. Gdyby tak mieć kawałek drutu… Skórzany pas z nożem i laserem w olstrach przepadł. Dziwne, że Szram o nim nie wspomniał ani słowem. Mały składany nożyk z kieszonki też przepadł, jak zresztą wszystko, co w tych kieszonkach było.

„No cóż” – rozmyślała Sandra. – „Przypuśćmy, że zdejmę łańcuch i wezmę najlepszego konia. Bez siodła – nie jestem do niego przyzwyczajona. Uździenica jest. Ale gdzie jechać? Z całej jazdy pamiętam tylko, że niedawno przejeżdżaliśmy przez strumień. Księżyc był tam. To znaczy, że jeśli pojadę z powrotem, powinien tam być. Nie, przecież on porusza się po niebie. W którym kierunku? Wszystko jedno, i tak go w tych chmurach nie widać. Dokąd mam uciekać? Schowam się, będą mnie szukali przy czarnym ptaku… nie, coś ty, przy promie – a ja pójdę za nimi, po ich śladach. A jeśli nie pójdą do promu? Po co mają tam jechać, jeśli tam nie ma nikogo żywego Od czasu, kiedy nawdychałam się tego świństwa, minęło chyba z dziesięć godzin. Jeśli szybkim kłusem, to będzie sto kilometrów. O matko! Ale nie, koń z dwoma jeźdźcami nie może biegać sto kilometrów szybkim kłusem bez odpoczynku. No, niechby nawet sześćdziesiąt. Sam w pełnym rynsztunku biegał po pięćdziesiąt kilometrów, a nie jest przecież koniem. Tak czy siak, promu nie znajdę. Więc nie można teraz uciekać. Trzeba najpierw wypytać o drogę. Powiedzą mi? Jeszcze czego!... Annie by powiedzieli. Ona to potrafi. A ja muszę się nauczyć. Jeśli będę beczeć, kto na mnie popatrzy? Trzeba, żeby oni za mną biegali orszakiem. Co cenią mężczyźni w kobietach? Piękna nie jestem. Nawet Samik nie patrzy na mnie jako na dziewczynę, tylko jako na członka zespołu. Muszę być interesująca. Interesująca, zagadkowa i nieprzewidywalna. I dzielna jak diabli.. I posłuszna. Nie boję się niczego, a swojego mężczyznę słucham. Oj, mamusiu, niepotrzebny mi mężczyzna. Moim mężczyzną jest Sam. A muszę wybrać. Nie, nie mam wyboru, Szram mnie schwytał. Będę udawała, że szaleję za nim, przypochlebiała mu się. O Boże, aż wstręt mnie bierze. Jakbym wpadła po uszy do gnojówki. Smok śpiewał o muzykancie. Jakby ciężko nie było na duszy, a grać trzeba. Słów nie pamiętam, tylko melodię, i to «graj, muzykancie»…”.

Musiała zasnąć, ponieważ znowu się obudziła. Ciało skostniało. W ognisku dopalało się kilka pokrytych popiołem węgielków. Niebo było ciemne jak poprzednio. Sandra wyszła spod koca i derki i poszukała po omacku drew. Łańcuch plątał się w krzakach, kłódka biła po kostce, ocierała skórę na nodze. Sandra usiadła pod drzewem i dokładnie obmacała cały łańcuch, ogniwo po ogniwie. Jedno z ogniw było dwukrotnie większe i grubsze od pozostałych. I – niezaspawane. Chwyciła je palcami, cała się sprężyła. Nieco cieńsze od jej małego palca żelazo nie ustąpiło ani o milimetr. Zagryzła wargi, potarła ogniwo o krawędź zamka i Potem spróbowała włożyć je pod kabłąk zamka. Ogniwo wlazło do połowy. Sandra przycisnęła obmotaną łańcuchem nogę do pnia drzewa, podłożyła drugą połówkę ogniwa pod kabłąk drugiego zamka i pociągnęła zamki w przeciwne strony, próbując rozgiąć ogniwo. Zamiast tego otworzył się z cichym szczękiem zamek na jej łydce.

– Też nieźle – wyszeptała dziewczyna i uśmiechnęła się. Potem dokładnie złożyła łańcuch pod drzewem, zawinęła się w koc i położyła się spać bliżej dogasającego ogniska.

Leżeć na ziemi było twardo i zimno. Koc prawie nie grzał. Ściślej: grzał, jeśli narzucić na niego derkę. Sandra spała na siedząco, urywkami, co chwilę budząc się od niewygodnej pozycji lub dziwnych dźwięków obcego nocnego lasu. Noc ciągnęła się w nieskończoność. „Tu doba jest dłuższa” – przypomniała sobie i zrobiło się jej naprawdę tęsknie.

**ZIEMIA**

Anna ziewnęła, przeciągnęła się i włączyła komunikator.

– Witaj, Mistrzu. Trudno uwierzyć: ty – i tak wcześnie. Znaleźliście?

Smok wyglądał na niezwykle zmieszanego.

– Znaleźliśmy jeszcze wczoraj. Dziewiąty kwadrat. Ale mamy problem. Mogłabyś znaleźć Lirę i Sama z jego drużyną? Potrzebujemy też z dziesięć cyberów, aparaturę telewizyjną, akumulatory i tak dalej.

– Wiesz, że Lira i Sam się pokłócili?

– I właśnie dlatego chcę ich mieć razem – odrzekł smok. Anna dłuższą chwilę rozmyślała.

– A może nie trzeba tak się śpieszyć, Mistrzu? Koło Sama cały czas kręci się pewna żeńska główka. Bardzo mądra główka. Dla wszystkich wszystko jest jasne, tylko Sam jej nie widzi. Jeśli Lira będzie obok, nie ma najmniejszych szans.

– Aha, i ty też…Zamiast nauczyć Lirę rozumu… Jak się nazywa to nieszczęsne dziecię?

– Znasz ją. Skośnooka, ciemna brunetka. Jej matka jest z wysp. Osiem czy dziesięć lat temu podarowałeś jej łuskę.

– Pamiętam. Japoneczka z drużyny Sama. Koleżanka Węgielka. Ale Lira i tak jest mi potrzebna. Zrozum, potrzebuję zawodowców, najlepszych z najlepszych.

– A jeśli buchnie? Jak w północnym bunkrze? Będziecie tam wszyscy razem…

– Zostaniesz z najlepszymi z gorszych, a niechże cię!

– Pytam poważnie.

– Dlatego właśnie są mi potrzebni najlepsi. Słuchaj, a czego ty właściwie się boisz? Nie bój się, wszystkie akumulatory dawno się tam rozładowały, a jeśli nawet któryś nie do końca, to jego energii nie wystarczy nawet na zabicie komara.

– Uważaj, ptaszku! No dobrze, jaki tam macie problem?

– Z drzwiami w bunkrze…– Zmieszany smok podreptał w miejscu. – Otworzyliśmy je i…

– Któreś z was jest ranne?

– Nie. My… nie mieścimy się w wejściu.

**SEKOND**

Sandra obudziła się od silnego kopniaka poniżej pleców. Zaczęła się gorączkowo wyplątywać z koca i derki, rozglądając się. Słońce dopiero co wzeszło, trawa była mokra od rosy.

– Uciekaj od ogniska. Przeszkadzasz – rzucił młokos, który tak nieuprzejmie ją obudził. W rękach trzymał stosik suchych gałązek.

Graj, muzykancie…

Sandra odtaszczyła od ogniska koc i derkę, szybko je zwinęła i zaczęła pomagać przy układaniu ogniska. Potem zauważyła pusty kocioł, podeszła do niego, zakasała rękawy, skręciła z szorstkiej trawy myjkę, wytarła nią wnętrze kotła i zapytała:

– Gdzie tu jest woda?

– Kto ciebie puści po wodę? – zapytał kpiąco młokos i nagle zobaczył, że na jej nodze nie ma łańcucha. Jego reakcja była błyskawiczna. Gdyby Sandra nie była przygotowana na taki atak, leżałaby na plecach z podbitym okiem. Ale dziewczyna zgrabnie się uchyliła robiąc pół kroku w lewo i niby przypadkiem podstawiła mu nogę. Potem usiadła na ziemi, przycisnęła kocioł do brzucha i zawołała:

– Szram, Szram, usuń tego półgłówka, bo go uderzę!

Półgłówek przetoczył się po ziemi, zerwał się, ryknął, rzucił się na nią, chwycił za włosy, spróbował wykręcić jej ręce za plecami. Sandra wczepiła się w kocioł z całej siły i krzyczała. Podbiegli do nich pozostali.

– Nie możecie podzielić kotła czy co?

– Chciałam go umyć, a on się na mnie rzucił jak szalony – zakomunikowała Sandra, podnosząc myjkę z trawy i pokazując ją jako dowód.

– Chciała uciec – młokos podniósł się z ziemi i otrząsnął ręce. – Zdjęła łańcuch.

– Czekaj, Krecie. Gdzie łańcuch? Kiedy go zdjęła? Przecież układaliście razem ognisko.

– Złapała kocioł i mówi „Pójdę po wodę”.

– A łańcuch?

– Łańcucha nie było.

– A ty co powiesz? – Pytający, chyba Ślad, chciał złapać Sandrę za włosy, ale ta zgrabnie przysiadła, uchyliła się i przebiegła bliżej Szrama.

– Dlaczego wszyscy łapiecie za włosy? Przecież to boli! – I zaraz poczuła na włosach rękę Szrama. – Ty możesz – pozwoliła, choć z bólu z jej oczu trysnęły łzy.

– Będziesz mówiła, czy mam cię powiesić nad ogniskiem? – zapytał.

– Tobie powiem wszystko. A Kretowi nie. On jest zły. Kopnął mnie tutaj – pokazała swój tyłek. Mężczyźni się uśmiechnęli.

– Miałem zajęte ręce, a ona się rozłożyła – zaczął się usprawiedliwiać Kret. Tu już wszyscy zaczęli po prostu pokładać się ze śmiechu. Szram pierwszy się otrząsnął.

– Cicho! – zakomenderował. – Chciałaś uciec?

– Nie mam gdzie uciekać – odrzekła cicho Sandra.

– Gdzie łańcuch?

– Tam, pod drzewem – wskazała. Ktoś przyniósł wolny koniec łańcucha i otwartą kłódkę.

– Czym go otworzyłaś?

– Ja go… – Sandra wykonała rękami ruch, jakby coś rozrywała.

– Patrzcie ją! – Zdziwił się Szram.

Wyjął z kieszeni klucz, pokręcił nim w zamku, aż się zamknął, włożył w łuczek dwa palce, pociągnął. Coś mu chrupnęło w ramieniu, twarz nabiegła krwią, poczerwieniała. Wydał nieartykułowany dźwięk i pociągnął z całej siły. Kłódka szczęknęła i otworzyła się.

– Zły zamek – powiedział i podał kłódkę właścicielowi łańcucha. Znów zwrócił się do Sandry: – Jeśli nie chciałaś uciekać, po co otwierałaś kłódkę?

– Łańcuch otarł mi całą nogę – Sandra zademonstrowała podrapaną łydkę. – I drwa w pobliżu się skończyły.

– Kiedy otworzyłaś kłódkę?

– Gdy drwa się skończyły i zrobiło się zimno.

– Mogła nam wszystkie konaki zabrać – plótł swoje Kret.

– A może pójdę myć kocioł, dobrze, Szram? Gdzie tu jest strumień? – zapytała Sandra.

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Jak tam sobie chcecie. – Obrażona wydęła wargi i usiadła pod drzewem plecami do mężczyzn. Wewnętrznie triumfowała, myślała: „Pierwszy set dla mnie. Cichutko bij w bęben i graj na trąbce, muzykancie”.

Niedługo się jednak cieszyła. Podszedł Szram, otworzył drugą kłódkę, znowu okręcił łydkę łańcuchem i zamknął jedną kłódką pętlę wokół drzewa i wokół nogi.

– Po co? – zapytała Sandra.

– Jak zdejmiesz łańcuch, to utnę ci nogę nad kolanem.

**ZIEMIA**

Sam zdjął przez głowę mokrą od potu koszulę i rozciągnął się na ciepłym kamieniu. Obok cicho szumiała rzeczka, pasikoniki ćwierkały w trawie. Ale rozluźnić się nie zdołał. Od bunkra ku rzeczce, rozmawiając z kimś, szedł Smok. Gniewny Smok. Falę gniewu nawet Sam, choć był mężczyzną, czuł z odległości dwudziestu metrów. Nie chcąc pokazywać się na oczy gniewnemu smokowi, Sam chwycił koszulę, szybko wstał z kamienia i ukrył się pod pobliskim krzakiem. I zaraz tego pożałował. Smok rozmawiał z Lirą. O nim. Koło kamienia Lira zatrzymała się i usiadła na piasku.

– Szukasz księcia czy co? Masz już dwadzieścia pięć lat, a on dwadzieścia trzy.

– Dodaj jeszcze, że mój syn ma dziesięć i potrzebuje ojca.

– Jesteś głupia. Nie wiesz, ile tracisz. Przechwyci ci go jakaś młódka, a ty zostaniesz na lodzie i będziesz gryzła paznokcie.

– Będę się z tego tylko cieszyła.

– Nie wierzę.

– Po co wszystko sprowadzasz do wspólnego mianownika? Przecież wiesz, że jeśli Samowi przytrafi się jakieś nieszczęście, oddam za niego życie. Ale za mąż – to zupełnie co innego. Potrzebny mi jest ktoś silniejszy duchem, kto wziąłby mnie za kark jak szczeniaka i potrząsnął, jeśli będę się stawiać. Żebym przy nim czuła się słabą kobietą. A Sam wyrósł taki tęgi, gnie podkowy – a mnie słucha z niemym zachwytem. Ciamajda. Nie będę z nim szczęśliwa.

– Lira, za dziesięć lat będziesz żałowała, że byłaś taka głupia.

– Możliwe. Ale najpierw musimy oboje przeżyć te dziesięć lat.

Smok machnął skrzydłami i szybko wzniósł się ku horyzontowi.

Sam leżał z twarzą wtuloną w ziemię, bezdźwięcznie klął siebie najgorszymi słowami i trząsł się jak w febrze. Za kamieniem cicho pochlipywała Lira.

„Głupcze, teraz ona się zgodzi na wszystko. Takiej okazji nigdy już mieć nie będziesz. Wstań, tchórzu! Wstań i obejmij ją! Teraz albo nigdy!” – powtarzał sobie, ale się nie ruszał.

Lira odeszła.

**SEKOND**

Mężczyźni rozpalili ognisko i ugotowali gęstą i całkiem smaczny, choć niesolony żur. Usiedli pod drzewem, do którego przykuta była Sandra, żeby i ona mogła sięgnąć do kociołka. Szram wystrugał jej drewnianą łyżkę. Zjedli i zajęli się swoimi sprawami. Jeden naprawiał uprząż, drugi ostrzył broń, trzeci po prostu drzemał na słońcu. Sandra uważnie przyglądała się wszystkiemu, co widziała. Wszystkie rzeczy – i ubrania, i broń i uprzęże – były produkcji chałupniczej. Ani jednej fabrycznej, wszystkie unikalne. Tylko co do kotła nie miała pewności. Połowę drzew i krzaków stanowiły ziemskie, połowę miejscowe, nieznane. Trawa na polanie ziemska, a w lesie, w cieniu drzew, miejscowa, zielononiebieska. Konie, nazywane przez ludzi konakami, na pewno ziemskie.

Kiedy Szram przechodził koło Sandry, ta dotknęła ostrożnie jego ramienia i zapytała:

– Dlaczego mnie przywiązujesz?

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Pytanie go kompletnie zaskoczyło, na co zresztą dziewczyna liczyła, ale nie zdążył odpowiedzieć. Podszedł do niego młodzian z nadgarstkami owiniętymi rzemieniami. Ślad – przypomniała sobie jego imię i zaklęła w myśli.

– Szram, muszę z tobą pomówić – zaczął. – Ona jest twoja? – Wskazał Sandrę.

– Jeszcze nie.

– Wieczorem przyjedzie Łoś, a dziewka twierdzi, że przyniósł ją Czarny Ptak. Pamiętasz umowę: wszystko, co przyniosła upadła gwiazda, dzielimy po połowie. My wiemy, że dziewczynę pojmałeś w lesie ty, ale Łoś i jego ludzie mogą się z tym nie zgodzić. I, jeśli szczerze, szukaliśmy tego, co spadło z nieba. Spadła ona. A jak to nazwać – gwiazda, Czarny Ptak, czy dziewczyna – to już mało ważne.

– Więc co proponujesz? Jeśli się zwiniemy i odejdziemy, domyśli się, że coś chowamy.

– Nie, odchodzić nie możemy. Do diabła, wiesz, ile ona może być warta? Gdyby była zwykła, poradziłbym ci wykupić ich dolę. A za taką można zażądać nawet tuzin konaków. Łoś je ma, a ty nie. No i pomyśl, komu ona się dostanie…

– Ja ją złapałem, więc mam prawo powiedzieć, jak będziemy ją dzielili. Wyznaczę Grę. Będzie uczciwie i sprawiedliwie. Jednemu się uda, pozostali – bez obrazy.

– Tak masz jedną szansę na tuzin.

– A co, my Kreta albo Świntucha nie zakasujemy? Kopyto i Tchórz też są słabsi, na palcach jednej ręki można policzyć dobrych tropicieli. Ty, ja, Łoś, może jeszcze jeden czy dwóch.

– Ale jeśli dziewka mi się dostanie, nie obraź się, Szram.

– Po to właśnie jest Gra.

– A teraz możesz ją wziąć. Twoje słowo będzie miało większą wagę.

– Tutaj? W niczyim lesie?

– Czasem ci się dziwię. Do strumienia dwieście kroków. Jaka różnica, tu czy tam? Zresztą przenieś ją przez strumień. Tam już jest ziemia Chorców, wszystko będzie zgodne z prawem.

Ślad odszedł. Szram w zamyśleniu popatrzył na słońce, pobawił się nożem, po czym stanowczo odwrócił się do Sandry. Dziewczyna spotkała się z nim wzrokiem i serce się jej ścisnęło. Tak się nie patrzy na człowieka, tak ogląda się ostrze miecza przed walką.

– Słuchaj i zapamiętaj, nie będę powtarzał. Jesteś moją niewolnicą. Nazywam się Szram. Od tego – wskazał starą bliznę, zaczynającą się na skroni i przecinającą cały prawy policzek.

Lewa ręka Sandry uniosła się, jakby chciała dotknąć blizny. Szram kontynuował:

– Tak, nieboszczyk był mańkutem. Z takimi zawsze trudno się walczy. Tak więc nazywam się Szram, ale dla ciebie – pan albo gospodarz. Jeśli spróbujesz uciec – obetnę ci nogę poniżej kolana. Będziesz skakać na drewnianej nodze. Jeśli zabijesz wolnego człowieka – trafisz do kotła z wrzącym olejem. Jeśli będziesz głośno przeklinać wolnego człowieka, obetnę ci język. I tak dalej. Przyjedziemy, baby ci opowiedzą.

Niewolnica… Słowo zostało wypowiedziane. „No dobrze, już ja ci tu pokażę! Będę posłuszną niewolnicą, ale nie znam waszych zwyczajów. Będę z ciebie robiła głupka dziesięć razy dziennie” – obiecała sobie Sandra.

– Szram… Przepraszam, gospodarzu, a może w nocy, kiedy wszyscy zasną, pójdę do strumienia i umyję? Rano znowu nałożę łańcuch, nikt się nie dowie.

Szram długo patrzył jej w oczy ciężkim wzrokiem. Wytrzymała spojrzenie.

– W żaden sposób nie mogę zrozumieć, kim jesteś. Wariatką, beznadziejnym głuptasem, czy mądrym ścierwem, które chce ze mnie zrobić głupka.

– Wariatką nie jestem. Może nie jestem zbyt mądra, ale głupia też nie. A nazywam się nie Ścierwo, tylko Sandra. Przyjaciele nazywają mnie Sandy.

– Więc po co mi zawracasz głowę? Udajesz, że nie wiesz, po co cię przykułem.

– Nawymyślaliście głupich zwyczajów, a ja mam przez nie nogę obtartą do krwi.

– Jakich zwyczajów?

– No, tych. – Potrząsnęła nogą – Że nie wolno zdejmować łańcucha. Mogłeś wczoraj powiedzieć, a nie ciągnąć za włosy. I w ogóle źle postąpiłeś. Sam wygodnie siedziałeś w siodle, a mnie położyłeś w poprzek głową w dół. I w dodatku związałeś ręce. Wiesz, jak po sznurkach ręce bolą?

Szram pokręcił głową.

– Związałem cię, żebyś nie uciekła. Żebyś nawet nie próbowała uciekać.

– O Boże, ile razy mam ci mówić: nie mam dokąd uciekać. Zostałam sama, zupełnie sama na całym Sekondzie i nic o nim nie wiem. Dokąd mam uciekać? A to – podniosła łańcuch – utrzyma tylko krowę, jeśli będzie potulna. Nawet nie wszystkie ogniwa są zaspawane. Aż wstyd z takim łańcuchem siedzieć pod drzewem. Tam kocioł nieumyty, drwa na ognisko niezebrane, ludzie Łosia przyjadą głodni, trzeba in przygotować jedzenie. A ja się wyleguję pod drzewkiem. To niedobrze, bałagan.

– Ludzie Łosia sami zatroszczą się o siebie. – Szram wstał i szybko poszedł przez polanę.

– Gospodarzu! – zawołała za nim Sandra.

– Co?

– Głupio mi, sama bym poszła, ale jeśli nie można… Przynieś mi, proszę, wodę do picia.

**ZIEMIA**

W hangarze, zamienionym w salę konferencyjną, było ciasno, gwarnie i radośnie. Smok, jako koordynator, komunikował o przebiegu prac i wyznaczał grupom nowe zadania.

– Mistrzu Smoku, a dlaczego samolikwidatory nie zadziałały?

– Co trzeci jednak zadziałał. A pozostałe – po prostu z powodu nieprzemyślanej konstrukcji. Ludzie nie przywykli projektować technikę na wieki. Nie da się tego wypróbować, trzeba za długo czekać, rozumiecie? Rozpatrzmy schemat aktywatora likwidatora. Pierwsze wejście – na sygnał z zewnątrz. Nikt go nie podał. Drugie wejście – od czujników uszkodzenia obudowy. Nikt nie próbował jej otwierać. Ten łańcuch zadziałał tylko na komorze numer pięć, gdzie na obudowę kapał z sufitu kondensat i zardzewiała. Pozostaje ostatnie wejście – od układu kontroli akumulatora. Gdy napięcie w akumulatorze spada poniżej krytycznego, włącza się czujnik – i ku-ku. Nie ma komory. Teoretycznie się zgadza. W praktyce – sami widzicie. Ładunek akumulatora na nadprzewodnictwo wystarczy na setki lat. Popatrzmy na schemat likwidatora. Tu obwód z miedzi, tu stal, a tu duraluminium. Jakim niedobrym słowem to określić? Zgadza się, obwód galwaniczny. Trzy-cztery wieki – i przewody się zakwasiły, zardzewiały i popękały, Same z siebie. Aktywator zadziała, a do likwidatora energia nie dojdzie. Dalej, same akumulatory. Seryjne, standardowe. Jeśli standardowe, to znaczy z systemem awaryjnego rozładowania. Zapomnieli postawić akumulator dublujący. Ten się psuje – i cały system pozostaje bez energii. Co widzimy na komorach dziewiątej i jedenastej. Tak więc z szesnastu komór zero-t likwidatory zadziałały tylko na pięciu. Wieczna chwała ich twórcom!

– To znaczy: podłączamy zasilanie – i już lecimy na Sekond?

– Aleś ty szybki! Najpierw napraw, potem się umów tam na spotkanie. Z muzyką!

– Z kim mam się umawiać?

– Z komorą odbiorczą zero-t!

– A-a…A jak?

– Wysyłasz pytanie przez łącze zero-t. W pytaniu podajesz kody obu komór: swojej i tej, z którą chcesz się połączyć. Jeśli komora odbiorcza jest wolna i gotowa do pracy, wysyła twojej odpowiedź. Dalej to już tylko sprawa techniki.

– Rozumiem. Panie Smoku, a jakie są kody komór na Sekondzie?

– Nie wiem.

– A kto wie?

– Ci, którzy się nimi posługiwali.

– Ro-ozumiem…

– Już zwiesił nos. Ale z ciebie bohater-odkrywca! Hańba dżunglom! Pytanie na noc dla wszystkich: Jak poznać kody komór zero-t?

– Ja wiem.

– Mów, Węgielku.

– Trzeba zapytać Mistrza Smoka. On na pewno coś wymyśli.

– Mądra myśl… Bardzo ciekawa myśl… Dziękuję za zaufanie, Węgielku… Nie ma innych propozycji? Więc tak… Zadanie rozwiążemy na siłę. Kody pracujących komór poznamy przez przebranie wszystkich możliwych kodów. Strukturę kodu znamy, podłączymy komputer i w ciągu trzech-czterech miesięcy przeszukamy całe pasmo. A na razie zajmiemy się remontem tego bunkra. Przy okazji postarajcie się usunąć wszystkie zbędne ścianki. Kim, oblicz na komputerze, czy nie dałoby się pięter połączyć parami. Parter z pierwszym, drugie z trzecim. Nie chce mi się tu chodzić na czterech kończynach, jak zwierzę.

**SEKOND**

Późno wieczorem, kiedy wszyscy już zjedli kolację, na polanę przyjechali ludzie Łosia. Głodni, zmęczeni, źli. Było ich także sześciu. Nad polaną zawisło napięcie. Ludzie skupili się wokół swoich przywódców. Od grupy Łosia, rozkładającej się na drugim końcu polany, dochodziły przekleństwa. Komuś zagrozili obiciem gęby i wysłali do lasu po drwa. Wysoki mężczyzna podszedł do Szrama. Najpierw rozmawiali we dwójkę, potem podeszli pozostali, rozmowa stała się ogólna. W końcu wszyscy wpatrzyli się w nią i podeszli.

– Przyleciałaś na Czarnym Ptaku? – zapytał Łoś. Sandra spojrzała pytająco na Szrama.

– Mów – przykazał jej Szram.

– To był prom. Przyleciałam na nim.

– Czy to prawda, że on spadł i umarł?

– Tak. I wszyscy, którzy nim lecieli, też. Tylko ja wyszłam bez szwanku. Było nas pięcioro.

– Dlaczego spadł?

– Bo był stary. Nie latał od tysiąca lat. Początkowo wszystko było normalnie, a kiedy zaczęło trząść, oba główne akumulatory – klap, klap i koniec. Prom już martwy i spadamy.

– Co to są te aku… jak im tam?

– Dają energię. Jak by to wyjaśnić… Coś jak serce i płuca.

– Rozbieraj się.

Sandra początkowo nie zrozumiała, potem speszyła się i spojrzała na Szrama.

– Rozbieraj się – powtórzył Szram.

„Co ma zrobić ciekawa, zagadkowa i nieprzewidywalna, jeśli kazano jej rozebrać się przy ludziach? – pomyślała Sandra. – Co ma zrobić dziewczyna, jeśli przyczepili się do niej chuligani: uderzyć czy uciekać? Liwia radziła i jedno, i drugie. A ja tu siedzę na łańcuchu, jak pies. Posłucham cię, Szram, ale zapamiętam to sobie. Masz u mnie mały dług”.

– Gospodarzu, dla ciebie się rozbiorę, ale niech inni odejdą.

– Wariatka czy co? – zapytał Łoś.

– Nie, normalna. Tylko nie z tego świata – odrzekł Szram.

– Rano zerwała łańcuch, ale nie uciekła, tylko poszła myć kocioł. – Włączył się Kret. – Ona jest nawiedziona.

„Hasło do krzyżówki – pomyślała Sandra. – Ciekawa, zagadkowa, wierna i nieprzewidywalna – jednym słowem. Nawiedziona”.

**ZIEMIA**

Syrena krótko zawyła trzy razy. Był to sygnał ogólnej zbiórki. Młodzież, śmiejąc się i wkładając po drodze ubrania na mokre ciała, pobiegła znad rzeczki do bunkra. Sygnał powtórzył się. Śmiech zamarł, na twarzach pojawił się strach. Zza lasu z wielką szybkością wyleciały dwa smoki. Węgielek wylądowała, coś krzyknęła. Pięciu ludzi wdrapało się na jej grzbiet i smoczyca, ciężko machając skrzydłami, poleciała nad samą ziemią do bunkra. Jeszcze raz zawyła syrena. Ludzie pobiegli. Nad bunkrem wzbił się flyer, obrócił się w powietrzu i z maksymalną szybkością poleciał na wschód.

– Oddział, ustawić się! W szereg! Baczność! – zakomenderował smok, kiedy wszyscy przybiegli pod bunkier. – Sprawdzanie obecności!

Akurat, kiedy sprawdzanie się zakończyło, z bunkra wyszła Lira, ciągnąc za rękę czarnowłosą dziewczynę. Smok obrzucił je zdumionym, ale surowym spojrzeniem.

– Sandra, tak? A kto tam drugi? – zapytał.

– Nie rozumiem – wymamrotała przerażona dziewczyna, kuląc się pod jego przenikliwym wzrokiem.

– Pytam, kto jeszcze poszedł z Samem? Kima wysłałem po skafandry, pozostali są tutaj. Kto jeszcze był z Samem w komorze?

– Nikt. Cyber remontowy – odpowiedziała ledwie słyszalnie dziewczyna. – Proszę się nie bać, Sam wszystko przewidział. Powiedział, że wróci maksimum za osiem godzin.

– Mów głośniej, żeby wszyscy słyszeli.

Dziewczyna się rozpłakała. Lira przytuliła ją do siebie. Smok zmierzył je gniewnym spojrzeniem, burknął coś pod nosem i zwrócił się do stojących w szeregu ludzi:

– Trzydzieści pięć minut temu pewien gołowąs, nie uprzedzając nikogo, wyprawił się przez komorę zero-t w niewiadomym kierunku. Wiadomo tylko, że przez zero-t został przesłany ładunek około stu dziewięćdziesięciu kilogramów i że komora odbiorcza znajduje się w granicach Układu Słonecznego. Może to być albo południowy bunkier, albo baza orbitalna, albo któraś ze stacji, zaopatrujących w paliwo statek na orbicie Jowisza. Jak mówi ta płaksa, Sam ma zamiar wrócić najpóźniej za osiem godzin. Za dwie godziny przybędą tu skafandry i zorganizujemy wyprawę ratunkową. Od razu chcę wam powiedzieć, że korzyści z tej wyprawy mogą być niewielkie. Jeśli w komorze odbiorczej jest próżnia, Sam już zginął…

– Nie zginął, on jest w skafandrze! – zawołała Sandra.

– W takim razie może i sam sobie poradzi. A jednak potrzebny mi jest ochotnik.

– Ja pójdę! – zawołały równocześnie Sandra i Lira. Pozostali otoczyli Smoka.

– Powiedziałem, że mi jest potrzebny jeden ochotnik, a nie cały tłum. Mężczyzna, inżynier.

I wtedy w drzwiach bunkra ukazał się Sam, z ręką przyciśniętą do ucha.

– Oj, Samik! – zawołała Węgielek. – Nie idź tam, chodź tutaj! Ozłoć łapkę, a opowiem wszystko, co będzie. Zaraz zły smok cię zabije. Siekiera utnie głowę. Piękna dziewczyna będzie płakać. Chodź tutaj, schowam pod skrzydłem, nikomu nie dam obrazić.

Sam zatrzymał się. Rozejrzał się zmieszany, odwrócił się, chcąc się schować w bunkrze, ale Smok już go zobaczył.

– Aha! – powiedział. – Ukarzę cię bezlitośnie. Gdzieś ty był?

– Na stacji orbitalnej.

– Jak tam jest?

– Kiepskawo. Ale stacja żyje. Cybery dyżurują, łatają przebicia. Rozbierają się nawzajem na części zamienne. Powietrza prawie nic nie zostało. Kiedy tu skaczesz, bije po uszach…. W miękkim skafandrze się nie da, trzeba w twardym.

– Jakie tam jest ciśnienie?

– W przybliżeniu jak na wysokości siedmiu tysięcy metrów.

– Opowiesz w dwóch słowach czy najpierw do biowanny?

– Nie bardzo jest o czym opowiadać. Niedługo wróci cyber z pełnym raportem o stanie stacji. Kazałem mu tam połączyć się z siecią komputerową, przeprowadzić lustrację i zapoczątkować ponowne uruchomienie bazy. Ale najważniejsze – to! – Sam oderwał od ucha zakrwawioną dłoń i wyjął z kieszeni komputerowy blok pamięci. – Tu są kody wszystkich komór zero-t! Są ich setki!

– Samik, co ci się stało? – zapytała zaniepokojona Lira.

Sam spojrzał na swoją dłoń i skrzywił się. Po jego szyi skapnęła kolejna kropla krwi.

– Wybuchowa dekompresja – wyjaśnił Smok. – Sam powinien był podnieść ciśnienie przed skokiem. Wtedy skafander nadąłby się jeszcze tutaj, a nie tam, w próżni.

– Nie domyśliłem się – przyznał Sam. – Myślałem, że wszystko uwzględniliśmy.

– Pędź do bunkra i kładź się do biowanny. Jutro zdasz pełny raport – powiedział Smok.

– My – to znaczy kto? – zapytała Lira.

– Ja – odrzekła Sandra. – Wyrzucicie mnie teraz?

– Przedszkole – powiedział smok. – Młodsza grupa. Żłobek. Bohaterowie dalekiego kosmosu, massaraksz!

**SEKOND**

Robiło się coraz później, Sandrę czekała jeszcze jedna zimna, nieskończona, straszna noc, której bała się coraz bardziej. Ludzie Łosia po kolacji zgasili swoje ognisko, nowego nikt nie zamierzał rozpalać. Narwałaby trawy, ale w jej zasięgu trawy prawie nie było. Niespokojnie biegała dookoła drzewa, szukając, z czego by tu zrobić ciepłą pościel, spróbowała nałamać gałązek, ale szybko się poddała.

– Gospodarzu – wezwała Szrama, zapominając o dumie. – Co mam robić?

– Spać.

– Nie mogę spać. Zimno mi. Zakazałeś zdejmować łańcuch, nie ma drew, nie ma ogniska, zamarznę. Tam, skąd jestem, zawsze jest ciepło.

Szram zaklął kwieciście. Potem przeniósł swoje manatki do drzewa i rozłożył obok derki Sandry. Wyjął sznurek, związał dziewczynie ręce za plecami, niezawodnie, ale nie ściskając nadgarstków. Położył się koło niej nie rozbierając się i przykrywając oboje jednym kocem. Sandra ogrzała się i szybko zasnęła.

Kiedy się obudziła, niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać. Szram spał. Sandra uśmiechnęła się i skreśliła mu w myśli wczorajszy dług– to, że kazał jej się rozbierać na oczach wszystkich. Bardzo dobrze się wyspała, nastrój psuł jej tylko sznurek, którym miała związane ręce. Wspomniała teorię i praktyczne zajęcia kursu komandosów i zabrała się do rozwiązywania węzłów. Wkrótce jedna ręka wyskoczyła ze sznurkowej bransoletki. Po zbadaniu pozostałych węzłów potrząsnęła ostrożnie ramieniem Szrama.

– Gospodarzu, sznurek się rozwiązał.

– Jaki sznurek?

– Ten, którym mnie związałeś.

Szram rozbudził się całkowicie, wysłuchał wersji zdarzenia, opowiedzianej przez Sandrę i obrzucił ją stekiem przekleństw. Potem odwrócił się plecami i znowu zasnął.

– Fuj, ależ z ciebie grubianin – uśmiechnęła się Sandra. – Ale jednak poddajesz się tresurze. Będę umacniała to, co już osiągnęłam.

Ostrożnie wyjęła mu z pochwy kindżał, wymierzyła na pniu drzewa prostokąt, zdjęła korę, zamyśliła się na chwilę nad treścią napisu i wycięła:

SANDRA TU BYŁA

MOIM PANEM JEST SZRAM

Oczywiście, wolałaby napisać coś zupełnie innego, ale nie mogła wymyśleć nic, co ściślej opisywałoby jej obecne i przyszłe współrzędne. Włożyła kindżał dokładnie na miejsce i zaczęła obmyślać dalsze posunięcia. Ułożywszy sobie z grubsza kilka scenariuszy bezsensownych sytuacji, w które miała zamiar zapędzić Szrama, dziewczyna zasnęła zadowolona, a nawet, o dziwo, szczęśliwa. Obudziły ją przerażone głosy mężczyzn, oglądających pień drzewa z jej wizytówką. Przeciągnęła się i podeszła do nich.

– … całkiem niedawno, o świcie – to mówił Ślad.

– Aha – potwierdziła Sandra.

– Wiesz, kto to zrobił? – zapytał Szram.

– Ja – odrzekła dziewczyna. Szram zacisnął zęby i ryknął jak z bólu.

– Co to znaczy? – zapytał Ślad. Sandra przeczytała napis, wodząc po literach.

– Po coś to zrobiła? – Szram złapał ją za włosy i obrócił twarzą do siebie.

– Tak sobie. Żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś moim panem.

Szram zamyślił się.

– Zrozumiałeś, co ona powiedziała, Ślad? – zapytał po chwili..

– Chce, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś jej panem.

– Tak, i wycina to na drzewie w centrum lasu na niczyjej polanie, gdzie nikt nie chodzi? Poza tym, ilu ludzi w naszym forcie umie czytać? Rozumek, jego baba i może jeszcze ich syn. Moim zdaniem, ona nas oszukuje, tylko nie mogę zrozumieć, w czym.

– Gospodarzu, czy zrobiłam coś nie tak? – zapytała Sandra, udając zatroskaną i przerażoną.

– Ty wszystko robisz nie tak! – I, odprowadziwszy Ślada od drzewa, do którego ciągle była uwiązana Sandra, kontynuował: – Nie wierzę jej. Ale ona zachowuje się jak wierny pies. Dziś w nocy obudziła mnie i powiedziała, że sznurek, którym związałem jej ręce, rozwiązał się.

– Kłamie. Sama go rozwiązała.

– Ale po co wtedy miałaby mnie budzić? I moich węzłów nikomu dotąd nie udało się rozwiązać. Może sznurek naprawdę się rozwiązał? Kiedy rozmawiam z nią, czuję się głupcem. Mówimy te same słowa – a nie rozumiemy siebie nawzajem. Ale jak by to nie było, nie pozwolę jej robić z siebie głupca przy Łosiu.

– Ukażesz ją?

– Nie. Za strumieniem widziałem krzaki czerwonego ogłupiacza. A przy samym strumieniu rośnie krzyżak. Podam jej ogłupiacz.

– Wypluje.

– I wtedy ją ukarzę.

**ZIEMIA**

– No dobrze, Mistrzu, ale bądź rozsądny. Trzeba przerzucić na stację orbitalną tony ładunku.

– Dziesiątki ton.

– Ładunki są w bazie. Chcesz wozić je do bunkra, a potem przez zero-t wysyłać na stację. A nie prościej byłoby przewieźć parę komór tutaj, na bazę?

– No i masz, zaczyna się...

– Co się zaczyna, Mistrzu?

– Dwie komory tu, dwie komory tam… Mówiłem ci przecież, Anno, że to jest technika dwudziestego trzeciego wieku. Nie wolno jej rozpowszechniać na waszej planecie. Nie mogę stracić nad nią kontroli.

– Zamierzasz więc siedzieć nie wychodząc z bunkra jak kura na jajach? Jak długo, Mistrzu? Dwieście lat? A może dopóki sami nie wynajdziemy zero-t? Mogę to zlecić naszym najlepszym fizykom i w ciągu dziesięciu lat sobie poradzą. Czy twoje sumienie się wtedy uspokoi?

– Anno, nie wiem już, co robić, popełniam kolejne głupstwa, tracę kontrolę nad sytuacją. A od ciebie nie mam żadnej pomocy.

– Próbuję ci wykazać, że twoje stanowisko jest nielogiczne i pozbawione perspektyw. Sam to rozumiesz, ale kurczowo trzymasz się litery instrukcji sprzed tysiąca lat. Straciłeś nawet poczucie humoru. Czy ty myślisz, że te jedenaście komór może zmienić bieg historii?

– Nie chodzi tylko o te komory, Anno. Na stacji jest pełna informacja o nauce, technice i kulturze dwudziestego trzeciego wieku.

– Nie chciałam rozmawiać z tobą na ten temat, sądziłam, że sam zrozumiesz, jeśli pomyślisz. Ale okazuje się, że są tematy, które dla ciebie są tabu. Nie chcesz nawet myśleć o nich. Mistrzu, w technice jesteś geniuszem. Przy komputerze nikt ci nie dorówna. Lira mówiła, że kiedy komputer na orbitalnej zażądał hasła, odgadłeś je od razu. Jakaś długaśna liczba. Znakomicie muzykujesz, malujesz genialne obrazy. „Ostatni dzień Pompei” czy „Dziewiąta fala” – nasi malarze modlą się na nich. A „Jedzący kartofle” to, wybacz, bohomaz, ale też czymś chwyta za serce. I ani jednego obrazu nie podpisujesz swoim imieniem. A to Breughel, a to Ajwazowski, a to Vincent van Gogh. Dobrze, twoja sprawa. Organizator z ciebie też niezły, gdyż swoje pomyłki naprawiasz, zanim inni je zauważą. Ale są dziedziny, w których jesteś nawet nie zerem, tylko jeszcze gorzej. Wielkością ujemną. To polityka i dyplomacja. Dlaczego Władcy nie chcieli nam dać techniki dwudziestego trzeciego wieku? Bo się bali. Bali się dać małpie pistolet laserowy. Ograniczyli poziom technologii do dwudziestego pierwszego wieku. I słusznie. Postąpiłabym tak samo. Tylko pytanie: o kogo się bali? O nas? Nie, gdyż wtedy ograniczyliby się do końca dziewiętnastego. Bali się o siebie. Że barbarzyńcy obrzucą ich wszelkimi bombami jądrowymi. Ale teraz nie możemy im zagrozić w żaden sposób. Sam mi mówiłeś: całkowite rozdarcie. Zmiękczenie spójności, albo ta, no… polaryzacja trójwymiarowa. Co byśmy tu nie wyprawiali, nie możemy im w żaden sposób zaszkodzić. A nawet, gdybyśmy mogli, oni są już o tysiąc lat przed nami i obecnie poprzeczkę można byłoby podnieść nawet do trzydziestego pierwszego wieku. A zresztą, skoro już wiemy o tej stacji… Przypuśćmy, że tych jedenastu komór nie ma. Budujemy statki kosmiczne, lecimy na stację – i wiedza nasza! W którym wieku wy u siebie wyszliście w kosmos?

– W dwudziestym.

– O właśnie!

– Czyli nie ma żadnych zakazów na technologię? – upewnił się zdziwiony Smok

– Udowodniłam ci, że żadnych.

Smok wstał i ponuro poszedł w kierunku wyjścia.

– Powiedz szczerze, czy bardzo głupio wyglądałem? – zapytał jeszcze od drzwi.

– Ależ nie, byłeś naprawdę przekonywujący… Aha, Mistrzu, jeśli to nie jest tajemnica, powiedz mi, jak ci się udało odgadnąć hasło do komputera orbitalnego?

– Żadna tajemnica. Po prostu przypomniałem sobie. Dziesięć cyfr liczby ε bez pierwszej. Kiedyś słyszałem: 7 1 8 2 8 1 8 2 8 4.

**SEKOND**

Sandra siedziała pod drzewem i korygowała plany. Z ostatniej rozmowy zrozumiała, że Szram jest mądrzejszy, niż sądziła. Trzeba było działać bardziej subtelnie. A może na odwrót, bezczelnie, na pograniczu idiotyzmu? Szkoda, że rano nikt nie zapytał, skąd wzięła nóż. Będzie musiała przy okazji wyciągnąć Szramowi kindżał przy wszystkich. Na przykład żeby podstrugać sobie drewnianą łyżkę. Zaraz śniadanie, trzeba usiąść koło niego z prawej.

W obozie Łosia na drugim końcu polany znów głośno przeklinali. Z lasu wyszedł Szram. W rękach miał koszyczek z czerwonymi jagodami, które po jednej wkładał do ust.

– Gospodarzu – cicho wezwała go Sandra. – Jeśli zechcesz, nauczę cię czytać i pisać. Tylko że u was mogą pisać inaczej niż u nas, ale jeśli dasz mi grubszą książkę, łatwo się nauczę.

– Chcesz? – zapytał Szram. – Jeszcze niedojrzałe, z goryczką.

Sandra podstawiła dłoń, i nasypał jej sześć dużych jagód. Wrzuciła jedną do ust i rozgryzła. Z goryczką! Gorczyca pół na pół z pieprzem! Chinina! Sandra podniosła oczy na Szrama. Ten wrzucał jagody do ust i patrzył w zamyśleniu, jak Ślad przygotowuje śniadanie. Dziewczyna wrzuciła do ust drugą jagodę. Ten sam smak. Do oczu napłynęły jej łzy.

„Ty łajdaku!” – pomyślała. – Masochisto! Sadysto! Czekaj, ja ci pokażę, moich łez nie zobaczysz! Pobiję cię na twoim polu, ile by to mnie nie kosztowało!”.

– No i jak? – zapytał Szram.

– Przypomina chininę. To takie drzewo, którego korę się żuje. – Sandra wrzuciła pozostałe jagody do ust i wyciągnęła rękę po następną porcję.

– Wystarczy ci! – Szram gniewnie odrzucił jej rękę.

„Skąpiradło z ciebie” – pomyślała Sandra. – „Ale to jeszcze nie powód do łez”.

Ukryła twarz między kolanami i dokładnie przeżuła jagody. Po chwili zaczęła cichutko pochlipywać i podrygiwać ramionami, stopniowo zwiększając głośność i amplitudę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Szram. Sandra podniosła ku niemu mokrą od płaczu twarz.

– Dlaczego jesteś taki skąpy? Wszyscy mężczyźni to prawdziwi mężczyźni, a ja musiałam trafić na sknerę! Dlaczego taki jesteś? Posłałbyś mnie, ja bym ci cały koszyk tych jagód nazbierała. A ty jesteś jak pies na sianie… Skąpy… – Przez jej ciało przeszła fala zimna, żołądek zrobił próbę wyskoczenia z ciała, w gardle utkwiła kłująca zimna bryłka. Dziewczyna spróbowała stanąć na nogi, nawet jej się to udało, ale zrobiwszy krok, upadła na bok. Szram pochylił się i obrócił ją na wznak.

– Po coś ty?... Za co? – Jej oczy się zamknęły.

Podszedł Ślad.

– Zjadła sześć jagód ogłupiacza i poprosiła o jeszcze – powiedział Szram.

– Po co jej tyle dałeś?

– Myślałem, że wypluje, a ona powiedziała, że podobne do chininy. To u nich takie drzewo. Potem poprosiła o jeszcze i powiedziała, że jestem skąpy. Niedobrze wyszło.

– Sześć jagód powali konaka. Żeby tylko nie było nieprzyjemności z Łosiem.

– Do diabła z Łosiem! Źle wyszło… Poddała mi się, wąchała mój mech. Zawierzyła.

– Nie wiedziała, komu się poddaje.

– Czy to ważne? Mogła zabrać nam wszystkie konaki. Z takim podarunkiem przyjęliby ją w każdym forcie. Nie uciekła. Sama wzięła się do mycia kotła. Źle wyszło…

Ślad włożył rękę do koszyczka, wrzucił do ust garść jagód.

– A krzyżak jeszcze niedojrzały. Gorzki.

**ZIEMIA**

Wskrzeszanie bazy orbitalnej postępowało szybko. Równocześnie budowano też bazę pod bunkrem. Pracami kierowała Lira, a Smok zamknął się w swoim gabinecie i całymi dniami nie wychodził – studiował zero-fizykę. Grupa Sama wizytowała wszystkie bazy i stacje, w których działały komory zero-t. Było ich około dwudziestu. Dwie na Księżycu, jedna na Marsie, pozostałe na księżycach Jowisza i Saturna. Ponad czterdzieści stacji nie odpowiadało. Gdy Smoka zapytano, co z nimi robić, wynurzył się na chwilę z dżungli algebry tensorowej, zbadał koniec swojego ogona i zapytał

– Sam, czy twoim potomkom te stacje będą potrzebne?

– Oczywiście, ale jak my się mamy tam dostać?

– Pojazdami z tych, które działają. Naprawcie tam komory gdzie się da i nie odrywajcie mnie od moich zajęć.

Teraz w kosmos szły już nie dziesiątki, a setki ton ładunków. Magazyny baz i monastyrów szybko pustoszały. Sam żądał wciąż nowych cyberów i zasypywał Lirę zamówieniami na najróżniejsze urządzenia. Skończyło się tym, że na kontrolę inspektorską przyleciała sama Anna. Szybko zorientowawszy się w sytuacji, nie skierowała się do Smoka, tylko na plażę, gdzie akurat odpoczywała grupa Sama.

– Sam, gdzie jest Sekond? – zapytała zamiast powitania.

– Witaj, Anno. Nie znamy jeszcze kodów ich kamer. W spisie ich nie ma.

– Wszyscy wolni. – Grupa szybko się rozeszła. – Sam, potrzebuję Sekondu. Gdzie on jest?

– Jeszcze nie wiem. Szukamy. Jego kodów nie ma w żadnym komputerze.

– Ty chłopczyku z brudną pupką! – Anna złapała Sama za ucho. – Dałam ci ludzi?

– Dałaś!

– Dałam ci cybery?

– Dałaś!

– Dałam ci technikę?

– Dałaś! Ciociu Anno, puść!

– Gdzie jest Sekond?

– Ciociu Anno, wybacz gówniarzowi. Nie brałem twojego Sekondu, przysięgam na Boga!

– Nie jestem twoją ciocią. Jestem magistrem, członkiem Synodu, wypełniam obowiązki.

– Czy w skład obowiązków magistra wchodzi także ciągnięcie za ucho?

– No dobrze, pofiglowaliśmy i wystarczy. Na czym polega problem?

– Mamy spis wszystkich zero-komór, nawet tych z gwiazdolotu, ale nigdzie nie ma nawet wzmianki o Sekondzie. Sprawdziliśmy wszystkie dostępne bazy, ale nigdzie nie ma śladów, że tam przez jakiś czas mieszkało kilka tysięcy ludzi. Co prawda jest jeden szkopuł. Na razie mamy dostęp tylko do małych komór.

– Było ich kilka rodzajów czy co?

– No, małe to jak kabina windy. Metr na metr na dwa i pół. Ą średnie – trzy na dwa na dwa i pół. I są też duże komory towarowe – dwadzieścia na piętnaście na dziesięć metrów. Te były tylko na bazie, na stacjonarnej orbitalnej, oraz na wielkich planetach – do tankowania statku wodorem – i ich księżycach. Na bazie już nie ma, a na orbitalnej naprawiamy.

– To znaczy, że ludzie odeszli przez dużą?

– Tak.

– Czy gdzieś jest prowadzona statystyka wykorzystania komór?

– W komputerach kierujących komorami. W bunkrach ktoś ją starł, a w kosmosie została.

– Patrzyłeś na adresy, z którymi łączyła się w ostatnich latach wielka komora?

– Tak. W ostatnim roku pracowała bardzo intensywnie, ale tylko na dwa adresy: z północnym bunkrem – tylko na przyjęcie i z Plutonem – tam i z powrotem. Próbowaliśmy połączyć się z Plutonem przez małą komorę – nie odpowiada.

Anna w zamyśleniu potarła czoło i nagle potrząsnęła głową i uważnie popatrzyła Samowi w oczy. Zmieszany Sam zakręcił się w miejscu.

– Czyżbyśmy coś pominęli?

– Sam, ty tępy dryblasie, pomyśl i odpowiedz mi, ale najpierw naprawdę dobrze pomyśl. Po kiego diabła uciekającym z Ziemi postępowcom potrzebny był Pluton? Zrozumiałeś pytanie?

**SEKOND**

W ustach smak mleka. Sandra przełknęła z wysiłkiem. Gardło zabolało.

– Pij, pij. Ciepłe, prosto od krowy. Tylko to ci teraz może pomóc. O Boże, takiej chudziutkiej – sześć jagód! Ten człowiek kompletnie nie ma głowy.

Sandra spróbowała usiąść. W całym ciele czuła słabość, chwilami miała dreszcze. Kobieta w podeszłym wieku odstawiła wielki gliniany kufel z mlekiem i pomogła jej.

– No i dobrze. Wszyscy już się baliśmy, że się nie ockniesz. Dokończ mleko, a potem jeszcze pośpij sobie, córeczko. Nie wolno ci teraz ani jeść, ani pić wodę – tylko mleko. Kiedy się obudzisz, zawołaj mnie. Będę gdzieś w pobliżu. Przyniosę ci jeszcze popić.

Sandra wypiła do dna, oddała kufel, rozejrzała się. Niewielki, zaniedbany pokój w chacie z okrąglaków. Grubo ciosane łóżko. Szyba w oknie nierówna, mętna, prawie matowa. Własnej roboty stół, pełen szczelin. Wszędzie kurz. Pewnie pokój długo był składem.

– Dziękuję, babciu. Jak się pani nazywa?

– Nazywaj mnie babcią Katty. Jestem karmicielką tego nicponia. Mój Boże, takiej młodziutkiej – sześć jagód! Teraz połóż się, pośpij, sen to dla ciebie najlepsze lekarstwo.

Z zewnątrz dobiegły kroki. Drzwi otworzyły się, wszedł Szram i od razu wypełnił cały pokój ruchem i głośnym głosem.

– Babciu Katty, jak tam? Patrzcie no, już siedzi! Babciu Katty, jesteś naprawdę cudotwórczynią!   
 – Uciekaj stąd, obiboku! Dziewczynka dopiero co się ocknęła, a ty już tu przylazłeś! O czym myślała twoja głowa? – Babcia Katty zerwała się i zaczęła wypychać Szrama za drzwi.

Szram roześmiał się, zakręcił nią po pokoju, po czym wyciągnął za rękę na korytarz i zamknął drzwi. Sandra położyła się, nakryła się kocem i próbowała podsłuchać rozmowy w korytarzu. Szram mówił za cicho, ale babcia Katty głośno się oburzała. Sandrze kręciło się w głowie, wydawało się jej, że łóżko przyjemnie się kołysze. Zasnęła sama nie wiedząc, kiedy.

Kiedy się obudziła, był już wieczór. Koło niej drzemała na siedząco babcia Katty. W głowie już się nie kręciło, czuła się świeżo, bardzo chciało się jej jeść, pić i do toalety. Babcia Katty od razu się obudziła, zaprowadziła ją na podwórze, pokazała, gdzie jest wygódka. Sama wzięła skopek, obficie posmarowała łojem krowie strzyki i zaczęła doić. Obrazek tak dobrze znany Sandrze z dzieciństwa, jakby nie było dziesięciu lat upartej nauki i obcego słońca, odległego od jej ojczystego o dwadzieścia lat świetlnych…

– Babciu Katty, proszę dać mi podoić.

– Nadoisz się jeszcze. No dobrze, siadaj.

Krowa poczuła nieznaną rękę, odwróciła głowę i wydała pytające „M-m-m”. Sandra poklepała ją po boku, zwierzę się uspokoiło.

– Słuchaj mnie, córeczko – powiedziała babcia Katty.. – Na jutro wyznaczyli Grę. Nie będę ci radziła, kogo wybrać, sama zadecydujesz, nie wiadomo zresztą, jak tam się potoczy, ale o ludziach ci opowiem. Jeśli chcesz mieć męża, to nie patrz ma ludzi Łosia. Wszyscy są żonaci, mają niewolnice do pościeli, u nich zaznasz tylko zło. U mojego nicponia na odwrót, chłopcy młodzi i nieżonaci. I nie myśl, że jeśli oni nie są klanem w pełnym tego słowa znaczeniu i żyją niebogato, to nie ma co na nich patrzeć. Szram i Ślad od dzieciństwa bili się jeden za drugiego, pozostali chłopcy też są jakby do nich dobrani. Szram to może i nicpoń, ale złego człowieka do siebie nie dopuści. W klanie tak swoich nie bronią jak oni jeden drugiego. Na razie żyją biednie, ale to się niedługo zmieni. W zeszłym roku konaki mieli tylko Ślad i mój, a teraz spójrz – żaden nie chodzi piechotą. Może na razie mieszkają w ruderach, ale już każdy w swoim domu. Wybieraj, kogo chcesz, tylko Tupot ma się żenić, nie zbijaj go z pantałyku.

– Poczekaj, babciu, a co to były za jagody, którymi Szram mnie poczęstował? Dlaczego jemu nic się po nich nie stało, a ja mało nie umarłam?

– Przecież on jadł krzyżak, a tobie dał czerwonego ogłupiacza. Wystarczyłyby ci jedna, dwie jagody, a ty schrupałaś wszystkie. Myślał, że zechcesz wypluć, wtedy on by ci usta zacisnął i potrzymał, dopóki by się nie przyswoiło. A ty schrupałaś wszystkie.

– U nas to nie rośnie. Ale po co on to zrobił?

– Bo jesteś bardzo psotna. Po co w nocy brałaś jego kindżał?

– Bo on mi wziął mój nożyk. Położyłam go zresztą na miejsce.

– Położyła! Trzeba było pomyśleć! Brać wojownikowi broń bez pytania! – Babcia Katty pokiwała głową z wielką dezaprobatą. – Łoś by ci za to związał ręce i powiesił na gałęzi za włosy. A potem przywiązałby do strzemienia i biegłabyś za koniem dwa dni. A tak, chociaż w śpiączce, ale jechałaś wierzchem. Wiesz co, jeśli coś spsocisz, zaraz biegnij do mnie. Przed naszymi cię obronię, a jeśli trafisz do klanu Łosia, doradzę. Jeśli jutro ci nie wyjdzie, najważniejsze, żebyś nie trafiła do Świntucha, on cię zniszczy. Łoś od razu napiętnuje gorącym żelazem, będzie bić. Lubi surowość i porządek. Jeśli dostaniesz się Tchórzowi, nie rozpaczaj. Niedługo przegra cię komuś innemu. U niego nic się długo nie utrzyma. Kopyto to mężczyzna poważny i rozsądny – dopóki się nie upije. A wtedy trzymaj się od niego z daleka. Pozostali miesiąc się tobą pobawią, potem zaponą o tobie na zawsze. Może cię sprzedadzą albo przegrają. Ale nie będą bili.

Sandra kończyła dojenie i uważnie słuchała. Nie zamierzała tu długo zostawać, ale najpierw trzeba było dowiedzieć się o drogę do promu. Poza tym wolała odejść umówiwszy się po dobroci, a nie uciekać przed pogonią, klucząc jak zając. Czasu miała dosyć. Wszyscy, którzy byli w sterówce, byli naprawdę ciężko ranni i żadne nie wyjdzie z biowanny wcześniej, niż za trzy tygodnie. A kiedy wyjdą, przeczytają jej ostatni zapis w dzienniku pokładowym, zrozumieją, że przepadła dzień po awarii i będą bardzo ostrożni. Jeśli Kim zdoła naprawić, chociaż jedną komorę zero-t, odejdą spokojnie na orbitalną, a jeśli nie, zrobią radiolatarnię z komunikatora. Zrobiłaby sama, ale nie zdążyła. Ale jeżeli zero-t nie zadziała, przyjdzie czekać, aż Smok doprowadzi orbitalną do połysku i zbuduje nowy prom. Co najmniej dwa miesiące.   
 – Z naszych, o moim nie powiem – ciągnęła babcia Katty – a Ślad jest najlepszy po nim, ale na każdy dzień w domu spędza trzy albo cztery w lesie lub na stepie. Kret najpierw działa, a potem myśli. Borsuczki – to coś w sam raz dla ciebie, psocić lubią, aż trudno z nimi wytrzymać, choć są posłuszni. Jeśli od razu odpowiednio się ustawisz, nie będzie ci u nich źle. Poza tym ich matka była niewolnicą, więc żona też z niewolnic nie będzie dla nich niczym hańbiącym. Popij teraz mleka, im więcej, tym lepiej, a jutro, przed Grą, nakarmię cię jak należy.

Sandra posłusznie wypiła mleko i pozwoliła położyć się do łóżka. Albo odczuwała jeszcze skutki ogłupiacza, albo z innego powodu, w każdym razie zasnęła natychmiast. Zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, że nie zapytała, jak się odbywa Gra.

**ZIEMIA**

– … Mówię ci, że przybył normalnie – przekonywał Kim Sama. – Mamy przecież pełną telemetrię! Masz, zobacz. Tu – przez zero-t przyszedł ładunek. Sto osiemnaście kilogramów. Osiemdziesiąt sześć to sam cyber, reszta – części zapasowe. Spójrz na ten fragment: cyber w komorze odbiorczej. O tu: w ciągu ośmiu sekund on ją opuszcza. Widzisz, masy w komorze ubywa. Cyber porusza się z szybkością około metra na sekundę. A tu dla porównania masz zapis, jak cyber wychodzi z naszej komory.

– U nas siedem sekund. Ale tam schodzi bardziej stromo.

– U nas cyber był pusty, a tam obładowany jak wielbłąd. Poza tym mógł przyhamować, gdy otwierał drzwi. Ale nie o to chodzi. Od centrum komory, gdzie wyszedł z zera, do drzwi jest dziesięć metrów. Przeszedł je w osiem sekund.

– No i co?

– No i koniec. Cisza. Ale nie to jest najważniejsze. Nie powinien był opuszczać komory odbiorczej w ciągu dziesięciu minut. Sam go tak zaprogramowałem.

– Wyślij drugiego.

– To już trzeci. Co prawda pierwsze dwa miały zwykły program: rozejrzeć się, podłączyć się do komputera, kierującego zero-stacją, przekazać listę części, potrzebnych do naprawy urządzeń. Potem zacząć naprawę i tak dalej. Normalna procedura.

– A tam jest wideo-telemetria?

– Nie ma. Tamten komputer komunikuje, że kamera wideo wysiadła prawie tysiąc lat temu, a sieć komputerowa – jeszcze wcześniej. Normalna historia.

– Może nasze cybery nie mogą połączyć się z tamtym komputerem?

– Tamten komputer komunikuje, że nikt nie próbował się z nim połączyć. Poza tym to są cybery naprawcze. Naprawiłyby go w pięć minut.

– Hm… – Zamyślił się Sam. – Wiesz, czego Anna się boi? Ona…

– Wiem. Lira mi mówiła. Na wszelki wypadek zablokowałem przyjęcie w naszej komorze.

– Myślisz, że nasze cybery tam niszczą?

– Skąd mam wiedzieć? Odchodząc, zacierali ślady. We wszystkich spisach adresów zmienili Sekond na Pluton. Ale to przecież było dawno. Nie, jeśli nawet niszczą, to nie od razu. Ale sam pomyśl: ostatni cyber miał stać jak słup pośrodku komory. A on od razu poszedł do wyjścia. Przejęli kierowanie od razu, nie minęła nawet sekunda. Pierwsze dwa – to samo. Pomyśl: w sekundę zorientować się w konstrukcji cybera i przechwycić kierowanie. A przedtem czekać tysiąc lat… To bardzo wysoki poziom.

– Kim, a co byś ty zrobił na ich miejscu?

– Nie wiem.. Pomyśleć trzeba.

– Ja bym po prostu wyłączył komorę. Wtedy nie trzeba dyżurować tysiąc lat. A jeśli nie wyłączyli, to znaczy… No nie wiem… Może ty wiesz, co to znaczy?

– Pomyśleć trzeba…

– Pomyśleć, pomyśleć… Nie znasz innego słowa?

– Coś się tak do mnie przyczepił? – Zdenerwował się Kim. – Sam nie wiesz, mnie nie dajesz pomyśleć. Albo się zatkaj, albo idź zapytaj Smoka.

– Ja i tak wiem, co Smok powie.

– Co?

– Najpierw podrapie się w kark i będzie długo oglądał koniec ogona. A potem powie: „Myślę, że oni czekają na człowieka, Sam. Wiesz, zasiedziałem się tutaj. Trzeba by tam polecieć”.

– Dlaczego na człowieka?

– Żeby wiedzieć, czego od nich chcemy. Cyber to maszyna, od niego wiele się nie dowiesz. Wie tylko tyle, ile ma zapisane w pamięci. Człowiek to co innego, tu cała informacja jest prawdziwa, nie ma głupich. Włożą mu na głowę mnemorekorder i od razu będzie jasne, czy przyszliśmy w pokoju, czy chcemy ich podbić.

– Smoka tam nie można. Po pierwsze, tam, w dole, nie ma jeszcze wielkiej komory; po drugie, nawet, gdyby była, u nich w komorze jest próżnia, a Smok nie ma skafandra; no i po trzecie, zanim oni zrobią dla smoka mnemorekorder i wymyślą, jak jego pamięć skoordynować z ludzką, minie sporo czasu. Poza tym on wygląda groźnie, mogą nie domyślić się, kim on jest i ze strachu go postrzelić. Nie, smoka nie można.

– Ja też tak myślę.

– Trzeba o tym powiedzieć Lirze.

– Czyś ty na głowę upadł? Co ona zrobi, jeśli się dowie?

– Zakomunikuje Annie i tu przyleci.

– A co zrobi Anna, magister? Też tu przyleci i powie: „Dobrze, zuchy, poradziliście sobie. Dajcie mi skafander, idę tam”. I pójdzie, może nawet z Lirą, a my będziemy tu siedzieli przy pulpicie i gryźli paznokcie. Bo ona jest magistrem, a ty – nikim. Według Ustawy masz patrzeć na nią jak w tęczę i dukać „Tak”, „Nie”, „Będzie zrobione”! Zgadzasz się?! A jeśli tam zginie, to ona zostanie bohaterem, a ty do końca życia pozostaniesz ciapą!

– Sam, co się z tobą dzieje? Nie masz przypadkiem gorączki?

– Ze mną? Wybacz, nagromadziło się… Rozumiesz, że to nasza męska robota?

– A Sandrze i Liwii też nic nie powiemy?

– Sandrze jak najbardziej. Ma głowę na karku. Ja tam idę, ty mnie ubezpieczasz, a Sandra przy pulpicie. A Liwii… – Sam chwilę rozmyślał. – Nie, Liwii nie. Jest w tobie zakochana po uszy i w razie niebezpieczeństwa może narobić głupstw.

– Głupi jesteś, Sam. Ty to na pewno uderzyłeś się w dzieciństwie w główkę.

– Dlaczego?

**SEKOND**

Babcia Katty obudziła ją jeszcze przed świtem. Na stole parował saganek pełen zupy, obok leżał stosik żytnich placuszków oraz stał dzbanek mleka i znajomy wielki kufer. Zanim Sandra się ubrała, babcia Katty już rozlała zupę do glinianych misek i zaczęła jeść, skarżąc się na lata, pogodę, łamanie w kościach i nieposłuszną Kurłapkę. Sandra próbowała odgadnąć, czy ta Kurłapka to krowa, pies, kot, czy coś jeszcze innego. Krowa szybko odpadła. Krowy nie łapią norików (nornic? norek?). Zresztą Kurłapka też ich nie łapała.

Właśnie kończyły pić mleko, gdy wszedł ponury, milczący Szram. Wziął placek ze stołu, zjadł, popił mlekiem prosto z dzbanka, pozostałe zawinął w liść podobny do łopianu i włożył do skórzanej torby. Sznurkiem wyjętym z tej torby chciał związać Sandrze ręce, ale przeszkodziła mu w tym babcia Katty.

– Co ty robisz, to nie ma sensu, macie jeszcze tyle jechać!

– Tak się robi.

– Zwiążesz jak przyjedziecie.

Humor Sandry gwałtownie przygasł.

– Chodź ze mną – rozkazał Szram i nie oglądając się wyszedł z pokoju.

Przed domem czekały na nich dwa osiodłane konie.

– Jedź za mną. Jeśli spróbujesz uciekać albo mnie wyprzedzisz – dam ci lanie.

– Gospodarzu, gdzie my jedziemy?

– Kto będzie twoim gospodarzem, dowiemy się po Grze.

– Czy to znaczy, że jestem wolnym człowiekiem?

– Nie. To znaczy, że jesteś niewolnicą fortu.

Sandra rozejrzała się. Fort? Raczej zwykła wieś, tylko z czterema wieżyczkami na obwodzie, w każdej z nich ktoś dyżurował. Na skraju wsi czekała na nich grupa jeźdźców. Koń Sandry zauważalnie kulał. Gdy tylko Szram zatrzymał się, zeskoczyła na ziemię, podniosła nogę konia i obejrzała kopyto. Było w porządku, ale nad nim koń miał starą, dawno zabliźnioną, wężykowato wijącą się szramę. Nie mógł szybko biegać.

– Dlaczego dziewka nie jest związana? – zapytał Łoś.

– Za wcześnie – odrzekł sucho Szram. – Jedziemy. – Nie oglądając się ruszył w step. Sandra wskoczyła na siodło i pojechała za nim.

– Stawiam pięć przeciw jednemu, że ona położyła oko na Szrama – powiedział ktoś.

– Kto ją będzie o to pytał?

– A ja stawiam dziesięć przeciw jednemu, że od Świntucha ucieknie szybciej niż konak.

Wszyscy się roześmieli. Sandra powiodła oczami po ich twarzach, chcąc znaleźć kogoś, kto by się nie śmiał, ale takiego nie było.

Jechali długo. Wioska dawno zniknęła za horyzontem, gdy Szram skierował konia na szczyt najwyższego wzgórza. Kret pojechał naprzód i wbił w ziemię pikę z jakimś proporcem przywiązanym do drzewca. Potem zszedł z konia i zaczął wymierzać coś na ziemi od cienia kopii.

– Złaź – powiedział Szram. – Znasz zasady?

– Nie.

– Możesz uciekać w każdym kierunku. Za dwie godziny pójdziemy po twoich śladach. Dostaniesz się temu z nas, który cię złapie.

– A jeśli nikt mnie nie złapie? – zapytała Sandra. Wszyscy się roześmiali.

– Pójdziesz do siebie, do domu – odrzekł Szram.

– A dacie mi nóż? – Wszyscy roześmiali się jeszcze głośniej.

– To nie jest śmieszne. Nie mam gdzie iść. Nie mam ani wody, ani jedzenia. Nawet nie wiem, gdzie spadł prom.

– Prom spadł tam. – Szram wskazał na północ. – Nieco ponad trzy dni pieszo, dwa dni jazdy konnej. Chodź tutaj, zwiążę ci ręce.

Tym razem Szram związywał jej ręce długo i starannie, zrobił wiele węzłów. Chociaż sznury nie ściągały naczyń krwionośnych, Sandra zrozumiała, że nie zdoła ich rozwiązać. Obserwujący procedurę Łoś zamlaskał z uznaniem.

– Skończyłeś, Krecie? – zapytał Szram.

– Tak, puszczaj dziewkę.

– Biegnij – rozkazał Szram.

– Figę złapiecie – powiedziała Sandra, odeszła z dziesięć metrów i rozejrzała się uważnie, szukając ostrego kawałka kamienia, by przeciąć o niego sznurek. W zasięgu wzroku nic takiego nie było. Jeźdźcy z zainteresowaniem ją obserwowali. Podbiegła do wetkniętej w ziemię piki, przewróciła ją kopnięciem, usiadła na ziemi i zaczęła piłować sznurki o grot.

– Złamała zegar! – zawołał Kret i złapał ją za włosy. – Teraz jest moja!

– Szram! – zawołała Sandra – Mówiłeś – dwie godziny! Czego on mnie chwyta?

Zaczęła się krótka, ale ostra kłótnia. Jedni twierdzili, że, jeśli dziewczyna złamała zegar słoneczny, można zaczynać polowanie, drudzy nastawali na zachowanie reguł. Tymczasem Sandra kontynuowała piłowanie sznurków.

– Co wy, idioci, dwie godziny tu jechaliście, żeby bez pogoni oddać dziewczynę Kretowi! – wściekał się Łoś. – Równie dobrze moglibyście siedzieć w domu, jeśli ona wam nie jest potrzebna. Po co tu jechaliśmy?

Kiedy tylko sens tej wypowiedzi doszedł do wszystkich, spór momentalnie ucichł. Jedenastoma głosami przeciw jednemu postanowiono kontynuować odliczanie czasu. Zabrali Sandrze pikę, wetknęli, na nowo wyznaczyli miejsce, gdzie cień będzie za dwie godziny.

– Na co czekasz? Biegnij – powiedział do Sandry Szram.

– Zdążę – odrzekła Sandra, naprężyła się i zerwała nadcięte więzy. – Szram, nie wiesz przypadkiem, gdzie mam iść, żeby nikt tam mnie nie łapał za włosy i nie przywiązywał za nogę do drzewa?

Ku jej zdziwieniu, Szram poważnie się zamyślił.

– Nie wiem – przyznał po chwili szczerze. – O miastach na zachodzie sporo się mówi, ale sama tam nie dojdziesz. Złapią cię po drodze. Powinnaś porozmawiać z Rozumkiem. On dużo chodził po świecie, zanim osiadł u nas.

– Szkoda – powiedziała Sandra. – No to już czas na mnie. Przyjemnego tropienia, chłopcy! – I pobiegła, nie śpiesząc się specjalnie, w dół po zboczu, prosto w słońce.

Wspięła się na sąsiednie wzgórze, odwróciła się i pomachała wszystkim ręką. Ktoś pomachał jej w odpowiedzi, ktoś inny krzyknął coś wesołego. Zbiegła w dół, wspięła się na następne wzgórze, znowu się obejrzała i pomachała ręką. Powtarzało się to kilka razy, aż wreszcie, obejrzawszy się, nie zobaczyła ludzi. Przebiegła jeszcze dwa wzgórza i znalazła odpowiednie miejsce. Wysepki rzadkich krzaków, kamieniste koryto wyschniętego strumienia z łańcuchem kałuż, rzadka ostra trawa i piasek na wysokich, urwistych brzegach strumienia. Sandra wybrała placyk o średnicy dziesięciu metrów i zaczęła biegać dookoła niego, a potem we wszystkich kierunkach, jakby tańczyła jakiś fantastyczny taniec. Niedługo cały placyk pokrył się jej śladami i wtedy zaczęła od placyku o około stop metrów, plącząc i myląc ślady, ale za każdym razem wracając na miejsce startu. Stopniowo zwiększała koło. Często przebiegała jakiś kawałek po kamienistym korycie strumienia, znowu wybiegała na miękki grunt, miejscami skręcała i szła tyłem. Czuła, że ma już mało czasu, ale kontynuowała splatanie pajęczyny śladów. Podwajała i potrajała ślady, miejscami maskowała, skacząc z kamienia na kamień, ale zawsze znowu wychodziła na miękki grunt i zostawiała na nim wyraźne ślady. W jednym miejscu wyrwała z piasku kępkę ostrej trawy, w biegu otrząsnęła ziemię z korzeni. Potem wbiegła na szczyt wzgórza, bardziej przypominającego pustynny barchan, i wykonała niespodziewany skok w bok, na strome, osypujące się zbocze. Tu zakopała się w piasek, nakryła twarz kępką trawy i zaczęła czekać. Miejsce wydawało się wygodne. Do wydeptanego wzdłuż i wszerz placyku było około stu metrów, przez źdźbła trawy Sandra dobrze go widziała. Po szczycie barchanu specjalnie przebiegła cztery czy pięć razy, więc nie można było odkryć zniknięcia jednego łańcucha śladów. Dopiero teraz, kiedy gorączkowe pobudzenie z niej opadło, zrozumiała, jak bardzo jest zmęczona. Pot zalewał oczy, piasek, dostawczy się pod ubranie, swędził i wywoływał zimno. Poza też szybko zrobiła się niewygodna, ale nie można było się poruszyć, gdyż piasek mógłby się odsypać i odsłonić ciało.

**ZIEMIA. ORBITALNA**

Stracili dwie godziny, zanim cybery przygotowały regulatory ciśnienia do wielkich butli z tlenem. Sandra uparła się, żeby Sam wziął ze sobą pełny komplet wyposażenia obozowego desantowców: nadmuchiwany hermetyczny namiot w komplecie z systemem podtrzymywania życia plus woda i jedzenie na miesiąc. Początkowo chciała, żeby wziął małą ruchomą komorę zero-t, ale Sam wyśmiał ją, twierdząc, że i tak nie zdołałby powrócić przez małą komorę – nie ten zasięg działania, a tam ona mu nie będzie chyba do niczego potrzebna.

Cały bagaż złożyli pośrodku towarowej komory zero-t. Zebrał się solidny stos. Sam zamknął przyłbicę hermetycznego hełmu, podniósł ciśnienie w skafandrze. Skafander nadął się i zaczął odczuwalnie przeszkadzać w poruszaniu się. Obok niego zastygł w bezruchu cyber-remontowiec. Sam odwrócił się twarzą do kamery wideo i podniósł rękę. W następnej sekundzie znalazł się w otwartym kosmosie. Ani podłogi, ani sufitu. Nieważkość. W odległości dziesięciu metrów majaczy sylwetka kratownicy bieguna komory zero-t. Sto bagażu powoli rozlatuje się na wszystkie strony. Sam wygiął się jak kot, obracając się o 180 stopni. Pomachał nogami, zaczepił nimi cybera, podciągnął go do siebie. Obliczywszy z grubsza kierunek i siłę odbicia, odepchnął się od cybera nogami i, obracając się, poleciał w kierunku stosu. Udało mu się złapać tylko obie wielkie butle z tlenem. Kontener z namiotem obrócił się do niego gładkim dnem bez występów, a beczułka z wodą wyśliznęła mu się spomiędzy nóg.

W oczy uderzyło jasne słońce, szkło hełmu natychmiast pociemniało. Sam rozejrzał się. Stacja powoli się oddalała. W miejscu, z którego wyleciał, ziała w obudowie czarna prostokątna dziura. Z jednej strony Słońce, z drugiej planeta. Nie Ziemia. Jeśli wielkości Ziemi, to znajduje się w przybliżeniu o sto tysięcy kilometrów.

„Myśliwski dół-pułapka” – pomyślał Sam i powtórzył głośno, szybko, ale wyraźnie, zgodnie ze wskazówkami Smoka, do czarnej skrzynki skafandra:

– Tu jest dół-pułapka. Myśleliśmy, że na nas czekają, przejmują kierowanie cyberami, a wszystko jest znaczne prostsze: ścięli podłogę i ściany zero-komory. Każdego, kto do niej trafi, siła odśrodkowa wyrzuca w otwarty kosmos. Prosta i niezawodna pułapka na głupków.

W skafandrze było trudno się poruszać. Sam przełączył system oddechowy na czysty tlen i zmniejszył ciśnienie do jednej trzeciej atmosfery. Potem sprawdził swoje zapasy. Wody i jedzenia w skafandrze miał na tydzień, tlenu – z uwzględnieniem butli – na dwa tygodnie.

„Ależ to się zbilansowało” – pomyślał. – „Równocześnie uduszę się i umrę z pragnienia. Tak głupio wpaść! Czy zdołają mnie uratować? Moją orbitę łatwo obliczyć. Czas, kiedy tu trafiłem, znają z dokładnością do mikrosekundy. Szybkość obrotu stacji łatwo zmierzyć. Obliczą, w którą stronę wyleciałem, wyprawią tutaj holownik orbitalny i złowią. Jeśli zdążą. Żeby tylko domyślili się, że w komorze nie ma dna. Kim powinien się domyślić, że nie mogłem całej kupy bagażu wynieść z komory w osiem sekund. Nie, pomyśli, że mnie z komory wyjęli. Sam zamąciłem mu w głowie Miejscowymi. Będą tydzień czekali, dopiero później zaczną się niepokoić. Nie, muszę sam się wyplątać”.

Sam włączył na wszelki wypadek awaryjną radiolatarnię, wyciągnął z kieszeni skafandra karabinki i zaczepił na wentylach obu butli. Potem odśrubował z jednej butli dopiero co założony regulator i spróbował zgiąć nasadkę. Nie udało się. Przykręcił regulator na miejsce i, posługując się nim jako dźwignią, zgiął jednak nasadkę, kierując ją wzdłuż osi butli. Teraz nie dawał się odśrubować regulator – przeszkadzał wentyl. Klnąc, na czym świat stoi, Sam ściął regulator pistoletem laserowym.

– Przerobiłem butlę z tlenem na silnik odrzutowy. Postaram się przycumować do stacji – powiedział do czarnej skrzynki. Do stacji było już ponad trzysta metrów.

Sam ścisnął drugą butlę między nogami, częściowo otworzył wentyl na pierwszej. Przez kilka minut nie mógł poradzić sobie z kierowaniem. Odrzut strumienia tlenu kręcił nim wokoło środka jego ciężkości. Nic nie wyszło, dopóki Sam nie domyślił się, że trzeba korygować kierunek strugi ręką w rękawiczce. Już po minucie udało się zgasić obrót.

– Lecę do stacji – powiedział. – Stacja się obraca. Podejdę od strony bieguna.

Teraz kierowanie lotem zrobiło się łatwe, nawet przyjemne. Denerwowała tylko spora inercja. Zauważalna zmiana kierunku zaczynała się dopiero pięć sekund po zmianie położenia ręki. Pierwsza próba lądowania na placyku cumowniczym nie udała się. Za bardzo się rozpędził, nie zdążył wygasić szybkości i przeleciał po inercji jeszcze ze trzydzieści metrów. Za to drugie podejście zostało wykonane po mistrzowsku. Sam wyhamował pół metra od relingu, zamknął wentyl butli, podciągnął się i umocował obcasy w gniazdach ustalaczy na pokładzie. Manometr na butli pokazał, że zużył tylko jedną trzecią zapasów tlenu.

– Jestem na placyku cumowniczym. Idę do śluzy. Próbuję otworzyć drzwi zewnętrzne. Przycisk nie działa, otwieram ręcznie. Otworzyłem, wchodzę do śluzy. – komentował Sam. – Do diabła, ciemno. Uwaga na przyszłość: na hełmie trzeba zrobić silniejszą latarnię. A, nie, to ja ją włączyłem na pół siły. Otwieram wewnętrzne drzwi. O matko!

Drzwi śluzy prowadziły do hangaru. Cały sufit hangaru, który z zewnątrz wyglądał na metalowy, od wewnątrz był przeźroczysty. Olbrzymie pomieszczenie zalane było jasnym słonecznym światłem. Pośrodku, przyśrubowany do podłogi, stał prawdziwy statek kosmiczny. Prom. Nie jakiś tam brzydki orbitalny holownik, nie kanciasty moduł lądowniczy dla planet pozbawionych atmosfery, a śnieżnobiały piękniś! Deltokształtne skrzydło, dwa pionowe kile, dysze silników wysokości człowieka. Eleganckich linii nie psuły nawet ślady sadzy na poszyciu. Sam przez dobrą minutę patrzył na statek w niemym zachwycie. Potem odczepił karabinki od butli z tlenem i, odepchnąwszy się od poręczy, popłynął ku statkowi. Przejechał ręką po krawędzi skrzydła, pomacał dyszę silnika. Długo z zachwytem oglądał kabinę, przytknąwszy szybę hełmu do iluminatora.

– Jestem w hangarze. Olbrzymie pomieszczenie. Cały sufit przeźroczysty. Widać całe niebo i planetę. Przepięknie. Idę do zero-komory – podyktował szybko do czarnej skrzynki, celowo nie wspominając o statku.

Zero-komorę znalazł bardzo łatwo. Wyjął z kieszeni skafandra mały kieszonkowy komputer, wetknął fider do gniazdka wielkiego komputera komory zero-t, drugi fider do takiego samego gniazdka swojego komputera, włożył na palec rękawiczki specjalny naparstek ze spiczastą końcówką i zaczął nim ostrożnie naciskać przyciski na miniaturowej klawiaturze. Po ustanowieniu łączności zero-t z ziemską bazą orbitalną przełączył się w ramach tej łączności na kanał akustyczny i zaczął:

– Kim, słyszysz mnie? Ależ byliśmy idiotami! Wymyślaliśmy różne horrory, a tu w komorze po prostu nie ma podłogi, słyszysz? Nasze cybery wypadały prościutko w kosmos. Teraz są rozrzucone po całej orbicie, słyszysz?

– Sam, czy to ty? – usłyszał w słuchawkach dziewczęcy głos. – Czy to ty, Samik?

– Sandy, jesteś zuch! Jesteś czyste złoto! Samorodek! Gdyby nie twój bagaż, latałbym teraz w otwartym kosmosie i płakał łzami wielkości pięści! Jak wrócę i opowiem, pękniesz ze śmiechu. No, bo wyobraź sobie, Sandy, że siedziałem na butli z tlenem jak na koniu i leciałem tyłkiem do przodu! Przekaż Kimowi, że trzeba tu wysłać czterech orbitalnych monterów z siatką trzydzieści na dwadzieścia metrów. Gdzieś tu na pewno jest lutownica, przylutuję nią na obrzeżach dziury cztery słupki, na których mają w ciągu sekundy zaczepić przywiązane do siatki liny. A potem niech wysyła spawaczy i konstrukcje metalowe. Trzeba zmontować podłogę i ściany komory.

– Przekażę, Samik.

– Przekaż, ale żeby nie był skąpy i nie działał na łapu-capu. Mam tu powietrza na półtora tygodnia, a wody i żywności na tydzień. To tylko to, co mam przy sobie, jeszcze nie szukałem w tutejszych składach. Wodę i powietrze znajdę, ale żywność oczywiście się zepsuła.

– Przekażę, Samik. W razie czego przyślemy.

– Aha, Annie i Lirze na razie nie mów, gdzie jestem. Powiedz, że kończymy remont wielkiej komory, tylko nie uściślaj, której. Wtedy wszystko będzie uczciwe. A Węgielkowi możesz powiedzieć, tylko uprzedź, żeby nie wypaplała.

– Powiem, Samik.

– Sandy, co tak pociągasz nosem?

– To nie ja, to pewnie jakieś zakłócenia.

– Czyżby? Słuchaj, jesteś skarbem! Koniec połączenia. Zostawiam komputer na linii, jeśli będzie coś pilnego, powiedz, ja przyjdę i przesłucham. Następny seans łączności za cztery godziny. Na razie.

**SEKOND**

Minęła chyba cała wieczność, zanim pojawili się jeźdźcy. Pierwszy jechał Ślad. Zwiesił się z siodła prawie do samej ziemi i nie odrywał wzroku od łańcuszka śladów około metra przed kopytami konia. Za nim, obrzucając się wesoło przekleństwami, jechali pozostali. Podjechawszy do wydeptanego placyku, Ślad zatrzymał konia, wyprostował się w siodle i gwizdnął.

– Przegrałeś, Tchórzu! – zawołał. – Ona orientuje się w Grze lepiej niż my wszyscy razem wzięci. Niech mnie diabli, jeśli choć raz widziałem coś takiego! – Wykonał szeroki gest ręką.

Pozostali milczeli oszołomieni, tylko Tchórz klął półgłosem, od razu straciwszy zainteresowanie Grą. Ślad powoli obszedł placyk dookoła, starając się nie zadeptać śladów Sandry.

– Mógłbym skierować każdego z was po jednym śladzie, ale jestem pewny, że nikt nic nie znajdzie – powiedział. – Ten ślad jest podwojony, a tu szła tyłem. A to – to już prawdziwy cud! Najpierw szła tu tyłem, a potem po własnych śladach przeszła normalnie.

– Możesz znaleźć ostatni ślad? – zapytał Szram.

– Nie. I boję się, że go tutaj w ogóle nie ma.

– Jak to: nie ma? – zapytał Kret.

– A jak ona otworzyła zamek na łańcuchu? – odpowiedział pytaniem na pytanie Ślad. – Może myślisz, że jest silniejsza od Szrama? A jak rozwiązała w nocy sznurek?

– Mów do rzeczy.

– Schowała się gdzieś i czeka na Szrama. Od razu położyła na nim oko.

– Przed nami się nie schowa. Znajdziemy – odrzekł Łoś. – Wszystkie baby są jednakowe.

– Co będziemy robić, Ślad? – zapytał Szram.

– Szukać

**ZIEMIA**

Z okazji pierwszego udanego wyjścia w Daleki Kosmos zorganizowali święto i wieczorne ognisko. Nie żałowali drewna. Śpiewali piosenki, podawali sobie w kółko butelki z winem z winogron, dziewczyny piszczały, broniąc się przed zalotami kawalerów. Ale głównym bohaterem był oczywiście Sam. Na prośbę słuchaczy już po raz czwarty odtwarzał zapis z czarnej skrzynki, komentując puste miejsca. Za każdym razem, mimo dokumentalnych podstaw, historia robiła się coraz ciekawsza i bardziej fantastyczna.

– …Chwytam pod pachy obie butle z tlenem, zaciskam między nogami beczułkę z wodą i celuję, chcąc złapać zębami rożek namiotu.

– Zębami – w skafandrze?

– O właśnie! Tylko stuknąłem nosem o szybę. Namiot odleciał. Akurat wylatujemy z cienia na słońce i czuję, że beczułka zaczyna się nagrzewać. Oho, myślę, woda zakipi i wybuchnie jak kocioł parowy u Liry. Chciałem oddać cyberowi, żeby odniósł z powrotem do cienia, patrzę, a on macha mi z daleka rączką: wybacz i żegnaj. A w beczułce woda już się gotuje, cicho syczy, wiecie, jak w czajniku. Nie, myślę, czas uciekać. Siadam na butlę wierzchem, otwieram wentyl i lecę. Dolatuję do stacji, wyglądam zza rogu – a beczułki już nie ma. Może wybuchła, a może ktoś ją sobie wziął. Tam jest tak jakoś… dziko. Ale pięknie! Daleki Kosmos! O tu, słyszycie: „O matko!”. To obudziło się we mnie poczucie piękna.

– A przedtem?

– A przedtem byłem zajęty. Ratowałem dobrego człowieka.

– Przecież byłeś tam sam.

– A o kim ja mówię? Ratowałem jego – czyli siebie.

Smok słuchał tego trajkotania i spod przymkniętych oczu obserwował ukradkiem Lirę. Ta siedziała pochmurna i gryzła drewnianą pałeczkę. Smok uśmiechnął się i objął skrzydłami Korę i Węgielka. Kora przycisnęła się do niego, a Węgielek cichutko zamruczała jak kot.

– Sam, a powiedz mi tak szczerze: było ci strasznie? – zapytała Liwia.

– Wiesz, Liwka, wtedy nie. Najpierw zadziałał automatyzm i nie było kiedy myśleć. A kiedy złapałem butle, miałem powietrza na dwa tygodnie i nie było się czego bać. Potem ubezpieczali mnie Sandy z Kimem. Ale kiedy pomyślałem, że przyjdzie mi cały tydzień obijać się w kosmosie… Zrobiło mi się przykro.

Lira z chrzęstem przegryzła do reszty swoją pałeczkę, wypluła kawałki, poszukała oczami Kima. Siedział koło Sandry, okrywszy ją swoją skórzaną kurtką, i coś jej szeptał na ucho. Sandra wyglądała na przestraszoną i nieszczęśliwą. Lira podeszła do nich.

– Witaj, Sandy. Kim, można cię prosić na chwileczkę? – Odeszli, a gdy ognisko zniknęło za drzewami, zapytała: – Wal, Kim, czy tam było bardzo niebezpiecznie?

– Zależy, jak liczyć, lady: bardzo – nie bardzo? – odrzekł niechętnie, patrząc w bok.

– Kimeczku, znam cię sto lat. Pamiętasz, jak w dzieciństwie biliśmy się o przywództwo?

– Jak wtedy nos ci rozbiłem?...

– Sam ci pomagał.

– Ale ty byłaś o dwa lata starsza.

– Za to was było dwóch. A jednak wygrałam. Wal!

– Sama się prosiłaś. Głupia jesteś, Lirka, i nie czerwień się, jakbyś odmroziła sobie uszy. Nie wolno ci było wyznaczać Sama na dowódcę poszukiwaczy. Przecież on cały kipi w środku! Ja codziennie boję się o niego. Włazi w najniebezpieczniejsze dziury. Właśnie pytałaś o to ostatnie. Gdyby Sandra nie kazała mu wziąć dwu ton bagażu, zginąłby. Gdyby nie złapał butli z tlenem, też zginąłby. A na Ganimedzie...

– Dlaczego go nie zatrzymasz?

– A dlaczego ty go nie zatrzymasz? Wystarczy ci powiedzieć mu trzy słowa i znowu stanie się człowiekiem. Podpowiedzieć ci, jakie?

– A kim on jest teraz?

– Teraz jest bohaterem. To taki zawód. Zaszczytny, szacowny zawód, tylko z wielkim odsiewem. Zresztą wiesz o tym, lepiej ode mnie.

– Kimeczku, ty nie rozumiesz. Ale proszę cię, bądź przy nim. Bądź jego aniołem stróżem.

– Oczywiście, że będę przy nim. A anioła stróża on już ma. Lepszego ode mnie. Ma już na koncie dwa pewne i kilka spornych przypadków.

– Sandra? Kiedy? Opowiedz, Kimeczku.

– Pierwszy pewny: wsadziła Sama w skafander, kiedy on skoczył na orbitalną. Wtedy Smok narobił szumu. Drugi pewny – z orbitalną Sekondu. No a spornych ma dużo. Ona myśli bardzo niestandardowo. I jest bardzo przewidująca.

– Kim, a między nimi nic nie było?

– Sandy go kocha. A było czy nie, tego ci już nie powiem. Męcz się. Szkoda mi tylko Sandy. Ciebie zresztą też.

**SEKOND**

Cierpieć, cierpieć. Sam dałby radę, to i ja też. Kobiety są bardziej wytrzymałe od mężczyzn. I dzień trwa dłużej niż stulecie[[1]](#footnote-2), prawidłowo Smok mówił. Ależ byłam głupia! Trzeba było zakopać się na północnym stoku, kto mi kazał wybrać południowy? To nic, wytrzymam. Oni też tam przecież cierpią. I konie cierpią. Biedne zwierzęta. Ale dlaczego nazywają je konakami?[[2]](#footnote-3) Dryf języka, jak to określił Smok. Mówił, że są prawa, według których język się zmienia, tylko że on ich nie zna. Oni mniej cierpią, wiatr ich owiewa. A jeśli koń na mnie stanie? Mówią, że jeśli zakopie się jajko w piasku i stanie się na nim, jajko ocaleje. Ale także, że, jeśli jajko zakopie się w gorącym piasku na pustyni, ono się ugotuje. Ja już się prawie ugotowałam. Oj, mamusiu, a tu jeszcze nie ma południa. Co to będzie? A ja chciałam się tu ukrywać przez dwa dni! Dwa tutejsze dni – to prawie trzy ziemskie. Umrę do wieczora. I nawet nie trzeba będzie mnie grzebać. Znowu zebrali się, radzą. Poddajcie się, chłopcy, bardzo was proszę, przecież mnie nie znajdziecie! Wodę piją! Gady! Łajdaki! Ja też chcę! Jeszcze mi ręce wiązali! Nienawidzę! Wszystkich was przetrzymam tutaj! Zdechnę, a nie wyjdę! I dzień trwa dłużej niż stulecie. Teraz lato, dzień trwa dwadzieścia godzin, a noc dwanaście. Półtorej godziny tu jechaliśmy, dwie godziny kręciłam pętle, trzy godziny mnie szukają. Ależ gorąco! A w nocy zimno jak w psiarni, zamarznę. Żeby chociaż chmury zakryły słońce! O Boże, oni się śmieją! Im nie jest gorąco? Który to Świntuch? Ten gruby? Mamusiu, o czym to ja? Przecież nie chcę się poddawać. Jestem ładna. I mądra, przechytrzyłam ich wszystkich. Będę obmyślała plan. Pójdę do promu, nikt mnie nie znajdzie. Ależ byłam głupia! Gdybym nie brała noża Szrama, całą drogę bym widziała. A tak tylko jedną polanę, a do niej może być nawet i trzysta kilometrów. A od niej jeszcze kilkadziesiąt. Potrzebny mi koń. I dobry nożyk. I koce, bez nich w nocy przepadnę. I jakieś naczynie na wodę. I muszę wiedzieć, co można jeść, a czego nie. Krzyżak można jeść, a ogłupiacza nie. Wiem, jakie one są. Rozgryzę jagodę, jeśli gorzka, to będzie ogłupiacz. Ale przecież nie mogę jeść tylko krzyżaka! Choćby łyczek wody! Albo pół jagody ogłupiacza, żeby do nocy się przekimać, czy, jak to oni mówią, pójść w zero. Język mi już puchnie. I piecze w gardle. I dzień trwa dłużej niż stulecie. Co się tak do mnie przyczepiła ta fraza? A jeszcze „Królestwo za konia!”. Za konaka. Albo za wiaderko wody. Oddam za czerpak, żeby tylko była zimna i przeźroczysta. Co oni znowu wymyślili? Ustawili się w rzędzie, jadą jeden przy drugim. Chcą takim rzędem po wszystkich moich śladach przejechać, żeby mnie znaleźć, jeśli gdzieś zamiotłam ślady? A szukajcie sobie, szukajcie! Zadepczecie wszystkie moje ślady, a potem odjedziecie. Tylko nie mąćcie wody w kałużach, łajdaki, ja będę ją piła! Nie wytrzymam dłużej. Wszystko już naokoło objeździli, czyżby wiedzieli, że tu jestem? Zaraz znikną za wzgórzem, a ja ucieknę korytem rzeki i niech się dzieje, co chce. Dlaczego słońce zrobiło się czarne?...

**ZIEMIA**

Anna przyleciała, kiedy tylko usłyszała o pierwszej wyprawie na Sekond. Nie afiszowała się ze swoim przybyciem, po prostu niezauważona podeszła i usiadła przy ognisku, przy którym

Smok właśnie opowiadał anegdoty o kowbojach i Indianach.

Słuchała młodych głosów, śmiała się ze wszystkimi, zajadała z apetytem niedopieczony szaszłyk. Gdy na niebie zjawiły się pierwsze gwiazdy, zabrzmiała gitara. Smok najpierw słuchał, potem zaczął podśpiewywać, w końcu sam zaśpiewał. Anna już zamierzała zawładnąć gitarą, gdy z ciemności wynurzyła się Węgielek, liznęła ją w ucho i odciągnęła od ogniska.

– Mamo, jak dobrze, że tu jesteś! Muszę się ciebie poradzić. Po pierwsze, trzeba ratować Lirę, ale ja w psychologii ludzkiej jestem zerem. Po drugie, Sam kompletnie stracił głowę. Po trzecie, co będzie z Sandrą, jeśli oni się pobiorą? Po czwarte, gdzie smoki mają sfery erogenne? No i w ogóle o mężczyznach....

– Ludzkich czy smoczych?

– Smoczych, oczywiście. Tylko tss!... Mamo, czy tobie to się nie zdarzało: niby wszystko normalnie, jak zawsze, a czujesz, że coś nabrzmiewa? Jak przed burzą.

Długo rozmawiały, a w trzy godziny później Anna znalazła Smoka w laboratorium. Patrzył w zamyśleniu na metrowej średnicy kulę z grubego szkła. Gofrowany wąż ciągnął się do cichutko pochrząkującego odkurzacza próżniowego. Pośrodku kuli samotnie sterczały dwa czarne trzony z kółkami na obu końcach. Anna przysunęła sobie krzesło na kółkach, usiadła obok i również wpatrzyła się w kulę. Nic się nie działo.

– Bierze? – zapytała po trzech minutach.

– Co? Ach tak, jestem geniuszem, bez wątpienia. Pamiętam tą chwilę cudowną, kiedy się u mnie zjawiłaś…

Anna dotknęła dłonią jego nosa.

– Nos zimny, wilgotny. Temperatura bliska normalnej.

– To poezja starożytna! – Smok szybko oblizał nos.

– Mistrzu, musimy poważnie porozmawiać. Tylko najpierw powiedz mi, co się tu dzieje.

– Już ci mówili? Dokonałem genialnego odkrycia. Odkrycia olbrzymiej wagi. Dogoniłem naszą współczesną zero-fizykę z tamtego świata! No, nie wyprzedzają mnie więcej niż o sto lat, mogę się założyć o własny ogon! Tylko że albo to jest efekt uboczny, albo po prostu gdzieś coś sknociłem w teorii. Nie mogę zrozumieć fizycznego sensu efektu. Próbowałem spolaryzować wektor zero-t w czwartym wymiarze. Żeby dwie jego osie były w naszej przestrzeni, a trzecia w obcej. Nie wiem, czy mi się to udało, czy nie, gdyż w tym celu trzeba byłoby zbudować tam taką samą konstrukcję. Ale struktura próżni się zmieniła, to jest pewne. Zmieniłem μ zerowe o półtora procenta. Z punktu widzenia współczesnej nauki to bzdura. Elektryczność i magnetyzm to jakby dwie strony tego samego medalu – i nagle jedna ze stron zmieniła średnicę, stała się o półtora procenta mniejsza niż druga. Mogłoby to spowodować naruszenie stabilności elektronowych otoczek atomów, ale nic się nie stało. Nie rozumiem…

– Jaka ja jestem cierpliwa…

– To trzeba jeszcze przemyśleć… Coś ty powiedziała?

– Mistrzu, po coś ty tu przyleciał? Psuć próżnię? Jesteś kierownikiem ekspedycji. Wiesz chociaż, co się wokół ciebie dzieje?

– W Bagdadzie wszystko spokojnie, spokojne, spokojne. Nie dziw się, to znowu starożytny folklor. W sensie: nie denerwuj się. Sekond nam nie zagraża. Ludzie tam żyją, nie wymarli. Sam przez teleskop widział miasta. Ale nie ma ani śladu aktywności technicznej. Eter czysty, atmosfera czysta, na orbitalnej nikogo nie było od tysiąca lat. Tak więc śpij spokojnie, droga teściowo, zasłużyłaś sobie na to. – Czuło się, że myśli smoka są nieskończenie dalekie od Sekondu.

– Znowu folklor? Zaraz cię tak zdzielę… – I zdzieliła. Drugą ręką potarła bolące palce, ale Smok zapomniał wreszcie o swoich tensorach i ze zdumieniem popatrzył na nią z góry. – Kierownik, psiakrew… Zepsułeś wszystkie dziewczyny w ekspedycji.

– Anno, na miłość boską! Węgielek i Kora są moimi legalnymi żonami. Przed weselem nie dotknąłem Węgielka palcem. Zresztą smoki nie znają dziewictwa. Defloracja przy każdym stosunku – to przy naszej regeneracji byłby koszmar!

– Nie mówię o smokach, tylko o ludziach. Przecież wszystkie baby w okolicy odbierają twoje uczucia, zapomniałeś o tym, czy co?! Godzinę temu kochałeś się z Korą, a jak ja się wtedy czułam?! Po prostu naganiasz chłopcom dziewczyny. To istna narkomania. Oni czekali, kiedy ty i Kora zaczniecie – i zaraz parkami po krzakach.. Wiesz, jak się to u nich nazywa? Tańce pod muzykę! Pod twoją muzy…

Emocje Smoka zwaliły się na Annę jak lawina. Niedowierzanie, obraza i rozpaczliwy smutek Urwała wpół słowa, ugryzła się w język. Smok odwrócił się i szybko wyszedł z laboratorium. Z zewnątrz dobiegł szum skrzydeł. Anna wybiegła z krzykiem:

– Wę-gieelkuu!!!

– Jestem. Co mu się stało, mamo?

– Dasz radę go dogonić? – Anna wdrapała się jej na szyję, pierwszy raz nie pytając o pozwolenie. – Za nim, Węgielku, szybciej! Ależ ze mnie swołocz!

**SEKOND**

Co się ze mną dzieje? Co się działo? Czyżbym się przekimała? Po miejscowemu: poszłam w zero. Czyli całą dobę leżałam bez przytomności. I nikt mnie nie znalazł! Pić! Oni odeszli? Nie, tam konak się pasie. To przecież konak Szrama, jak mówił Tupot, najszybszy! Wsiądę zaraz na niego i szukaj wiatru w polu. Tylko najpierw – dwa łyki. Konak pije, więc i ja mogę. W jukach są żytnie placuszki, o ile nie zostały już zjedzone.

Sandra cichutko zaśmiała się i usiadła wytrząsając z włosów piasek. Za plecami usłyszała dobroduszny śmieszek Szrama. Serce załomotało w piersi i wypadło z rytmu.

Graj, muzykancie…

„Nie poddam się. Nie doczekasz się. Nie wyszło teraz, ucieknę kiedy indziej”. – Sandra uśmiechnęła się z przymusem i odwróciła się.

– Gdzie koń, tam i jeździec. Doszłam do wniosku, że jesteś najlepszy ze wszystkich, którzy mnie szukają. Nie masz przypadkiem wody do popicia?

Szram gwizdnął, koń podniósł głowę i potruchtał do niego.

– A dawno doszłaś do takiego wniosku?

Sandra zamyśliła się. Jej tymczasowy, nieprzemyślany plan się zawalił. Trzeba wracać do pierwotnego planu: kręcić, pochlebiać, udawać.

– Gdy uczciwie przyznałeś, że nie wiesz, gdzie mam jechać. Postanowiłam wybrać ciebie.

Szram odpiął od siodła bukłak i popił sam.

– Postanowiłaś… Łoś i pozostali długo będą się śmiali, kiedy im to przekażę. Poszłaś w zero i tak głośno bredziłaś, że o mało nie dostałaś się Świntuchowi. Podziękuj Śladowi i Tupotowi, którzy wywołali bójkę, żebym zdążył do ciebie pierwszy. Przez ciebie Kret ma podbite oko. Postanowiłaś! Trzy razy cię poiłem, nie pamiętasz? Nawet nie otwierałaś oczu.

– Nic nie pamiętam – przyznała z zakłopotaniem Sandra. Szram roześmiał się

– To przez ogłupiacz. Po nim tak zawsze. Niby wszystko normalnie, a jak łykniesz wody – znowu zamykasz oczy. Aleś mi zrobiła problem! Bez wody umrzesz, a dam wodę – nie mogę cię ruszyć, też umrzesz. Siedzę tu prawie dobę jak putput na jajkach, pielęgnuję ciebie.

„Jak od eteru, tylko silniejsze i z efektami ubocznymi. Pierwsze odkrycie” – pomyślała.

– Dziękuję. Nie będziesz mnie już związywał? – zapytała głośno.

– Będę. I bił, jeśli zawinisz. A jak mi się sprzykrzysz, sprzedam albo oddam do baraków.

Szram usiadł w siodle. Sandra z ziemskiego przyzwyczajenia zgrabnie wskoczyła na konia za niego i objęła go za talię. W następnej sekundzie po silnym uderzeniu łokciem przeleciała przez koński zad, boleśnie uderzyła się w kość ogonową i potoczyła się w dół po zboczu. Szram skierował konia ku niej. Dziewczyna wiła się na ziemi, łapiąc ustami powietrze.

– Za co? – wychrypiała, kiedy już mogła oddychać.

– Jeszcze nie nosisz mojej obroży.

Rano, kiedy wyjeżdżali z fortu, Sandra widziała szeroką błyszczącą metalową obrożę na szyi kobiety ze śladami pobicia na twarzy. Nie, tylko nie to.

– Gospodarzu, nie trzeba obroży, i tak cię słucham, i tak jestem twoja.

Szram popatrzył na nią z autentycznym zdumieniem. Potem posadził ją przed sobą i skierował konia do fortu.

– Według rytuału powinienem cię związać, ale jeśli obiecasz nie brykać, zwiążę dopiero przed wieżyczkami.

„Jak widzę, jesteś nawet całkiem dobry, tylko uważasz mnie za rzecz” – pomyślała Sandra. – „No, z tym to sobie poradzę. Ile ty w życiu widziałeś? A ja mam w sobie kulturę dwóch cywilizacji, otóż to, sir. Postanowione. Przy ludziach popieram ciebie w pełni, a sam na sam robię z ciebie człowieka”.

– Obiecuję. Daję słowo. – Podniosła rękę do góry w geście przysięgi.

– Zawsze dotrzymujesz słowa? – Uśmiechnął się Szram.

– Smok dotrzymuje zawsze. A ja staram się, ale czasem mi nie wychodzi.

– Ten twój Smok jest głupi czy co?

– Sam jesteś głupi. Och, przepraszam, gospodarzu! On jest mądrzejszy od was wszystkich razem wziętych! Jego słowo jest mocniejsze od stali, twardsze od diamentu! Jeśli coś powie, można to uważać za zrobione. Dla niego nie ma nic niemożliwego!

– Jeśli nigdy nie kłamie, to jest głupi – roześmiał się dobrodusznie Szram.

– Po co ma kłamać? Niech kłamią słabi. A on jest silny.

– Jak powiedziałaś? Niech kłamią słabi? Co on jeszcze mówił? Opowiadaj.

– Prawie go nie znam. Raz, kiedy byłam mała, podarował mi łuseczkę. Potem byłam jednym z wielu członków jego grupy badawczej, ale widywaliśmy go rzadko i wszyscy razem. A przez ostatnie miesiące starałam mu się nie pokazywać na oczy, gdyż bałam się, że może mnie z ekspedycji wyrzucić.

– Jaką łuseczkę?

– No, ze swojej skóry. Przyleciał wtedy do nas do monastyru, a ja ciągle chodziłam tam za nim. Zauważył mnie i zapytał, czego ja chcę od niego. A ja palnęłam – łuseczkę. On kazał mi chwilę poczekać, poszedł za bramę, a po chwili jak mnie nie zaboli o, tutaj. – Sandra wskazała na swój brzuch. – On wyrwał sobie żywą łuskę i mi podarował. A ja poczułam jego ból.

– Co ty pleciesz? Bajki opowiadaj babom. Będziesz mi kłamała, obetnę ci język.

– Ja nie kłamię. Proszę! – Sandra wyciągnęła za sznurek mieniącą się wszystkimi odcieniami zieleni od sałatowo-szmaragdowego u góry do ciemnego jak liść dzbanecznika u dołu owalną płytkę o osiach pięć i siedem centymetrów wiszącą na jej piersi.

Szram zdjął sznurek z jej szyi i uważnie obejrzał płytkę z wywierconą u góry dziurką na sznurek. Sandra przygryzła wargi i z przerażeniem obserwowała, co on robi z jej talizmanem. Kiedy spróbował zgiąć łuskę, krzyknęła ze strachem i spróbowała mu ją odebrać.

– Precz z łapami. – Szram włożył łuskę do kieszeni.

– Gospodarzu, oddaj…

– Pokażę Rozumkowi.

– Oddaj, proszę…

Szram ją zignorował i zrozumiała, że na zawsze straciła swój skarb.

– Chcesz, więc powiedzieć, że to naprawdę smok, a nie imię człowieka?

– To najprawdziwszy smok. I ma wiele imion.

– Jak to?

– No, dwa właściwe – Dżafar i Kirył. Lady Lira nazywa go Czarek. Kora – to jego żona – nazywa go Afa albo Cyrik, Węgielek – to jego druga żona – przy ludziach nazywa go Mistrzem. Poza tym, jak słyszałam, on maluje obrazy i każdy podpisuje innym imieniem.

– Prawdziwy smok nigdy nie odkryje swojego właściwego imienia. To nawet dzieci wiedzą. – Sandra postanowiła nie zaprzeczać. – A ta…. Kora, to kto?

– Była człowiekiem, a gdy umarła, wyhodował jej smocze ciało i teraz jest smoczycą.

– Też ma wiele imion?

– Nie, tylko jedno. A Węgielek naprawdę nazywa się Berta, ale od dzieciństwa wszyscy ją tak nazywają. Ją dobrze znam, jest członkiem naszej grupy i niedawno nam powiedziała.

– Wziął duszę człowieka i umieścił ją w ciele smoka… W żadnej sadze czy bajce nie ma czegoś takiego. Lepiej milcz o tym w forcie. Babom za kłamstwo obcinają u nas język.

– Gospodarzu, ja mówię prawdę.

– Jeśli twój smok jest wszechmogący, to dlaczego cię nie uratuje?

Sandra pochyliła głowę, zamyśliła się. Po chwili powiedziała z całą pewnością siebie:

– On mnie uratuje! Jeśli Sam mnie nie znajdzie, poprosi Smoka, oni są przyjaciółmi. I Węgielek też będzie prosiła. Gdyby zmieściła się w promie, poleciałaby z nami.

– Mówiłaś, zdaje się, że Sam zginął.

Sandra w myśli ugryzła się w język.

– To inny. On teraz leży ranny, leczy się. Gdy wyzdrowieje, będzie mnie szukał, wiem to na pewno, jestem z jego drużyny. Gospodarzu, nie bój się, powiem Smokowi, że jesteś dobry, i nic złego ci nie zrobi! – Sandra odwróciła się z radością. Szram roześmiał się.

– Dziękuję za dobre słowo. Ależ ty masz wyobraźnię! Zachowaj swoje bajki do zimy. W zimie wieczory są długie.

**ZIEMIA**

– Zrozum, Kim, drugiej szansy nie będzie! Co my tu mamy w naszym Układzie? Wskrzeszanie baz Władców – to wszystko. To przecież rutyna, nuda! Tak, z początku to było ciekawe. Wszystko pierwszy raz, wszystko osobliwe. Ile guzów sobie nabiliśmy, pamiętasz? A teraz to rutyna. Cyber sobie poradzi.

– Sam, nie rozumiem ciebie. Stęskniłeś się za guzami? Mało ci było Ganimeda?

– Mało! Tam było prawdziwe życie! Kto kogo. Albo – albo. Intelekt i ręka przyjaciela przeciw lodowej pustyni i czerni kosmosu!

– Od twojego „albo – albo” Sandy do dziś budzi się po nocach z krzykiem.

– Sandy to zuch. Niezawodny towarzysz.

– Sandy cię kocha, rozumiesz?

– Kończ, z takich rzeczy się nie żartuje… Czekaj, ty poważnie?

– Nie, żartuję.

– Trzeba będzie jej wszystko objaśnić. Wiesz, że ja… Lira..

– Ona wszystko doskonale rozumie. Że ty kochasz Lirę, że ona kocha ciebie, ale boi się do tego przyznać przed samą sobą. I że jest z tego powodu nieszczęśliwa.

– Jeśli Lira się dowie...

– Lira wie. Sam jej mówiłem.

– Kim, nie wiem, dlaczego, ale czuję się łajdakiem. Wróćmy do tematu. Obliczyłem wszystko. Komputer będzie przez dwa miesiące dobierał kody zero-komór na powierzchni Sekondu. Nic nie znajdzie. Już je sprawdziłem, nie odpowiadają. Potem starłem je z pamięci komory zero-t na orbitalnej Sekondu i zrobiłem to tak, jakby zostały starte tysiąc lat temu.

– Sam, to już jest przestępstwo.

– Nie, bo i tak nic by nie znaleźli. To wybieg, który pozwoli nam spokojnie wypełnić męską robotę. Zanim komputer przebierze kody, naprawiamy prom, ładujemy w niego ruchome komory zero-t i lądujemy na planecie. Koniec! Transportowa linia zero-t Ziemia-Sekond gotowa! Innej drogi nie ma. Składamy raport o wykonanej pracy i oddajemy linię do eksploatacji.

– Zapomniałeś dodać: i kąpiemy się w promieniach sławy.

– Ano, kąpiemy się. Po raz ostatni.

– Dlaczego ostatni?

– Dlatego że na razie nie ma gdzie dalej jechać. Anna nie wydzieli środków na budowę gwiazdolotu. A jeśli nawet wydzieli, to najbliższa nadająca się do kolonizacji planeta znajduje się o trzydzieści lat świetlnych od Słońca. Budowa gwiazdolotu, jego rozpędzanie, lot, hamowanie – to wszystko zajmie pół wieku. Nie jestem smokiem, do tego czasu się zestarzeję.

– Sam, musisz opowiedzieć o wszystkim Lirze.

– Kim, jeśli będziesz nastawał, ja to zrobię. Wiesz, jak to będzie? Przychodzę do Liry i mówię: „Lady Terrible, znalazłem na orbitalnej Sekondu prom i ukryłem to. Z pamięci komputera starłem kody zero-komór na powierzchni planety i też to ukryłem. Mam sam zdać sprawy czy czekać, aż oficjalnie wyrzucą mnie z ekspedycji?”.

– Ale wpadłeś Sam, oczywiście, że ci pomogę. Ale wyjaśnij, co chcesz osiągnąć?

– Trudno powiedzieć. Z początku chciałem dowieść, że jestem coś wart.

– Jej czy sobie?

– Najpierw sobie, potem jej. Za pierwszym razem było okropnie. Robiłem wszystko jak we śnie. A teraz wpadłem w tą pracę po uszy. Nudno mi na Ziemi. Mój mózg musi być stale zajęty planowaniem kolejnej operacji, analizą jej wariantów. Sama wyprawa – to jak święto albo raczej egzamin końcowy. Kilka godzin prawdziwego życia. Z pełnym wypruciem sił po dniach i tygodniach przygotowań. A niespodzianki – to przyprawa, dodająca smaku temu wszystkiemu.

– Tak myślałem. W takim razie pomówmy o załodze.

– Ty, ja, Sandra – jak zawsze.

– Jeszcze Liwia i Dick.

– A oni po co?

– Dick prowadzi wszystko, co lata. Ma wrodzone poczucie lotu. Jak smok. A Liwia mi nie wybaczy, jeśli znowu ją zostawimy.

– Prawie cała nasza paczka. Brakuje tylko Liry i Węgielka.

– One były w różnym czasie. Węgielka zaproś. Nie poleci, ale jeśli coś się stanie, pierwsza podniesie alarm. Ale Lirze ani mru-mru. Za daleko od nas odeszła.

**SEKOND**

Kiedy zbliżali się do wieżyczki obserwacyjnej, Szram związał jej ręce i prawą nogę za plecami i położył w poprzek konia. Na centralnym placu z wysokim słupem pośrodku powitano ich radosnymi krzykami. Nawet kobieta przykuta do pierścienia na szczycie słupa, z pewnością za coś ukarana, podskakiwała, chcąc lepiej zobaczyć Sandrę. Babcia Katty przyniosła mleko, Szram nieco podniósł dziewczynę i Sandra łapczywie wypiła cały kufel.

– Miałeś rację, Ślad – zawołał Szram. – Kiedy się ocknęła, zobaczyła mnie i mówi: „Jesteś najlepszy, nie trzeba mi twojej obroży, ja i tak jestem cała twoja”.

Sandra poczerwieniała ze złości. Szram zauważył to, podniósł za włosy jej głowę i zademonstrował wszystkim jej pąsową fizjonomię.

– Skromna! Krępuje się! – krzyknęli z ożywieniem ludzie.

– I wiecie, co jeszcze powiedziała? – kontynuował Szram. – Najsilniejszy może zawsze mówić prawdę. Kłamią tylko słabi. Jak się to wam podoba?

– Przecież wtedy go każdy głupi pokona.

– Kto go pokona? Przecież on jest najsilniejszy.

Zaczęła się kłótnia. Przerwał ją starzec o lasce.

– Czekaj, Szram. Czy w ciągu tych dni ona próbowała cię oszukiwać? – zapytał.

– Chyba nie.

– A ty, dziewko, rzeczywiście tak powiedziałaś?

Sandra wygięła się, chcąc spojrzeć na pytającego, i stuknęła głową o jego podbródek.

– Ty co, nie wierzysz mojemu gospodarzowi?

– Patrzcie, ona go broni! – Zdziwił się ktoś z tłumu.

– I naprawdę nie chcesz obroży? – kontynuował starzec.

– Naprawdę. I w ogóle Gra była nieuczciwa. Figę byście znaleźli, gdyby nie czerwony ogłupiacz. A jeszcze ręce mi związaliście. Tak tylko tchórze robią.

– Powiedz jeszcze coś mądrego – zażądał Łoś.

Sandra spojrzała na Szrama. Ten skinął przyzwalająco.

– Homo homini lupus est – powiedziała Sandra.

– Starożytny język! – Zachwycił się starzec. – Jak to szło?… Człowiek, wilk…

– Człowiek człowiekowi wilkiem – podpowiedziała Sandra.

– Dokładnie. Szram, chcesz radę? Nie, i tak tego nie zrobisz. Jesteś teraz ślepy i głuchy.

– Mów.

– Na pewno tego nie zrobisz. Młodzież rzadko słucha starszych. Chce żyć swoim rozumem, nabijać sobie guzy, Dobrze, zrób jak chcesz. Powiem, a ty decyduj. Chcesz pozostać sobą?

– Tak.

– W takim razie obetnij jej język. Albo głowę. A ty, dziewko, zapamiętaj: nawet najsilniejszemu kłamstwo oszczędza siły i czas.

**ZIEMIA**

Wszystkie ściany messy były obwieszone holografiami pozaziemskich stacji, pejzażami Księżyca Ziemi i księżyców Jowisza, widokami na pierścienie Saturna. Obok wisiały mapy Ziemi i Sekondu oraz ich fotografie z kosmosu. Każdy chętny mógł zapisać się u Sama na wycieczkę po najciekawszych bazach, choć przedtem musiał zdać egzamin z eksploatacji skafandra, przejść dokładne badania medyczne i dużo innych niezbyt przyjemnych procedur. Kilka stacji, w tym i orbitalna Sekondu, było zamkniętych dla ekspedycji z powodu awarii i remontów. Nikogo to specjalnie nie martwiło, gdyż, włożywszy hełm sensowizora, można było odbyć podróż po każdej stacji, nie wychodząc z messy. A jednak ludzie woleli własnoręcznie dotknąć księżycowego gruntu czy podnieść kamień na Marsie. Nikogo już nie dziwiły grupy po dziesięć do piętnastu osób, przechadzających się wieczorami w skafandrach kosmicznych po brzegu rzeczki. Wszyscy wiedzieli, że to kolejna wycieczka zdaje egzamin.

Na orbitalnej Sekondu pracowało ponad czterysta cyberów remontowych. Czterdzieści pięć z nich pod kierownictwem Kima odtwarzało prom. Prace szły powoli i Kim z każdym dniem stawał się coraz bardziej ponury.

– O co chodzi, Kim? – zapytał go raz Sam.

– Mikroszczeliny. Zmęczenie materiału. Pełno w nim prowizorycznie sprzężonych elementów, a ich czas życia jest ograniczony do trzystu-czterystu lat.

– Wymień.

– Łatwiej zrobić nowe. Zresztą co ja mówię. To i tak będzie nowy.

– A z resztą też całkiem źle?

– Całkiem. Korpus stracił sztywność. Przy locie w atmosferze mogą zacząć się wibracje. A wtedy od przeciążeń odpadną skrzydła.

– Kim, oblicz wszystko. Musimy przecież tylko wylądować. Wrócimy przez zero-t. A ja pomyślę nad optymalną trajektorią zejścia.

Tego samego dnia wieczorem Anna poszła na brzeg rzeczki koło głównej bazy, położyła się na trawie i obserwowała pluskającego się w wodzie zielonego smoka.

– Pani magister, chce mi pani coś powiedzieć? – Smok wyszedł na brzeg trzy metry od niej.

– Tak, lady Kora. Tfu, nie lubię tego oficjalnego tomu. Kora, dlaczego mnie unikasz?

– A dlaczego miałoby być inaczej?

– Dziękuję za szczerość. Jeszcze jedno pytanie i idę. Masz do mnie coś osobistego, czy…

– Czy.

– W takim razie jesteś po prostu okrutną kreaturą, wybacz mi szczerość! – krzyknęła Anna głosem aż kipiącym z oburzenia.

– Kto pani dał prawo mnie obrażać? – Ogon Kory poruszył się nerwowo.

– Kto? Oto, kto! – Anna spuściła górę sukienki, obnażając tatuaż. – Poznajesz?

– To… ja?... Po co pani to zrobiła?

– Zrobiłam to, gdyż przywiązali mnie do stołu i zapomnieli zapytać. Jak myślisz, kto?

– Afa nie mógł…

– Więc spójrz na innego. – Anna zdjęła całkiem sukienkę i odwróciła się plecami, demonstrując drugi tatuaż.

– Poznaję ten model. Pierwszy z udaną kinematyką. Trudno mi jednak uwierzyć. – Kora usiadła na ogonie. – Czego pani ode mnie chce, magistrze Anno?

– Ależ nic od ciebie nie chcę. Myślałam, że dwie baby zawsze zrozumieją się nawzajem. Przez dwadzieścia lat byłam dumna z tego tatuażu, uważałam się za półsmoka. Chciałam się dowiedzieć, jaki był Mistrz jako człowiek i opowiedzieć, co z nim się działo po twojej śmierci. Ale jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, pójdę. Wybacz, że cię niepokoiłam.

– Pani Anno, proszę mi wybaczyć. Ja nic nie rozumiem z tego świata. Tak się zmienił… Anno, pani musi mi o wszystkim opowiedzieć. Ten tatuaż to bezsporny dowód, ale żeby Afa męczył kobietę bez jej zgody… W głowie mi się to nie mieści.

– Pokój?

– Pokój.

– Więc powiedz mi, co cię tak zdziwiło?

– Rozumie pani, on zawsze uważał życie i wolność woli za najwyższą wartość. Nawet życie wroga. Nie, nie unikał walki. Raz widziałam, jak w dwie sekundy gołymi rękami pokonał rycerza. Ale tak ogólnie to stał na tyle wyżej od całej tutejszego politycznego rwetesu, był tak silny i przewidujący, że nawet z kapliszami nie mieliśmy ani jednego konfliktu. W jakiś sposób podporządkował ich sobie od razu, nawet nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie mogą nam grozić ze strony kościoła. Proszę mi wybaczyć.

– Przejdźmy na ty. Czy jako smok bardzo się różni od człowieka, którego pamiętasz?

– Nie. Chyba nie. Taki sam łobuzerski i pełen zapału, jaki był w pierwszych latach. Potem zamęczył się, żył według ścisłego, surowego harmonogramu, bał się, że nie zdąży.

– Dziwne. Siłę, także duchową, ma ogromną. Ale przezorności nie widzę w nim ani grama. Stale w coś się wplątuje, w najgłupsze sytuacje. A potem produkuje cudowne wynalazki.

– Anno, opowiedz mi, jak to było z tymi tatuażami.

– A, lepiej zapomnij. Kompletnie się załamał po twojej śmierci. Mam na myśli człowieka. Smok wtedy stracił pamięć, uciekł, zniknął. A Dżafar pomyślał, że wszystko skończone. Wysadził bunkier, elektrownię i poszedł gdzie oczy poniosą. Dopiero wtedy Kościół zorientował się, że on był Władcą.

– I złapali go?

– No coś ty. Po tym, jak on im pomagał w głodnych latach? Nie, zaczęli go obserwować. Znasz brata Amadeusza? Obserwował go i ochraniał. Dobrze się spisał. W dossier znalazłam nawet szkice swoich tatuaży. Ale Dżafar-człowiek spłonął, został po nim tylko popiół… Wszyscy myśleli, że dostał fioła na punkcie smoków. Tylko je rysował, tylko o nich mówił. Jeśli chcesz poznać szczegóły, zapytaj swoją koleżankę Julię. Ona do dzisiaj prowadzi karczmę w Litmoondzie. Ale ja ci nie radzę. Nie trzeba poruszać przeszłości. Dla ciebie minęły trzy miesiące, dla nich trzydzieści lat.

– Anno, latam nad monastyrem, nad zamkami. Ziemia zrobiła się podobna do sadu. Czyżby w ciągu zaledwie dziesięciu lat wszystko aż tak się zmieniło?

– Nic się nie zmieniło. To, co tu jest, to – jak mówi Mistrz – działka wzorcowo-pokazowa. Widziałaś litmoondzki monastyr i ziemie lady Terrible. A dookoła wszystko zostało jak było. I jeszcze przez pięć lat zmiany będą niewidoczne. Przestudiowaliśmy twój plan rozwoju, ale on nie odpowiada zmienionym warunkom. Realizujemy inny, eksponencjalno-stopniowy.

– Afa kazał mi oswoić się i rozejrzeć, a potem przestudiować wasz plan i wychwycić jego słabe miejsca. Obiecał pomóc, ale nawet na noc nie wychodzi spod ziemi. Zebrał tam dużo techniki, buduje podziemne laboratorium.

– Mistrz znowu wpadł w korkociąg. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale chyba nic dobrego. To moja, starej suki wina, ale muszę jutro jechać. Spraw przypilnuje Lira, a ty bądź obok niego. Pod tym względem on jest jak dziecko: nie zna w niczym umiaru, wszystko od razu na maksimum, na pełny gaz. Aha, jeszcze cię chciałam zapytać… Gdzie smoki mają strefy erotyczne? Węgielek pytała mnie…

Jeśli to prawda, że mężczyzna, o którym wspomni kobieta, czknie, Smok miał ciężką noc.

**SEKOND**

Szram zdjął dziewczynę z ramienia i położył na szerokim twardym łóżku.

– Co powiesz o Rozumku? – zapytał. Sandra z trudem go zrozumiała. Bolały ją stawy związanych za plecami rąk, tętna waliły w skroniach, każdy ruch głowy odzywał się bólem.

– Jest naprawdę mądry. Gospodarzu, kiedy mnie rozwiążesz?

– Rytuał jeszcze niedokończony. A co powiesz o jego radzie?

Sandra z przerażeniem potrząsnęła głową i zatrajkotała, bojąc się, że Szram jej przerwie:

– Gospodarzu, posłuchaj mnie. Ja objaśnię. Wszyscy ludzie z czasem się zmieniają. Ja chcę, żebyś był mądrzejszy, silniejszy. Przecież to dobrze, prawda?

Szram ściągnął przez głowę i odrzucił na bok koszulę, usiadł na skraju łóżka i zaczął rozpinać jej solidnie podniszczony kombinezon.

– Gospodarzu, co ty chcesz zrobić? Gospodarzu, proszę cię, nie trzeba! Szram, rozwiąż mnie! Szram, tak nie można! Rozwiąż mnie, gadzie! Nie jestem dla ciebie, tylko dla Sama! Proszę, nie trzeba! Szram! Szram!!! Rozwiąż!!! Tak nie można!!!

Sandra krzyczała, prosiła, gryzła, wiła się i błagała. Wszystko było nadaremnie. Szram po prostu wepchnął jej do ust róg koca. Zwalił się na nią całym ciałem, zadyszał strasznie i ochryple, zaczął miętosić stwardniałą ręką jej piersi. Podciągnęła do brzucha wolną nogę, ale on nacisnął jakiś punkt na jej szyi, cały kręgosłup przeszyła igła bólu, dziewczyna wyciągnęła się w strunę. Szram ryknął, rozsunął jej kolana. Ostry ból tam, między nogami, wewnątrz, poniżej brzucha. Sandra zwiotczała i przestała się sprzeciwiać.

Z ulicy dobiegł dźwięk rogu. Szram zamarł, przysłuchując się, zerwał się, poskakał po pokoju, ubierając spodnie, klnąc wszystko na świecie złapał łuk, kołczan i miecz. Podbiegł do drzwi, zawrócił, jednym ruchem przewrócił dziewczynę na brzuch, ciął mieczem po sznurkach i wybiegł z pokoju. Z ulicy dochodził bębniący stukot kopyt i krzyki ludzi. Sandra poruszyła rękami i doszło do niej, że sznurki są rozcięte. Przejechała ręką po biodrze, palce trafiły na coś gęstego i lepkiego. Krew.

„Teraz to już koniec” – pomyślała. – „Teraz jestem błotem, nawozem, podściółką. Nie jestem już potrzebna Samowi. Niemożliwe, żeby to się działo ze mną, to jakiś sen, koszmar! Obudzę się, zmyję z siebie to wszystko! Biowanna! Zmyję i znowu będę dla Sama, on niczego się nie dowie, tylko jak zetrzeć wspomnienia o tym, co ten łajdak ze mną tu zrobił?”.

Bolało całe ciało. Piekła zdarta skóra na nadgarstkach i kostce, łamało w stawach, a w głowie z każdym uderzeniem serca przetaczała się ołowiana kula.

– Zemszczę się – wyszeptała. – Będziesz przeklinał dzień, w którym się urodziłeś. Będziesz przeklinał dzień, w którym się urodziłam. Zemszczę się na tobie strasznie. Nie dotkniesz już nigdy ani jednej dziewczyny. Będziesz gardził sobą… i ja też – zakończyła nieoczekiwanie.

I nagle zrozumiała, że już się śmierci nie boi. Nie, żeby teraz zupełnie niczego się nie bała, pozostał strach przed bólem. Ale zniknęło zainteresowanie życiem, a wraz z nim odszedł i strach przed śmiercią. Sandra leżała nieruchomo, wsłuchując się w nowy stan swojej duszy, wspominając swoje postępowanie i zastanawiając się, jakby postąpiła teraz. Szram rozbił w drobny mak te różowe okulary, które nosiła przez całe życie. Zrozumiała nagle, że członek Synodu, oziębła i cyniczna magister Anna wcale nie jest taka oziębła i cyniczna, po prostu w jej postępowaniu jest mniej emocji, a więcej trzeźwego realizmu.

Ból głowy nie pozwalał się jej skoncentrować. Co teraz robić? Anna uczyła na zajęciach: odłączyć się od ciała. To nie moje ciało, jestem daleko, gdzieś tam po prostu leżę. Tu jest inna osoba, muszę jej pomóc. Anna mówiła: co by nie myśleli mężczyźni, w pościeli wszystkim kieruje kobieta. Mamusiu, ależ boli! Anna mówiła…

Wrócił Szram ze słowami:

– Fałszywy alarm. Chorcowie jadą na jarmark. Zapraszają nas. Jutro będzie święto.

Sandra leżała nieruchomo, jakby umarła. Szram usiadł na łóżku, pogłaskał ją po głowie, dotknął wargami szyi, zaczął pieścić ciało.

„Znowu zaczynasz, Szram – pomyślała Sandra. – Anna mówiła: «Nigdy nie bij chłopa po jajach. Ani w sensie dosłownym, ani w przenośnym». Zaraz uderzę cię po jajkach bardzo mocno, Szram. Wybacz mi, jeśli zdołasz”.

Szram działał zupełnie inaczej niż za pierwszym razem, miękko, delikatnie, ostrożnie. Całował w szyję, w wargi. Sandra nie sprzeciwiała mu się. Tylko, kiedy w nią wszedł, jęknęła.

– Szybciej, proszę, szybciej – wyjęczała.

Szram ryknął z zachwytu i podwoił tempo.

– Nie, nie o to mi chodzi. Kończ szybciej. Sprzykrzyłeś mi się, łajdaku!

Szram zamarł zaskoczony. W następnej chwili zwaliło się na nią potworne uderzenie. W głowie pękł pęcherz bólu, światło zgasło.

**ZIEMIA**

Wszystko okazuje się bardzo proste. Przerażająco, genialnie proste. Trzeba tylko wyobrazić sobie pięciowymiarową przestrzeń, a w niej naszą trójwymiarową plus czwarty wymiar, w który trzeba wyjść. Spojrzeć na problem z góry. Matematyka jest bardziej skomplikowana. Dla zrozumienia fizyki procesu wystarczy przedstawić sobie pięciowymiarowe continuum, ale obliczenia trzeba wykonywać według pełnego schematu, dla continuum dwunastowymiarowego. Moje genialne odkrycie polegało na tym, że połączyłem wyliczenia operacyjne i tensorowe. No, niezupełnie połączyłem. Naskubałem pomysłów i metod stąd i stamtąd. Niczego nie dowiodłem do końca, ale serce-wieszcz mówi mi, że tak jest. Pełną logiczną analizę dokończę, kiedy pójdę na emeryturę. Może dokończę. Jeśli czas pozwoli. W każdym razie metody obliczeń działają? Działają, i to najważniejsze! Teoretykiem nie jestem. Nie da się ręcznie przemnożyć dwunastowymiarowych matryc, ale od tego są komputery. A dalej prawie według zasady świderka. Otwieram tensor przejścia zero-t, dodaję tensor przesunięcia – i koniec. Niepotrzebna nawet druga kabina. Mogę łatwo i prosto trafić w dowolny punkt dwunastowymiarowej przestrzeni. Jedna wada: praktycznie niemożliwe jest trafienie do potrzebnego trójwymiarowego continuum. Najmniejsze odchylenie dwunastowymiarowego wektora – i już trafiam do sąsiedniego świata równoległego. A odchylenia muszą być z powodu zasady nieokreśloności, tym większe, im większa odległość. Zero-fizycy pojęli to intuicyjnie i utrwalili drugi koniec wektora w potrzebnym continuum za pomocą drugiej, trzeciej i kolejnych kabin. Łatwiutko i ze smaczkiem.

Teraz o zero-t wiem wszystko. Prawie wszystko. Korzystanie z jednokomorowego zero-t nie ma perspektyw. Jeśli nie da się trafić do swojego świata, to po co w ogóle się szarpać? Oczywiście, że ciekawe byłoby zobaczyć, co dzieje się w sąsiednich. Ale nie można nawet zajrzeć dwa razy do tego samego świata, jeśli nie ustawi się tam latarni zero-t. A latarnia już zamienia wariant jednokomorowy w szczególny przypadek dwukomorowego. To już rzeczywiście – nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, stare przysłowie się potwierdza…

Trzeba porozmawiać z Anną. Ale co ja jej powiem? Przysięgałem na wszystkie świętości, że potrzebuję laboratorium w dalekim kosmosie. Dopiąłem swego. Przepchnęła moje zamówienia przez synod. Wycofać się teraz? Oj, co to będzie…Wybieram kod na komunikatorze.

– Anno, jestem pierzastym krokodylem.

–???

– Wielkości kaszalota, z mózgiem idioty.

– Wszyscy cali? Są ofiary, ranni?

– Nie, wszystko normalne.

– A zniszczenia?

– Też nie ma.

– Więc kontynuuj.

– Przerośniętą żabą, bezmózgim brontozaurem.

– Zaczekaj, włączę zapis.

– Długoogoniastą fujarą, łuskowatym pleciuchem.

– Dobrze, jestem przygotowana, mów, co nabroiłeś.

– Laboratorium w dalekim kosmosie jest niepotrzebne. Przypadkowe natknięcie się na antyświat jest w zasadzie niemożliwe.

– Nic więcej nie mów. Lecę do ciebie.

Przyleciała, mierzy krokami pokój.

– Teraz to już nie jest sprawa ekonomiczna, tylko polityczna, rozumiesz? Akurat twój projekt konserwatyści wybrali, żeby wypowiedzieć nam wojnę. Wygraliśmy ją. Synod dalej jest rozdarty, ale większość neutralnych teraz przystała do postępowców. I ty nagle ogłaszasz, że projekt jest niepotrzebny. Tracimy autorytet, tracimy głosy neutralnych. Jedni pomyślą, że ustąpiliśmy pod naciskiem konserwatystów, inni, że jesteśmy nieodpowiedzialnymi marzycielami. Stoimy teraz na ostrzu noża. Więc buduj tam sobie to swoje laboratorium i rób w nim, co chcesz, nawet hoduj grzyby. Zrozumiałeś, łuskowaty? Ależ nie martw się tak. Jak dziecko, daję słowo! Chcesz, dam ci całuska w nosek? – Wyciera mi nos rękawem i cmoka.

– Jak Lira… wtedy…. Nic, nic, stara sprawa – mruczę udobruchany.

– No widzisz! A co robić z twoim laboratorium, później pomyślimy.

– Ja już wymyśliłem. Zamiast laboratorium zbudujemy trzy gwiazdoloty. W celu rozszerzenia granic zamieszkałego kosmosu. Koszt ten sam i wszyscy powinni się zgodzić.

**SEKOND**

Na lewym oku siniak, nie otwiera się. W skroniach pulsuje ból. Ołowiana kula za oczami zrobiła się jeszcze większa i cięższa. Na stole potrzaskuje knot w kaganku chałupniczej produkcji. Obok wierci się Szram. Graj, muzykancie…

– Szram, ja myślałam, że jesteś dobry – powiedziała Sandra równym, spokojnym głosem – a ty jesteś gówno. Mogłam zabić ciebie w nocy, nawet was wszystkich, a słuchałam ciebie. Robiłam wszystko, czego sobie życzyłeś. Oddałam ci łuskę i nawet nie protestowałam, kiedy mnie związywałeś. Z trudem otworzyłeś zamek, który ja rozerwałam w dwie sekundy. Jesteś tchórzem. Przestraszyłeś się, że nie poradzisz sobie ze mną, dlatego związałeś mnie, wziąłeś mnie związaną, nie dałeś mi żadnych szans. Jesteś chciwe, tchórzliwe gówno, Szram.

Podniósł ją za włosy. Spokojnie, z lodowatą obojętnością wytrzymała jego spojrzenie.

– Jeśli z dzisiejszego gwałtu urodzę dziecko, to je uduszę – kontynuowała. – Dlatego, że jego ojciec-tchórz tak bał się jego matki, że związał ją przy poczęciu. Dlatego, że jego matka w chwili poczęcia nienawidziła jego ojca.

– Przestań mleć językiem, bo ci go obetnę. Taki jest zwyczaj, i ty go nie zmienisz – odrzekł Szram, ale ją puścił. Mówiła spokojnie dalej:

– Tam, skąd pochodzę, takiego zwyczaju nie ma. Gdyby to zobaczyła moja matka, zabiłaby mnie z rozpaczy. Zapamiętaj, co ci mówię. I jeszcze to. Za każdym razem, kiedy zechcesz zgwałcić dziewczynę albo kobietę, wspomnisz mnie i moje słowa. I nic ci nie wyjdzie, a one będą ci się śmiały prosto w twarz. Zapamiętaj to sobie na całe życie, Szram! A teraz możesz mnie zabić, ale wtedy moje słowo będzie ostatnie i nic na świecie nie zdoła go z ciebie zmyć.

– Taki jest zwyczaj – powtórzył Szram, podszedł do okna i zaczął łapczywie pić wodę.

Sandra wcisnęła czoło w koc i znowu zdrętwiała. Wstydziła się samej siebie. Z każdą sekundą trudniej jej się oddychało, musiała wytężać wszystkie siły, żeby wdechnąć powietrze. I nagle przyszła taka chwila, kiedy poczuła, że nie może zrobić wdechu. Sandra zachrypiała. Szram odwrócił się do niej ze zdumieniem, położył rękę na jej rozpalonym czole. Przed oczami dziewczyny popłynęły niewyraźne kolorowe plamy, zadzwoniło jej w uszach…

**ZIEMIA – WYPRAWA SMOKA**

Zakończyłem montaż doświadczalnej jednokomorowej instalacji zero-t. Podstawową cechą odróżniającą ją od dotychczasowych jest to, że może utrzymywać stały kanał, w odróżnieniu od poprzednich, impulsowych. Co prawda energii przy tym pożera… Coś podobnego opisywali starożytni fantaści, na przykład Simak czy Heinlein. Tunel w niebo czy coś w tym rodzaju. Oczywiście nie obeszło się u nich bez głupstw. Heinlein zapomniał o komorze śluzy. Widocznie uważał, że na wszystkich planetach skład i ciśnienie atmosfery są jednakowe. W mojej konstrukcji kanał jest zamknięty półmetrową ścianą krystalitu, przeźroczystego jak powietrze. Kiedy dwa razy nadziałem się na niewidzialną ścianę nosem i ramieniem, narysowałem na niej kilka kolorowych pasków. Komora śluzy jest z boku.

Cybery kończą regulację aparatury, raportują i jeden po drugim opuszczają salę. Ostatni. Można zaczynać. Włączam zapisywanie. Teraz wszystko, co dzieje się w komorze, zapisywane jest w moim komputerze i, dopóki on „żyje”, przekazywane do głównego komputera Zamku. Na duszy robi się jakoś ciężko, smutno, męczą niedobre przeczucia. Kory nie widziałem od tygodnia, Węgielek rano zniknęła bez pożegnania. Dość tego. Naciskam guzik.

Za krystalitową płytą zamiast dalekiej kamiennej ściany pojawia się niebo. Najzwyklejsze błękitne, prawie bezchmurne niebo. Gdybym wsiadł do windy, przejechał nią półtora kilometra do góry i wyszedł na powierzchnię, zobaczyłbym niemal dokładnie takie samo.

Biorę się za joystick i zmieniam kąt oglądu. Na horyzoncie morze. Bezpośrednio pode mną zielona dolina rzeczki. Widok z wysokości dwu, może trzech kilometrów. Dokładnie jak miało być. Pozycja końcowa przesunięta względem startowej o cztery kilometry w górę w naszych trzech wymiarach i o kilometr w czwartym, nie naszym. Widzę równoległy świat.

Zmniejszam wysokość. Czujniki wskazują wzrost ciśnienia atmosferycznego i spadek ilości pobieranej energii. Tak właśnie powinno być. Przecież długość kanału się zmniejsza.

Na wysokości stu metrów zauważam coś niezwykłego. To, co brałem za las, bardziej przypomina obłok gęstej zielonej mgły. Nie widać ani pni, ani gałązek. Trawa też wygląda dziwnie, jakby ziemię oblano farbą. Powierzchnia rzeczki gładka, ani fal, odblasków. Nie mogę rozróżnić brzegów, są jakieś rozmyte, niewyraźne. Opuszczam pozycję końcową tuż nad samą powierzchnię. Wrażenie, jakbym obniżał się na śmigłowcu. Teraz i trawa wydaje się warstewką zielonego dymu nad ziemią. Zrzucam zero-latarnię. Obraz zmienia się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Trawa znowu staje się trawą, las lasem. Mikrofony łapią ledwie słyszalny szmer rzeczki. Duży biały motyl uderza z drugiej strony w krystalit. Zrozumiałem. Dopóki nie zrzuciłem zero-latarni, koniec dwunastowymiarowego wektora przesunięcia drżał i widziałem od razu wiele światów. Widocznie sąsiednie światy są do siebie bardzo podobne. Gdy tylko zaczęła pracować radiolatarnia, koniec wektora się ustalił.

Zaczynam badać ten świat zgodnie z programem. Eter jest wypełniony. Od razu rozpoznaję kanały radiowe i telewizyjne. Telewizja cyfrowa, z zagęszczeniem. Nie da się rozkodować od razu obrazu. W ogóle w eterze są olbrzymie strumienie informacji cyfrowej. Jeśli porównywać z moim ojczystym światem, wygląda to na drugą połowę XXI wieku. Ale z ekologią tu dużo lepiej. Powietrze czyściejsze, grunt czyściejszy, tło radioaktywne niższe. Organizmów chorobotwórczych także o wiele mniej. Chociaż dla mnie one nie są straszne. Nie urodził się jeszcze mikrob, który pokonałby smoka.

Wkładam na wszelki wypadek ochronne okulary, pas desantowca, w którym jest ze sto kilogramów instrumentów, elektroniki i broni, to, co nie zmieściło się w pasie, biorę na ramię i wchodzę do śluzy. Nowy świat czeka na mnie.

**SEKOND**

Spuchnięty język wypełnia całe usta. Wargi też spuchły, popękały, bolą. Każdy oddech jest ciężką pracą. Oczy pieką, jakby pod powiekami był piasek.

– Pić…

– Patrzcie, baby. Ocknęła się.

W ustach smak mleka. Jeden łyk, drugi, trzeci.

– Stój, Koza, jej nie można od razu za dużo.

– Baby, zawołam Szrama.

– Zgłupiałaś? Dawno cię nie bili czy co? Niech śpi.

Głosy kobiece, obce. Sandra otworzyła oczy. Niebo za oknem dopiero zaczęło jaśnieć. W pokoju sześć albo siedem kobiet. Twarze wycieńczone, zmęczone.

– Otworzyła oczy. Koniec, baby, żyjemy.

– Co się ze mną dzieje? – wykrztusiła Sandra.

– Złapałaś piaskówkę. A my ciebie trzecią dobę cucimy. Twój powiedział, że jeśli nie docucimy, zabije nas wszystkie.

– Jak to – cucicie?

– Jak to jak? Oddychałyśmy ci w usta. Nie wiesz, jak się choruje na piaskówkę czy co?

Sandra pokręciła przecząco głową.

– No to naprawdę spadłaś z nieba. To taka choroba. Roznoszą ją piaskowe pchły. Jeśli zachorujesz, nie możesz oddychać i od tego umierasz. Ale jeśli ktoś jest przy tobie, może cię ocucić, jak my ciebie. Nos ci zaciskałyśmy palcami powietrze wdmuchiwałyśmy do ust. O Panie, zazwyczaj, jeśli ktoś nie zacznie oddychać w ciągu pięciu-sześciu godzin, to już umiera. A ty trzy dni ani tu, ani tam. Nie oddychasz i nie umierasz. A Szram złości się, bije nas, mówi, że źle ciebie cucimy. No i ciebie docuciłyśmy, a Kałużę straciłyśmy.

– Jak to: straciłyście. Zachorowała?

– Nie, na piaskówkę dwa razy się nie choruje. Nie bądź na nią zła, ona umrze straszną śmiercią. Straciła nadzieję, pomyślała, że, jeśli umrzesz, wszystkim będzie łatwiej, no i przestała w ciebie wdmuchiwać powietrze. Szram to zobaczył, Kałużę związał i obmyśla, jak ją zabić, a nam wszystkim zapowiedział, że, jeśli cię nie ocucimy, zabije nas wszystkie.

– Więc ona żyje? – Sandra spróbowała się podnieść. – Nie mogę, baby, pomóżcie. Zaprowadźcie mnie do Szrama. Jeśli żyje, to ją uratujemy.

– Nie posłucha ciebie, jest taki uparty. – Chwyciły ją za ramiona i powiodły do drzwi.

W korytarzu leżała związana kobieta.

– To ona? – zapytała Sandra. – Rozwiążcie ją i zanieście na łóżko.

– Coś ty? Jak się dowiedzą, odrąbią nam palce.

– Powiedzcie, że to ja rozwiązałam.

Kałuża okazała się zupełnie młodą dziewczyną, młodszą nawet od Sandry. Leżała na łóżku, patrzyła na Sandrę przerażonymi oczami i cała drżała. Sandra ścisnęła ją za rękę i poprosiła o mleko. Popiła, opadła na poduszkę i zasnęła. Szram, ty nie tkniesz Kałuży

Obudziły ją kroki, dochodzące zza drzwi. Kałuża zwinęła się w kłębek i zajęczała cichutko.

Wszedł Szram. Wyglądał nie lepiej od kobiet – zmęczony, zmizerniały, zarośnięty, z podkrążonymi oczami. Sandra zebrała wszystkie siły i usiadła na łóżku.

„Najlepszym sposobem obrony jest atak, jak mawiała Anna” – pomyślała. – „Jeśli uda mi się związać go rozmową, to już pokieruję nią tak, jak uczyli. Kontakt psychiczny. Przypomnę ci tą nawiedzioną. Nie, to chyba Kret mnie tak nazwał”.

– Szram, ty nie tkniesz Kałuży – zaczęła z miejsca.

– No, nareszcie! I już siedzisz. Ależ to długo trwało – dwa dni i trzy noce! Myślałem już, że cię straciliśmy.

– Szram, słyszysz mnie, nie tkniesz Kałuży! – powtórzyła Sandra.

Dopiero teraz Szram zobaczył na łóżku drugą dziewczynę. Jego mięśnie się napięły, oczy błysnęły ze złością.

– Kto ją rozwiązał?!

– Ja! – Sandra spróbowała tak samo błysnąć oczami. – Jeśli choć jeden włos spadnie z jej głowy, zabiję najpierw ciebie, potem siebie. Daję słowo! A wiesz, że moje słowo jest mocne!

Kobiety ze strachem wcisnęły się w kąt pokoju. Kałuża ścisnęła rękę Sandry, aż zabolało. Szram zdziwił się.

– Przecież ona chciała, żebyś umarła. Dlaczego ją bronisz?

– Ona jako jedyna chciała mnie uratować od hańby.

– Do diabła z Kałużą! Wiesz, co powinienem zrobić z tobą za takie słowa?

– Zabić? O to mi właśnie chodzi. Jestem teraz tak słaba, że każdy pies sobie ze mną poradzi. Nie bój się, nie będę ci się nawet próbowała sprzeciwiać.

– Konak stanął ci w dzieciństwie na głowę czy co? Nie po to cię tak długo cuciłem, żeby od razu zabijać.

– Wierzę. A co lepsze: umrzeć w walce czy we śnie? A co jest droższe: życie czy honor? A kim lepiej się urodzić: mężczyzną czy kobietą? A chciałbyś stać się nieśmiertelnym? Odpowiedz na to pytanie.

– Któż by nie chciał?

– Ale nie wiecznie młodym, tylko starzejącym się w nieskończoność nieśmiertelnym – zaśmiała się ochryple Sandra.

– Zwariowałaś? Słuchaj, a czy ty dobrze się czujesz?

– Nie, czuję się, jakby po mnie przebiegło stado krów. Szram, proszę cię, daj mi wody. Ja… – Sandra potrząsnęła głową, nie mając już sił na wymyślenie jakiegokolwiek zdania, i nagle zaczęła przechylać się do przodu i w bok. Za jej plecami Kałuża krzyknęła z przerażeniem.

Szram chwycił lekkie ciało, przycisnął do piersi. Podbiegły kobiety, zakrzątnęły się, zmoczyły czoło, zaczęły rozcierać skronie. Sandra otworzyła oczy.

– Gospodarzu, może ja znów będę ci posłuszna, a ty nie tkniesz Kałuży, dobrze?

– Panie, wybacz jej, ona jest wytrącona z równowagi, bredziła, za to nie można karać – poprosiła jedna z kobiet.

– Bredziła, mówisz? Wszyscy słyszeli? Ty i ty zostańcie tutaj, reszta do baraków. Szybko! – Ostrożnie położył Sandrę na łóżku, delikatnie pogłaskał ją po policzku, włożył jej coś do ręki. Dziewczyna zacisnęła palce i od razu poznała swój talizman – łuskę Smoka.

– Gospodarzu, Kałuża może zostać?

– Może. A niech cię: kim lepiej się urodzić? Niech skonam!

**ZIEMIA (RÓWNOLEGŁA – WYPRAWA SMOKA)**

Świat jak świat. Słoneczko świeci, trawka zielona. Ptaszki śpiewają, pasikoniki pod nogami cykają. Idę w kierunku rzeczki. Ciężkie rejestratory ciągnę za ogonki kabli, zwieszają mi się z ramion do ziemi, dlatego muszę iść na tylnych łapach. Wzdłuż brzegu ciągnie się dróżka, zrobiona z czegoś pośredniego między asfaltem a grubą gumą. Po takiej na pewno dobrze rano biega się truchtem. Dotykam materiału sondą analizatora. W domu zorientuję się, co to takiego. W rzeczce bawi się ryba. Na samym brzegu drewniana ławeczka. Ten świat mi się naprawdę podoba.

Rozglądam się, gdzie iść: w prawo czy w lewo. Wybieram w lewo. Dróżka sprężynuje pod nogami. Można byłoby oczywiście polecieć, ale na nogach przyjemniej. Okrążam niewielki zagajnik i zamieram z otwartą gęba. Na brzegu na kocu opala się… centaur. Dokładniej: centaurzyca, albo, jak kto woli, centaura. Najprawdziwsza, daję słowo! Cztery nogi, dwie ręce. Długowłosa blondynka z chłopięcym czółkiem nad niebieskimi oczami. To od góry, a końska połowa cała ruda. Leży na brzuchu zupełnie naga i czyta książkę. Podniosła głowę, zobaczyła mnie i także zamarła z otwartymi ustami.

– Oj, młodzieńcze, a za co oni tak ciebie? - Opamiętała się pierwsza. Hańba dla mnie jako kontaktera. Język angielski, choć niektóre słowa wymawiane inaczej i akcent koszmarny.

– Zawsze myślałem, że centaurów nie ma.

– A ja myślałam, że w całej Brytanii nie pozostał ani jeden smok. Czyj jesteś?

– Niczyj, swój własny. Jestem tu przejazdem, nie na długo – nie wiem, po co gadam takie bzdury, ale nie mogę się powstrzymać. – A ty jesteś prawdziwą centau…rą?

– Nie, coś ty – śmieje się. – Jestem cybor…gą. To wszystko – klepie się dłonią po końskiej nodze – to sama pseudotkanka i biomechanika. A ty jesteś prawdziwy?

– T-tak.

– Mogę cię dotknąć?

– M-możesz.

Fantastyczność sytuacji ciągle jeszcze nie układa mi się w głowie. A tymczasem dziewczyna-centaur zgrabnie podnosi się, podchodzi do mnie kołysząc jędrnymi piersiami i zaczyna oglądać i obmacywać ze wszystkich stron. Kładę na ziemi aparaturę, rozpościeram skrzydła, demonstruję pazury i palce.

– Piękny z ciebie chłopiec. A latać możesz?

– Oczywiście, że mogę.

– Kłamczuszek! Przecież ważysz co najmniej dziesięć tysięcy funtów.

– Wiesz co, umówmy się. Jeśli polecę, opowiesz mi wszystko o sobie.

– Zgoda! A jeśli nie, ty mnie zabawiasz do wieczora. Tylko lataj uczciwie. Bez żadnych śmigieł i lotni. Na własnych skrzydłach.

– Zgadzam się.

Zaczynam machać skrzydłami. Początkowo dla pozoru, sapiąc przy tym jak parowóz. Centaura się śmieje. Zwiększam amplitudę machnięć, biegnę po dróżce, podskakując co cztery kroki. Centaura biegnie po lewej, krzycząc coś radośnie. Nagle odrywam się od ziemi i ostro idę do góry. Robię beczkę, przewrót przez skrzydło, immelman, pikuję, przelatuję ze świstem tuż nad ziemią, znowu wznoszę się do góry. Dziewczyna-centaur w dole jest zachwycona. Wywija nogami coś nieprawdopodobnego, krzyczy „Jeszcze! Jeszcze!”. Przelatuję nad rzeczką na minimalnej wysokości, zanurzam w wodzie koniuszki skrzydeł. Za mną podnoszą się ku niebu dwa tęczowe wachlarze bryzgów. Ląduję.

– To fantastyczne! Jesteś jak z bajki! – Cała się rusza, pełna radosnego entuzjazmu – Szkoda, że ze mnie nie zrobili pegaza! Też bym tak latała!

– Przegrałaś?

– Przegrałam! Teraz ja będę ciebie zabawiała do wieczora.

– Chwileczkę

Obliczam z grubsza, na ile wystarczy mi energii do podtrzymywania kanału. Odczepiam od pasa kieszonkowy pulpit sterowniczy i zmniejszam średnicę kanału do rozmiaru igły. Teraz energii wystarczy mi nawet na miesiąc. Dziewczyna obserwuje z zainteresowaniem.

– Jak się nazywasz?

– Zgaduj do trzech razy! – Kręci się w miejscu, pokazując siebie ze wszystkich stron.

– Poddaję się.

– Jestem Centy, a co, nie wyglądam?

– Wyglądasz – zgadzam się. – Opowiedz mi o sobie. Jak zostałaś centaurą, jakie będą twoje dzieci? – proszę. Centy nieoczekiwanie smutnieje.

– Chłopie, spadłeś z księżyca czy co? Aha, a jak ty się nazywasz?

– Afa, Czarek, Kirył – które z tych imion najbardziej ci się podoba?

– Czarku, ja odpracowuję wyrok, czyżbyś nie rozumiał? Cztery lata mam już za sobą, jeszcze rok będę stukała kopytami. Jakie teraz dzieci – wycięli mi macicę. Zresztą po co mi ona, jeśli gospodarz nie zechciał zostawić mi waginy?

– Więc jesteś kryminalistką?

– Aha. Zgodziłam się na częściową cyborgizację, żeby mi termin skrócili, zarzutów i przedłużeń wyroku nie mam, zaczynam ostatni rok.

– A później?

– A później do regeneratora, odtwarzam nogi – i jestem wolna jak młody wiatr. Wiesz, jakie miałam piękne nogi – marzenie każdego mężczyzny! – Centy już znowu się uśmiecha. – A kto z ciebie zrobił smoka? Za co?

– Sam się zrobiłem. Miałem do wykonania ciężką i niebezpieczną robotę. Długo by opowiadać. Ludzkie ciało się do niej nie nadawało. Musiałem zmienić na to.

– Pracowałeś na asteroidach?

– Nie. Jak by ci to wyjaśnić?… Jeszcze dalej, a zarazem bliżej. Na równoległej Ziemi.

– A ja chciałam się dowiedzieć, jak jest na asteroidach. Ale tam orałabym całe piętnaście lat. Wróciłabym czterdziestolatką, życie by mnie ominęło. A cyborgom liczą rok za trzy.

– Opowiedz, coś ty takiego zrobiła, że ci wlepili piętnaście lat?

– Nie uwierzysz. Ograbiłam bank! Na czterdzieści milionów!

– A to dopiero! – Jestem zaskoczony, zdumiony i całkiem inaczej patrzę na moją nową znajomą – Jak ci się to udało?

– Kupiłam mały domek na przedmieściu, poszłam z łopatą do piwnicy i zaczęłam kopać.

– Podkop? – Pierwsze, co przyszło mi na myśl.

Centy się śmieje.

– Też się złapałeś. Nie. Po prostu zaczęłam pogłębiać piwnicę. Chciałam zrobić podziemny garaż i wynająć go sąsiadowi. On kiwnął się, kupując działkę. Pod jego domem przechodzi kolektor kanalizacji i nie da się w żaden sposób wybudować garażu. Tak więc kopię i kopię i wykopuję kabel. Nie zwykły, a z optowłókna. Ze zwykłego pobrać informację – to jak zjeść bułkę z masłem. A z takiego – figa. Ale na moim, akurat pod moim domem, stoi wzmacniacz-retranslator. Wyobrażasz sobie? Stawiają je co sto mil.

– I podłączyłaś się do niego? Poznaję narowy brata-hakera!

– Nie. Nie od razu. Idę na ratusz, wyjaśniam, czyj to kabel. Chciałam jego właściciela obciążyć opłatą za korzystanie z mojej ziemi. Gdybym prawidłowo napisała podanie, dostałabym akurat tyle, żeby opłacić czesne w college’u. Okazuje się, że kabel łączy dwa banki. I wtedy jakbym dostała obuchem po głowie! Wracam milczkiem do domu, zdejmuję pokrywę retranslatora, robię zdjęcia, zapisuję typ i idę do biblioteki. Otrzymuję opis techniczny, studiuję go. Idę do sklepu, kupuję taki sam retranslator, przewody, pilnik, pincety, różne szczypczyki i co tam jeszcze potrzeba, idę do domu i trenuję. Kiedy potrafię już to zrobić nawet nie patrząc, schodzę do piwnicy i podczepiam do retranslatora cztery cieniutkie druciki, dwa przycinam i zaśrubowuję wieczko z powrotem. Teraz mogę już kierować całą informacją, idącą po kablu. Zadłużam się, kupuję potężny komputer, podłączam do niego te druciki. Komp słucha, co idzie kablem, i nic z tego nie rozumie. Idę do biblioteki, studiuję algorytmy szyfrowania informacji, co to jest podpis elektroniczny i tak dalej. Znajduję elektronicznego rywala. Bardzo go zachwalają. Czarno na białym napisano, że na rozszyfrowanie systemu komp klasy mojego potrzebuje rok. Nie mam nic przeciwko temu. Jak rok to rok. Mam przed sobą jeszcze dwa lata college’u. Włączam program deszyfrujący, odsuwam komp w najdalszy kąt, zastawiam koszem z brudnym ubraniem. Początkowo codziennie zaglądałam, jak sprawy idą, potem raz w tygodniu. Mija jedenaście miesięcy – i mój komp piszczy radośnie. Rozszyfrował, zuch! Ja się nie gorączkuję. W ciągu tego roku wszystko obmyśliłam, naczytałam się książek i w bankowości orientuję się nie gorzej niż dyrektor banku. Zmieniam program, teraz mój komp prowadzi dossier wszystkich klientów banku. Po roku wiem wszystko o wszystkich. Zakładam rachunki w obu bankach i od czasu do czasu przenoszę jakąś sumę z jednego na drugi. Mój komp ten przelew wyławia, zastępuje tym, co mi potrzeba i przekazuje dalej. Przelew dochodzi do drugiego banku, tam jest odnotowywany i wysyłają pokwitowanie. Mój komp też je wyławia i zastępuje tym, czego pierwszy bank od niego oczekuje.

– Po co tak zawile? Czy nie prościej byłoby wysyłać swoje komunikaty?

– Przecież tam wszystkie komunikaty są numerowane i od numeru zależy szyfr. Jak się pojawi coś zbędnego, to potem trzeba to korygować całe życie. I tak było to bardzo skomplikowane. Pod koniec dnia banki wymieniają ze sobą codzienną statystykę. Na Boga! Wróg nie śpi! Statystykę także redaguję. W ten sposób w obu bankach założyłam kilka fikcyjnych firm i na ich konta przelałam czterdzieści milionów. Potem tyle razy przelewałam pieniądze z jednego rachunku na drugi, że nikt już nie zdołałby ich prześledzić. A później przelałam pół miliona na swoje legalne konto. I nie zapłaciłam podatku dochodowego, bojąc się, że powstaną pytania, skąd mam takie pieniądze. Sama siebie przechytrzyłam. No i czysty przypadek – trafiłam na wyrywkową kontrolę. Policja podatkowa wzięła mnie za mokre miejsce swoją spracowaną ręką. Ale nic nie mogą zrobić. Pół miliona zwrócili właścicielowi, a gdzie te trzydzieści dziewięć i pół – nie wiedzą. Gdy tylko weszli do mojego komputera, ten zapomniał wszystko raz na zawsze.

– I ty, mając czterdzieści milionów, nie mogłaś się wykupić?

– Przecież ja też nie mogę nic zrobić. Śledzą mnie. Dopiero kiedy upłynie termin przedawnienia sprawy – dwadzieścia lat – będę milionerką. A do tego czasu narosną takie procenty, że ho-ho! – Centy kładzie się na kocu w jakiś niezwykły sposób: dolna połowa na boku, górna na brzuchu, podpiera podbródek piąstkami. – No i opowiedziałam ci wszystko, teraz twoja kolej.

– Lubisz fantastykę?

– Bardzo.

– No więc jestem z równoległego świata. Wierzysz?

– Credo quia absurdum! Wierzę, gdyż to nonsens. A mogę na godzinkę zajrzeć do twojego świata?

– Możesz, tylko nie na długo. Ale w ciągu godziny czy dwu nie zobaczysz nic szczególnego. Taka sama rzeczka, tylko tej dróżki na brzegu nie ma. A na długo się nie da. Albo na godzinę-dwie, albo na zawsze.

– Nie, dzisiaj nie mogę. Weekend, gospodarz niedługo wróci. A nie można w poniedziałek?

– Nie można. Drugi raz już nie trafię do tego świata.

– Szkoda. Ale i tak jesteś najlepszym smokiem na świecie. Nie zadzierasz nosa. Jesteś bezpośredni i wesoły. Wiesz co, może zawołam dziewczyny i urządzimy piknik?

Przypominam sobie, że jestem badaczem. Muszę zbierać informacje.

– Opowiedz o waszym systemie kar.

Górna połowa Centy przewraca się na wznak, wkłada ręce pod głowę, dolna jak dawniej leży na boku.

– Sąd wydaje wyrok: ileś tam lat. A ty masz do wyboru kilka możliwości. Jak chcesz, to na asteroidy. Tam, w kopalniach, pracujesz od dzwonka do dzwonka. Żadnej amnestii. Masz jednak wszelkie prawa człowieka, tylko nie wybierasz sobie roboty, robisz to, co ci każą. Jak nie chcesz na asteroidy, możesz wybrać niewolnictwo. Skrócą ci karę o jedną trzecią, ale nie masz żadnych praw. W moim przypadku byłoby to dziesięć lat, najprawdopodobniej w domu publicznym. Tu jak kto trafi. Sprzedają na aukcji, więc nic się nie da przewidzieć zawczasu.

– Zupełnie żadnych praw?

– Nie wolno niewolnika zabić. Żadnej lobotomii albo narkotyków. Nie wolno dręczyć tak sobie. Za to można ręce i nogi obciąć pod narkozą i zastąpić czym innym. Albo kazać ci co roku donosić dziecko. Albo na odwrót, zrobią z ciebie bezpłciową istotę, teraz jest taka moda.

– Koszmar.

– Przecież nikt ludziom nie każe być niewolnikami. Dalej idą cyborgi. Cyborgizacja bywa częściowa, jak u mnie, albo pełna. Pełna – to kiedy z ciebie zostawią tylko głowę, zapakują ją do żelaznej bułeczki z wystającym na zewnątrz pęczkiem przewodów. A potem tą beczułkę wmontują w koparkę albo inną maszynę. Był człowiek – jest koparka. Przy częściowej cyborgizacji rok kary liczy się za trzy, przy pełnej – za pięć. Ale na pełną zgadzają się tylko skazani na śmierć albo dożywocie. Po trzydziestu-czterdziestu latach mogą dostać amnestię.

– Czy ktoś kontroluje przestrzeganie zasad postępowania z niewolnikami?

– A jakże! Każdy niewolnik czy cyborg może wezwać policję. Policja przyjedzie i zorientuje się. Ale za fałszywe wezwanie doliczają miesiąc do kary.

– A jak określają, co było, a czego nie było?

– Wmontowują w nas wieczne skrzynki. Policja przejrzy zapis i już wszystko jasne.

– Co to jest ta wieczna skrzynka?

– To takie pudełeczko nabite elektroniką. Wszystko widzi moimi oczami, słyszy moimi uszami, wszystko zapisuje, troszczy się o moje zdrowie, wtryskuje różne lekarstwa, hormony gerontologiczne. Jest tam także radiopelengator na wypadek, gdybym chciała uciec, szoker bólowy i radioodbiornik, żeby gospodarz mógł nam wydawać polecenia przez radio. No i oczywiście przekaźnik dla wezwania policji.

– U nas takie urządzenie nazywa się czarną skrzynką. Ale wstawiają je tylko cyberom. Wiesz co, rzuć ten świat, chodź ze mną do mojego. Łatwego życia ci nie obiecuję, ale nie będziesz się nudziła. Tworzymy takie dzieła, że oko ci zbieleje! Piszemy historię naszymi rękami… i tymi łapami – dodaję dla ścisłości. Centy się uśmiecha.

– U Chińczyków powiedzenie „Obyś żył w ciekawych czasach” uważane jest za przekleństwo. Dziękuję za zaproszenie, ale ja nie odejdę stąd za nic w świecie. Byłabym ostatnią kanalią, gdybym porzuciła gospodarza. Wolni ludzie nie żyją tak, jak my u niego. Wszyscy pracują po pięć dni, odpoczywają dwa – a my na odwrót. Prawie wszystko mamy gotowe, a w dodatku on nam wypłaca pensję. Nie wchodzi bez pukania do naszych pokojów. Gdzieś ty widział, żeby gospodarz płacił niewolnicom pensje? Prawdziwy dżentelmen starej daty.

Dawno nie słyszałem takiego określenia. Przypomniałem sobie!

– Dżentelmen to człowiek, który nazwie kota kotem, nawet, jeśli stanie na nim w ciemności.

– Zgadza się! – Centy się śmieje. – A chcesz usłyszeć, jakie jest moje marzenie?

– Chcę.

– Ten dzień nastąpi za rok i dwa miesiące. Do tego czasu ja już odtworzę sobie nogi, odpocznę z tydzień nad ciepłym morzem, opalę się jak mulatka. Ubiorę obcisły czarny sweter i taką króciutką minispódniczkę, żeby nawet policjanci się za mną oglądali, przyjdę do jego biura i powiem: „Gospodarzu, czy nie jest ci przypadkiem potrzebna sekretarka ze znajomością trzech języków obcych i bankowości oraz innymi zaletami?”.

– A jeśli odmówi?

– Wtedy zapytam, czy nie jest mu potrzebny centaur do jazdy wierzchem.

– Zwariowałaś! Znowu chcesz być cyborgiem? Nie, ty nie zwariowałaś. Jeszcze gorzej. Zakochałaś się.

– Aha. Po uszy. – Centy wzdycha nieszczerze i śmieje się wesoło.

Mówię jej, że muszę wracać, bardzo się tym martwi, zmusza mnie do złożenia obietnicy, że zostanę jeszcze kwadrans i odbiega galopem. Ogon i włosy rozwiewają się jej na wietrze. Podnoszę książkę, którą czytała: „Niektóre zagadnienia funkcjonowania międzynarodowych korporacji”. Rozdział nosi tytuł „Surowce: ich kompletowanie, siła robocza, transport, zbyt”, podrozdział: „Zastosowanie metody simplex w celu minimalizacji opodatkowania”. Kartkuję. Pierwsza połowa książki cała pokreślona kolorowymi flamastrami. Niektóre ustępy przekreślone grubą linią na krzyż, inne podkreślone. Na marginesach komentarze: „BZDURA!”, „Teoretyków trzeba dusić”, „Zuch, łapka”, albo po prostu rysunki zachwyconej twarzy z szeroko otwartymi ustami i trzema wykrzyknikami.

Nie mija nawet pięć minut, a Centy wraca. Biegnie jakimś dziwnym tanecznym galopem-inochodem, dwa skoki na prawych nogach, dwa na lewych. W rękach trzyma dwulitrową butlę szampana, aparat fotograficzny i dwa wielkie kryształowe puchary. Za nią biegną trzy dziewczyny-satyry. Jedna z nich niesie mniejsze puchary i koszyk z owocami. Zobaczywszy mnie, stają opodal jak wryte. Centy ciągnie je za ręce, dokonuje prezentacji, Otwieram szampana. Centy robi zdjęcia. Podnosimy puchary, fotografujemy się razem i osobno. Z aparatu wychodzą kolorowe zdjęcia. Potem Centy prosi mnie o nóż, wycina nim na ścieżce datę i nasze imiona. Dla historii znowu przelatuję nad samą wodą, podnosząc skrzydłami fontanny bryzgów. Centy fotografuje, zdjęcia są znakomite. Przelatuję się z dziewczynkami na grzbiecie. Pisk, chichot. Centy biegnie pod nami, machając nad głową aparatem na rzemyku. Wszystkie razem odprowadzają mnie do komory śluzy. Wpycham do niej aparaturę, wychodzę się pożegnać. Dziewczyny wieszają mi się na szyi, proszą jeszcze zajrzeć chociaż raz. Przechodzę śluzę, podnoszę zero-latarnię manipulatorem i odłączam zero-t. Zamiast wesołej łączki znów mam przed sobą szarą stalową ścianę. Całą wieczność będzie mi brakowało tej wesołej, ruchliwej dziewczyny-centaura. Już mi brakuje jej szczerego optymizmu. Dlaczego, dlaczego nie zostawiłem latarni zero-t w tamtym świecie?...

**SEKOND**

Kałuża okazała się zastrachaną, ale ufną i bardzo ciekawską istotą. Sandra też chciała dowiedzieć się o tym świecie jak najwięcej. Przytuliły się do siebie na łóżku i zasypały siebie nawzajem pytaniami.

– Sandy, a czy to prawda, że Szram proponował ci małżeństwo, ale mu odmówiłaś?

– Nikt nie proponował mmi małżeństwa.

– Więc on zmyślił, że odmówiłaś noszenia jego obroży?

Sandra nagle zrozumiała ten miejscowy zwyczaj i uśmiechnęła się słabo

– Odmówiłam noszenia obroży, ale nikt mi jej nie proponował. A powiedz mi – zapytała ostrożnie – czy u was wszystkie żony noszą obroże?

– Oczywiście, że wszystkie, a jak bez tego odróżnić wolną kobietę od niewolnicy?

– A niezamężne dziewczyny?

– Cienki skórzany rzemyk na szyi. A tam, skąd jesteś, wszyscy mają takie czarne włosy?

– Coś ty, oczywiście że nie.

– A u nas nigdy takich nie widziano. Wszyscy mają jasne. I oczy masz nie takie. Łoś proponował za ciebie tuzin konaków, a Szram odmówił. Powiedział, że nie odda cię nawet za sto.

– Kałużo, jesteś tutejsza?

– Coś ty, jestem z Aksów.

– Opowiedz o sobie. Dlaczego cię przezwali Kałużą?

– Byłam głupia. Myślałam, że mi tu od razu zaproponują obrożę. Porwał mnie Kopyto. Przyjechał, upił się, i jak nie zacznie pomiatać domownikami! Myślę sobie: nie, trzeba zmienić gospodarza. Kiedy tylko mnie rozłożył na łóżku i miał zamiar wziąć, pisnęłam i jak nie puszczę strumień. Zbił mnie, oczywiście. Następnego dnia znowu zrobiłam mu kałużę. Czwartego dnia sprzedał mnie Tchórzowi. O Tchórzu już słyszałam, więc od razu go uprzedziłam, że ze strachu siusiam. Nie uwierzył. Ależ mu nalałam! Sprzedał Świntuchowi. Temu Kopyto wszystko opowiedział i on nawet nie próbował zaczynać. Poczekał, aż zejdą siniaki i sprzedał mnie za konaka Borsukowi. I tak poszło. Więcej niż dwa razy nikt ze mną nie spał, nazwali mnie Kałużą. No i stoczyłam się aż do baraków. Głupio, prawda? Teraz żałuję, że odmówiłam Kopytu. A ciebie naprawdę przyniósł Czarny Ptak?

Po kilku godzinach wypytywania Sandra zaczęła wyobrażać sobie strukturę socjalną tego świata. Ludność dzieliła się na klasy: mężczyźni, wolne kobiety, niewolnice gospodarza, niewolnice ogólne. Wszystkie dzieci rodziły się wolne. Liczebność klas była mniej więcej jednakowa, czyli mężczyzn było trzy razy mniej niż kobiet. Nie z przyczyn genetycznych, gdyż chłopców rodziło się mniej więcej tyle samo, co dziewczynek. Po prostu mężczyźni cały czas ginęli w nieprzerwanych utarczkach, to był ich zawód. Większość utarczek miała miejsce w czasie napadów na sąsiednie wioski, szumnie zwane fortami albo w czasie odpierania takich napadów. Główną zdobyczą były kobiety i konaki, ale brano wszystko, co dało się unieść. Mężczyzn do niewoli nie brano, to znaczy nie robiono z nich niewolników. Albo zabijano, albo wypuszczano po zapłaceniu okupu, a czasem i bez niego. Forty stale zawierały ze sobą sojusze i stale je zrywały. Życie było tanie, konie i niewolnice osiągały taką samą cenę. Zazwyczaj w forcie mieszkało po kilka klanów, kierowała nim rada głów klanów. Ponieważ mężczyźni byli zajęci „ważnymi sprawami”, gospodarstwo prowadziły kobiety. Najcięższe prace wykonywały oczywiście niewolnice ogólne. Najlżejszą karą dla niewolnicy była chłosta. Potem była chłosta z przykuciem na górze pnia kar. Dalej szło obcinanie uszu, nosów, języków, wypalanie piersi, odrąbywanie palców i kończyn. Za ciężkie przewinienia był bogaty wybór kar śmierci. Piętnowanie nie liczyło się jako kara, było procedurą administracyjną.

Niestety, ani historii, ani geografii Kałuża nie znała. Coś tam półuchem słyszała o miastach na zachodzie. Nie znała także rejonu, w którym spadł prom. Za to świetnie znała miejscowe zwyczaje i wszystko o wszystkich w wiosce. I szeptem, na ucho, przysięgła Sandy wierność.

**SEKOND. ORBITALNA**

– Koledzy, kiepskie nowiny.

– Oj, Węgielku, jak tu trafiłaś? Czyżby na Ziemi zmontowano już wielką zero-komorę?

– Nie, chociaż niedługo zmontują. Na orbitalną Ziemi trafiłam przez średnią. Jeśli przysiąść, podwinąć ogon, wsunąć głowę między nogi, to hopla! No i jestem.

– No i jakie tam nowości? – Cała piątka ludzi skupiła się w ciasne kółko wokół smoczycy, wszyscy chcieli zajrzeć jej w oczy lub pogłaskać po ramieniu.

– Nowości jest sporo, ale żadna was nie ucieszy. Nowość numer jeden. Środki na projekt „Sekond” zmniejszają pięciokrotnie. Nowość numer dwa. Mistrz zamierza zbudować bazę pośrodku między Słońcem a tą, no, jak jej tam w katalogu? W każdym razie słońcem Sekondu. Lwia część pozostałych środków pójdzie na budowę bazy. Nowość numer trzy: odwołują większość specjalistów.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że dowiodłeś, iż na Sekondzie nie ma rozwiniętej technicznie cywilizacji, zdolnej zagrozić Ziemi. Dlatego, że składy są puste i zagrożony jest plan budowy baz na Syberii i w delcie Amazonki. Sekond czekał tysiąc lat, to może poczekać jeszcze dziesięć. Ziemia czekać nie może. W Podniebnej była susza, dwa tygodnie temu było tam w dodatku silne trzęsienie ziemi, spodziewany jest głód i epidemie. Wszystkie rezerwy tam idą.

– Nas też odwołują?

– Nie, przecież my nie jesteśmy w gestii monastyru, tylko Zamku. Kościół może odwołać tylko swoich. Zostaje wasza grupa i jeszcze trzydziestu pięciu ludzi. Ja też z wami zostaję. Tylko spróbuj powiedzieć, że się z tego nie cieszysz!

– Ale to przecież tak mało! Kropla w morzu potrzeb. Mniej niż po jednym człowieku na bazę. I w tych warunkach budować nową…

– Poczekaj, Sam. Węgielku, powiedz, po co Smokowi nowa stacja?

– Chce do domu. Nie uspokoi się, póki się nie upewni, że nikt na niego tam nie czeka.

– Ale co ma do tego stacja?

– Smok uważa, że eksperymenty z metrykami przestrzeni mogą być nadzwyczaj niebezpieczne. Dlatego wybrał na stację punkt, maksymalnie odległy od zamieszkałych planet. Po wybudowaniu stacji zamontuje się na niej silniki i odsunie się ją jeszcze dalej.

Kim zaczął coś rysować na kartce.

– Poczekaj, Węgielku, przecież nie można budować stacji dokładnie w połowie odległości. Jeśli u niego tam buchnie, fala wybuchowa dojdzie do obu systemów planetarnych równocześnie i nie będzie gdzie się ewakuować. Trzeba przesunąć bliżej do jednej z nich. Wtedy najpierw przenosimy ludzi na dalszą planetę, czekamy, aż fala przejdzie koło bliższej i przerzucamy na nią wszystkich.

– Dobry pomysł, Kim. Przekaż go Mistrzowi.

– Przekaż mu go sama.

– Odeszłam od niego

Sandra jęknęła i zasłoniła usta ręką, a Liwia zaczęła wypychać Sama, Kima i Dicka za drzwi.

– Uciekajcie, chłopcy. Tu będą damskie rozmowy – a kiedy drzwi się za nimi zamknęły, rozkazała: – A teraz wal wszystko, co ci się nagromadziło w duszy.

– Nie mogę już żyć tak, jak dawniej. Mam już jedenaście lat. Jeśli przeliczyć to na wasze ludzkie, to ponad dwadzieścia. On mnie nie kocha. Jestem pomyłką. Pomyłką mamy, pomyłką komputera. Nie mogę już dłużej udawać, że wszystko w porządku.

– Jakiego komputera?

– Tego samego, który mnie zaprojektował. Jak się nazywam?

– Węgielek.

– Nazywam się Berta. Berta! Czy ktoś to pamięta? Nie. Widziałyście tatuaż na brzuchu mamy? Właśnie taka powinnam być: Turkusowa, mieniąca się. A jaka wyszłam? Czarniejsza od nocy. Jeśli nawet trochę się rozjaśnię, to na słońcu pigment od razu czernieje. Komputer nie uwzględnił, że nie będę żyła w pieczarze. A Mistrzowi w ogóle jestem niepotrzebna. Mamy prawie identyczny genom,. W dodatku niedopracowany. Jesteśmy jak brat i siostra..

– Węgielku, Berta, o czym ty mówisz?

– Nie wiedziałaś? Przecież on jest pierwszy! Pierwsza śliwka robaczywka. A ja jestem jego kopią, tylko rodzaju żeńskiego. Kora to co innego! Wariant numer dwa. Super!

– Jak to się stało? Co twoja mama takiego zrobiła?

– Nie ruszaj mamy! Ona jest bohaterem! Żeby mnie urodzić, poświęciła własne ludzkie dziecko. Wtedy Smokowi jeszcze pamięć nie wróciła, nikt nie wiedział o Korze. Mama gotowa była dla niego na wszystko, urodziła mnie, żebym kontynuowała mu ród. Kto mógł wtedy przewidzieć, że… No, nie będę mu potrzebna.

– Węgielku, przestań. Nie płacz. My przecież czujemy, jak on ciebie kocha.

– Co czujecie?! Czujecie, jak przez całą noc nazywa mnie Korą? A wczoraj przez sen mówi: „Julio, Kora mi tego nie wybaczy”. Wstałam i odeszłam. Na zawsze.

– Dlaczego nazwał ciebie Julią? – zapytała Sandra, a Liwia weszła w komputer.

– Nie wiem! Ale nie o to chodzi. Jemu było wstyd, okropnie wstyd. I mnie jest wstyd.

– Oj, mamusiu… Węgielku, kochana, co ty teraz zrobisz?

– Nic. Zupełnie nic. Pójdę na dno. Usunę się w cień na piętnaście lat i poczekam, aż podrosną synowie jego i Kory. Dopiero wtedy założę rodzinę, będę miała dzieci.

– Znalazłam! Węgielku, mam twoją Julię! – Liwia wskazała ekran komputera – Ma w Litmoondzie karczmę. Była przyjaciółką Kory, a po jej śmierci Dżafar-człowiek u niej mieszkał.

**SEKOND**

Tego dnia Sandra przeniosła się z sypialni Szrama do maleńkiego pokoiku, w którym spędziła pierwszą noc. Szram odesłał obie kobiety z powrotem do baraków, pozostawił przy San-drze tylko Kałużę. Porządkując informację, dziewczyna nagle przypomniała sobie, że na szyi babci Katty nie widziała ani rzemyka, ani obroży.

– Kałużo, a kim jest babcia Katty?

– Niewolnicą Chmury. Chmura to matka Szrama.

– Dlaczego jej tu nie ma?

– Szram zabronił jej zbliżać się do ciebie. Ona nie chorowała na piaskówkę. – odrzekła Kałuża – Ale nie martw się o nią. Dopóki Szram żyje, nikt jej nic nie zrobi.

Do wieczora Sandra wzmocniła się już na tyle, że wyszła z domu, usiadła na ganku i ospale dłubała igłą, przeszywając na siebie starą kurtkę Szrama. Myśli miała zajęte układaniem planów na przyszłość. Minął już tydzień, za dwa tygodnie załoga promu wyjdzie z biowanien, a do tej pory ona powinna wrócić. Ale jak to zrobić nie znając drogi? Trzeba uzyskać wolność i towarzyszy podróży. Trzeba, żeby mężczyźni tego świata uznali kobietę za równą sobie. I to w ciągu dwu tygodni… Zadanko niczego sobie. Ale jeśli nie uznają, pisz testament. Przywykną. Trzeba się śpieszyć i ryzykować. Cały czas na ostrzu noża. Aha, nadchodzi pierwsza okazja. Graj, muzykancie…

Obok przechodził Kret. Sandra roześmiała się głośno, wskazując na niego palcem. Kret zatrzymał się, zacisnął pięści, skierował się w jej stronę.

– Nie gniewaj się, proszę. Zobacz, ja mam taki sam. – Sandra wskazała swój siniak pod okiem. Siniaki rzeczywiście były podobne. Wielkie, zaczynały już żółknąć. Kret uśmiechnął się niepewnie. – Kto cię tak urządził? Trzeba było przyłożyć coś zimnego – Sandra związywała Kreta słowami, wciągała go w rozmowę, nie pozwalała mu odejść.

– Świntuch. Kopnął mnie. A dlaczego ty nie przyłożyłaś czegoś zimnego?

– Poszłam w zero.

Kret się roześmiał.

– Oj, kurtka ci się podarła. Zdejmij, zaszyję.

– Coś ty, nie jesteś moją niewolnicą.

– Zdejmuj, mówię. Nie puszczę cię nigdzie, dopóki nie zaszyję. Mam tu akurat igłę z nitką, to zajmie minutę. – Dziewczyna zaczęła ściągać kurtkę z ogłupiałego młodzieńca.

Zza drzwi wyjrzała Kałuża i przestraszona schowała się z powrotem. Sandra odmierzyła sobie nitkę, zrobiła kilka ściegów – i zrozumiała, że w powietrzu zawisło napięte milczenie.

– Opowiem ci śmieszną historyjkę, chcesz? Przychodzi raz wojownik do wodza klanu i mówi: „Wodzu, postanowiłem odejść z naszego klanu”. „Dlaczego?” – zapytuje wódz. „Bo nadają w nim złe imiona”. „Nie masz racji” – odpowiada wódz. – „Ja nazywam się Potężny Orzeł, moja żona Szlachetna Łania, a twoja Szybka Jaskółka. Dobre imiona nadają w naszym klanie. Idź, pomyśl jeszcze, Śmierdzący Kojocie”.

Kret aż zatoczył się ze śmiechu i musiał usiąść na ganku obok Sandry. Tymczasem dziewczyna naprawiła rozłażący się szew i przecięła nitkę zębami.

– No i już. Oj, posiedź jeszcze chwilę. Kałuża! Przynieś Kretowi wodę ze studni. Szybciej!

Kałuża wyskoczyła zza drzwi i z czerpaczkiem w ręce pobiegła w kierunku studni. Kret spojrzał na Sandrę ze zdumieniem.

– Nie patrz na mnie, tylko na nią. Ładna, prawda?

– Przecież to Kałuża.

– A wyobraź sobie, że widzisz ją pierwszy raz.

– To Kałuża!

– Jeśli narobi ci w pościel, sama wszystko wyliżę językiem. Tylko nie bij jej przez pierwszy tydzień. A ona ciebie nie zawiedzie. Znasz to powiedzenie: za jedną bitą dają dwie niebite?

Kret pochylił głowę i popatrzył na podchodzącą do studni Kałużę. Potem posmutniał.

– Za nią trzeba będzie zapłacić społeczności wykup. A ja nie mam czym.

– Duży wykup?

– Nie. Za nią nie. Świnię albo trzy owce, nie więcej. Ale ja nawet tyle nie mam.

Kałuża już dreptała z powrotem, ostrożnie niosąc przed sobą czerpak. Sandrze przyszedł do głowy nowy pomysł.

– Krecie, a za dobry kindżał ją oddadzą? Na razie nic ci nie obiecuję, ale spróbuję ci pomóc. Oczywiście, jeśli Szram pozwoli. W tym celu trzeba będzie pojechać do promu. Tylko nikomu nie mów, dobrze?

Kret \chwycił ją za włosy.

– Więc to do tego zmierzają twoje rozmówki! Chcesz, żebym cię tam zawiózł, potem wsadzisz mi nóż w brzuch i na moim koniu do domu!

– Aleś ty głupi, przecież powiedziałam wyraźnie: jeśli Szram pozwoli. Możesz go tutaj wezwać, niczego przed nim nie ukrywam. A jeśli opowiesz komu innemu, że obca niewolnica ci pomaga, to cię po prostu wyśmieją.

Kret się zamyślił. Kałuża uklękła przed nim z czerpakiem w rękach. Wyciągnął rękę, wziął czerpak, wypił, pomacał jej piersi, popatrzył na Sandrę, burknął coś nieokreślonego i odszedł.

– Kałuża, chcesz zamienić baraki na dom Kreta? – zapytała Sandra. – Tylko bez mokrych sztuczek. Zaręczyłam za ciebie.

– Pani, tylko wydaj mi rozkaz, a ja dla ciebie zabiję, kogo zechcesz.

– Jaka tam ze mnie twoja pani. Słuchaj. Jeśli chcesz dostać obrożę, zrób tak…

**ZIEMIA**

Włączam zero-latarnię. Nie ten świat. Wyłączam. Rozmyte kontury przedmiotów. Włączam. Obrazek nabiera ostrości. Nie ten świat. Wyłączam, włączam. Szczęk-szczęk. Jest dróżka! Ale nie ta, asfaltowa. Szczęk-szczęk, szczęk-szczęk. Wszystkie obok. Szczęk-szczęk. Jest dróżka, czarna. Ale bez naszych imion. Na wszelki wypadek włączam panoramę okolicy. Nie ten świat. Podobny, ale nie ten. Szczęk-szczęk, szczęk-szczęk, szczęk-szczęk.

Szukam świata Centy. Szukam już trzeci dzień. Zwiększyłem tysiąc razy dokładność fiksacji meta-pozycji. Jutro cybery przygotują nowy, chłodzony ciekłym azotem, blok sterowniczy, który zwiększy dokładność jeszcze o dwa rzędy wielkości. Trzy rzędy to już teoretyczna granica. Stęskniłem się za łobuzerskim spojrzeniem spod zawadiackiej grzywki. Dlaczego nie zostawiłem w tym świecie zero-latarni? Cybery zrobiłyby nową w cztery godziny. Trudno, byłem głupi. Czy kiedyś zmądrzeję?

Szczęk-szczęk, szczęk-szczęk. Dokładność ustawienia jest tak duża, że w co piątym świecie widzę czarną dróżkę spacerową, biegnącą wzdłuż rzeczki. Ileż ich jest? Tysiące, dziesiątki tysięcy, miliony? Ale mnie potrzebna jest dróżka, na której wycięte są nasze imiona. Taka jest tylko jedna. A może więcej?

Szczęk-szczęk. Na podłogę spada mewa z odciętym skrzydłem. A może to kormoran? Wije się, plamiąc krwią żelazną podłogę. Przecież to ja mu obciąłem skrzydło! Wyłączam zero-t, rozbijam szkło, naciskam czerwony guzik. Śluza otwiera od razu oba drzwi. Podnoszę z podłogi ptaka, biegnę do windy. Kabina jedzie do góry, a ja w międzyczasie ostrożnie zaciskam palcami naczynia w kikucie skrzydła. Dziwne, ale cięcie nie jest gładkie, a jak gąbka, przesycona krwią. Dwa centymetry krwawej gąbki. Kabina się zatrzymuje. Przesiadam się do wagonika metro. Trzy minuty jazdy z szybkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Jeszcze jedna winda. Biegnę do centrum medycznego. Aktywizuję najbliższego cyberchirurga. Jeśli cybera można czymś zdumieć, to właśnie teraz to się zdarzyło. Sześć czy osiem teleoczek na łodyżkach przez dziesięć sekund ogląda ptaka, moje łapy, mnie. Ale dalsze działanie jest już całkowicie logiczne. Manipulatory unieruchamiają ptakowi nogi, skrzydło, szyję. Jeden delikatnie, ale stanowczo odsuwa moją łapę. Ptak już się nie rzuca, nie krzyczy, tylko od czasu do czasu mruga czerwoną powieką. Gdy tylko odsunąłem się od stołu, z boku opadł przeźroczysty daszek. Nie muszę patrzeć, co się pod nim dzieje, i tak wiem. Najpierw szybkie badanie Najpierw badanie nieznanego organizmu, tomografia, ekspresowe analizy, potem chirurgia, w końcu stacjonarna regeneracja. Nie, zamiast tego włącza się aparatura dalekiej łączności. Włączam monitor kontrolny. Kompleks medyczny szuka informacji w bankach pamięci głównego komputera. Skończył poszukiwania. Na ekranie pojawia się napis „Brak informacji”. Cyber-chirurg ożywa. Ptak rzuca się i krzyczy. Co, czyżby bez narkozy? Operacja zajmuje nie więcej niż dziesięć sekund. Za skrzydła pozostaje całkiem krótki kikut, odpowiednio opatrzony. Ale wygląda na to, że mój kormoran jest w stanie szoku, a kompleks medyczny nie wie, co robić. Wybieram pytanie na klawiaturze komputera. Przyciski są dla człowieka, dla mnie za małe, piszę pazurami, niewygodnie. Czas mija… Tak jest! Paradoksalna reakcja na testy, komputer nie ma gotowych algorytmów. Zastosował minimalną niezbędną interwencję chirurgiczną, wziął wzory tkanek, bada. Kretyn, będzie badał tydzień, a ptaszka trzeba wyprowadzić z szoku.

Przełączam na ręczne kierowanie. Wziąć trzy mililitry H2O. Dodać trzy mililitry C2H5OH. Wprowadzić do żołądka. Do wola, podgardlicy, układu pokarmowego, zrozumiałaś, ty tępa blaszanko? Może mało? Jeśli przeliczyć wagowo na człowieka, wychodzi szklanka wódki. Powinno wystarczyć.

Spirytus etylowy. Najprostszy środek. Prosty jak młotek. I prawie tak samo niezawodny. Dlaczego komputer go nie wybrał? Możliwe dwa warianty. Pierwszy: dla danego organizmu spirytus etylowy jest równie niebezpieczny, jak metylowy dla człowieka. W tym wypadku mój ptaszek zaraz umrze. Drugi: efekt osła Buridana. Komputer widzi zalety i wady danego środka, szuka lepszego. Z powodu dużej szybkości procesu poszukiwanie zazwyczaj trwa ułamek sekundy, człowiek nawet nie zauważy. Ale oto trafiło się naprawdę skomplikowane zadanie i komputer się zamyślił. A pacjent tymczasem umiera.

To kwestia stylu programowania. Może być proste, a może być programowanie zadań czasu realnego. To drugie jest o cały rząd bardziej skomplikowane. Przy prostym stawia się zadanie i szuka rozwiązania. Czas zużyty na poszukiwanie nas nie interesuje, jeśli, oczywiście, nie przekracza rozsądnych granic. Programowanie zadań czasu realnego – to sztuka! Pieśń! Poemat! Stale zmieniająca się funkcja celu, zmieniające się w czasie priorytety. Nieprawdopodobnie skomplikowana regulacja, gdyż trzeba modelować także zmieniający się zewnętrzny świat. W jakim stylu zaprogramowano cyber-diagnostyka, teraz już wiem. To jednak wstyd…

A mój ptaszek żyje! Otwieram wieczko, zabieram biedaka. Pytam komputer, co to właściwie jest. Samiec. Ani mewa, ani kormoran, coś pośredniego. Gatunek nieznany nauce. Nie bój się, bracie lotniku, będziesz znowu latał. Słowo Smoka. Skrzydło ci odtworzę, ale do domu zwrócić nie zdołam, wybacz. To dobra lekcja dla mnie. Zamiast ciebie mogłem rozciąć na pół Centy. I biowanny obok nie było. Trzeba zmienić metodykę doświadczeń, opracować teorię. Na początek choćby w przybliżeniu obliczyć ilość równoległych ziemiopodobnych światów.

**SEKOND**

Cały następny dzień Sandra z Kałużą myły okna, podłogi, przesuwały meble. Wyglądało na to, że nikt nie sprzątał w tym domu od czasu, gdy został zbudowany. Pod łóżkiem było całe śmietnisko, leżał tam nawet krótki zardzewiały miecz. Przesuwając stół, przejechały mokrą miotłą po ścianach i suficie. Bardzo długo skrobały podłogę. Do południa skończyły tylko sypialnię Szrama i duży pokój. Sandra wysłała Kałużę po polne kwiaty, postawiła je na stole i na parapecie w glinianych naczyniach. Pokój zmienił się nie do poznania.

– Kiedy tylko trafię do domu Kreta, zaraz zrobię tam to samo – powiedziała Kałuża. – Oj, ależ jestem zmęczona! Bardziej niż w barakach. A tu jeszcze trzeba gotować obiad.

Szram wrócił dopiero wieczorem. Rzucił na stół zakurzoną torbę podróżną i rozejrzał się z zachwytem. Kałuża zakrzątała się przy piecu, zaczęła nakrywać do stołu. Sandra w napięciu obmyślała linię postępowania. Szram chciał ją objąć, ale ona zręcznie mu się wyśliznęła, po czym przycisnęła się czołem do futryny. Szram westchnął, podszedł do stołu, chwilę szperał w swojej torbie. Kałuża westchnęła ze zdumieniem, brzęknął metal, coś zimnego dotknęło szyi. Sandra ze strachem odskoczyła i wpatrzyła się w ręce Szrama, które trzymały obrożę.

– Nie! – wykrzyknęła. – Nie! – I rzuciła się do swojej komórki, wcisnęła się w kąt.

Szram wszedł za nią, objął ją za ramiona, przycisnął do siebie, ukrył twarz w jej włosach. Zadrżała, napięła wszystkie mięśnie.

– Gospodarzu, gdybyś mnie wtedy rozwiązał… Gdybyś mnie nie zhańbił…

Ręce Szrama stwardniały, po czym mocno popchnęły ją w kąt. Po chwili trzasnęły drzwi.

„Co ja narobiłam?! Przecież to wolność! Mogłabym już jutro otrzymać swojego konia. Odmówiłam. Duma nie pozwoliła. Chciałam się zemścić, uderzyć go jak najboleśniej” – pomyślała Sandra i rozpłakała się na cały głos. Przyszła Kałuża i położyła ją na łóżku.

– Jakże tak można? Gospodarz dwie noce nie spał, pielęgnował ciebie. No, bądź tak dobra, załóż. Pani, ty mnie uczyłaś, a jak postępujesz sama? Pan cię kocha. No włóż, proszę – Kałuża spróbowała włożyć jej obrożę. Sandra słabo się broniła.

– Kałuża, do baraku! – ryknął Szram.

Przez całą nieskończoną noc Sandra słyszała, jak on wierci się na łóżku za ścianą.

**ZIEMIA**

Nie jestem genialny, jestem genialnie tępy. Dopóki kombinowałem obce pomysły i prace, szedłem w przód, a jak tylko doszło do prawdziwej pracy twórczej – koniec. Głową o ścianę, o granit nauki. A przecież podszedłem tuż-tuż! Trzeba tylko skoncentrować się i właściwie postawić pytanie. Na przykład tak: Czy przejście z jednego trójwymiarowego świata do drugiego wzdłuż czwartej współrzędnej kwantyfikuje się, czy też jest to funkcja ciągła? Albo tak: Są dwa trójwymiarowe światy położone bardzo, bardzo blisko siebie – czyli podobne do siebie jak dwie krople wody. Weźmy jakiś elektron i jego sobowtóra z sąsiedniego świata. Pytanie brzmi: czy to ten sam elektron, czy dwa różne? A może to nie jest prawidłowo sformułowane pytanie?... Przecież z punktu widzenia pięciowymiarowej przestrzeni korpuskularno- falowy dualizm elektronu można pogrzebać jednym wyrażeniem: oscylacja elektronu-cząsteczki wzdłuż osi czwartego wymiaru. Ale tu znowu powstaje kolejne pytanie, dlaczego w takim razie ten elektron nie odlatuje z naszego świata wzdłuż osi czwartego wymiaru za siódmą górę, za dziewiątą rzekę? Co pcha go do tyłu? Jaka smycz utrzymuje go w naszym świecie?

Bak gniewnie krzyczy, macha zdrowym skrzydłem i dziobie moją tylną łapę. Nie znosi mojego złego nastroju. Gniewa się, kiedy jestem smutny albo zły. Podnoszę go z podłogi i sadzam na swoje ramię. Nie, ramię mu się nie podoba. Pomagając sobie skrzydłem, włazi mi na głowę i sadowi się między uszami. Dokładnie tak samo lubiła siedzieć Węgielek, dopóki była malutka. Ciekawe, gdzie ona teraz jest?

Wybieram na komunikatorze jej kod – nie odpowiada. Wywołuję Korę. Okazuje się, że Węgielek przeszła do drużyny Sama. Mógłbym sam się domyśleć. Całe dzieciństwo spędziła przecież z nimi, od czasu, kiedy zaczęła mówić. Najpierw się nią opiekowała i chroniła Sandra, a potem sama Węgielek została ich nieformalnym liderem. Drużyna bardzo podtrzymywała ją na duchu podczas tych trzech ciężkich lat, kiedy nie mogła latać. Skrzydła już nie radziły sobie z ciężarem, a dla biograwów masa ciała była jeszcze za mała, przez co nie powstawał efekt naprowadzanej indukcji. Ależ ona wtedy cierpiała! Od rana do wieczora trenowała mięśnie skrzydeł. Ileż razy łamała sobie żebra! Wdrapie się po zboczu – i z rozpędu w dół. Lotem ślizgowym, jak polatucha, tylko lądowała z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, przeważnie na brzuchu. Przez to ma mięśnie skrzydeł jak wiązki kul pod skórą. Ani ja, ani Kora nigdy takich nie mieliśmy.

Podchodzę do lustra. Bak siedzi jak na gnieździe i czyści dziobem piórka. Moje skaranie boskie! Co ludzie powiedzą? U babci mieszkały dwa wesołe gęsiory. Jeden biały – to ty, Bak. Drugi szary jak kurz na bucie. Nie znalazłem pochodnej od E do potęgi x. Chodźmy jeść.

Idziemy do jadalni. Akurat pora obiadowa.

– Zobacz, ptaszek! – Oglądam się, patrzy na nas stadko dziewcząt. No tak, bywaliśmy tu już, ale w czasie moich naukowych transów nie zwracam uwagi na porę dnia, więc mało kto go widział. Bak gniewnie krzyczy „Herr-baty!” i szczypie mnie za ucho.

– Będziesz szczypał, nic nie dostaniesz. – Wypuszczam obrazę na niego.

Emocje to język uniwersalny, a Bak nie jest głupi. Za trzecim-czwartym razem przyswaja sobie lekcję na zawsze. Tylko dziki. Nikogo nie słucha oprócz mnie, mnie też nieszczególnie, ale mu się podobam. Nie znosi poufałości. Najbardziej przypomina charakterem starego kota, który uważa się za prawdziwego gospodarza domu. Zamiłowaniem do ryb też. Pośrodku jadalni jest mały basen z fontanną. Pływały w nim trzy złote rybki. Spróbujcie poczuć cały tragizm tego sformułowania: pływały rybki. Kiedy wróci Liwia, poczujesz to, Bak. I ja za takiego kompana.

**SEKOND**

Następnego ranka cała wioska wiedziała, że Sandra odmówiła włożenia obroży. Przy studni wszyscy mówili tylko o tym. Kałuża opowiadała z ckliwymi szczegółami, ale z jakichś powodów żałowali Szrama, a z Sandry się śmiali. Kałuża złościła się i klęła, dopóki Rozumek nie odprowadził jej na bok i wypytał dokładnie.

Szram i Borsuczki od rana zaczęli pakować się do najazdu, albo, jak tu się mówiło, „w step po towar”. Kopyto i znowu przegrany Tchórz postanowili przyłączyć się do nich. Przed samym odjazdem Szram wszedł do komórki Sandry, usiadł na ławie jak na koniu i powiedział:

– Słuchaj i zapamiętaj. Wyjeżdżam na sześć, siedem dni. Masz tu obrożę i klucz. Gdybym nie wrócił, włożysz ją, staniesz się wolna i otrzymasz ten dom. Jeśli nie włożysz, trafisz do baraków. Zrozumiałaś? Do babci Katty nie zbliżaj się dwa tygodnie, jak podejdziesz, to wyrwę ci nogi. Później możesz. Jakby co, zatroszcz się później o nią. Z problemami zwracaj się do Ślada albo do Rozumka. Od Łosia trzymaj się jak najdalej. To wszystko. Powtórz.

– Słuchaj i zapamiętaj – zatrajkotała Sandra. – Wyjeżdżam na sześć, siedem dni…

Szram roześmiał się. Wstał, pożądliwie pocałował ją w usta i wyszedł. Sandra dotknęła warg palcem, wzięła ze stołu obrożę, przymierzyła i rzuciła na łóżko. Zakręciła się po pokoju, schowała obrożę do skrzyni, wyjęła, włożyła pod poduszkę. Niedługo przybiegła Kałuża.

– Powiedziałam matce, że Szram wysłał mnie do ciebie.

We dwójkę szybko uwinęły się z gospodarstwem. Potem poszły na strych. Tam, wśród gratów, Sandra znalazła skrzynię wypełnioną starymi zardzewiałymi mieczami. Wyniosły ją na podwórze i zaczęły przeszukiwać, wybierając te, które były w najlepszym stanie. Sandra powierzyła Kałuży usuwanie rdzy, a sama zaczęła naprawiać zgniłe drewniane części pochew. Potem Kałuża kręciła korbę ostrzarki, a Sandra ostrzyła miecze. Przy tym zajęciu zastał je Rozumek. Kałuża zdrętwiała ze strachu, ale Sandra pozdrowiła go z szacunkiem. Rozumek usiadł na przyzbie.

– Niedobrze to, dziewki, oj, niedobrze. Czy niewolnicom wolno dotykać broni? Będziemy musieli was ukarać.

Sandra wypróbowała ostrze miecza na kosmyku swoich włosów i uśmiechnęła się z przymusem.

– Panie, kogo chcesz karać? Kałużę? Przecież ona jest istotą zniewoloną. Robi to, co jej rozkażę. A jak nie będzie słuchała, ukażę ją pierwsza. – Chwyciła Kałużę za włosy i przyłożyła jej do gardła czubek miecza. Kałuża zbladła i zadzwoniła zębami. Sandra cofnęła miecz i puściła ją. – A mnie ma prawo ukarać tylko gospodarz. Ale przed nim jestem czysta. Kazał mi strzec domu, więc go strzegę. Jak strzec bez broni, co?

– Mądra jesteś – uśmiechnął się starzec. – A jeśli skrzyknę ludzi, co oni postanowią?

„Żebyś tylko okazał się godny swojego imienia” – pomyślała dziewczyna.

– Panie, proszę cię, nie rób tego. – Sandra uklękła przed nim jak wczoraj Kałuża przed Kretem, i złożyła ręce jak do modlitwy. – Szram zostawił mi obrożę. Włożę ją – i już będę wolna. Będą śmiali się z ciebie.

– Szram mówił mi o obroży. A dlaczego ty, dziewko, nie wspomniałaś mu, że weźmiesz do ręki miecz? – Rozumek jawnie rozkoszował się sytuacją.

– Jesteśmy przecież mądrymi ludźmi.

– A za co darzysz mnie antypatią?

– A za co mam cię lubić, panie? - Sandra usiadła na ziemi i objęła kolana rękami. – Nic złego ci nie zrobiłam, a ty poradziłeś Szramowi, żeby mi obciął język. Kret by obciął…

– Kretowi bym nie poradził. W żaden sposób nie jestem w stanie rozróżnić, kiedy żyjesz, a kiedy grasz.

Sandra potrząsnęła głową, wstała, spojrzała mu w oczy, po chwili odwróciła wzrok.

– A czy to ma jakieś znaczenie, jeśli stawką w tej grze jest życie?

Stary człowiek pogłaskał ją po głowie jak kocię.

– Mój ty zuchu. Od tylu lat nie miałem tak dobrego rozmówcy. No, ale już czas na mnie. Jeśli coś się stanie, biegnij do mnie, pomogę. Jutro znowu przyjdę, posłucham twoich bajek. O śmierdzącym szakalu to ty opowiadałaś Kretowi, nieprawdaż?

Sandra uśmiechnęła się, pomogła mu wstać, odprowadziła kawałek. W myślach dokonała podsumowania. Przedwczoraj – Kałuża, wczoraj – Kret, dziś – Rozumek. Trójka przyjaciół, a jawnych wrogów na razie nie ma. Trzy do zera dla mnie. Jutro pora iść w masy. Czyli do baraków.

**ZIEMIA**

Wstyd przyznawać się do własnych ograniczeń. Od tygodnia zmagam się z zadaniem, straciłem sen – i wszystko na próżno. Nie mogę wyobrazić sobie dwunastowymiarowego stożka przyczynowości. Jasne jest jedno: każde wydarzenie, zachodzące w danym continuum, ma wpływ na sąsiednie. Co prawda, ten wpływ bardzo szybko słabnie w miarę zwiększania się odległości od danego continuum – proporcjonalnie do ósmej potęgi odległości. To znaczy, że jeśli odległość wzrośnie dwukrotnie, wpływ osłabnie 256 razy. Ale jak ten proces przedstawia się w czasie, tego już nie potrafię sobie wyobrazić. Jednak to, co ustaliłem na pewno, napawa mnie śmiertelnym smutkiem. Możliwe, że będziemy musieli zrezygnować z „potężnych, wiecznych i ekologicznie czystych” generatorów zero-t. Albo ograniczyć ich moc. Nie są wieczne, a ekologicznie są… brudne. Ciągną energię prosto z sąsiednich continuów, ze wszystkich od razu. Ten proces jest niewidoczny, zamaskowany ubocznymi efektami, ale ja się w nim zorientowałem. Podkradać sąsiadowi energię – to nieetyczne. Nie po sąsiedzku. A jeśli wszyscy będą tak robili? Znowu nie mogę się w tym połapać. Tu jakoś wmieszany jest czas. Napisałem nawet piękny krótki wzór, wiążący w całość prawo zachowania energii, oddziaływanie sąsiednich continuów i tempo upływu czasu, ale nie mogę ani go potwierdzić, ani odrzucić. Chodzi głównie o to, że generatory zero-t pobierają energię z sąsiednich światów, i przez to, żeby nie naruszyć prawa zachowania energii, spowalnia się w nich tempo upływu czasu. Powstaje taka czasowo-energetyczna jama, do której ścieka czaso-energia z otaczającej przestrzeni. Ostatecznym efektem jest przyśpieszenie przesunięcia ku czerwieni dalekich gwiazd i powolne hamowanie tempa obiegu planet, które w końcu spadają na słońca.

Z powyższego wynika ponury wniosek. Nie można nic zmienić w sąsiednim trójwymiarowym continuum. Chciałem uwolnić z niewoli Centy. To bezsensowne i bezużyteczne. Jedną bym uratował, a dla nieskończonej ilości innych nic się nie zmieni. Mogę uratować nie jedną, a dziesięć, sto, tysiąc Centy. Mogę nawet całą planetę zapełnić uratowanymi Centy, a i tak pozostanie ich więcej, niż można sobie wyobrazić. Według moich bardzo przybliżonych obliczeń samodzielnych światów podobnych do Ziemi jest około 10250. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiej ilości. Zresztą termin „samodzielny świat” też jest bardzo umowny, więc liczbę 250 można wariować w obie strony. Wśród takiej ilości światów znajdzie się miejsce dla wszystkiego, co tylko można wymyśleć. Każda brednia, każdy najbardziej chory wymysł fantastów jest realnością w którymś z nich.

Chciałem wyzwolić Centy. Może znaleźć się inny, który zechce zostać w jej świecie dyktatorem. Może znaleźć się trzeci, który wywoła tam wojnę jądrową, żeby nakręcić ciekawy film. Czemuż by nie? Przecież światów jest praktycznie nieskończona ilość. Biorę jakiekolwiek wydarzenie i obserwuję. Które wariant wam się najbardziej podoba: tu było, tu jest, tu będzie, tu nigdy nie było i nie będzie, gdyż jest niemożliwe? Pełna paleta. Chcesz powiesić w łazience Giocondę – leć do sąsiedniego świata, przywieź sobie. Nie znajdą ciebie, a Meta-wszechświat nie zbiednieje.

Więc co ja właściwie wynalazłem? Maszynę, która pozwala brać, ale nie pozwala dawać. Pozwala taszczyć do mojego świata wszystko, co dusza zapragnie – złoto, informację, ludzi. Ale nie mogę nic zrobić dla innego świata. Przypuśćmy, że wiem, iż w takim-a-takim świecie jest epidemia i mam wzór lekarstwa. Cóż z tego, jeśli nie zdołam przekazać tego wzoru do tego konkretnego świata? A jeśli nawet zdołam – jeden świat uratuję, a w milionach sąsiednich epidemia będzie trwała dalej. Czy jest sens ratować jeden świat z milionów, a może i miliardów? Czy jest sens w ogóle cokolwiek robić, jeśli obok są miliardy światów, w których to już zrobiono? Przez ciebie! A obok miliardy światów, w których ciebie nie ma w ogóle?

Upiłbym się w sztok, ale smoki tego nie mogą zrobić. Mogę pić spirytus jak wodę. Metylowy, etylowy, nawet izopropylowy. Tylko w gębie suszy.

Wzywam cybera, powierzam Baka jego opiece. Żeby go karmił, zmieniał wodę w basenie, usuwał z podłogi nieczystości, jeśli ptak napaskudzi poza skrzynkę. Kładę się po prostu na podłodze, z głową w kącie. Ależ jestem zmęczony…

**SEKOND**

Miecz był długi, prosty, wąski, dwustronnie zaostrzony. Każdy wojownik powiedziałby, że jest zbyt lekki, ale Sandra była zadowolona. Przez cały wczorajszy wieczór obie z Kałużą wyostrzały miecz. Teraz płynnie zwężał się ko końcowi i wydawał się wygięty. Każdy płatnerz natarłby Sandrze uszu za takie kpiny ze szlachetnej stali. Dziewczyna sama rozumiała, że struktura metalu, uformowana kiedyś przez kucie, została naruszona. Nie miała jednak zamiaru zostawać tu dłużej niż ma dwa tygodnie, a tym bardziej walczyć na białą broń z kimkolwiek. Jej broń miała więc być oryginalna, a nie niezawodna czy długowieczna. Drewniane okładziny rękojeści wycięła z twardego drewna, podobnego do bukowego, po czym obszyła całą rękojeść skórą. Przymierzyła do ręki. Nie podobało jej się. Namoczyła w wodzie długi i cienki skórzany pasek i obficie, aż do przesady, owinęła rękojeść. Kiedy cieszyła się z rezultatu, przybiegła do niej Kałuża. Zaczęła instruować Sandrę po raz ostatni:

– Najważniejsze, byś nie zadzierała z matką. Wprawdzie to niewolnica, ale ma władzę większą od wolnej. Wystarczy jej powiedzieć słowo, a utopią cię w rowie.

– Sądzisz, że będą mnie szukać? – zdziwiła się Sandra.

– Ukażą każdego, kogo wskaże im matka.

Sandra weszła do domu, włożyła stare, wyschnięte mokasyny Szrama, znalezione na strychu, za każdą cholewę wsunęła po nożu. Wróciwszy z pokoju do kuchni, zastała tam Kałużę, która, co chwilkę zezując w okno, ukradkiem przerzucała coś z garnka do ust.

– Weź łyżkę – roześmiała się Sandra. Kałuża ze strachem schowała ręce za plecy.

Sandra nalała zupę do dwu misek, szybko zjadły i poszły.

– Wszyscy w barakach muszą ciebie słuchać – kontynuowała instruktaż Kałuża. – Nie jesteś byle kim, jesteś niewolnicą gospodarza. – Ale lepiej nie wchodź w drogę suczkom matki. Posłuchają ciebie, ale zapamiętają ci to i zemszczą się.

Baraki znajdowały się na uboczu, sto metrów za linią domów.

– A to jest męski dom. – wskazała Kałuża.

– Tam mieszkają mężczyźni?

– Nie – roześmiała się Kałuża. – Ale bardzo lubią przychodzić tu na noc.

Zaraz za męskim domem Sandra zobaczyła głowę kobiety wbitą na pal.

– Nie bierz do serca – powiedziała Kałuża. – Ona była zła. Kradła jedzenie..

W barakach było ponuro. Sandra znała biedę, ale tu było coś gorszego: kompletna obojętność i apatia.

– Dlaczego tak żyjecie? – zapytała Sandra. – Drugiego życia przecież nie będzie.

– To baraki, dziewko. Tu się nie żyje. Tu się śpi, je, jeśli jest co, i marzy o cudzie. Ale w barakach cuda się nie zdarzają. – Siwa starucha splunęła i odwróciła się.

– Smok mówi, że cuda się zdarzają. Tylko trzeba je stworzyć własnymi rękami.

– Matka zrobi. Ona ci taki cud zrobi, że przez tydzień będziesz tylko leżała na brzuchu. – kobieta z prawej strony gniewnie popatrzyła na Sandrę i zakaszlała się.

– Kałużo, czy tu wszystkie są takie?

– To są baraki pani.

– I ty także! Dlaczego wy tak nie kochacie życia? Nie, ja was zmuszę do kochania życia! – Sandra szybkim krokiem wyszła z baraku, stanęła pośrodku podwórza na szeroko rozstawionych nogach i zawołała: – Matka, wychodź! Będziemy walczyć!

Kałuża padła na kolana i też zaczęła piskliwie wykrzykiwać:

– Matka! Wychodź!

Po trzecim wezwaniu w drzwiach baraku pojawiła się potężnie zbudowana kobieta z biczem w rękach.

– To ty spadłaś z nieba? Szkoda, że jesteś pańska. Wsadziłabym cię na koło. A twoje skośne oczka wyrwałabym i usmażyłabym na kolację.

Sandra obliczała swoje szanse. Matka była od niej o półtorej głowy wyższa i dwukrotnie cięższa. Takich bicepsów mogłoby jej pozazdrościć wielu mężczyzn. Walka wręcz była wykluczona. Tylko ciosy nogami i bolesne chwyty obezwładniające. A jej samej po chorobie jeszcze się kręci w głowie. Gdyby mogła, uciekłaby, ale na to już było za późno.

– Słuchaj, matka! Albo uznasz moją wyższość, albo zrobię sobie z twojej skóry dywanik.

Matka zdjęła bezrękawnik, obnażając ciężkie, pokryte tatuażami piersi i ruszyła na Sandrę. Jej ciało i ręce błyszczały, wysmarowane tłuszczem. Nie wiadomo skąd zbiegły się kobiety jak karaluchy ze szczelin, utworzyły koło.

„Za mało miejsca” – pomyślała Sandra i wykrzyknęła:

– Szerzej koło, łajdaki, albo pomnożę was przez cosinus!

Nieznane przekleństwo podziałało. Matka była już tylko o trzy metry. Robiąc kolejny krok, kopnęła piasek, posyłając go w twarz Sandry. Ale na zajęciach komandosów taka sztuczka była przerabiana. Sandra zasłoniła oczy ręką i odskoczyła dwa metry do tyłu. Świsnął bicz, oparzył policzek i okręcił się dookoła lewej ręki. To też było przerabiane. Uprzedzając skok matki, Sandra z piskiem rzuciła się na nią. Zgięła się, prześliznęła się pod jej ręką i pobiegła dalej. Kiedy bicz się naciągnął, szarpnęła nim ze wszystkich sił, wykorzystując inercję rozpędu. Rączka bicza wyskoczyła z ręki matki, przeleciała nad głową Sandry i trafiła kogoś z widzów. Baby zapiszczały, koło zrobiło się jeszcze szersze. Sandra roześmiała się, chwyciła bicz za rączkę i zadała nią cztery szybkie ciosy w boki matki. Ta ryknęła i rzuciła się do ataku. Sandra uchyliła się i, wykorzystując okazję, kopnęła przeciwniczkę w tyłek. Cios wyszedł piękny, ale nie był mocny. Matka odwróciła się i ruszyła na Sandrę z szeroko rozłożonymi rękami. Dziewczyna najpierw z półobrotu zdzieliła ją rączką bicza po głowie, a po ułamku sekundy, kończąc obrót na jednej nodze, kopnęła ją drugą w splot słoneczny. Matka upadła na kolana, ochryple łapiąc powietrze ustami. Sandra obeszła ją z tyłu, uderzyła nogą w plecy, rozpłaszczając na piasku, wykręciła jej ręce za plecy, związała je biczem. Wspomniawszy miejscowy zwyczaj, dołączyła tam jej prawą nogę. Serce dziewczyny biło jak oszalałe, kolana drżały. Usiadła na szerokich plecach matki i rozejrzała się.

– Otóż to, baby – powiedziała. – O wolność trzeba walczyć. Zrozumiałyście?

Kobiety padły na kolana, zaczęły zawodzić. Sandra objęła je ponurym spojrzeniem.

– Wstawać! Cisza! – Wyjęła nóż zza cholewy, przejechała jego końcem po paznokciach, udając, że je czyści, po czym podniosła za włosy głowę matki. – Coś ty tam mówiła o moich oczach? – Całe ciało matki pokryło się potem – Obiecałam ci, że zrobię z twojej skóry dywanik. W zasadzie zawsze dotrzymuję obietnic, ale… No dobrze, nie będę zdejmowała z ciebie skóry, obetnę ci tylko włosy. Będziesz mi służyła, wypełniała wszystkie moje rozkazy. Jeśli się dowiem, że powiedziałaś chociaż jedno słowo przeciw mnie, zakopię cię żywcem w ziemi. Zrozumiałaś?

Matka wychrypiała coś nieartykułowanego.

– Nie zrozumiałam. Szkoda. – Sandra pogrzebała w splątanej grzywie, szukając ucha matki. Potem namotała na dłoń jej włosy i zaczęła je piłować nożem. – Żeby się łatwiej dostać do twoich uszu – wyjaśniła – Jeśli mnie nie słyszysz, to znaczy, że uszy są ci niepotrzebne. W takim razie zaraz ci je obetnę. Jeśli mi nie odpowiadasz, to znaczy, że język też jest ci niepotrzebny, zrozumiałaś?

– Zrozumiałam.

Sandra wyrzuciła ścięte włosy, ścisnęła palcami ucho.

– Jak masz się do mnie zwracać?

– Pani.

– Teraz powtórz razem.

– Zrozumiałam, pani.

– Głośniej, żeby wszyscy słyszeli.

– Zrozumiałam, pani!

– Słuchaj dalej. Kałuża nie jest już podporządkowana tobie. Jest moja. Zadanie na dzisiaj: zaprowadzić w barakach czystość. Żeby mi tu na podłodze nie było żadnej zgniłej słomy! Tylko świeża. Wieczorem przyjdę, sprawdzę. No!

– Zrozumiałam, pani!

Sandra już dostatecznie odpoczęła, żeby się nie zataczać. Rozcięła nożem bicz, którym związała matkę, wstała. Matka też chciała się podnieść.

– Leżeć! – nakazała Sandra. Wytarła o plecy matki buty. – Teraz wstawaj. Kałuża, do mnie!

**ZIEMIA**

Trzecią dobę żyję w jakimś dziwnym odrętwieniu. W głowie snują się ponure, ospałe, ciężkie myśli. Nie chce mi się nic robić, nawet żyć. Z jednej strony: wszystko było, wszystko jest, wszystko będzie. Dług Władców wobec tego świata wypełniłem. Przygotowałem i popchnąłem Wielki Skok. Dokończyć mogą i beze mnie. Anna ma talent przywódcy i stalowy chwyt przy braku ambicji dyktatorskich. Jak by tam nie było, a pod koniec tutejszego dwudziestego wieku ludzie będą tu mieli poziom dwudziestego trzeciego i czyściutką, niezapaskudzoną planetę. Wszystko, co obiecałem Lirze, wypełniłem. Samowi w ogóle nic nie obiecywałem. Kim… Technik i filozof-kontemplator. Dick, Liwia, Sandra… Wąskooka Azjatka. Mieszanina wszystkich azjatyckich typów: japońskiego, chińskiego, koreańskiego. Sam mówił, że dotąd nosi na szyi moją łuseczkę. Tak, dałem jej to, o co mnie prosiła. Pozostają Kora i Węgielek. Kora zawsze mnie rozumiała, z Węgielkiem takiego zrozumienia nie było. Całą duszą i ciałem chłonie moją translację, ale swojej duszy nie otwiera, cały czas jest w masce. Bez maski widziałem ją zaledwie kilka razy, całą we łzach i smarkach. I co ja jej wtedy mówiłem? „Nie trzeba płakać, jesteśmy smokami. Na nas patrzy cały świat”.

Oddałem temu światu dwadzieścia lat uporczywej pracy. Dziesięć ludzkich i dziesięć smoczych. Bez odpoczynku i praktycznie bez wolnych dni. Wszystkie rachunki zapłacone. Na razie tylko ja dysponuję potencjalnie niebezpieczną dla ludzkości informacją. Ja i główny komputer Zamku. Dwa-trzy rozkazy – i komputer zapomni o wszystkim. Naciśnięcie guzika – i z mojego laboratorium nic nie zostanie. Ale ja nie zapomnę. Czy ciekawe jest życie w świecie, w którym nic nie możesz zmienić? Wszystko jest mirażem, jednym z mnóstwa miraży…

Do diabła, sam sobie przeczę! Jak to nie można zmienić, jeśli przez całe swoje świadome życie tym właśnie się zajmowałem? Jeśli sąsiednie światy są tak podobne do mojego, to zmiana w moim odbije się analogiczną zmianą w sąsiednich. To znaczy, że jednak mogę wpływać na losy kilku światów! Trzeba tylko pracować w swoim świecie, a nie macać po innych. Nie trzeba się śpieszyć z grzebaniem siebie za życia, jak mówił Hemingway. Może i rzeczywiście nie trzeba? Załamię się ja, załamią się smoki w sąsiednich światach. Łańcuszek domino. Jedna kostka upadła, zwaliła następną, ta następną… aż runęły wszystkie.

Budzi się we mnie złość. A może to głód albo duma gatunkowa? O nie, ja nie jestem kostką domina, Zerwę ten łańcuszek! Jestem smokiem!

Idę do łazienki, patrzę w lustro. Osiołek Iya-Iya powiedziałby: „Żałosny, rozdzierający duszę widok”. W przekładzie na ludzką terminologię – żul, włóczęga, żebrak. Idę pod smoczy tusz. Nie sądźcie, że to odmiana ludzkiego, smoczy sam wymyśliłem! To odmiana piaszczarki. Wkładam ochronne okulary, na pysk coś a la respirator. Przez pięć minut osiem manipulatorów obrabia łuski w strugach piasku. Przechodzę do sąsiedniej kabiny, zdejmuję „respirator”. Ta przypomina myjnię samochodową. Strugi wody, okrągłe szczotki. W porządku. Teraz – do basenu. Zmyć pianę i dla przyjemności. Wyłażę, otrząsam się, suszę się w strugach gorącego powietrza. I już zupełnie inaczej się prezentuję. Łuska błyszczy, mieni się perłową zielenią. Kryzys minął. Jestem piękny, mądry, pełen energii. I nawet wesoły. Chce mi się jeść… Ale najpierw muszę pogodzić się z Bakiem.

Wierny Bak też nie jadł dwie doby. Jak gospodarz głoduje, to i on. Zadowoleni jeden z drugiego jemy kolację. Specjalnie nie poszedłem do jadalni, tylko zamówiłem posiłek do laboratorium. Z doświadczenia wiem, że po długim głodowaniu zachowuję się przy stole jak świnia. I Bak też. Zdjął mi z widelca parówkę. W odwecie zjadłem jego rybkę. Jako człowiek nie znosiłem ryb, a już surowych…A jednak smakowało!

**SEKOND**

– Odrobinę wyżej. Stop. Tak trzymaj!

Sandra wbiła w ścianę dwa gwoździe, po czym obie z Kałużą delektowały się rezultatem. Ściana naprzeciw okien w sypialni Szrama była teraz obwieszona bronią. Długi miecz, dwa skrzyżowane krótkie, lanca, kilka noży – zwykłych i do rzucania.

– Nie – powiedziała po chwili Sandra – Te dwa noże trzeba będzie usunąć. Powiesimy je w moim pokoju. A tu powiesimy kuszę.

– Pani, coś ty? Jak gospodarz zobaczy w twoim pokoju broń, to ci ręce odrąbie i ześle cię w baraki. Będziesz całe życie kręcić kołowrót, pompować wodę.

– Głupia jesteś, popatrz na ścianę – pięknie?

– Bardzo.

– Jeśli w moim pokoju będzie wisiał tylko mój miecz, to będzie broń, a jeśli cała ściana będzie obwieszona bronią, to dla piękna, rozumiesz? Przejście ilości w jakość. No a jeśli Szramowi nie będzie się podobało, zdejmiemy.

Kałuża się roześmiała. Z sieni dobiegł stuk laski, wszedł Rozumek, usiadł przy stole.

– Dziewko, podejdź no tutaj. – Wziął Sandrę za podbródek, uważnie obejrzał ślad po biczu na policzku. – Pokłóciłaś się z matką? Oj aleś ty ryzykantka.

– Nie słuchała mnie. Teraz słucha.

Tu starzec zobaczył broń na ścianie. Ze zdumieniem podniósł brwi, podszedł obejrzał i obmacał każdy przedmiot.

– Stal zła, ostrzenie okropne. Nadaje się tylko do straszenia norików.

– Sama to wiem. – Sandra zwiesiła głowę. – Poprawiłabym, ale nasz kowal powiedział mi, że mam dwie lewe ręce. Ale to tu przecież wisi dla ozdoby.

– Broń – dla ozdoby? Chyba pozostałem w tyle za życiem. Nie rozumiem nowych pomysłów. – Starzec wrócił do stołu. – No, więc jak tam było u was z matką?

– Nie słuchała mnie, więc ją pobiłam. Teraz mnie słucha.

– Pobiłaś matkę? Szkoda, że tego nie widziałem. Kret mówił, że zerwałaś zamek z łańcucha. Nie wierzyłem mu, ale teraz wierzę. A nie okaleczyłaś matki?

– Nie, tylko włosy jej obcięłam.

– To dobrze. W przeciwnym razie Szram musiałby zapłacić. Ale strzeż się. Matka spróbuje się zemścić. Aha, a kto ci tak krótko obciął włosy?

– Ja sama. Wcześniej miałam po pas, ale nie mieściły się w hełmie skafandra.

– Dziewczyna nosi hełm wojownika. Tylko wodzowie klanów w czasie pokoju mają prawo nosić hełmy.

– Panie, ja nie jestem wojownikiem. Nawet na komandosa nie zdałam zaliczenia. A hełm u nas może nosić każdy, to nie ma nic wspólnego z walką.

– Kto to są komandosi?

– Coś w rodzaju wojowników, tylko że…

– Mógłbym się sam domyślić. Dziewczyna strzyże włosy, nosi hełm wojownika, naprawia broń i obwiesza nią ściany domu. Potrafi schować się w szczerym polu przed doświadczonymi tropicielami. A przy tym cicha, posłuszna i uprzejma. Nie bezczelna amazonka, a najzwyklejsza dziewczyna. Po prostu wy tak żyjecie. W starym języku to się nazywa modał… moduł…

– Modus vivendi?

– O właśnie! Modus vivendi. Styl życia. Mówiłaś, że przybyłaś z kraju naszych przodków?

– Tak, z Ziemi.

– Według przekazów, tam były straszne bitwy. Nasi ojcowie cofali się i cofali, dopóki nie przenieśli się na Sekon, spaliwszy za sobą mosty. Teraz rozumiem, dlaczego odeszli stamtąd.

– Nie trzeba tak o nas myśleć. Nie żyjemy tak źle, jak pan sobie pomyślał. Od trzystu lat u nas nie było wojen.

– Dziewczynko, kiedy widzę odcisk kopyta na ścieżce, od razu mam przed oczami całe zwierzę. Przyznałaś się, że nie nauczyłaś się ostrzyć mieczy, kowal klął cię za to. My nie uczymy kobiet ostrzyć broni, żadnej i nigdy. Dzięki Bogu, nasze kobiety nie wojują. Wystarczy nam wojowników-mężczyzn. U was nie było wojen od trzystu lat. U nas ostatnia wojna zakończyła się pięćset lat temu, kiedy koczownicy spalili kilka miast na zachodzie. Nie twierdzę, że żyjemy w pokoju, ale do was nam daleko. Przecież nie będziesz mnie zapewniała, że tylko ty jedna jesteś taka wojownicza.

Sandra zuchwale podniosła podbródek, ale wspomniała zaliczenie na komandosa i zaświadczenie „Słuchała” zamiast dyplomu, poczerwieniała i spuściła oczy. Rozumek poklepał ją po ramieniu.

– No-no, nie obrażaj się. Każdy kwaklik swoje błoto chwali. Nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Szram mówił, że go nie oszukiwałaś. Tak było?

Sandra poczerwieniała jeszcze bardziej. Nie chciała ani kłamać, ani powiedzieć prawdy.

– Oszukiwałam. W pościeli. Tu. – Wskazała siniak pod okiem. Staruszek roześmiał się.

– Nie będę pytał, o czym wtedy mówiliście. Ale przedtem powiedziałaś, że kłamią słabi, a silni nie. Z tego wnioskuję, że uważasz się za silniejszą od Szrama, czyż nie tak?

Sandra siedziała pąsowa jak pomidor, gryzła wargi i nie wiedziała, gdzie podziać oczy.

– Nie odpowiadaj, powiedz tylko, czy życzysz mu źle czy nie?

– Nie wiem – odrzekła Sandra i rozpłakała się.

– W każdym razie szczerze – powiedział w zamyśleniu Rozumek. – Weź jednak pod uwagę, że on wyciągnął ciebie z zera, nie spał trzy doby. No i zostawił obrożę.

**ZIEMIA**

Problemy zero-fizyki zostawiłem na później. O ile w ogóle kiedykolwiek do nich powrócę. Teraz zajmuję się czym innym. Gdy zajmowałem się jednokomorowym zero-t, pojawiło się kilka bardzo ciekawych pomysłów z zakresu grawilokacji i grawitacyjnej tomografii. Dobrze byłoby także znowu zająć się biograwami. Zmiana zajęcia to najlepszy odpoczynek. Teraz jestem grawifizykiem. Powtarzam całą teorię od podstaw. Bak znów się na mnie obraża. Za mało czasu mu poświęcam. Ma rację. W ciągu trzech dób chodziłem z nim po powierzchni trzy godziny. Ale pozostałym nie poświęciłem w ogóle ani minuty. Ot, parę zdań przy posiłku. Skrzydło odrasta mu wolniej niż powinno według prognozy komputera. Widocznie w naszych rybach brakuje mu jakichś specyficznych witamin. W przeciwnym razie nie szczypałby trawki na łączce.

Połączyłem się z Anną. Wygląda kiepsko. Cała jakaś nerwowa, roztrzęsiona. Zapytałem, o co chodzi, odpowiedziała „Nie przejmuj się. Szczurza wojna przy karmniku”. W kilka minut później zadzwoniła sama.

– Mistrzu, nie będziesz miał nic przeciw temu, żebym ci przyprowadziła wycieczkę?

– Nie ma problemu. Tylko uprzedź mnie pół godziny wcześniej. Wyłączę całe wyposażenie, żeby czegoś niechcący nie wysadzili.

– Więc zrobimy mały teatrzyk. Zapamiętaj swoją rolę. Jesteś zbzikowanym uczonym. Nic oprócz nauki ciebie nie interesuje. Jesteś uprzejmy do natarczywości i starasz się porazić ich swoimi odkryciami. Im więcej wzorów i niezrozumiałych terminów, tym lepiej. Jeśli zdołasz im coś wyjaśnić, będzie dobrze, ale jeszcze lepiej będzie, jeśli będziesz długo wyjaśniać, ale oni nic nie zrozumieją. Poradzisz sobie z tą rolą?

– No, to łatwe.

– Aha, najważniejsze, żebyś wdzięcznie „pachniał”. Jeśli cię nie zrozumieją, leciutka obraza i odrobina niezadowolenia. Ale tylko odrobina. Albo wydzielaj razem ze słowami. Potrzebne mi jest, żebyś był jednakowy w słowach i w emocjach. Dasz sobie radę? To bardzo ważny spektakl.

– Anno, co się dzieje?

– Dzieje się to, co ma się dziać. Ale stabiliści w Synodzie zaczęli się tego domyślać. Teraz męczy ich prawne pytanie: kto właściwie jest u władzy? Niech po staremu myślą, że oni. Postanowiłam pokazać im widzialną część kry. Głównie szkoły, internaty, a także ciebie i twoją kompanię. O wszystkich nowych bazach nie muszą wiedzieć, ale Zamek i bunkier Władców trzeba pokazać im w pełnej krasie.

– Zrozumiałem. Nie budowała ich Anna, tylko Władcy. Anna tylko je zagarnęła.

– O właśnie!

– A nie dadzą nam po łapach?

– Żebyśmy tylko wytrzymali do jesieni. Wtedy już wszyscy będą pochłonięci kampanią przedwyborczą przed rotacją Synodu. Nie będą mieli dla nas czasu.

– A ty?

– A ja już znam rezultaty wyborów. Cztery mumie odchodzą na zasłużony odpoczynek, ich miejsca zajmują postępowcy.

– Anno, jesteś niebezpiecznym człowiekiem.

– Jestem wiedźmą. I oczy mam zielone. Wybacz, że odrywam cię od ważnej pracy, ale tak wyszło. Że powstała ta durna sprawdzająca komisja, to moje niedopatrzenie.

**SEKOND**

W trzy godziny po wizycie Rozumka stanowczym krokiem wszedł do domu Świntuch, złapał Sandrę za włosy i, nic nie mówiąc, pociągnął ją na ulicę.

– Kałuża, u mnie pod poduszką! – krzyknęła dziewczyna.

Na ulicy przy słupie kar zebrało się około dwudziestu mężczyzn. Wszyscy patrzyli na nią w milczeniu, ponuro. Choć wojownicy stanowili około jednej trzeciej, a resztę starcy i dorastająca młodzież, Sandra zrozumiała, że dwa noże za cholewami jej nie uratują. Świntuch podniósł ją jedną ręką za włosy i rzucił w kurz pod nogi zebranych.. Dziewczyna usiadła i rozejrzała się z zakłopotaniem.

– Pobiłaś dzisiaj prawie na śmierć matkę, obcięłaś jej włosy i wychłostałaś biczem, przyznajesz się? – zapytał Łoś.

– „Prawie na śmierć” to nie. Tylko dwa razy ją uderzyłam i cztery razy chlasnęłam. Aha, i jeszcze raz nogą w tyłek, ale to było lekkie. – uściśliła Sandra. Ślad potwierdził:

– Zgadza się. Cztery pasy na żebrach, siniak na czole i trzyma się za brzuch.

– Przyznała się – zakomunikował Łoś. – Jak ją ukarzemy?

– Groziła matce obcięciem uszu. Niech sama je sobie obetnie – powiedział ktoś wysoki, chudy i zupełnie łysy.

– Nie tak szybko, chłopcy, pomyślcie. A co powiecie Szramowi? – zapytał Rozumek.

– Powiemy wszystko, jak było.

– A co było? Niewolnica gospodarza zbiła niewolnicę baraków za zuchwałość. Zgadza się?

– Zbiła matkę!

– A co, może matka nie jest niewolnicą baraków? – Obstawał przy swoim Rozumek.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie.

– Nikt nigdy nie bił matki! – Nie chciał ustąpić chudzielec.

– Jeśli nikt jej nie bił, to widocznie wcześniej była cicha i potulna – odparował Rozumek. Wszyscy, z chudzielcem włącznie, roześmieli się, jakby powiedział coś bardzo śmiesznego, a on kontynuował: – Pomyślcie jeszcze o czymś, chłopcy. Niewolnica baraków uderzyła biczem pańską. – Wziął Sandrę pod brodę i zademonstrował wszystkim krwawy ślad na policzku. – Za to należy jej się kara.

Łoś uśmiechnął się ponuro i przyznał:

– Rozumek ma rację. Czerep, chciałeś sprawiedliwości. Przyprowadź tu matkę.

– Nie trzeba jej karać, ja już dałam jej nauczkę, ona już nie będzie – powiedziała szybko Sandra. – Wiecie co, opowiem wam śmieszną historyjkę.

– O Śmierdzącym Szakalu? Już słyszeliśmy. – powiedział Łoś.

– Nie, inną.

– Opowiadaj – rozkazał Kret.

Sandra usiadła po turecku. Wszyscy wsłuchali się, zapominając o matce.

– Pewnego razu zebrał się klan, żeby omówić ważne sprawy, jak my teraz. Nagle po ulicy ktoś przebiegł galopem. Wszyscy się oglądają – nie ma nikogo, tylko kurz po kopytach opada. Po jakimś czasie znowu: tętent, kurz i – nikogo. Młody wojownik pyta wodza klanu: „Kto to był?” – „ A, to przebiegł Nieuchwytny Lis” – odpowiada wódz. – „Naprawdę nikt go nie może złapać czy co?” – dziwi się wojownik. – „ A komu on tu jest potrzebny, do diabła?!”.

Sandra opowiadała anegdotę wyraziście, z uczuciem. Mężczyźni zamyślili się na chwilę, po czym ryknęli z zachwytem, skręcając się ze śmiechu. Dziewczyna dawno zauważyła, że naród Sekondu nie jest szczególnie inteligentny. Mężczyzn łatwo było zbić z tropu, przerzucić ich uwagę z jednego tematu na inny. Wyjątki stanowili Rozumek, Szram i może jeszcze Łoś. Tematyka rozmów nie wychodziła poza bieżącą chwilę albo codzienne potrzeby. Zupełnie nie rozumieli aluzji, półsłówek i żartów z samego siebie. Wszystko to bardzo się różniło od stylu rozmów, do jakiego przywykła Sandra, pełnego humoru, kpinek, autoironii. Podobno taki styl wprowadził Smok. Czy tak było naprawdę, nikt nie wiedział, ale Węgielek lubiła zaskakiwać rozmówcę zdaniami, które mogły mieć dwa, trzy, a czasem i cztery znaczenia, jak na przykład „Ludożerca powiedział do żony: «Dzisiaj na obiad będziemy mieli gości»”.

Kiedy tylko Sandra odeszła od mężczyzn zza rogu domu wybiegła Kałuża i poklepała się po brzuchu, gdzie pod sukienką coś się wybrzuszało.

– Obroża? – zapytała Sandra.

– Aha – odpowiedziała szczęśliwa Kałuża. – Gdyby co, podbiegłabym do ciebie i włożyłabym. Wolnej nic nie mogliby zrobić.

– Jakaż wolność w obroży? – zapytała ponuro Sandra. Kałuża nie zrozumiała.

**ZIEMIA**

Trenuję swoją rolę na Baku. Uczę się dokładnie operować emocjami. Czytam mu wykłady z grawitomografii. Jeśli czytam z uczuciem, słucha bardzo uważnie, a kiedy zaczynam chałturzyć – zabiera się do czyszczenia piór. Dobry indykator. A osiągnięcia mam niemałe. Co prawda, temat grawitomografii można uważać za zamknięty. Dla medycyny jest bezużyteczna, gdyż daje zbyt mało informacji, tylko o kształcie i gęstości przedmiotu, i to z bardzo dużym przybliżeniem. Za to grawilokacja to bardzo ciekawa, perspektywiczna rzecz, gdyż można ją połączyć z jednokomorowym zero-t. Przypadków takich jak z Bakiem już nie będzie, gdyż najpierw obejrzę świat grawilokatorem przez dwuwymiarowe kanały szczelinowe, a dopiero później, jeśli coś mnie w tym świecie zainteresuje, otworzę normalny, trójwymiarowy kanał.

Pryncypialnie grawilokacja od grawitomografii niczym się nie różni. Moje doświadczenia wymagają ogromnych mocy obliczeniowych. Zwykła historia: im słabszy sygnał, tym więcej pracy trzeba, by wydobyć zeń pożyteczną informację. Dotychczas posługiwałem się głównym komputerem Zamku, teraz postanowiłem zamówić dla siebie taki sam. Przypomniałem sobie rozmowę z Anną i zamówiłem jeszcze trzy – dla gwiazdolotów. Obliczyłem z grubsza, kiedy będą gotowe. Cztery wielkie komputery to 64 tysiące procesorów. Moja skromna chałupnicza linia produkcyjna daje najwyżej tysiąc dziennie. Dotąd wystarczało. Bądź co bądź, to pół setki cyberów dziennie. Ale teraz składy zrobiły się puste – przez Sama, który wydał rozkaz zastąpienia wszystkich procesorów we wszystkich komputerach i wszystkich cyberach na wszystkich kosmicznych bazach po kolei. I słusznie, gdyż tysiąc lat podwyższonego tła radiacyjnego może wszystko zepsuć. Ale potężny komputer jest mi tak bardzo potrzebny!

Rozkazuję wziąć połowę żelaznego zapasu – czyli piętnaście tysięcy procesorów – i przeznaczyć na moje zamówienie. Z nowej produkcji: połowa na moje zamówienie, jedna czwarta na uzupełnienie zapasów, reszta Samowi. Teraz pierwszy komputer otrzymam prawie bez zwłoki, za pięć dni. Pozostałe trzy mogą poczekać.

**SEKOND**

W baraku Sandrę powitano jak ożywione widmo – z mieszaniną strachu i nadziei. Zauważyła, że jej rozkaz został wykonany: klepisko zostało zamiecione, a wzdłuż ściany, tam, gdzie spano, leżały grube warstwy świeżej słomy. Sandra kazała Kałuży znaleźć te kobiety, które cuciły ją, gdy chorowała, i rozpalić na podwórzu ognisko. Kiedy już porządnie rozgorzało, powiesiły nad nim duży kocioł polewki, przyniesiony z domu. Polewka była zrobiona z zapasów piwnicy Szrama, więc Kałuża bardzo bała się kary.

– No, baby, szykujcie łyżki – zakomenderowała Sandra.

Wystarczyło dla wszystkich. Najadły się po uszy. W kotle coś jeszcze zostało, więc Sandra kazała babom wezwać przyjaciółki. Zanim skończyły, zrobiło się ciemno. Na niebie pojawiły się gwiazdy, Sandra przyglądała się im z ciekawością. Niebo wydawało się zarazem i znane, i nieznane. Gwiazdozbiory się zniekształciły, Niektóre gwiazdy zniknęły, inne się pojawiły, jeszcze inne przeniosły się do innych gwiazdozbiorów. Obce niebo wywoływało smutek, więc Sandra wysokim głosem zaśpiewała cicho pieśń z repertuaru Smoka:

Słońce wschodzi i zachodzi,

A w więzieniu moim ciemno.

Wartownicy ciągle chodzą,

Strzegąc okna celi ze mną.

Strzeżcie sobie, jeśli chcecie.

Ja i tak wam nie ucieknę.

Chciałbym wolny iść po świecie,

Lecz łańcuchów mych nie przetnę.

Ech, łańcuchy wy niemiłe.

Jesteście więzienne stróże..

Sam was nigdy nie rozbiję

I nikt mi w tym nie pomoże.

Dopiero, kiedy skończyła, zorientowała się, jak głęboka jest cisza przy ognisku.

Kobiety jedna po drugiej wychodziły z baraków i cicho siadały obok.

– Zaśpiewaj coś jeszcze, kochana – poprosiła siwa kobieta, ta sama, która rano zapewniała, że w barakach cuda się nie zdarzają.

– Zaśpiewaj, pani – podchwyciły inne.

Sandra zaśpiewała „Step otacza nas wokoło”. Potem „Bezludne jest nasze morze” i „Ach ty stepie nasz szeroki”. Potem kobiety śpiewały, a Sandra słuchała. Potem znowu śpiewała, sama się sobie dziwiąc, że aż tyle pamięta. W końcu przyszedł Czerep. Kobiety przestraszone zamilkły, przestały nucić, ale Sandra, nie przerywając pieśni, przywołała go gestami i przesunęła się, robiąc mu miejsce przy ognisku. Nie usiadł, ale wysłuchał pieśni do końca, bez złości zwymyślał wszystkich za siedzenie do północy i kazał rozejść się po barakach. Sandra podtrzymała jego rozkaz, obiecała przyjść następnego dnia i baby niechętnie się rozeszły.

**SEKOND, BAZA ORBITALNA**

– Za cztery dni przybędą do nas na inspekcję magister Anna, lady Terrible i inni oficjele.

– Sam, ty poważnie?

– Jak najpoważniej. Komitet Synodu sprawdza wykorzystanie środków. Lira zażyczyła sobie, żeby wszystko tutaj błyszczało.

– Ale jakim prawem?! Nie włożyli nawet srebrnika, a włażą ze sprawdzaniem!

– Uspokój się, Liwia, jesteś jak dziecko. – Kim przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach.

– Ty za to jesteś bardzo mądry. Wyjaśnij mi więc, głupiej, po kiego diabła tu się pchają?

– Uważają, że ich obowiązkiem jest kierowanie, zresztą tylko to robili przez całe życie. Myślą, że dotąd kierują całą planetą. W stosunku do dziewięćdziesięciu ośmiu procent jej mieszkańców mają zresztą rację. Pozostałe dwa procent to my.

– Więc po jaką cho…

– A taką, że oni muszą, po prostu mają obowiązek myśleć, że my też jesteśmy w pełni podporządkowani Synodowi. Że to tylko ich, Synodu, problem, jaką robotę nam zlecić. A my, cisi, posłuszni, pełni entuzjazmu pracy, zaraz tą robotę wykonamy.

– Nie rozumiem.

– Zaczekaj, Kim, ja jej to wyjaśnię – włączył się Sam. – Jeśli podporządkujemy się Synodowi, jesteśmy swoi, jeśli nie – wrogami. Zrozumiałaś? Jeśli swoi, to nas nie ruszą. Nie będą się nami interesowali. Anna jest z postępowców, ale poza tym to zwykła karierowiczka, która z powodzeniem intryguje i celuje w fotel przewodniczącego Synodu. Do tego oni przywykli rozumieją to, sami całe życie tkali intrygi. Ale jeśli jesteśmy wrogami, trzeba nas zniszczyć! Jak tysiąc lat temu? Ekonomia nie ma tu nic do rzeczy. Trzeba podrzucić im kość, więc podrzucimy. Będziemy przed nimi skakali jak pieski na tylnych łapkach. Czas i tak pracuje dla nas. To są dinozaury. Jeszcze dziesięć lat, a wszyscy powymierają ze starości.

– A niechże ich! – Liwia ze złością wydęła wargi.

– Ludzie, cicho! Dajcie mi coś powiedzieć! – Węgielek skończyła gryźć wargi i usiadła na podłodze. – Nie doceniacie niebezpieczeństwa. To bardzo poważne. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo. Synod nie powinien był w ogóle wiedzieć o Sekondzie. Jeśli tu jadą, to znaczy, że mamę zapędzili w kozi róg. Ta historia może mieć tylko dwa zakończenia.

– No?

– Albo figa, albo poleje się krew. Bardzo dużo krwi. Może nawet będziemy musieli opuścić Ziemię. Dlatego proszę was, ludzie, potraktujcie to poważnie. Niech już będzie figa.

– Właśnie! Mówimy o tym samym! – Sam uciszył się z poparcia. – Witamy ich jak paszów tureckich. Ściągamy najdroższe kurwy z Litmoondu. Patrzymy na nich jak w tęczę, obskakujemy jak pieski i chwytamy ich „cenne” wskazówki. Tydzień wytrzymamy. Jak wam się podoba taki plan?

– Sam, zwariowałeś! Kurwy na bazę?! One narobią awarii! – wykrzyknął Dick.

– Fuj, wstyd mi za was, chłopcy! – podchwyciła Sandra. – Prawda, Węgielku?

– Mama przyleci…

– Masz rację, Dick, kurwy nie – przerwał smoczycy Sam. – W takim razie zrobimy ich na kontrasty! Tam, gdzie remont, napaskudzimy jeszcze bardziej. W taki nienatrętny sposób damy im do zrozumienia, że są tu zbędni. Tam, gdzie remont zakończony, wszystko skrzy się i błyszczy. Nasze kajuty… W trzecim segmencie są odpowiednie wolne pomieszczenia.

– Te komórki?

– Właśnie. Jesteśmy skromnymi pracownikami, prawie ascetami. Gołe ściany, dwie-trzy półki z książkami, stół, dwa krzesła, szafa. Aha, żelazne łóżko i żołnierski koc. Na drzwiach kajut – nasze fotografie, żebyśmy sami nie zapomnieli, gdzie kto mieszka. Żadnych luster czy wmontowanych w ścianę mebli. Oni do tego nie przywykli, nie zrozumieją. Za to ich pokoje wyposażymy iście po królewsku. Ale tak, żeby ta rozkosz raziła. Jak aksamitny fotel pośrodku brudnej kałuży. Jesteśmy skromnymi pracownikami, ludźmi od czarnej roboty, nie znamy się na etykiecie. Liwia, to robota dla ciebie. Masz oko malarza, poradzisz sobie.

– Ważniak! Myślałby kto, że znasz się na etykiecie! Z której strony talerza leży widelec?

– Z boku.

– Żartowniś! Łyżka i nóż z prawej strony, widelec z lewej.

– Ludzie!... Mama przyjedzie i… zobaczy prom. Sam, ty chyba się tego bałeś?

– Niech to diabli!

– No to ku-ku… Wpadliśmy, cholera! – zaklęła Liwia.

– Jeszcze nie wpadliśmy. Mamy cztery pełne doby! Jak z remontem, Kim?

– Kiepsko.

– Dokładniej, Kim. Obudź się!

– Elektronika i elektryka odtworzone w pełni. Mechanizmy wspomagające w normie. Żyroskopy orientacji pracują. Główne silniki są jak nowe. Pancerz przeciw-żarzeniowy lepszy od nowego. To amoceramika, która z wiekiem jest coraz lepsza.

– A co źle?

– Cała reszta. Korpus był obliczony na dwadzieścia pięć g, a teraz rozsypie się przy dziesięciu. Zmęczenie materiału, mówiłem ci, pamiętasz? Antygrawy się nie fazują. Nie działa zaopatrzenie baków w paliwo przez zero-t, za to się w ogóle nie brałem. Baki przeciekają. Silniki manewrowe nadają się tylko na części zapasowe. SZŻ – system zabezpieczenia życia – lepiej wyrzucić i wstawić nowy. Hydraulikę trzeba wymienić. I akumulatory ledwie zipią.

– Jak to możliwe? Akumulator albo pracuje, albo pyk! – i już go nie ma.

– A tak! Możesz mi wierzyć na słowo. Jestem inżynierem w szóstym pokoleniu, czuję technikę instynktownie. Dziś pracują, a jutro zdechną.

– Twój dziadek nie znał w ogóle słowa „inżynier”.

– A co, kowal to nie inżynier?

– Niech ci będzie. Akumulatorów nie da się wymienić?

– Obecnych nie podłączysz. Produkcja takich samych zajmie więcej czasu niż mamy.

– Zaopatrywanie baków przez zero-t jest nam zbędne. Będziemy lądowali, a nie startowali. Musimy tylko wykonać manewr hamowania. Zdążysz załatać baki?

– To proste. Zdążę.

– A hydraulikę?

– Nie całą. Tylko najważniejsze. Podłączę tymczasowy system hydrauliczny. Cybery właśnie tym teraz się zajmują.

– A co jest mniej ważne?

– No, amortyzatory podwozia, manipulatory w przedziale towarowym, kompleks cumowniczy. SZŻ też nie zdążę.

– Jeśli to tylko doba lotu, to możemy posiedzieć i w skafandrach.

– SZŻ weźmiemy z kilku hermetycznych namiotów. Nie będzie ani trochę gorszy.

– Genialne, Dick! Że też sam na to nie wpadłem!

– A antygrawy dasz radę naprawić?

– Nie. Trzeba wymienić.

– A te zupełnie nie pracują?

– No, do trzech-czterech g może i będą pracowały – zamiast do dwudziestu. Nie ma jak tego tutaj sprawdzić. Pracują przecież w polu grawitacyjnym, a tu prawie go nie ma.

– Kiepskawo. Ale ja też nie siedziałem bezczynnie. Opracowałem harmonogram optymalnego zejścia. Oddzielamy się od stacji, robimy manewr hamowania. Główny silnik potem nam już jest niepotrzebny. Przez pół dnia się nudzimy. Możemy nawet przez zero-t wrócić na stację i dokończyć przygotowania do przyjęcia komisji. Perigeum przechodzimy na wysokości 140 kilometrów, hamujemy w egzosferze. Nie tracimy wiele szybkości, ale apogeum obniża się ze stu do pięciu tysięcy kilometrów. Drugie okrążenie: perigeum 130, apogeum 600. Jeśli coś będzie nie tak, korygujemy antygrawami. Okrążenie trzecie i ostatnie: po krzywej balistycznej zniżamy się do 100 kilometrów i w jonosferze, a potem w stratosferze opadamy na antygrawach, dopóki nie wyhamujemy do szybkości dźwięku. Dalej lecimy lotem ślizgowym, cały czas na antygrawach, aż do pionowego lądowania. Wtedy pas lądowniczy będzie nam zbędny, byleby był równy placyk. Przejrzałem miejsca do lądowania, na każdym z kontynentów są ich setki. Będzie dla nas ważne tylko, żeby przez pierwszy tydzień koło miejsca lądowania nie było ludzi. Potem zakopiemy się w ziemię, otworzymy podziemną bazę i nikt nas już nie odkryje.

– Jakie przeciążenia przewidujesz w tym planie?

– Nie większe niż trzy g. Korpus to wytrzyma? I od antygrawów wymaga drobiazgu – maksimum półtora g. Dadzą? – zapytał Sam. Kim w zamyśleniu podrapał się w kark.

– Półtora dadzą. I korpus trzy g wytrzyma. Kuszące, bardzo kuszące. Jak sądzisz, Dick?

– Do manewru hamującego można byłoby wykorzystać jednorazowe przyśpieszacze. Wtedy główny silnik będzie w ogóle niepotrzebny

– Chłopcy, zwariowaliście czy co? A jeśli antygrawy odmówią posłuszeństwa?

– Wtedy my biegiem do zero-kabiny i hop na stację. Dobrze, że o tym pomyślałaś, Sandy. Trzeba wcześniej nastroić kabiny na adres powrotny, żeby potem już tylko nacisnąć guzik.

– I zdjąć drzwi. To nam da dodatkowe ćwierć sekundy.

– Ludzie, a co ze mną? Ja upychałam się w kabinie dwie minuty.

– Węgielku, ty, niestety, będziesz musiała ponudzić się wraz z Sandrą przy pulpicie na ubezpieczeniu. Nie mamy żadnej średniej ruchomej komory, tylko małe.

– Chłopcy, ja się nie zgadzam. To zbyt niebezpieczne. A jeśli akumulator wysiądzie?

– Sandy, tam jest rezerwowy. Sprawdzimy je bardzo dokładnie. I włożymy skafandry. A jeśli co, to hop do komory i już tu jesteśmy. Ponurzy i zawstydzeni. Gotowi błagać cię na kolanach o przebaczenie. A ty będziesz na nas patrzyła z góry, dumna i wyniosła! No, rozchmurz się, Sandy. Dokąd to, Sandy?

– Po co ty tak, Sam? Przecież troszczy się o ciebie, nie o siebie. Ty się wygłupiasz, a ona będzie płakała w poduszkę.

– Liwka, ja nie chciałem… Ona jest po prostu beksą i asekurantką.

– I dzięki temu zawsze wracasz z każdej wyprawy żywy.

– Dość tego! Głosujemy.

– Bez Sandry?

– Ona jest przeciw. Kim? Liwia? Dick? Węgielek?

– Ja się wstrzymuję. Gdybym leciała, głosowałabym za, a w ogóle to straszna awantura. Na takim szmelcu… Sandy ma rację.

– Trzy za, dwa przeciw. Węgielek się wstrzymuje. Za trzy dni startujemy. Liwia, idź i zakomunikuj o tym Sandrze.

**SEKOND**

Zrobienie kuszy zajęło cały dzień. Strzały wyszły krzywe i nierówne. Sandra wypróbowała kuszę za domem. Biła mocno, ale niecelnie. Kałuża z jakichś powodów nie przyszła, za to przyszedł Rozumek, a zaraz po nim zajrzał Kret. Sandra chciała ich poczęstować zupą, ale odmówili, wypili tylko po kuflu wina z beczki w piwnicy. Znaleźli kupę błędów w kuszy, po czym Kret obiecał poznać Sandrę z kowalem. Dziewczyna opowiedziała kolejną anegdotę o Indianach i kowbojach, nieco zmieniając imiona występujących w niej osób.

– Opowiedz coś jeszcze – poprosił Kret.

– Jutro – zaśmiała się Sandra.

Do kuźni poszli wszyscy razem. Rozumek powiedział, że chce zobaczyć, jaką jeszcze sztuczkę wytnie Sandra.

Kowala nie było. Dwaj jego synowie kuli zawiasy do wrót spichlerza. Pomagały im dwie potężnie zbudowane kobiety, gołe Sandra przeraziła się, gdy zobaczyła, że obie mają obcięte piersi. Niedługo przyszedł kowal, niosąc na ramieniu ciężką żelazną belkę.

– Co baba robi w kuźni? – ryknął zamiast powitania – Won stąd, albo wyrwę ci cycki!

Sandra szybko wybiegła z kuźni i stanęła metr od drzwi. Kowal położył belkę na ziemi.

– Uważaj z nią, Zawer. Niby mała, a matkę rozłożyła w dwa ciosy – uśmiechnął się Kret.

– Więc to ty zrobiłaś ten wczorajszy skandal? – Kowal podszedł do Sandry, obrócił ją za ramiona i obejrzał ze wszystkich stron. Potem szarpnął ją za włosy i uważnie obejrzał wyrwany kosmyk. Krzyknęła i odskoczyła jeszcze o metr. – Czarne. – Zdziwił się. – Naprawdę czarne, nie barwione. Więc jaką sprawę macie do mnie? – zwrócił się do Rozumka i Kreta.

Rozumek usiadł na ławce, odłożył kostur.

– Dziewka chce z tobą mówić. To ona ma sprawę. My z Kretem przyszliśmy tylko posłuchać. Ona jest bardzo zajmująca.

– Czyżby? – zdziwił się kowal. – Szram ją przysłał?

– Sama przyszłam, panie.

– A kto mi zapłaci za pracę? – Kowal cały czas zwracał się do Rozumka, ignorując Sandrę.

– To prace społeczne. Remont baraków. Nie wiem, kto tu płaci za prace społeczne – przyznała się Sandra.

– Barakami zajmuje się Czerep.

– Prace społeczne powinni wykonywać wszyscy. Nie można wszystkiego zwalać tylko na Czerepa. Trzeba mu pomóc.

– Kiedy Czerep do mnie przyjdzie, pomogę mu. A co tobie do tego?

Rozmowa zaszła w ślepą uliczkę. Trzeba było zmienić taktykę.

– A niech cię diabli! Mówiono mi, że nie dasz nawet śniegu w zimie. – Sandra ze złością splunęła na ziemię. – Nie wierzyłam. Teraz się upewniłam. To nic, obejdzie się bez łaski. Otworzymy własną kuźnię.

Kret roześmiał się.

– A kto tam będzie pracował? Ty? – Kowal uśmiechnął się z poczuciem przewagi.

– A choćby nawet ja! Zaopatrzymy fort w normalne podkowy. Na Boga, tak skandalicznie wykonanych, jak twoje, nie widziałam jeszcze nigdy.

Rozumek mrugnął porozumiewawczo do Sandry.

– Zawer, nie zadzieraj nosa. Ona nie mówi po próżnicy. Możesz ją zresztą wypróbować.

Kowal spojrzał ze złością na synów i zaklął. Ci spuścili oczy.

– Dobrze. Jeśli nie zdoła wykuć podkowy, postawię ją na noc gołą przy słupie kar.

– Tak nie można, Zawer. Ona nie jest twoja.

– Nie prosiłem jej tutaj.

– Chwileczkę! A jeśli wykuję podkowę? – zapytała Sandra.

– Będziesz spała w domu.

– Aleś ty chytry! Mam dla ciebie pracować za darmo? Guzik!

Kret i Rozumek się roześmiali. Rozumek powiedział:

– Dziewka ma rację. Chcesz wszystko dla siebie, a jej nic. To nie jest uczciwe, Zawer.

– No dobrze. Więc czego ona chce?

Sandra wyliczyła. Kowal otworzył usta, Kret wytrzeszczył oczy, a Rozumek zachichotał.

– Przecież to nie dla mnie, tylko dla wszystkich – zaczęła usprawiedliwiać się Sandra. – Czy nie trzeba zrobić w barakach podłogi? Trzeba. Trzeba wyciąć nowe okna. I zamontować podwójne ramy przed zimą. Lepiej byłoby od razu budować nowe baraki, ale to może poczekać do przyszłego roku.

– Skąd ci wezmę deski? – zdziwił się kowal.

– Deski zdobędziemy same. Zrobimy pilarkę ramową i napiłujemy. Potrzebujemy pił, siekier, młotków, gwoździ, okuć.

– My – to znaczy kto?

– No, baby z baraków.

– A skąd weźmiecie bierwiona?

– Z lasu.

– Kto was puści do lasu? I to jeszcze z toporami?

– Panie, niech cię o to głowa nie boli. Zatroszczę się o to.

Rozumek znowu się roześmiał:

– Zawer, nie sądź ją po posturze. Ta mała zupełnie niedawno nosiła hełm wojownika – włosy jej jeszcze nie odrosły. Nie widziałeś, czym ona się zajmuje w domu: od rana do wieczora produkuje broń i rozwiesza ją na ścianach.

– Kto jej pozwolił?

– Szram, a któżby inny. Kazał mi strzec domu.

Kowal spojrzał na dziewczynę z autentycznym zainteresowaniem. Sandra spuściła wzrok i poczerwieniała: co to jeszcze będzie, kiedy Szram powróci?

– Idź do kuźni, pokaż, co potrafisz. Potem porozmawiamy.

Dziewczyna podbiegła do progu, zatrzymała się niepewnie.

– Mogę?

– Możesz, pókim dobry. Tylko nie obnażaj cycków. To kuźnia, a nie… wiesz, co.

Wbiegła do środka, starannie wybrała narzędzia, przymierzyła młot do ręki. Nie bała się zadania. Akurat podkowy były jedynym, co wychodziło jej lepiej niż Kimowi. Ojciec Kima, kowal, uczył pracować z żelazem wszystkich chłopców, a nie odganiał i chętnych dziewczynek. Nauka zawsze zaczynała się od podków – i dla większości na tym się kończyła.

– Panie, rączka za gruba. Może ostrugam ją do ręki?

– Ja ci tu ostrugam! Najlepszy strument mi zepsujesz!

Sandra uśmiechnęła się, włożyła skórzany fartuch, podrzuciła węgielki, kiwnęła kobiecie przy palenisku. Ta zaczęła pompować powietrze. Zabuzował płomień.

– Uczcie się, nicponie, jak się pracuje! – kowal obmacywał i głaskał podkowę spracowanymi rękami. Synowie milczeli zawstydzeni. Podkowę puścili w koło, porównywali z innymi ze skrzyni przy drzwiach. Zmęczona Sandra usiadła na progu.

– Ty, dziewko, tego, chcesz do mnie? Ile Szram zażądałby za ciebie?

– Nie warto, Zawer. Łoś dawał za nią dwanaście konaków. Szram nie oddał – odrzekł Kret.

– Gdybym taką dostał, też bym nie oddał – westchnął kowal.

Sandra podniosła się ospale.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę już uciekać, krowę doić, a potem zajrzeć do baraków. Jutro przyjdę, dobrze? – Pobiegła do domu, potem zorientowała się, wróciła i zdjęła fartuch.

**ZIEMIA**

Dostałem pierwszy komputer i od razu załadowałem go po brzegi. Buduje trójwymiarowe modele według danych grawilokatora. Niestety, czarno-białe albo w umownych odcieniach. Na podstawie gęstości materii nic nie można nic powiedzieć o jej kolorze i przeźroczystości. Za to można rozkazać komputerowi, żeby pokazał jako przeźroczysty każdy materiał, jeśli jego grubość nie przekracza dwu-trzech milimetrów.

Nie mogę powstrzymać się od drobnego chuligaństwa. Koło jadalni odgradzam brezentem połowę szerokości korytarza i ustawiam tam aparaturę grawilokacyjną, a na obu końcach brezentowego tunelu – po wielkim ekranie. Sam zaszywam się w pokoju i obserwuję na monitorze, co się dzieje. Oto do tunelu wchodzi dziewczyna. Dziwi się, zagląda za brezent. Patrz sobie, patrz. Nikogo u nas nie zdziwi elektroniczna aparatura. Idzie tunelem. Na obu ekranach – ona sama, w przeźroczystym jak szkło ubraniu. Ale widzów nie ma, a z tunelu ekranów nie widać. Pierwsza rybka się urwała. Ale oto do tunelu wchodzi inna dziewczyna, a zaraz po niej, z drugiej strony, chłopiec. Znowu się urwało? Nie. Dziewczyna po przejściu tunelu ogląda się i widzi chłopaka na ekranie. Czerwienieje i zakrywa usta dłonią, ale nie odchodzi. Pierwsza rybka się złapała.

Po pięciu minutach przy obu ekranach na końcach tunelu tłoczy się już po dziesięcioro ludzi. Każdą nową ofiarę, wchodzącą do tunelu, witają radosnym rykiem. Ofiara nic nie rozumie. Kiedy podchodzi do tunelu, ekran jeszcze jest pusty, a kiedy wychodzi, już jest pusty – jeśli do tunelu nie wchodzi akurat kolejna ofiara. Od czasu do czasu ktoś z widzów, zakrywając dłońmi intymne części ciała, przebiega na drugą stronę tunelu, żeby podzielić się wrażeniami. I nagle w dalszym końcu korytarzu pojawia się Anna. Rzeczywisty członek Synodu, Anna. W pośpiechu zmieniam ustawienie. Anna przechodzi tunel nie tracąc dostojności, w zwykłym, nieprzeźroczystym ubraniu. Dogania ją Lira. Ta przed wejściem spojrzała na ekran, przebiegła oczami po twarzach, przyśpieszyła kroku. Po przejściu tunelu obie zatrzymują się koło drzwi stołówki, o czymś rozmawiają. Włączam znowu przeźroczystość.

– U-u-u – ktoś przeciągle wzdycha. – Na kierownictwo to nie działa.

– Co nie działa? – pyta zaciekawiona Lira

– Striptizator.

Akurat do tunelu wchodzi kolejna ofiara – chłopiec. Lira czerwienieje, chmurzy się. Anna ogląda z filozoficznym spokojem. Podchodzi, zagląda za brezent.

– Jak myślisz, co to może być? – pyta.

– Zwykłe odtworzenie komputerowe – odpowiada ze złością Lira.

– Nie sądzę… Tu jest jakaś aparatura. Temu młodzikowi na ekranie z uszu zostały tylko płatki i obwódki. Oczy ma ślepe jak rzeźba, nie ma włosów na głowie. I obraz czarno-biały.

– No to nie wiem. Ale jak się dowiem, kto to zrobił – wyrzucę.

– Jeśli w tym świecie dzieje się coś niezwykłego – mówi Anna – to znaczy, że gdzieś niedaleko jest Smok. Mistrzu! Wychodź! My do ciebie.

Wyłączam aparaturę i wychodzę. Że też musiały tak pojawić się nie w porę! Ale ciekawe: Lira czerwienieje jeszcze bardziej.

– Widzę, że przygotowałeś się na nasz przyjazd – wita mnie Anna. – Wyjaśnij, co to jest.

– Oczywiście, grawitomograf. Ostatnie słowo nauki i techniki.

– Efektowne. Ale w komisji nie wszyscy zrozumieją. A mnie też „rozebrałeś”?

– Ciebie nie, a mnie – nie wiem – komunikuje Lira.

– Lira! Po tylu wspólnie spędzonych latach – jak mogłaś pomyśleć – odpowiadam, wypuszczając, bardziej dla treningu, lekką obrazę.

**SEKOND**

Po drodze do baraków Sandra dokonywała podsumowań. Plus – Kret, Rozumek, kowal, babcia Katty i prawie wszystkie kobiety z baraków. Minus - Czerep i matka. O Szramie nie chciało jej się myśleć. Pełne wiadra ciążyły jej w rękach. W jednym było świeże mleko, a w drugim – kwaśne. Kiedy minęła dom mężczyzn, usłyszała krzyki i przekleństwa. Postawiła wiadra na ziemi i pobiegła w kierunku głosów.

Za barakami kobiety… biły się. Wszystkie przeciw wszystkim i każda dla siebie. Walczyły zażarcie, zapamiętale, nie szczędząc ani siebie, ani przeciwniczek.

– Przestańcie! – zawołała Sandra, ale nikt jej nie usłyszał.

Wsunęła do ust dwa palce i spróbowała gwizdnąć, ale zamiast gwizdu wyszedł jej syk. Parę razy mrugnęła i spróbowała ponownie. Znów syk. Zaklęła, nabrała w płuca dużo powietrza, zacisnęła drugą rękę w piąstkę i wreszcie gwizdnęła. Długo i przenikliwie. Baby oglądały się na nią i zamierały przestraszone. Bójka się skończyła. Niektóre próbowały się schować.

– Cicho! – zakomenderowała Sandra. – Stać! Kto zaczął?

Zaczęły matka i… Kałuża. Sandra postawiła je obok siebie twarzą do ściany i porządnie przetrzepała im plecy nowym biczem matki, starając się dzielić uderzenia po równo. Przypomniała sobie o wiadrach, wysłała po nie dwie kobiety, pozostałym kazała rozpalić ognisko. Kałuża wlokła się za nią jak pobity pies i jęczała, matka też trzymała się w pobliżu.

– Rozdzielcie mleko między wszystkich – rozkazała Sandra i usiadła przy ognisku. Wyszło po pół szklanki na każdego.

– Pani, dlaczego mnie ukarałaś? – biadoliła Kałuża. – Jestem przecież twoja.

– Ona też jest moja. – Sandra ze złością wskazała na matkę. Ta wtuliła głowę w ramiona.

– Uratowałaś mnie przed śmiercią, a ona chciała cię zabić – ciągnęła swoje Kałuża.

– Ty też mnie chciałaś zabić. Zapomniałaś czy co? A ją uratowałam wczoraj.

Kałuża umilkła. Sandra rozejrzała się i zobaczyła coś niespodziewanego. Kobiety po bójce wyglądały na podniecone, wesołe, a nawet przyjazne. Chwaliły się siniakami, zadrapaniami, rozbitymi nosami i wargami, oglądały sobie wzajemnie przerzedzone włosy.

Nieco później do ogniska podeszły niezajęte dziewczyny z domu mężczyzn. Powitały je radosne okrzyki i nieprzyzwoite żarty, ale szybko ucichły, gdyż Sandra zaczęła śpiewać. A kiedy całkiem ściemniało, do ogniska zbliżyły się trzy ponure figury, ale zatrzymały się poza granicami oświetlonego kręgu.

– Kto to? – zapytała Sandra.

– One kręcą kołowrót – odrzekła Kałuża.

Sandra poznała już całą hierarchię niewolnictwa w forcie. Największe prawa i ulgi miały niewolnice gospodarza. Po nich szły dziewczyny z domu mężczyzn. Piękne, dumne i wyniosłe. Władzy miały może nawet więcej niż niewolnice gospodarza, ale i dostawały więcej cięgów, a kiedy traciły urok, trafiały do baraków. Tam była własna hierarchia, w której za najgorszy uważano kołowrót. Była to ciężka, jednostajna praca: kręcenie od rana do wieczora ciężkiego kołowrotu pompy, tłoczącej wodę na pola. Trafiały tam kobiety, które przeżyły straszne kary wypalania oczu i obcinania palców albo całych rąk. Do kręcenia kołowrotu wystarczały tylko silne nogi, oczy i ręce były zbędne. Pracujących przy kołowrocie bano się i unikano. Nie rozmawiano z nimi, starano się ich nie dostrzegać.

Sandra zajrzała do wiader: były puste. Wysłała więc Kałużę do domu, każąc jej przynieść dwa kufle mleka z korytarza. Kiedy ta wróciła, Sandra wzięła od niej kufel i podeszła do ciemnych figur.

– Pijcie, baby. To dla was.

– Wiesz, kim jesteśmy? – zapytała z niedowierzaniem jedna z kobiet.

– Wiem. Pracujecie na kołowrocie. Pijcie mleko, ono jest dobre. Doiłam dziś rano.

Sandra wsunęła kufel w ręce jednej z kobiet, ta ostrożnie wzięła go łopatkami dłoni, u których miała obcięte wszystkie palce, podniosła do ust, wypiła pierwszy łyk.

– Mleko… Prawdziwe mleko… Tyle lat go nie piłam…

**ZIEMIA**

Wykład dla rencistów udał się znakomicie. Byli starzy, ale w większości z dobrą pamięcią i trzeźwymi umysłami. Opowiedziałem im o grawitomografii, grawilokacji, zademonstrowałem całą aparaturę. Któryś pyta:

– Jeśli mówi pan o grawitomografii, to jest i zwykła tomografia, nieprawdaż?

– Oczywiście – Prowadzę ich do sąsiedniej sali, pokazuję mały tomograf, opowiadam im o tym. Wracamy. Wylewam na publiczność żal z powodu nieczystości ekologicznej generatorów zero-t. Widocznie przesadziłem z emocjami, gdyż jeden ze starców się rozpłakał. Drugi miał pecha wyrazić wątpliwości. Zalewam ich potokiem wzorów. Wypisuję je na planszy graficznej, a komputer przenosi na ekran panoramiczny.

– Co to za znaczek w trzecim wzorze? – zapytuje jeden z nich, zupełnie łysy.

– D coś tam po d dla wszystkich współrzędnych osi od razu.

– To znaczy dla wszystkich trzech? X, Y, Z?

– Nie, dla wszystkich dwunastu. Sam go wymyśliłem.

Na oddzielnym ekranie wypisuję wszystkie wymyślone przeze mnie kwantory i symbole operacji grupowych. Teraz robię wykład już tylko łysemu. Łysy proponuje wyrzucić trzy moje znaki operacji grupowych i zastąpić je dwoma swoimi. Biegamy wzdłuż ekranów, stukamy palcami we wzory, kłócimy się. Pozostali się nudzą, ale nie zwracamy na nich uwagi. Wypisuję kilka wzorów w starej i nowej notacji. Pochylam głowę, porównuję i zamyślam się na długo. Staruszek ma rację: zapis robi się krótszy i bardziej zrozumiały. Czyżby ten pryk tak od razu z rozpędu wjechał w moją matematykę? Ja bym tam nie potrafił. Mówię mu to. Wypuszczam zachwyt, proponuję mu test na IQ. On się śmieje i zapewnia, że poprawka była czysto redakcyjna – zobaczył powtarzające się odcinki tekstu we wzorach.

Tu uchylają się drzwi, do pokoju wchodzi kołysząc się Bak i pyta:

– Herr-baty?

– Dobra myśl – pochwalam i sadzam go sobie na ramieniu.

Komisja podchwytuje i rozwija pomysł, prawie biegiem opuszcza laboratorium. Wypuszczam lekkie współczucie i odprowadzam ich do wagonika.

**SEKOND**

W nocy rozległ się dźwięk rogu. Bardzo chciało się spać po pracy w kuźni, ale takiej okazji nie można było wypuścić z rąk. Sandra szybko się ubrała, powiesiła u pasa nóż, kuszę na bandolecie zarzuciła sobie na plecy, chwyciła miecz i wybiegła z domu. Róg wciąż jeszcze trąbił krótkimi sygnałami. Po ulicy z pochodniami w rękach biegli mężczyźni. Wszyscy na południe. Narzuciła uzdę na kulawego konia, rozejrzała się w poszukiwaniu siodła, nie znalazła, wskoczyła na oklep i puściła go kłusem za pochodniami.

– Zawery na południu! Idą na pola! – krzyczał ktoś z wieżyczki.

Sandra obejrzała się. Pochodnie były już daleko przed nią. Wzdłuż granicy pól uprawnych płonął łańcuszek ognisk. Popędziła konia tam, gdzie ludzi i krzyków było szczególnie dużo.

– Co mam robić? – zapytała młodego człowieka, rozdającego coś pozostałym. Ten milcząc podał jej dwie pochodnie. Przełożywszy miecz do lewej ręki, Sandra zapaliła jedną z nich od najbliższego ogniska.

Gdzieś na przodzie rozległ się mrożący krew w żyłach zwierzęcy ryk. Odpowiedziało mu kilka cichszych.

– Zawrócić przywódcę stada! Zawrócić przywódcę stada! – krzyczano z boku.

– Gdzie cię niesie na koniu, kretynie bezmózgi?! – obrugał ktoś Sandrę, ale ona, goniąc za krzykami, mijała już koniec linii pochodników.

Nagle jej pochodnia oświetliła olbrzymią potworną głowę. Paszcza otworzyła się jak wieko walizki i rozległ się z niej ten sam potworny ryk, od którego aż skręcał się żołądek. Sandra wrzuciła wprost w otwartą gardziel płonącą pochodnię. Paszcza zamknęła się, zaległa ciemność. W tej samej sekundzie koń stanął dęba, Sandra upadła na plecy i straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, usiadła i rozejrzała się. Była po drugiej stronie łańcucha ludzi z pochodniami, więc ją tu przeniesiono. Nie mogło jednak minąć więcej niż dwie-trzy minuty, gdyż za szeregiem ludzi wciąż pojawiały się i znikały w mroku olbrzymie, pokryte łuskami ciała. Sandra wstała, znalazła drugą pochodnię, podniosła miecz i pokuśtykała do mężczyzn. Zapaliła swoją pochodnię od czyjejś. Mężczyźni rozsunęli się, ustępując jej miejsce. Teraz stała w ogólnym szeregu i mogła dokładnie przyjrzeć się zwierzętom. Były wzrostu konia, ale o wiele dłuższe i masywniejsze, przypominały hybrydę hipopotama z krokodylem.

„A przecież to roślinożercy” – pomyślała Sandra, patrząc na ich szerokie płaskie zęby.

– Koniec, można się rozchodzić. Samice przeszły – powiedział ktoś, ale inny zaprzeczył:

– Postoimy, póki nie przejdą maluchy. Jeśli się zgubią, matki będą ich szukały.

Napięcie spadło. Pochodnicy zaczęli rozmawiać, żartować. Teraz na jaszczury nie zwracano już większej uwagi niż na stado owiec.

– A kto zawrócił przywódcę stada?

– Jakiś głupkowaty pacan. W ręce miecz, na plecach kusza, Podjechał na konaku i wsadził zawerowi pochodnię do pyska. Ten aż oczy wybałuszył. – Wszyscy się roześmiali.

– Gdzie on teraz jest?

– Jestem tutaj. – odezwała się Sandra.

– Czyj jesteś? Nigdy cię nie widziałem.

– Chłopcy, przecież to dziewka Szrama!

– Będziemy sądzili teraz czy rano?

– Teraz. Po co odkładać?

– Trzeba więc wezwać Rozumka. – Chwycili Sandrę za włosy, potaszczyli do fortu.

– Chłopcy, coście wy, chłopcy..- trzepała w kółko Sandra.

To było niezgodne ze scenariuszem. Według scenariusza mieli klepać po plecach, chwalić, kląć, zachwycać się i podziwiać. A obroża – pałeczka-wykręt – została pod poduszką.

Na placu, koło słupa kar, rozpalili ognisko, posadzili Sandrę na ziemi, sami rozsiedli się dookoła. „Ja wam tu pokażę – sąd! Zrobię z waszego sądu taki spektakl, że… że…” – dziewczyna nie była w stanie dokończyć tej myśli. Było jej strasznie.

Przyszedł zły, niewyspany Rozumek, spojrzał na nią ponuro.

– Co ona tym razem narobiła?

– Nie zrobiłam nic złego – powiedziała Sandra. Graj, muzykancie…

– Nic złego? Broń na ziemię!

Sandra położyła miecz, zdjęła z pleców kuszę i kołczan ze strzałami. Odczepiła nóż od pasa. Czyjeś ręce zaczęły ją obszukiwać. Dopóki obmacywały jej ubranie, stała nieruchomo, z rękami rozłożonymi na boki. Kiedy rewizja się zakończyła, pochyliła się, wyjęła zza cholew dwa noże i położyła na stoliku. Rozległ się śmiech.

– Cicho! – zakomenderował Rozumek. – Co ona narobiła?

Opowiedzieli mu. Zamyślił się.

– Chciała uciec? – zapytał po chwili.

– Nie – odpowiedziało wiele głosów.

– Tu są dwa czyny. Ten, kto zawrócił zawera, zasługuje na nagrodę. A niewolnica, która wyszła w nocy z domu, i to jeszcze z bronią, zasługuje na karę. Co ty na to powiesz? – zwrócił się do Sandry.

– Wszystko robiłam prawidłowo. Gospodarz kazał mi strzec domu. Nie mówił, że nie wolno broni nosić w nocy, tylko, że nie wolno dotykać jego broni. To – Sandra pokazała na miecz i noże – znalazłam wyrzucone dawno na strych, a to – podniosła kuszę – sama zrobiłam.

I nagle zobaczyła, że łożysko kuszy jest popękane. Złamało się, gdy dziewczyna upadła na kuszę spadając z konia. Sandra usiadła na ziemi i rozpłakała się, przyciskając kolbę do piersi.

– Co jeszcze? – zapytał Rozumek.

– Złamała się. – Sandra podała mu kuszę, drugą ręką rozmazując łzy po twarzy. – A pracowałam nad nią cały dzień…

Kuszę puścili w koło.

– Tak, teraz nadaje się tylko do wyrzucenia – powiedział ktoś współczująco. – Zawer stanął na niej czy co?

– Nie, to ja na nią upadłam – chlipnęła Sandra. – Nie wiedziałam, że mój konak boi się zawerów. Śpieszyłam się, nie osiodłałam go. A on – dęba.

Sandra spostrzegła, że wszyscy uważnie ją słuchają i zaczęła opowiadać całą historię od początku, od chwili, kiedy obudził ją sygnał alarmowy. Mężczyźni słuchali z zapartym tchem. Wszyscy tam byli, widzieli wszystko na własne oczy, ale w opowiadaniu wydarzenia robiły się ważniejsze. Ci, o których wspominała Sandra, patrzyli dumnie na innych i potwierdzali, że wszystko było tak, jak mówiła.

Kowal przecisnął się z tylnych rzędów, usiadł obok Sandry i zaczął oglądać ostrza noży i miecza, marszcząc czoło i kręcąc głową z dezaprobatą. Sandra chwyciła go za łokieć.

– Nie klnij mnie, proszę. Sama wiem, że nie umiem ostrzyć. Nikt mnie tego nie uczył.

– Przyjdź jutro do kuźni, zobaczymy, co da się zrobić.

– Jak mogę przyjść? Przecież mnie sądzą – przypomniała mu szeptem Sandra. Zamyślił się.

– Chłopcy, tego, oto, co ja myślę. Dziewka jest głupia, ale dzielna Nie będziemy jej karali.

– Słusznie mówisz, Zawer – poparł go Kret. Zebrani zaszumieli aprobująco.

– Czyli karać nie będziemy. A nagradzać? – zapytał Rozumek. Wszyscy się zamyślili.

– Po co babie baba? – zapytał ktoś.

– Pozwólcie mi nosić broń – poprosiła Sandra.

Zaczął się spór. Podczas gdy miejscowi się kłócili, Sandra pobiegła do domu. Zostawiła tam miecz i noże, po czym, uginając się pod ciężarem i stękając, przyniosła z piwnicy beczułkę wina o pojemności czterech wiader i kufelek. Spojrzenia wszystkich skierowały się na beczułkę i spór szybko skończył się na korzyść Sandry. Kufelek puszczono w koło.

– Szram ci za tą beczułkę głowę urwie – szepnął Sandrze na ucho Rozumek.

– Urwie. I za beczułkę, i za konaka, i za całą resztę – zgodziła się. – Oj, boję się…

– A dużo ci się nazbierało grzeszków?

Sandra przejechała kantem dłoni po szyi i uśmiechnęła się poufale.

Zabawa rozkręciła się zgodnie z programem. Przyniesiono kufle, wędzone mięso, słone warzywa nieznanego gatunku, ale smaczne i pobudzające pragnienie. Potem pojawiła się druga beczułka. Mężczyźni pili i śpiewali, Sandra opowiadała anegdoty. Podstawiała swój kufeljak wszyscy, ale wylewała wino na ziemię, jeśli udawało się to zrobić niepostrzeżenie–czyli rzadko. Głosy szumiały, już nikt nikogo nie słuchał, ale wszystkim było ciekawie i wesoło.

**ZIEMIA**

Spaceruję po brzegu rzeczki z jednym z członków komisji. W przybliżeniu w tym samym miejscu, gdzie poznałem Centy, ale w innej kontynuacji. Tam otaczał polanę zadbany angielski park, tu – las z poszyciem. Dróżki nie ma, tylko ścieżka. Ale, co zdumiewające: ławeczka nad rzeką jest w tym samym miejscu. Są rzeczy, którym niestraszny ani czas, ani przestrzeń.

– Co to za melodię pan nuci? – pyta człowiek.

– Trzeci koncert Debussy’ego – odpowiadam machinalnie, po czym się zamyślam. A może nie trzeci? Może nawet w ogóle nie Debussy’ego?

– Sir Dżafar… Mogę pana tak nazywać? – Ależ on ma maniery, ale ton!

– Proszę bardzo – W myślach przymierzam na sobie frak, biały gors i muszkę.

– Sir Dżafar, proszę mi powiedzieć, ile pan ma lat?

– Przecież na pewno zna pan moje dossier.

– Tak, ale są w nim luki. Nic nie wiadomo o prawie dwudziestu latach pańskiego życia. Mam na myśli pierwsze lata pańskiego życia jako smok.

– Ja też nic o nich nie wiem. Czasem nad ranem błyskają jakieś oderwane fragmenty wspomnień. O dżunglach nad oceanem, o pokrytych śniegiem szczytach gór. Nic nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. I nie próbuję, prędzej już na odwrót. Pewnie wtedy żyłem jak zwierzę. Tak, że dokładnie pamiętam tylko czterdzieści pięć lat swojego istnienia. To są i lata ludzkie, i smocze.

– Rozumiem. Jest pan kierownikiem specjalnej ekspedycji, której zadaniem jest zadanie planety Sekond, na którą wyemigrowali nasi przodkowie.

Aha, zaczynają się pytania z podtekstami. Zgodnie z umową politykę oddaję Annie.

– Nominalnie, czysto nominalnie. Moje zainteresowania są czysto akademickie. Jednolita teoria czasoprzestrzeni. Dziesięć, najwyżej piętnaście lat intensywnej pracy – i podniosę naszą wiedzę o świecie na zupełnie nowy poziom. W najbliższym czasie mam zamiar rozpocząć budowę laboratorium w dalekim kosmosie. Rozumie pan chyba, że te doświadczenia nie zawsze są bezpieczne.

– Tak, jestem zorientowany. Ale wydaje mi się, że odchodzi pan od tematu.

Przeganiam przez siebie szybką falę różnorodnych emocji, zmieniających kolor mojej twarzy. Spektakl musi być ciekawy dla widza i zarazem zostawić miejsce dla fantazji.

– Widzi pan, jestjeszcze jeden powód. Jestem nieudacznikiem. Przypadkowo utkwiłem w waszym świecie, popełniłem mnóstwo błędów, zostałem porażony prądem, straciłem pamięć, nabrałem głupiej maniery transmitowania w eter emocji. Nie chciałbym, żeby moje błędy wpływały na los ekspedycji.

– Ale jedenaście lat temu przeprowadził pan prawdziwą rewolucję na naszej planecie. Zmienił pan jej kurs polityczny.

Uwaga! Ostrożnie! Wypuszczam z siebie wstydliwość.

– Nie trzeba przypisywać mi obcych zasług. Kiedyś interesowałem się waszą historią. Program forsownego rozwoju opracowaliście na wieki przed moim zjawieniem się tu, więc byliście do tego przygotowani. Rewolucja dojrzewała (Kłamstwo. Obliczenia Kory mówiły co innego.) i potrzebny był tylko słaby impuls, katalizator (Cha, cha, cha!), którym stała się Anna. Mnie wtedy interesowały zupełnie inne pytania: kim i skąd jestem i co robię w waszym świecie.

– Ale ona została magistrem dzięki pańskiemu poparciu.

– Nie będę przesadzał w skromności. Tak, to ja wepchnąłem ją na magistra, można nawet powiedzieć, ze siłą. Ale miałem w tym czysto osobisty cel: przerwać polowanie na smoka, które rozpętał poprzedni magister. Polityczny kurs kościoła mało mnie wówczas interesował.

– A dzisiaj?

– Daruje pan, ale dzisiaj jeszcze mniej. Przełom nastąpił, proces rozwija się w potrzebnym kierunku. Nie ma drogi odwrotu. (Chciałbym, żeby tak było). Taki przebieg wydarzeń całkowicie mnie zadowala i już nie interesuje.

– Bardzo panu dziękuję za poświęcony nam czas. Przekazał nam pan zupełnie nowe spojrzenie na pewne sprawy.

Wyjmuje z kieszeni dyktafon, demonstracyjnie wyłącza, i macha do kogoś ręką. Do nas szybko idzie Anna. Całuje mężczyznę, bierze od niego dyktafon i przesłuchuje zapis.

– Wspaniale, Mistrzu! Jesteś niezrównany! Sama jestem gotowa uwierzyć, że naprawdę tak było. Matwieju, czy dasz radę przekazać ten zapis stabilistom?

– Nic prostszego. Mieszkam w jednym pokoju z Luco Ferrachim. Dziś wieczorem przesłucham i zastenografuję zapis przy nim. Jeśli się zainteresuje, pozwolę mu przesłuchać. A rano i dyktafon, i stenogram zostawię na szafce nocnej.On jest Włochem, a Włosi są ciekawi. W ostateczności przekażemy zapis jako oficjalny dokument komisji.

Więc to ten sam Matwiej! Anna mogłaby mnie uprzedzić. Ale wtedy nie byłbym taki ostrożny w rozmowie i nie byłoby tego zapisu. Słucham jego rozmowy z Anną i już wiem, że nadciąga nowy kryzys polityczny. Będę musiał odłożyć badania naukowe do lepszych czasów i zająć się polityką. Znowu studiować nową dyscyplinę! O Boże, czy to się kiedyś skończy, czy nie?

**SEKOND**

Słońce stało już wysoko. Sandra podniosła głowę i jęknęła. „Lepiej już chyba byłoby, gdy by mnie wczoraj ukarali” – pomyślała i usiadła, opierając się o ścianę. Głowa pękała, bolały podrapane plecy, bolał prawy pośladek, stłuczony przy upadku z konia, bolało wszystko. „Dobrze, że mama mnie nie widzi. Spać na podłodze to naprawdę wstyd” – pomyślała.

Obok nogi łóżka stał gliniany kufel. Spojrzała do środka i wypiła resztkę. Na podwórzu muczała niewydojona krowa. Kulejąc i jęcząc, Sandra zajęła się gospodarstwem. Wydoiła krowę, otworzyła wrota i wypuściła ją ze stajni. Koń, który wczoraj uciekł, szczypał trawę pod płotem. Sandra pogłaskała go, na chwilę oparła czoło o jego ciepłą szyję, po czym wzięła wiadra i poszła po wodę. Przy studni mężczyźni poili konie. Ktoś opowiadał:

– …A wewnętrzny głos mówi „Zabij wodza”. Zabił. „A teraz rób, co chcesz, a ja uciekam”.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

– A, to ty, Sandy! Opowiadam właśnie twoje historyjki. Chłopcy, przepuśćcie! To ona wczoraj zawróciła zawery. Jak tam twoja głowa? Boli?

Dziewczyna postawiła wiadra na podmurówce, skrzywiła się i ospale machnęła ręką, próbując sobie przypomnieć, jak się nazywa właściciel tej nieogolonej fizjonomii. Ktoś nalał jej wody. Pod wpływem nagłego impulsu wsunęła głowę do wiadra, trzymała, dopóki starczyło oddechu, dźwięcznie wyparskała się, kręcąc włosami, resztę wody wylała na siebie.

– To całkiem po naszemu – zaszumieli z aprobatą mężczyźni.

W domu nie mogła znaleźć suchego ubrania. Przypomniała sobie, że wczoraj babcia Katty zabrała wszystko do prania i naprawy. Musiała chodzić w mokrym.

Napoiwszy krowę i konaka, dziewczyna udała się na poszukiwania beczułki po winie i właściciela glinianego kufelka. Kufelek oddała zagniewanej kobiecie w obroży, przeprosiła ją, ale ta i tak sklęła ją, na czym świat stoi. Znalazła beczułkę i zmartwiła się jeszcze bardziej. Beczułka była zbiorem części: dwa denka, dwie obręcze i bardzo dużo klepek. Ktoś na niej usiadł i rozwalił. Sandra zebrała wszystkie klepki w naręcze, zaniosła do domu i spróbowała złożyć. Nie wyszło, nie starczyło rąk i doświadczenia. Splunęła ze złością i poszła do kowala.

Po drodze spotkała Kałużę. Ta odwróciła się i chciała przebiec obok. Sandra chwyciła ją za rękę i obróciła do siebie zapłakaną twarzą.

– Kto cię obraził?

– Dziewczyna ci się wczoraj należała na noc. Myślałam, że weźmiesz mnie z baraków do domu, a ty wybrałaś nożyk na pasku. – Wyrwała się i uciekła.

– A, to ty, Sandy – powitał ją kowal. – Cały ranek myślałem o twoim pomyśle. To jest zły pomysł, szkodliwy. Z pozoru dobry, a jak głębiej pomyślisz – zły. No i bab szkoda.

– Jaki pomysł? – Nie zrozumiała Sandra.

– Zrobić wietrzny kołowrót, żeby pompował wodę. Zrobić łatwo. Zacząłem już szukać odpowiedniego drewna. Ale Rozumek zapytał: no dobrze, a gdzie podzieją się baby?

– Jakie baby?

– Te, które teraz kręcą kołowrót. One przecież nie nadają się do niczego innego. Jedne nie mają oczu, inne rąk aż po łokcie. Trzeba byłoby je zabić. A z pozostałymi jeszcze gorzej. Teraz boją się kołowrotu, a wtedy nie będą się bały niczego.

Sandra jęknęła, usiadła na progu, złapała się za głowę.

– Następstwa socjalne rewolucji technicznej. Tom pierwszy, rozdział czwarty – wymamrotała. – Likwidacja miejsc pracy, bezrobocie, zabezpieczenie zatrudnienia. Myślałam, że to czysta teoria. O Boże, co mam z tym zrobić?

– Napij się rosołu – poradził kowal.

**SEKOND. ORBITALNA**

Przygotowania do startu przebiegały w gorączkowym pośpiechu. Kim, umorusany jak kominiarz, w wielkich okularach stereo połączonych z monitorem komputera, sam osobiście sprawdzał każde połączenie, każdy nit, zaspawany przez cybery. Podłoga dookoła promu była brudna, mokra i śliska. Hermetyczność baków sprawdzali przez wlewanie do nich wody pod ciśnieniem trzech atmosfer, po czym po prostu wylewali ją na podłogę. Dick kończył montaż bloków SZŻ, wyjętych wraz z zawartością z hermetycznych namiotów: trzy w kabinie, trzy w salonie na dziobie, dwa na rufie. Podłączył do sieci energetycznej statku, chcąc sprawdzić.

– Nie, nie tak! – sprzeciwiła się Sandra. – Włącz od akumulatorów autonomicznych.

– A jaka to różnica?

– Dick, proszę cię!

Dick poszedł do składu i wkrótce powrócił z Węgielkiem. Smoczyca wlokła po podłodze kontener z akumulatorami. Dick otworzył go, wyjął fabryczne opakowanie z dziesięcioma akumulatorami i powtykał je głowicami do gniazd podładowania.

– Dick, nabijasz je od akumulatorów promu?

– Nie, to energia ze stacji idzie po kablu. A co, bałaś się, że zostawimy prom bez prądu?

– Aha – Sandra zaczęła rozpakowywać i wtykać w gniazdka pozostałe akumulatory.

– Chcesz wszystkie nabić? Ich tu jest pół setki.

– Mogą się przydać. A dlaczego nie możemy tak nabić akumulatorów promu/?

– Zwariowałaś?! Od razu wysiądą! – krzyknął Dick, ale z nowymi zaczął jej pomagać.

Gdy podłączyli ostatni, w podłodze otworzył się luk, z którego wyszedł Kim. Przesunął okulary-monitor na czoło i zapytał:

– Koledzy, nic tu nie robiliście? System energetyczny stacji jest przeciążony.

– Nabijamy akumulatory. Usunąć część? – spytał Dick. Kim nasunął okulary, zamruczał:

– Energosystem. Monitoring. Grafik. Prognoza. – Podniósł okulary i powiedział normalnym tonem – Nie, niech stoją. Tylko nie włączajcie nowych. – I znowu zniknął w luku.

– Dick, dlaczego on te okulary cały czas przesuwa w górę i w dół? – zapytała Sandra.

– Bo kiedy okulary są opuszczone, komputer „myśli”, że Kim mówi do niego i próbuje wszystkie jego słowa traktować jako polecenia.

– No i co z tego?

– A to, że może wyjść coś zupełnie nieoczekiwanego. Komputer to mądry chłop, ale i głupek. Przypuśćmy, że Kim powie do ciebie „Odczep się”, a komputer weźmie to na swój rachunek i coś odczepi, wyłączy. A potem będzie bardzo bolało.

Dick poszedł sprawdzać komputer nawigacyjny. Sandra złapała Sama w składzie przy wybieraniukontenerów do załadunku. Omówili kolejność ładowania i, po zmniejszeniu ciążenia do jednej czwartej ziemskiej, zaczęli ładować. Węgielek taszczyła kolejną kabinę zero-t albo kontener do ładowni, Sam z Dickiem nitowali je do podłogi i ścian, a Sandra zdejmowała drzwi zero-kabin, układała je na stos, zwierałaczujniki stanu drzwi, po czym uruchamiała test autodiagnostyki.

– Sam, przekaż Kimowi, żeby sprawdził komory zero-t– powiedziała Sandra. Sam włożył głowę do luku i powtórzył to krzykiem.

– Dobrze-e-e! – odezwało się głuche echo z głębi promu. – Te akumulatory też trzeba doładować. Luk E-2. Po dwieście do każdego.

Sam wyskoczył z promu, znalazł na nim luk oznaczony E-2, otworzył jego klapę.

– Węgielku, pomóż – zawołał i wspólnie ze smoczycą wyciągnęli koniec kabla grubości ręki i podłączyli. Sam coś wybrał na przenośnym pulpicie. Powtórzyli to z sąsiednim lukiem.

– Sam, a dwieście to nie za mało? Może dwieście pięćdziesiąt? – zapytała Sandra.

– Uspokój się, Sandy. Dałem po czterysta. Ten zapas nie obciąży naszej kieszeni.

Przybiegła Liwia, wypytała, jak idzie załadunek, i powróciła do przygotowywania stacji na wizytę komisji. Dick rozłożył na podłodze osiem skafandrów, sprawdził każdy, jeden odrzucił. Chciał je schować, ale do sprawdzania zabrała się Sandra.

– Już sprawdziłem. Nie dowierzasz mi czy co? – obraził się Dick.

– Nie marudź.Sandy wie, co robi – rozległ się z luku towarowego głos Sama.

Sandra pokazała Dickowi język, cmoknęła go w policzek, żeby się nie obraził, dokończyła sprawdzanie, pomogła wynieść skafandry i rozwiesić je po szafach na promie.

Po godzinie z luku wyszedł Kim, ssąc otarty palec.

– Sam, najważniejsze już skończyłem. Jak tylko napełnimy zbiorniki, możemy lecieć.

– My z Dickiem też już kończymy. Wprowadzamy program lotu do autopilota i wszystkie punkty, nadające się do lądowania. Start wyznaczam na jutro o dziesiątej rano. A pojutrze o dziewiątej powitamy komisję.

– To znaczy, że nie startujemy dzisiaj?

– Nie. Dzisiaj zjemy obfitą kolację i wcześniej położymy się bye-bye. Pamiętasz, co mówił smok? „Żeby zostać wielkim matematykiem, trzeba się przede wszystkim wyspać. Eiler”.

– Ja słyszałem od niego zupełnie co innego: „Żeby zostać wielkim człowiekiem, trzeba spać cztery godziny dziennie. Napoleon”. – odparował Dick.

– Smo-ok wszy-ystko wie-e – podsumował Kim, przeciągając słowa.

**SEKOND**

Tartak budowali niechętnie. Sam wyjazd do lasu po drewno – dziesięć bab z siekierami i piłami, dwudziestu mężczyzn, głównie starszych nastolatków i weteranów, dla ochrony – i skonstruowanie najprostszej pilarki ramowej zajęły cały dzień. Wieczorne prace w ogóle się nie odbyły, gdyż do baraku trafiła nowa. Zupełnie młoda dziewczyna, której Świntuch po pijanemu wybił oko. W barakach szumiało jak w przerażonym ulu. Z niejasnych powodów o nieszczęście obwiniano nie Świntucha, tylko Sandrę, jako organizatora pijatyki.

Dziewczyny z męskiego domu także powiedziały swoje „fi”. Jeśli napoisz i rozdrażnisz mężczyzn, to na przyszłość sama ich obsługuj, a nie zwalaj na nie brudnej roboty z pijanymi bydlakami.

Już przy samym domu spotkał ją Czerep i jasno i jednoznacznie dał jej do zrozumienia, że jeśli jeszcze raz zabierze baby z pielenia pola, to sama pójdzie w pole i będzie tam pracowała razem ze wszystkimi. Gdy tylko odszedł, Sandra wściekle zerwała z pasa nóż i rzuciła w drzwi. Nie trafiła. Okno powiedziało „dzyń”. „O-oj mamusiu!” – zgodziła się przerażona.

Następnego dnia obudziła się w ponurym nastroju. Policzyła dni na palcach: był już piąty od wyjazdu Szrama. Jutro-pojutrze powinien wrócić. Sandra się bała. Miała akurat taki okres, że bała się wszystkiego: ciemności, własnego cienia, przypadkowego skrzypnięcia.

„Czas na wyczyn” – pomyślała. – „Muszę dowieść wszystkim, że nie jestem taka jak oni. Jestem przedstawicielką Jasnej Przyszłości, dzielną, silną, nieustraszoną. Jestem obrończynią uciśnionych. Jestem zatyczką od każdej beczki. A jest mi strasznie, dobrze, że nikt o tym nie wie. Nóż za pas! Obroża, nie zapomnieć obroży! Za pazuchę. No, to już chyba wszystko”.

Zmieniła plan i postanowiła zacząć nie od podłogi, tylko od łóżek. Ściślej: od piętrowych prycz. Kobiety należało przekonać o korzyściach z wykonywanej pracy, w przeciwnym razie traciły zainteresowanie – zupełnie jak dzieci. Poza tym Czerep nie zmienił normy pielenia.

Dziś jednak Czerep okazał się dobry. Wydzielił dziesięć kobiet na cały dzień.

Sandra nie wiedziała, co się z nią dzieje. Przemierzała placyk wielkimi krokami, komenderowała ostro i stanowczo. Kobiety od niej stroniły, starały się nie pokazywać jej na oczy. Pierwsza prycza była gotowa w porze obiadowej. Przyszła matka i odrzuciła ją. Powiedziała, że trzeba robić szerokie, na dwie osoby. W zimie samotnie spać jest za zimno, poza tym we dwójkę weselej. Sandra w pierwszej chwili oburzyła się, potem zamyśliła się i wypytała kobiety. Okazało się, że spały zawsze parami.

„Nie popłyniesz pod prąd życia” – westchnęła Sandra i kazała robić podwójne. – „Na pewno będą bardziej stabilne” – przekonywała sama siebie.

Pierwszy egzemplarz seryjny nie zmieścił się w drzwiach. Sandra ryknęła ze złości i kazała wyciąć obok wrota. Kobiety, chwyciwszy piły i siekiery, pośpieszyły wykonać rozkaz. Do wieczora było gotowych sześć prycz. Z połowy baraku usunięto słomę, zamieciono podłogę, ustawiono prycze. Matka przyniosła skądś rulony tkaniny workowej i część kobiet zagoniła do szycia sienników. Pozostałe, niezajęte, kładły się po kolei na gołe deski i upajały się szczęściem. Rating Sandry znowu się podniósł. Nabiły sienniki słomą, położyły na pryczach. Sandra położyła się pierwsza. Twardawo, kłuje, ale da się spać, jeśli się bardzo zmęczysz. Przeciągnęła się, po czym zaczęła opisywać zalety poduszek, koców, białych prześcieradeł.

– Wiem, sienniki trzeba nabijać nie słomą, tylko tkackim mchem – zakomunikowała jedna z kobiet. Inne gorąco ją poparły.

– Jutro tak właśnie zrobimy – zgodziła się Sandra.

Wieczorem znowu było ognisko. Pierwszy raz śpiewano wesołe pieśni, podobne do czastuszek. Przyszedł Czerep. Gromada kobiet wepchnęła go do baraku, chwaliły się. Po pięciu minutach wyszedł stamtąd zakłopotany, odprowadził Sandrę na bok i zapytał:

– Co ty chcesz osiągnąć?

– Chcę, żeby ludzie żyli po ludzku, a nie jak świnie.

– Baraków muszą się bać.

– Po co? Niech na odwrót, boją się, że wszystkie baby uciekną do baraków. Wtedy ty, panie, staniesz się najważniejszą osobą w forcie. Tam, skąd jestem, w barakach żyje się lepiej, niż tutaj w męskim domu. I nic się nie stało, świat się nie przewrócił.

– Kłamiesz, ścierwo!

– Kłamię – zgodziła się wesoło – ale tylko odrobinę. O tyle. – Pokazała koniuszek palca.

– No, uważaj, Chartachana!

– Oj! – Sandra złapała się za głowę. – Zupełnie zapomniałam. Jutro trzeba znowu jechać do lasu. Deski się skończyły.

**SEKOND. ORBITALNA**

– Lecę z wami, chłopcy – oświadczyła Sandra przy śniadaniu.

– Zwariowałaś?! – krzyknął Sam – A kto będzie utrzymywał łączność?

– Węgielek. Pulpit zna, smocze klawiatury, nauszniki i laryngofony przybyły już z bunkra.

– Sandy, jesteś nam potrzebna tutaj. Jestem spokojniejszy, kiedy siedzisz za pulpitem.

Węgielek poklepała Sama końcem ogona po ramieniu.

– Pamiętasz, komandorze, jak kiedyś przegrałeś do mnie trzy życzenia? Jedno jeszcze mi pozostało. Chcę, żeby Sandra poleciała z wami.

– To nie ten przypadek, Węgielku.

– Może zapytamy mamę, ten czy nie ten? Mówię poważnie, słowo smoka.

– Sandra, lecisz z nami. Rozmowa skończona. Wszyscy zjedli? Idziemy.

Włożyli lekkie skafandry, dopasowali specjalnymi sznurówkami do figur i weszli do promu. Dick zajął lewy, kapitański fotel i poszczękał przełącznikami. Jeden za drugim zapalały się ekrany i wskaźniki na przedniej szybie. Sam spojrzał na Dicka, pokręcił głową, westchnął i usiadł w środkowym fotelu. Kim zajął prawy, a dziewczyny dodatkowe, w drugim rzędzie.

– Zaczynamy modlitwę – powiedział Dick. Sandra spojrzała na niego ze zdumieniem. Ale modlitwa okazała się specyficzna, Dick wymieniał nazwę agregatu albo podsystemu, a Kim odpowiadał „W normie”.

– Lewa klapa?

– W normie.

– Lewa lotka?

– W normie.

– Żyroskopy?

– W normie.

– SZŻ?

– Diabli go wiedzą. Autonomiczny. Powietrze w normie.

Sandra wygięła się przez boczne oparcie fotela i spojrzała na bloki SZŻ za plecami. Na ich pulpitach płonęły zielone lampki.

– Precelek, tu Ptaszek. Gotowi do lotu.

– Słyszę. Telemetria z pokładu w normie – odpowiedziała Węgielek.

– Oddzielam połączenia.

– Oj, jak żywe! Ptaszku, kable i węże schowały się do norek.

– Wyłącz grawitację, Węgielku.

– Wyłączam grawitację.

Na pokładzie zapanowała nieważkość.

– Otworzyć wrota hangaru!

– Aleś ty szybki! Najpierw trzeba spuścić powietrze. No, już otwieram. Wrota otwarte!

– Cumy rzuć!

– Jest cumy rzuć!

– Popychacze!

– Włączam popychacze!

Na sekundę przeciążenie wcisnęło Sandrę w fotel i od razu znów nastąpiła nieważkość. Dick lekko odepchnął od siebie koło sterowe, gdzieś za plecami zawyły żyroskopy, statek przechylił się na dziób i w iluminatorach ukazała się stacja. Olbrzymia, matowo-szara, cała w rozlanych smugach i rdzawych łatach. Zupełnie niepodobna do precelka. Nie te proporcje. Koło z trzema grubymi szprychami.

– W tej historycznej chwili chcę powiedzieć: Naprzód, orły! Hamulce wymyślili tchórze! Naprzód i nie oglądać się! – powiedział z patosem Dick i obejrzał się na dziewczyny. Liwia parsknęła śmiechem.

– Pierwszy manewr za piętnaście minut. Dick zostaje na posterunku, Kim sprawdza hermetyczność, pozostali są wolni - zarządził Sam. –Nie zdejmować i nie rozpinać skafandrów!

– Sam, ty mi ukradłeś replikę. Który z nas siedzi w lewym fotelu? – oburzył się Dick.

Kim jednym ruchem odczepił i odrzucił do tyłu pasy, odbił się od fotela, obrócił się w powietrzu, odbił się od sufitu i wyleciał na korytarz. Sam powtórzył jego manewr. Zrobili to tak naturalnie, aż Sandra westchnęła z zazdrością. Ona sama powoli pełzła po ścianie, przebierając rękami klamry.

**SEKOND**

Wczesnym rankiem, zanim jeszcze Sandra zdążyła wydoić krowę, przyszedł Czerep. Pocierając podbródek, obejrzał broń na ścianie, po czym przeszedł do meritum.

– Mam dzisiaj dyżur na wieżyczce. Ty, dziewko, popilnuj bab. Pal diabli, zajmij je czym chcesz, żeby tylko nie siedziały bez zajęcia.

Sandra zgodziła się. Dzień miała nerwowy, szarpany. Trzeba było utworzyć z kobiet brygady, dać każdej brygadzie zadanie do wykonania, zorganizować mężczyzn i konaki na wyprawę do lasu – już za pierwszym razem upewniła się, że mężczyźni nie pilnują niewolnic, tylko ochraniają je przed jakimś niebezpieczeństwem, grożącym im w lesie, choć nie zrozumiała, jakim – i często kontrolować, czy wszystko idzie jak trzeba. Ale wszystko ma swój koniec, więc skończył się także i ten długi, gorączkowy dzień. Wieczorem Sandra niosła do baraków wiadro mleka i marzyła o odpoczynku. Minęła męski dom i zdziwiła się ciszą. Coś się stało –masowa ucieczka albo coś jeszcze gorszego. Postawiła wiadro i pobiegła.

Wszystkie kobiety były wewnątrz baraku, zebrane przy drzwiach do pokoju matki. Pobudzone, gorąco dyszące, z szeroko otwartymi oczami.

– Złapałyśmy obcego mężczyznę – wyjaśniła Sandrze Kałuża – Nie zabierzesz go nam, prawda? Masz przecież Szrama... Nie zabieraj, pani…

– Wariatki! Gdzie on jest?

Zaprowadzili ją. Nieznany młokos w wieku piętnastu-szesnastu lat leżał na łóżku matki przywiązany sznurkami. Jedna z kobiet daremnie próbowała pobudzić do działania jego penis. Pozostałe patrzyły pożądliwie i dawały jej rady. Odgryzała się.

– Co chcecie z nim zrobić? – zapytała Sandra.

– Nic złego, naprawdę. Będziemy go kochały, karmiły – zapewniły kobiety.–Dopóki mężczyźni nam go nie zabiorą.

– A później?

– Pewnie zabiją. A może wypuszczą? Poprzednim razem zabili. Trzy dni go wtedy chowałyśmy. – Kobiety zachwyciły się wspomnieniami.

– Rozumiem… – powiedziała Sandra – Idiotki! Tylko głuchy nie domyśli się, że tu coś się dzieje. Ty i ty – idźcie do studni, klnijcie tam głośno. Ty i ty – usiądźcie na ganku i śpiewajcie co chcecie. Ty, ty, ty, i ty – na zwiady. Jeśli zobaczycie mężczyznę – pędem tutaj. Wszystkie zrozumiały? Działajcie!

Kobiety rozbiegły się wystraszone. Sandra usiada na skraju łóżka i zamyśliła się.

– Jak się nazywasz, młokosie? – zapytała.

Chłopak gniewnie strzelił oczami.

– Głuptasie, ja chcę ciebie uratować.

– Jestem Bąk.

– Pasuje do ciebie. Skąd jesteś?

– Z Chorców.

– A po coś tu przyszedł?

– Chcę zostać wojownikiem. Mężczyzną, Potrzebuję kobiety do domu.

– No i jak? Zostałeś wojownikiem?

– Trzy razy – zapewniła matka, a wszystkie baby zachichotały. – A czwartej, Kłujce, nie dał rady. Ona do niego i tak, i siak – a on nie kocha…

Sandra podniosła rękę, żeby się uciszyły, i znów się zamyśliła. „Sympatyczny i jeszcze chłopiec. Naprawdę go zabiją? Boże, co to za świat! Może baby go wypuszczą, jeśli poproszę? Nie, jeśli poproszę, nie wypuszczą, a jeśli rozkażę – wypuszczą, ale się obrażą. A on tu znowu wlezie, znowu go złapią. Głupia jestem, tracę czas, A to przecież zadanie logiczne. Trzeba myśleć, myśleć tak jak uczyli, systematycznie. Dane wyjściowe: jest chłopak, są kobiety. Chłopakowi potrzebna jest… O właśnie!

– Powiedziałeś, że potrzebna ci kobieta do domu, tak? Cicho, baby, słuchajcie mnie! Kto chce zamienić baraki na dom? – Wszystkie zakrzyknęły z ożywieniem. – A kto chce zamienić baraki na dom Bąka? Kto nie chce, niech odejdzie pod ścianę. – Entuzjazm wyraźnie osłabł, ale żadna nie odeszła. – Więc zróbcie jak powiem! Uprzedzam: jeśli choć jedna suka wypaple, wszystkie zgnijemy w barakach. Mężczyźni nam tego nie wybaczą. A jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, wiele z was będzie mieszkało w domach. Przysięgacie, że będziecie milczeć?

– Przysięgamy – nierównym chórem odezwały się kobiety.

– Jeżyk, wyjdź naprzód. Sroki, stańcie koło Jeżyka.

Wyszła nowa, z zakrzepniętą raną w miejsce wybitego oka, i dwie tęgie kobiety. Jedna miała obcięte uszy, druga pewnie język, poza tym były podobne jak dwie krople wody.

– Jeżyk, rozbierz się. Pokaż się. Poruszaj się, pokręć biodrami. Zegnij plecki. Podoba ci się? – zapytała młodzika Sandra.

– Aha!

– Jeśli zaproponujesz dziewczynce obrożę – wypuścimy.

– A dasz dziewkę z obiema oczami?

– Ach, ty wybredny pasożycie! Popatrz na siebie! Kłujki nie zaspokoiłeś, a wybrzydzasz. Nie, baby, lepiej go oddać mężczyznom.

– Pani, nie rób tego! – Jeżyk przeraziła się nie na żarty.

– No, jeśli dzieweczka prosi… Ostatni raz pytam: przysięgasz dać jej obrożę?

– Przysięgam! Jeśli mnie wypuścicie. Po to przecież tu przyjechałem.

– Więc słuchaj dalej. Wyglądasz mi na mocnego, choć z Kłujką sobie nie poradziłeś. Daję ci jeszcze dwie żony. Sroki, rozwiążcie podsądnego. Dla innych będą twoimi niewolnicami, ale tak naprawdę będą dla ciebie żonami. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Kiedy wrócisz, opowiedz swoim, że to ty Jeżykowi wybiłeś oko. Albo niechcący, w ciemności, albo źle się zachowywała - wymyśl coś. Ważne, żebyś kłamał jak najciekawiej. Jak złapałeś Sroki za włosy, zderzyłeś głowami, przerzuciłeś przez siodło. Jak zacierałeś ślady – to się samo zrobi, zanosi się na deszcz. Jak na ciebie cały fort polował. Jak uciekłeś im z trzema babami.

– Zrozumiałem – uśmiechnął się chłopak, ubierając się – Opowiem im coś takiego!

– A wy, dziewki, wszystko potwierdzajcie, stójcie jak skały jedna za drugą i za tym młokosem. Prowadźcie mu gospodarstwo. On jest jeszcze zupełnie zielony. Ale przy ludziach nigdy mu nie zaprzeczajcie i nie krzyczcie na niego. On jest dla was wszystkim, nikogo innego nie uznajecie. Jasne?

– Jasne! – odpowiedzieli wszyscy czworo. Chłopak skończył się ubierać.

– Pilnuj ich, oddaję ci najlepsze. – Sandra krytycznie obejrzała chłopaka – Boję się, że sobie nie poradzisz, ale niech tam, było nie było. Ale uważaj, za jakieś pół roku przyjadę do ciebie w gościnę. Jeśli będziesz je obrażał, zetnę ci głowę, a dziewki dostanie kto inny. Masz konia?

– Schowany na wzgórzach.

– Zrobisz tak: dwoje wierzchem, dwoje obok biegnie, trzymając się strzemion. Potem się zamieniacie. Daję wam pięć godzin, potem podnoszę alarm. Pięć godzin ci wystarczy?

– Wystarczy. Dziękuję ci. Jak trafisz do Chorców, pytaj o mnie. Wszystko dla ciebie zrobię. Bąk pamięta dobro! – Młodzian i trzy dziewczyny bezdźwięcznie wyszły w ciemność.

– Otóż to, baby – ospale powiedziała zmęczona Sandra. – Trzy urządziłyśmy. Złapiemy następnego – urządzimy kolejne trzy. Pomysł jasny? Za pięć godzin zapalajcie pochodnie, piszczcie, krzyczcie, biegajcie dookoła baraków. Im więcej szumu i biegania, tym lepiej. Krzyczcie, że na was napadli, że chłopów było od trzech do dziesięciu, że było ciemno, nie rozpoznaliście. Najważniejsze, żeby piszczeć jak najgłośniej.

**PROM**

– Sam, możesz na chwilę? Mamy problem. – Kim wyglądał na przybitego i zdumionego.

– Silniki? Antygrawy?

– Nie. Akumulatory komór zero-t nie są nabite.

– Myśmy z Sandrą robili przecież testy.

– To był blok kierowania, On ma zasilanie autonomiczne. Krzyknąłem ci wtedy „Ładuj akumulatory” i nie sprawdziłem.

– Zrozumiałem to tak, że chodzi ci o akumulatory promu.

– Więc to ty tam dolałeś po czterysta? Rozumiem… A ja się wtedy zdziwiłem, kto je tak naładował. I jeszcze raz doładowałem do tysiąca sześciuset.

– A tamte można teraz naładować?

– Oczywiście, że można. Tylko, że to zajmie dużo czasu. Cztery godziny. Kabel mam. Trzeba go pociąć na kawałki, na końcach umieścić specjalne wtyczki. Pół godziny roboty, potem ładowanie. Na czas ładowania będziemy mieli za mało energii do zasilania urządzeń statku.

– Idziemy, powiemy pozostałym.

– Sam, jeśli wydłużymy czas lotu o cztery godziny, na wybrzeżu nastąpi noc – powiedział Dick. – Lądowanie w nocy to… wybaczcie! Ptaszek się połamie. A żeby „złapać” dzień i wylądować na zachodnim kontynencie, musielibyśmy wykonać jeszcze dwa okrążenia, co zajmie dodatkowe trzy godziny… Nie zdążymy przed przybyciem komisji.

– Dobrze, najpierw wykonamy manewr hamujący, a potem ja z Kimem zajmiemy się akumulatorami. Przed wejściem w atmosferę zdążymy naładować cztery kabiny. Są sprzeciwy?

– Są. – Sandra podniosła rękę, jak w szkole. – Proponuję najpierw nabić akumulatory, a potem, jeśli nie zdążymy wylądować, ja z Liwią pójdziemy przez zero-t i powitamy komisję.

– Sandy, tak rwałaś się na powierzchnię, a teraz chcesz odejść? – zapytał Sam.

– Nie rwałam się na powierzchnię, tylko z tobą. Mam złe przeczucia. – Chlipnęła.

– Jakie przeczucia?

– Całą noc śnił mi się czarny kot. Syczał na mnie, nie dawał przejść. Odchodzisz, a on mnie nie puszcza za tobą…

– No wiesz… Ale dobrze. Twoje przeczucia się sprawdziły, my z Kimem przegapiliśmy nieporozumienie, ale już odkryliśmy i za cztery godziny naprawimy. Do Sekondu jeszcze kawał czasu, ale dopóki nie wejdziemy w atmosferę, w zasadzie nie może nas spotkać nic strasznego. Zgadzasz się z nami?

– A róbcie sobie, co chcecie – Sandra odwróciła się do ściany i z rzadka pochlipywała.

– Sandy, no, co się tak rozkleiłaś? – Liwia objęła ją za ramiona.

– Zapnijcie pasy. Zaczynamy manewr – zakomenderował Sam.

Dick wyświetlił na ekranie menu autopilota i, obracając lewą ręką kulkę myszy, prawą szybko wypełnił z klawiatury cyfrowej puste pola tablicy opisu manewru.

– Gotowość trzydzieści sekund – zakomunikował. –Zaczynam przeorientowanie.

Zawyły żyroskopy, statek zniosło w bok, obróciło dookoła podłużnej osi. W iluminatorze ukazał się zamglony księżyc Sekondu.

– Piętnaście… Dziesięć… Pięć… – odliczał Dick – Jeden!

Kabinę wypełniło basowe buczenie. Ludzi z lekka wtłoczyło w oparcia foteli. Ale razem z ciężarem pojawiła się wibracja, z każdą sekundą coraz silniejsza. Coś zabrzęczało w korytarzu, daleki łoskot dobiegł z ładowni.

– Co to jest, Kim?

– Trzeba pomyśleć…

Wibracja była coraz silniejsza. Pod pulpitem otworzyły się metalowe drzwiczki i zaczęły trzaskać, utrudniając koncentrację.

– Dick, oderwij to!

I wtedy rozległ się dźwięk, jakby ktoś otworzył butelkę szampana – olbrzymią, wysokości człowieka. Światło mignęło. Zaraz potem – drugi głuchy łoskot. Nastąpiła ciemność. Zgasły wszystkie ekrany i wszystkie wskaźniki na pulpicie i dziobowym ekranie.

– Włączyć latarnie hełmów! – krzyknął Sam.

Błysnęły dwa promienie, potem jeszcze dwa. Wibracja – nie, teraz to była już trzęsionka – biła ludzi, próbowała wyrwać ich z foteli. Ryk silników narastał. Dwa, trzy, cztery g. Dick, głośno klnąc, walił prawą pięścią w klawisz wyłącznika silników. Z ładowni znowu dobiegł łoskot. I nagle nastąpiła cisza i nieważkość. Drzwiczki jeszcze parę razy trzasnęły i też się uspokoiły.

– Pierwszy – powiedział Sam.

– Drugi – odezwał się Dick i włączył ostatnią latarnię hełmu.

– Trzeci – podchwycił Kim.

– Czwarty – odpowiedziała Liwia.

– Ja piąta? – zapytała niepewnie Sandra.

– Wszyscy żyją. Kim, raport.

– Wysiadły stare akumulatory i nowe w pulpicie.

– A skąd ta trzęsionka?

– Korpus stracił sztywność. Częstotliwość drgań własnych pokryła się z częstotliwością drgań silnika i złapaliśmy rezonans. Gdyby nie amortyzatory foteli, zostalibyśmy rozsmarowani po ścianach.

– Dick, raport.

– Silnik – … – Dick zaklął siarczyście.

– A dokładniej?

– Przecież mówię: walę w przycisk, a on nie odpowiada. Rozniosło go kompletnie. Czeka nas twarde lądowanie.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Zadałem hamowanie pięć metrów na sekundę, a kiedy zgasło światło, doszło do czterdziestu pięciu. Wejdziemy w atmosferę prawie pionowo.

– Czarny kot… – westchnęła Liwia i zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją Kim:

– Sam, jeśli dalej będziesz twierdził, że nie wierzysz w czarne koty, powiem ci, że jesteś snob i nie podam ręki do końca życia.

– Znalazł się miłośnik zwierząt! Lepiej powiedz, co robić z ptaszkiem.

– A powiem! Wyjąć akumulatory z jednego SZŻ i wetknąć do pulpitu. Tam, gdzie drzwiczki trzaskały. Dla pulpitu przewidziano możliwość pracy na zasilaniu autonomicznym.

– Z SZŻ nie trzeba. Jeśli tam są akumulatory typu P2, to Sandra ich nabiła cały kontener. – Dick rozpiął pasy i poleciał na korytarz. Wrócił, przyciskając do piersi cztery sztuki. Jedną z nich rzucił Kimowi. Ten złapał niewielki akumulator, zanurkował pod pulpit i zaczął tam grzebać, śmiesznie machając nogami.

– Jeszcze jeden. – Spod pulpitu ukazała się ręka, poruszająca palcami. Ręka znikła, nogi znowu zaczęły się poruszać. Po chwili Kim wynurzył się i szczęknął kilkoma przełącznikami. Pulpit ożył, zapłonęły czerwonawe lampy awaryjnego oświetlenia. Sam zaczął wzywać stację.

– Nie ma łączności - zakomunikował po chwili. Dick znowu zaklął.

– Ile tego mamy? –Kim wskazał akumulatory.

– W kontenerze było pięćdziesiąt. Osiem jest w SZŻ, dwa w pulpicie. Zostało czterdzieści.

– A ile w każdym jednostek?

– Po dziesięć.

– Powinno wystarczyć.

Sandra patrzyła na mężczyzn i czuła się zbędna. Oni rozumieli się z półsłowa, działali, wiedzieli, co robić i zupełnie się nie bali. A ona bała się strasznie. Spojrzała na Liwię. Ta marszczyła nos i poruszała wargami.

– Liwia, o czym ty myślisz?

–Brakuje noży stołowych. Jak sądzisz, można położyć skalpele?

– Liwia, o czym ty myślisz? – powtórzyła Sandra zdumiona. – Przecież spadamy.

– To problemy chłopców.

– Nie boisz się?

– Jeszcze jak się boję – uśmiechnęła się z przymusem Liwia. – Dlatego liczę noże.

**SEKOND**

Sandra długo wierciła się na pościeli, a zaledwie zasnęła, już w osiedlu ogłoszono alarm. Ubrała się, wzięła miecz i wyszła na ulicę. Mężczyźni z pochodniami biegli w stronę baraków, pobiegła z nimi. Kobiety z baraków krzątały się bezładnie.

„Przesadzają. Trzeba je zatrzymać” – pomyślała i zawołała:.

– Baby, do mnie! –Bezładna krzątanina od razu się skończyła, baby skupiły się wokół niej. „Znowu przesadzają” – rozzłościła się i zapytała – Co się stało?

Zaczęły mówić, a raczej wrzeszczeć, jedna przez drugą.

– Wiesz przecież – zrozumiała jedną z najbliższych.

– Głupia, przecież dopiero przybiegłam! Wszystkie milczeć! Matka, do mnie! Co się stało?

– Chorcowie napadli. Porwali kobiety.

W krąg, roztrącając kobiety, wszedł Łoś.

– Skąd wiesz, że to byli Chorcowie? – zapytał. Sandrze zrobiło się zimno.

– Ona – matka wskazała jedną z kobiet – rozpoznała Bąka.

– Rzeczywiście był tu Bąk, znam go – potwierdziła ta, pewnie sama z Chorców, jak Kałuża. – Złapał Jeżyka, zarzucił na plecy. Uderzył mnie, omal nie zabił!

– Baby, zorientujcie się, która z którą śpi. Kogo brakuje?! – krzyknęła Sandra, żeby odebrać Łosiowi inicjatywę. Po pięciu minutach zamieszania wyjaśniło się, że brakuje Jeżyka, obu Srok i Kałuży. I wszystkie cztery imiona słyszał Łoś.

„Kałużo, coś ty narobiła, głupia!” – przeraziła się Sandra, a głośno zawołała:

– Jeżyk! Sroki! Kałuża!

– Kałuża jest u mnie – odezwał się znajomy głos. Sandra przyjrzała się – Kret! Jeżyk i Sroki, oczywiście, nie odpowiedziały. Łoś obdarzył Sandrę długim, taksującym spojrzeniem. Dziewczynie znowu zrobiło się strasznie.

– Panie, czy ja znowu zrobiłam coś nie tak? – zapytała cicho. Łoś zaklął i zapytał Ślada:

– Poradzisz sobie?

– Nie, przecież już mży, zaraz się rozpada, zmyje ślady.

– W takim razie wszyscy do domów.

**PROM**

– Sam, Liwia, do mnie! – komenderował Kim. – Zdejmijcie te tarcze z sufitu. Pod nimi są kable elektroenergetyczne, one są mi potrzebne. Sandy, za mną!

Sandra, odbijając się niezgrabnie od ścian, poleciała wzdłuż korytarza. Kim już wyjął skądś wielki zwój grubego miedzianego przewodu.

– Odcinasz metrowe kawałki, zdejmujesz izolację z obu końców i skręcasz je po cztery w grube skręty, zrozumiałaś? Będziemy nimi podłączali twoje akumulatory.

– Ile ich potrzeba?

– Czterdzieści akumulatorów, czyli osiemdziesiąt końcówek. Ale rób na zapas, mogą spłonąć.

– Takie grube?

– Takie cienkie! Mamy samego ładunku czterdzieści ton! Do diabła! Musimy go wyrzucić! Pracuj! – Odpłynął, a po chwili z korytarza dobiegł jego głos:

– Sam, Dick! Musimy wyrzucić ładunek za burtę!

– Zwariowałeś!

– Zostawimy dwie kabiny zero-t i parę cyberów, reszta – za burtę. Inaczej zginiemy.

– On ma rację, Sam – poparł Kima Dick – Nieboszczykom ładunek niepotrzebny. A kiedy wylądujemy, dostarczymy nowy przez kabiny.

– Sam wiem, że ma rację. Ale szkoda… Tam jest skrzynka szampana, motolotnie…

Kiedy Sandra skończyła cięcie i skręcanie, Kim znalazł kable, idące od akumulatorów, grube, miedziane, pokryte wielowarstwową izolacją, którą ściągnął z uch końcówek za pomocą laserowego pistoletu i desantowego noża.

– Sandra, Liwia, tutaj! To plus, to minus. Okręcacie trzy razy zaciski, i tutaj. Też trzy razy. Plus do plusa, minus do minusa. I zamknąć hełmy, otwieramy ładownię. Są pytania?

– Podłączać wszystkie?

– Wszystkie.

Gdy tylko pierwszy akumulator został podłączony, Kim zniknął w ładowni. Sam i Dick pistoletami laserowymi cięli sieci i liny, trzymające ładunek. Kim nacisnął przycisk otwierający luk. Rozległ się syk uciekającego powietrza. Skrzynie i kontenery, nabierając szybkości, popłynęły w kierunku luku. Ludzie schowali się za wręgami. Kontenery, zderzając się i przewracając, przypłynęły koło nich w czerń kosmosu. Kilka zaplątanych skrzyń popchnął nogą Sam. Kim zamknął luk. Poczekali aż przedział zapełni się powietrzem, i powrócili do sterówki. Dziewczyny już kończyły podwieszanie rzędów akumulatorów pod sufitem.

– Co dalej? Włączamy jeszcze raz silniki czy idziemy na antygrawach? – zapytał Sam.

– Na silnikach, oczywiście, ale na najmniejszym ciągu – odrzekł Kim.

– Ja wtedy dałem na najmniejszy – powiedział Dick.

– Do diabła! – zaklął Sam. – Policz, czy wystarczy nam energii do lądowania na antygrawach.

Dick postukał po klawiszach komputera.

– Wystarczy i jeszcze coś zostanie. Wystarczy na dwa takie lądowania.

– Więc wypróbujemy. Jeśli nie wyjdzie, ładujemy kabinę zero-t i uciekamy na stację.

– Nie zdążymy naładować. Te P2 mają niskie napięcia. I tam są bezpieczniki. I nie ma odpowiednich przewodów– zwrócił uwagę Kim.

– Dick, ile mamy paliwa?

– Trzydzieści ton.

– Wylewaj przez dysze. Jeśli nie możemy włączyć silniczka, balast nam niepotrzebny.

Dick obrócił statek i przedmuchał baki. Strumienie paliwa fontannami przecięły próżnię.

– Koledzy, żyjemy! Wykonaliśmy połowę manewru do tyłu.

– Świetnie. Dick, wypróbuj antygrawy.

Dick zorientował statek w przestrzeni i przesunął ku sobie dźwignięantygrawów. Niewielkie przeciążenie płynnie opuściło na podłogę wszystko, co pływało w powietrzu, a po chwili z korytarza dobiegł pisk dziewczyn i łoskot spadania wielu przedmiotów. Znowu nastąpiła nieważkość. Rozszedł się swąd palonej izolacji.Dick pośpiesznie przesunął dźwignię z powrotem na zero. Do kabiny pierwsza wpadła Liwia.

– Chłopcy, to nie nasza wina. Przewody poczerwieniały, po czym spłonęły. Najpierw padł jeden, a potem już poszło – pyk! Pyk, pyk, pyk – i wszystkie leżą na podłodze.

– Liwia, robiłyście skręty z czterech przewodów? – zapytał zadziwiająco spokojnie Kim.

– Tak.

– Teraz róbcie z sześciu. Aha, możecie otworzyć hełmy – a kiedy dziewczyny wypłynęły z kabiny, powiedział – Źle z nami, koledzy. Wygląda na to, że wpadliśmy.

– Zmieniamy plan. Odbijamy się od Słońca i odtwarzamy orbitę. Jeśli zdążymy odtworzyć, nabijamy akumulatory komory zero-t i odchodzimy. Później, po komisji, przeprawiamy tu średnią komorę w częściach, składamy, dostarczamy przez nią nowe akumulatory dla ptaszka i robimy drugą próbę – powiedział Sam.

– Ty masz głowę, Sam! A jeśli nie odtworzymy orbity?

– Jak nie, to nie.

– Odtworzymy figę, a nie orbitę. Słońce nie z tej strony. Współczynnik Korzystnego Działania będzie zero całych, zero dziesiątych. – Włączył się Dick.

– Mamy jeszcze dziesięć godzin. Nawet setne mogą nam pomóc.

– Trzeba było słuchać Sandrę i od razu nabijać. Ona czuje nieszczęście szóstym zmysłem. Sam, przecież ona wprosiła się na ten lot dla ciebie. Co ona takiego w tobie widzi?

– Dick, jeśli jesteś taki mądry, to dlaczego jej wtedy nie poparłeś? – zapytał Sam.

– Nie jestem smokiem. Jestem mądry tym. – Dick klepnął się po tyłku i wyszczerzył zęby. – Chodźcie, pomożemy dziewczynkom.

Po dwudziestu minutach, kiedy akumulatory znowu zwisały z sufitu, Kim stanął w drzwiach korytarza, żeby widzieć i Dicka, i akumulatory, i zakomenderował:

– Dick, dawaj pół procenta.

– Jest pół procenta. – Dick przesunął dźwignię antygrawów o jedną kreskę.

– Procent.

– Jest procent.

–Dwa.

– Jest dwa.

– Trzy. Cztery. Pięć. Wyłączaj!

Dick pośpiesznie przesunął dźwignię na zero. Powietrze wypełniło się niebieskimi smużkami dymu ze spalonej izolacji.

– Uff, zdążyliśmy! Dawaj dwa i pół.

– Jest dwa i pół. – Dick znowu przesunął dźwignię.

Jakiś czas Kim obserwował, po czym zdjął rękawiczkę i pomacał ręką przewody.

– Dawaj trzy.

– Jest trzy! – odezwał się jak echo Dick.

Przez dwie minuty wszyscy czekali w napięciu. Przewody się nagrzały, resztki izolacji zaczęły paskudnie śmierdzieć.

– Tu jest granica – podsumował Kim.

– Czy to wystarczy? – zapytała nieśmiało Sandra, łapiąc go za łokieć.

– Dla lądowania na antygrawach nie. Trzeba pięć do pięciu i pół.

– Dick, oblicz, czy zdołamy utrzymać orbitę? – zapytał Sam.

– Perigeum pięćdziesiąt plus-minus trzydzieści kilometrów. Siądziemy, koledzy. Mocno siądziemy. Co najmniej skrzydełka oddzielnie i my oddzielnie.

– Kim, wyjmuj akumulatory z SZŻ. Posiedzimy w skafandrach.

– Racja! Jeszcze osiem akumulatorów! A jeden SZŻ włączymy od sieci statku.

Gdy tylko podłączono ostatnie akumulatory, Dick włączył antygrawy na trzy i pół procenta. Tymczasem Sam obliczył na komputerze parametry.

– Przeżyjemy, jeśli nie umrzemy - ogłosił wesoło – Cztery i pół, maksimum pięć g.

– Właśnie: jeśli nie umrzemy. Siadamy na nocną stronę. – Dick zgasił w kabinie światło.

– Dick, włącz! I tak strasznie –oburzyła się Liwia.

– Obejdzie się. Trzeba oczka przyzwyczajać do ciemności. Nie jesteśmy kotami.

Liwia płynnym skokiem wyleciała na korytarz i tam też zgasiła światło. Teraz kabinę rozjaśniało tylko słabe światło ekranów i wskaźników.

– Odpoczywamy – ogłosił Dick.

– A później? – zainteresowała się Liwia.

– Później wchodzimy w atmosferę. A gdzie Sandy?

– Pewnie płacze – powiedział Sam.

– Sam, ty… – Liwia znacząco stuknęła w hełm i boczne oparcie fotela. – Sandy wzięła butlę hermetyzującej piany i poszła na ogon.

– Kim, sprawdź, czy ciśnienie nie spada?

– Nie. Nawet odrobinę wzrosło. Pewnie powietrze się nagrzewa.

**SEKOND**

Tuż przed obiadem z wieżyczek dobiegł nieznany Sandrze sygnał. Kobiety porzuciły narzędzia, zaszumiały radośnie.

– O co chodzi? – zapytała Sandra.

– Twój wraca! Możemy zobaczyć? – I, nie czekając na pozwolenie, podążyły na plac.

Sandra ponuro powlekła się za nimi. Spojrzała na słup. Miejsce dla ukaranych było wolne.

„Kluczowy moment” – rozmyślała. –„Trzeba grać. Jestem odważna, dzielna aż do szaleństwa, ale posłuszna. Żeby tylko kolana przestały mi tak drżeć. Jutro ubiorę kombinezon albo uszyję sobie spodnie, żeby nie było widać. Jeśli postawią mnie przy słupie…”.

Daleko w stepie widać było malutkie figurki. Kiedy podjechały bliżej, widać było, że to pięciu jeźdźców, z których czterech wiezie przerzucone przez siodła związane dziewczyny, a jeden jedzie sam. Już w forcie okazało się, że tym piątym jest Ślad, który o świcie udał się na poszukiwania śladów porywaczy dziewczyn. Związane dziewczyny pokrywała warstwa kurzu i brudu, najgrubsza na nogach. Na zakurzonych twarzach strumyki potu wymyły ciemne dróżki. Widocznie większą część drogi dziewczyny biegły przywiązane do strzemion.

– Gdzie Tchórz? – Łoś spojrzał w oczy Szramowi ze złością.

– Poszedł w zero na zawsze – odrzekł Szram. Baby zaczęły lamentować.

– Gdzie ciało?

– Wszystko w porządku, Łoś – odrzekł Kopyto. – Borsuczki wywieźli ciało, a ja je pochowałem.

– Jak to było?

– Chciał wywieźć dwie dziewki na raz. Przesadził. Dziewki brykały, konak nie słuchał. Dostał z łuku w gardło. Borsuczki wrócili, konaka wzięli, ciało podnieśli. A dziewki zostały. Nikt nie miał do nich głowy.

Szram przerzucił swoją zdobycz przez ramię i poszedł z nią do domu. Sandra powlekła się za nim. Zobaczywszy wybite okno, spojrzał na nią pytająco.

– Zbiłam – potwierdziła smutno dziewczyna.

W kuchni na stole leżała złamana kusza, a po całej podłodze rozłożone były części rozwalonej beczułki. Szram odsunął je nogą, wszedł do sypialni i położył dziewczynę na łóżku. Ta wyglądała na zupełnie nieprzestraszoną, rozglądała się z ciekawością. Sandra usiadła na skraju łóżka. Szram obejrzał ją od stóp do głów i nagle się zachmurzył.

– Dlaczego chodzisz z nożem? Życie ci niemiłe czy co? Zdejmij natychmiast!

Sandra pomacała rękojeść u pasa.

– Gospodarzu, nie klnij, ja mogę. Zebranie mi pozwoliło.

Szram aż usiadł.

– Za jakie zasługi?

– Zawróciłam zawery. Ślad ci nie opowiadał?

– Coś ty jeszcze narobiła?

– Zaczynać od złego czy od dobrego?

– A czego więcej?

– Gospodarzu, chcę ci najpierw coś powiedzieć. Nie dam ci się związać, tego się najbardziej boję. Możesz mnie bić, będę cierpiała, nie ruszę się, nawet umrę, ale związać się nie pozwolę.

– Jest za co bić?

– Jest. Trzem kobietom z baraków zorganizowałam dom, rozbiłam okno, beczułkę… No i jeszcze… kilka drobiazgów.

– Dobrze, najpierw dawaj obiad.

– Obiad gorący, stoi na piecu. A ją na razie rozwiążę, dobrze?

Szram ryknął wściekle.

– Ależ gospodarzu, zobacz, jaka ona jest brudna. I głodna.

W tej chwili do domu weszli Ślad, Rozumek, Kret i kowal, co odwróciło uwagę Szrama. Sandra postanowiła potraktować jego milczenie na swoją korzyść, pośpiesznie rozcięła sznurki, zaciągnęła dziewczynę za rękę na podwórze, zdjęła z niej brudną suknię i zaczęła oblewać ją wodą z ceberka. Dziewczyna okazała się piękna, dobrze zbudowana, długowłosa i prawie o głowę wyższa od Sandry. Jak wszyscy na Sekondzie, była blondynką. Nazywała się Ptaszyna. Sandra ubrała ją w swój kombinezon, był nieco zbyt obcisły, ale podkreślał walory jej figury.

– Chodźmy. Na nas tam chyba czekają. Obiad stygnie.– Sandra pociągnęła ją do domu.

– Można? – zapytała Ptaszyna ze zdumieniem.

W kuchni mężczyźni, pod kierownictwem kowala, składali beczułkę. Zanim Sandra wyjęła z pieca kociołek o pojemności dwu wiader i nalała zupę do misek, dziesięć rąk już skończyło. Zadowoleni mężczyźni wyprostowali się i usiedli przy stole. Sandra usiadła na skraju ławy, żeby łatwiej jej było biegać do pieca. Ptaszyna przycisnęła się do futryny drzwi, spoglądając na nią ze strachem. Szram, nie donosząc łyżki do ust, zamarł nagle wpatrzony w Sandrę.

– Coś nie tak robię? – zapytała dziewczyna. Rozumek roześmiał się.

– Mówiłem ci przecież, Szram, że do niej nie można podchodzić według naszej miary. Nie widziałeś jej, jak wczoraj komenderowała zamiast Łosia. A ty, Sandy, zapamiętaj: albo noś obrożę, albo nie siadaj do stołu z wolnymi ludźmi. – Sandra szybko zerwała się z ławy. – Siedź, siedź, będzie rozmowa. A ty, dziewko, wyjdź! – Ptaszyna wyskoczyła za drzwi, Sandra wyniosła jej na korytarz miskę i łyżkę, po czym wróciła do stołu. Rozumek mówił dalej: – Twoja dziewka, Szram, wywołała panikę w całym forcie. Przezwaliśmy ją Chartachaną. Pobiła matkę, Zawerowi całą kuźnię przewróciła do góry nogami, a co narobiła w barakach – tego się nie da opisać słowami. Czerep nie ma co robić, jak daje babom zadanie, one do twojej biegną po pozwolenie. Chłopcy dwa razy chcieli ją sądzić – a ona sąd zamieniła w popijawę. I na dodatek przepiła wszystkich. – Szram zacisnął pięści, coraz bardziej wściekły. Rozumek dokończył: – Ależ nie złość się na nią. Nikt nie jest na nią zły. Przecież zawróciła zawery, które szły prosto na nasze pola. A jakie historie opowiada!

– No dobrze.–Szram siedział cały czerwony, spocony. – Czułem, że nie można jej zostawić samej. Co nowego poza tym?

– Wczoraj w nocy był napad na baraki. Chorcowie porwali trzy dziewki. Ślad, co znalazłeś?

– Znalazłem ślady za Mglistym Wzgórzem. Jeden konak, bardzo stary, czterech ludzi. Jeden wojownik w mokasynach, trzy dziewki boso. Jedna jedzie wierzchem, pozostałe biegną obok. Potem się zmieniają. Wojownik biegnie pierwszy, prowadzi konaka za uzdę.

– Tylko jeden? I wziął trzy dziewczyny?

– Przecież mówię. One same biegną, niezwiązane.

– Skąd wiesz?

– Kiedy się zmieniają, wojownik trzyma konaka. Dziewki same siadają w siodle. Spróbuj to zrobić ze związanymi rękami! I śpieszą się. Gdyby nie chciały uciec, nie śpieszyłyby się.

– Umówili się – podsumował kowal. – Ja to patrzę, dlaczego baby wczoraj tak bezsensownie się krzątają. Teraz się przyzwyczajają. Pobiję je na śmierć, a dowiem się, kto to wymyślił.

– Nie trzeba je bić – nieoczekiwanie nawet dla samej siebieodezwała się Sandra. – Robiły to, co im kazałam. Ja to wszystko wymyśliłam.

Szram rąbnął pięścią w stół.

– Gdzie obroża?! – To był rozkaz, nie pytanie. Sandra wyjęła ją zza pazuchy, położyła na stole. – Obedrę cię żywcem ze skóry! Gdzie bicz?

– Nie gorączkuj się! – podniósł głos Rozumek. – To sprawa poważna. Ona zorganizowała ucieczkę. Za to najniższą karą jest kołowrót. A ty masz zwrócić uszczerbek. Trzy dziewki uciekły, trzy oddasz do baraków.

– Nie mamy trzech dziewek. Starszemu Borsuczkowi zabili konaka, wracał na konaku Tchórza. Chciał swoją dziewkę wymienić na konaka.

– Oddasz kulawego konaka. Jedna z dziewczyn była jednooka.

– Poczekajcie, chłopcy – zdenerwował się kowal. – Ja, tego, ja bym ją wziął potem do kuźni. No, wypalą jej cycki, no, język obetną, uszy. Dopilnujcie tylko, żeby nie zepsuli jej rąk.

– Ale z ciebie chytrus! – Uśmiechnął się Rozumek. – Właśnie język jest u niej najcenniejszy. Ja ją wezmę bez oczu, bez rąk, żeby tylko język pozostał na miejscu.

– Szkoda dziewki – westchnął Kret. Wszyscy się zamyślili.

– Nikomu jej nie oddam! I nie pozwolę okaleczyć! Zabiję własnoręcznie, ale nie dam! – Na nieogolonych policzkach Szrama wyskoczyły czerwone plamy, ciężkie pięści to zaciskały się, to rozwierały, oczy biegały od jednej twarzy do drugiej.

– Nie, mówię wam, że nie możemy tej historii wypuścić na zewnątrz. Łoś, jak o tym usłyszy, zmiesza nas z błotem i obejmie całą władzę w forcie – nieoczekiwanie powiedział Rozumek. – Oprócz nas, obecnych w tym pokoju, nikt o tych śladach nie wie, a jeśli nawet ktoś je tam zobaczy, nie skojarzy. W pobliżu osady zmył je deszcz, a w stepie zdarzają się różne rzeczy. Wyjaśnij mi tylko, dziewko, po coś ty to zrobiła?

– Niczego nie żałuję, możecie mnie zabić. Zrobiłam jak najlepiej. Jeżyk i Sroki będą teraz żyły w domu, a nie w barakach. Bąk obiecał, że Jeżykowi założy obrożę. Gospodarzu, wybacz, zupełnie nie chciałam ciebie narażać.

– Dobrze, porozmawiam z Łosiem. Wy nic nie wiecie, nie słyszeliście. O obroży powiem, że to był pomysł Bąka, a Sandra dowiedziała się o jego obietnicy od dziewek.

– Czyli one uciekły z baraków za obrożą! – Roześmiał się Ślad – Wszystko jasne! I nie trzeba ich związywać, przegonią konaka!

Mężczyźni śmiali się długo. Nerwowy śmiech to przycichał, to znowu przetaczał się falami nad stołem. „Będę żyła” – pomyślała dziewczyna.

**PROM**

Sandra naprawdę była w ogonie. Kiedyś usłyszała, że przy katastrofach lotniczych najwięcej szans na ocalenie daje właśnie ogon flyera. I teraz przygotowywała improwizowaną antyprzeciążeniową kabinę. Najpierw warstwą piany grubą na ćwierć metra pokryła wszystko: podłogę, sufit, ściany, drzwi. Poczekała, aż piana zgęstnieje. Pomyślała, że najprawdopodobniejszy kierunek uderzenia przy lądowaniu będzie w przód i w dół, więc resztę piany zużyła na dodatkowe zabezpieczenie przedniej ściany i podłogi. Otrzymała poduszkę grubości około metra. Pustą butlę wyrzuciła do kabiny naprzeciw. Po drodze zatrzymała się przy bloku medycznym. Przeczytała instrukcję, włączyła go i uruchomiła odpowiednie programy. Blok przypominał bęben rewolweru: sześć biowanien otaczających zewsząd moduł cyberchirurga.

– Saan-dy! – usłyszała głos ze sterówki. – Chodź do nas! Nudno tu bez ciebie!

Szybko zajęła swoje miejsce, zapięła pasy i opowiedziała o swoich dokonaniach.

– Sandy, jesteś złoto! – powiedział Sam. – Tylko ty nie popełniłaś na tej wyprawie ani jednego błędu. Gdy zejdziemy na dziesięć tysięcy, pójdziesz razem z Liwią do swojej kajuty.

– Ejże! A jakiż to błąd ja popełniłam? – zapytała Liwia.

– Popełniłaś od razu dwa. Pierwszy: nie uwierzyłaś w czarnego kota. A drugi, poważniejszy: wpakowałaś się do naszego surowego męskiego kolektywu. Teraz Dick nie może głośno powiedzieć, co myśli o silniku, Kimowi drapią duszę czarne koty, mnie zaś serce pęka, kiedy widzę, jak oni się męczą.

– Kłamczuszek z ciebie, komandorze. Mogę powtórzyć, co powiedział Dick o silniczku?

– O nie! Tylko nie to! Zamierzasz mi tu kląć jak portowa kurwa? – Oburzył się Dick. – Sam, kogo myśmy wzięli do załogi?

Sandra patrzyła na nich uważnie i nie rozumiała, jak oni mogą żartować w obliczu śmierci. Co to ma być? Brawura, przyzwyczajenie do niebezpieczeństwa, czy może to ona, Sandra, czegoś nie rozumie? Zawsze myślała, że w takich chwilach trzeba być poważnym, myśleć w napięciu, szukać nowych możliwości. Dziwiło ją też, jak rola dowódcy może tak łatwo przechodzić od jednego do drugiego: dopiero co komenderował Sam, i nagle rolę dowódcy przejmuje po nim Kim, potem Dick – i nikt nie protestuje, wszyscy wypełniają bez sprzeciwu jego polecenia. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak Sam będzie opowiadał o lądowaniu przy wieczornym ognisku! „Włączam silniczek – i nagle pif, paf! No, myślę sobie, szampany strzeliły. A to akumulatory statku. No, mówię, chłopcy, fałszywy alarm. Ładunek cały!”. Na twarzy dziewczyny zakwitł uśmiech szczęścia. Sam obejrzał się, szturchnął Kima i wskazał na Sandrę. Kim przewrócił oczami i skinął głową z powagą. Liwia podchwyciła ich spojrzenia, otworzyła ze zdumieniem usta i klepnęła Dicka po ramieniu. Od tej chwili Sandra została przyjęta do ich małego kółka desantowców. Bez żadnego pobłażania i taryfy ulgowej.

Statek wszedł w górne warstwy atmosfery. Przeciążenie powoli rosło. Od dziobu ku szybie czołowej popłynęły czerwono-niebieskie strużki plazmy. Dick przesunął wolant ku sobie. Przeciążenie od razu podskoczyło do dwu g, ale ogniste strumyki przepływały teraz nad kabiną.

– Dick, nie za ostro bierzesz? – zapytał Sam – Uderzymy w ocean.

– Uczyć mistrza to psuć dzieło – odgryzł się Dick, ale nieco cofnął wolant.

– A może teraz manewr aerodynamiczny? Odbijamy się od atmosfery – i na dzienną stronę?

– A Ptaszek osiem g wytrzyma? Zapomnij o tym.

Szybkość spadała, wysokość też. Przeciążenie rosło. Pojawiła się lekka wibracja. Nagle z korytarza dobiegł gruchot spadających ciężkich przedmiotów.

– Wyłączaj! – krzyknął Kim.

Dick gwałtownie cofnął wolant i przeciążenie od razu znikło, po czym drugą ręką przesunął dźwignię antygrawów na zero. W przednią szybę uderzyła fala plazmy, ale Dick już znowu pociągnął wolant ku sobie unosząc dziób tak, by się nim osłonić przed nadciągającym potokiem.

– Ile? – zapytał.

Sam z trudem obrócił się, pokonując czterokrotne przeciążenie, i wpatrzył się w ciemność korytarza. Włączył latarnię hełm i przeliczył leżące na podłodze akumulatory.

– Sześć spłonęło, dawaj trzy procent.

Przeciążenie zaczęło spadać: trzy g, dwa, półtora. Dick jeszcze bardziej cofnął wolant.

– No, chłopcy, już lecimy ślizgiem. Teraz przydałoby się znaleźć jezioro i wylądować na wodzie przy samym brzegu. Niestety, radar od tej trzęsionki zdechł.

Po kilku minutach, gdy wysokość spadła do siedmiu tysięcy metrów, Sam zakomenderował:

– Sandra, Liwia, idźcie do ogona. Siadamy na brzuchu, uderzenie będzie silne.

W korytarzu Sandra podniosła z podłogi spadłe akumulatory, zerwała z zacisków urywki przewodów i włożyła akumulatory do gniazd kontenera. Tymczasem Liwia rozkazała modułowi medycznemu zatrzymać wszystkie ruchome części i przygotować się na uderzeniowe przeciążenia. Procedurę tą uruchamiało się naciśnięciem czerwonego klawisza z napisem „Unieruchomienie”. Potem obie położyły się na miękkich wydmach zastygłej piany hermetyzującej. W promieniach latarni na hełmach pomieszczenie wyglądało całkowicie surrealistycznie, nawet baśniowo.

Minęło może pięć, może dziesięć minut. Nagle Liwia usiadła. Jej twarz była biała jak kreda.

– Sandy, wybacz, ale ja pójdę do kabiny. Chcę razem z Kimem… Niech się dzieje, co chce! – I szybko wybiegła z kajuty. Sandra została sama.

**SEKOND**

Złowieszcze żółte niebo. Popękany pień, wypolerowany przez dręczone ciała do połysku, jak stara poręcz, trzonek łopaty albo stylisko topora. Sandra przycisnęła się do niego twarzą i piersią, objęła go rękami, sczepiając palce. Z niewiadomego powodu nie wolno jej ani na sekundę rozłączyć rąk. Jeśli je opuści, stanie się coś złego, strasznego. Przecież została ukarana! Szram ukarał ją, postawił przy słupie, zabronił jej odchodzić nawet na krok. Dała słowo!

Ryczy niewydojona krowa. Trzeba coś zrobić, kogoś zawołać. Kałużę albo babcię Katty. Ale język nie słucha. Zresztą w całym forcie nie ma żywej duszy. Nawet na wieżyczkach nie ma nikogo. Cisza. Tylko krowa płacze. Nie można puścić słupa, tylko razem z nim. Dziewczyna rozchwiewa obejmowany rękami słup, milimetr po milimetrze wyciąga go z ziemi. Tylko wydoi krowę i zaraz przyniesie słup z powrotem, włoży do starej dziury. Do rana wszystko będzie jak było. Nikt obcy nie dowie się, że ona wyciągała słup. Szramowi powie, ale on zrozumie, że przysięga nie została naruszona. Nie odchodziła przecież od słupa, tylko razem z nim… Powoli, milimetr po milimetrze, ciężkie drewno wychodzi z ziemi. I nagle słup zaczyna się przechylać, przewraca się na nią…

Dziewczyna budzi się z krzykiem. Za cienką przegródką płacze Ptaszyna. Sama sobie winna. Przecież Sandra proponowała jej ochronę. Kolejny raz zaryzykowałaby życiem. Tylko się do tego nie przyzwyczajaj! A ona odmówiła, głupiutka. I teraz płacze. Sandra zazgrzytała zębami, przewróciła się na drugi bok,dokładnie zawinąwszy się w cienki koc.

… Stoi, przyciśnięta policzkiem do wypolerowanego słupa. Szram próbuje bicz, podnosi do ciosu. Uderzenie pali plecy. Sandra zaciska wargi. Milczeć, milczeć! Cierpieć. To spektakl, i musisz zagrać w nim swoją rolę. Drugi cios.

– Nie czujesz bólu czy co?

– Gospodarzu, ciebie by tak! Wiesz, jak to pali?!

– W takim razie, dlaczego nie krzyczysz? Wszystkie krzyczą.

– Dobrze, gospodarzu, będę krzyczeć.

Bicz świszczy w powietrzu. Palą plecy. Cierpieć. Raz! Dwa! Trzy! Najostrzejszy ból minął. Teraz już można krzyczeć. Krzyk wylewa się z niej, swobodny i naturalny…

Budzi się od własnego krzyku. Rozgląda się z przerażeniem. Jej pokoik, kwadraty księżycowego światła na podłodze. Niewyraźnie błyszczy broń na ścianie. Cisza. Nie słychać nawet płaczu zza ściany. Nagle otwierają się drzwi i do pokoju wpada ciemna figura. W jej ręce błyszczy miecz. Sandra piszczy i narzuca na gościa koc. Stacza się z łóżka, zrywa ze ściany kindżał. Gość cofa się, wymachuje mieczem, gorączkowo ściąga z głowy koc. Sandra poznaje znajomą miedzianą bransoletę na lewej ręce powyżej łokcia. Taka bransoleta, jak mała tarcza, częściowo chroni przed cięciami zamachowymi.

– Gospodarzu, to ty? O mało ciebie nie zabiłam.

Szram wyplątał się z koca, odrzucił go na łóżko, rozejrzał się po pokoju. Sandra powiesiła swój kindżał na ścianie, objęła ciepłe ramiona zimnymi dłońmi.

– Dlaczego krzyczałaś? – Odwrócił ją twarzą do światła.

– Nie mogę tak dłużej. Jestem zmęczona, boję się. –Przytuliła się do jego szerokiej piersi.

– A dlaczego krzyczałaś? – powtórzył.

– Przyśnił mi się straszny sen. Że mnie postawiłeś przy słupie i chłostasz biczem – rozpłakała się. – Że krzyczeć mi nie wolno, muszę cierpieć, jakbym nie czuła bólu, a nie wytrzymałam. Nie mów nikomu, że płakałam, nie wolno mi tego robić, zaraz przestanę.

– Dlaczego nie wolno, głuptasku? – zapytał głaszcząc ją po plecach i włosach. – Przecież nie jesteś wodzem klanu.

– Nie jestem z grupy desantowej. Nie jestem kontakterem. Nie jestem nawet z grupy wsparcia, tylko z grupy ubezpieczającej wsparcie. A teraz patrzą na mnie dwa światy. Muszę być żelazna, nieugięta. Jestem już zmęczona, nie mogę tak dłużej. Nawet spać już nie mogę przez te koszmary. Szram, co ja mam zrobić?

– Ty to masz wyobraźnię!

– Nie, Szram, ja mówię poważnie. Według mnie będziecie oceniali nasz świat. – I już leży na łóżku, ręce Szrama pieszczą ją, wargi znajdują jej wargi. – Boję się, Szram.

– Zapomnij, głuptasku.

I już nie ma strachu. Szram jest silny, dobry, obroni ją. A może i to jest tylko snem?

**PROM**

Nie wiedziała, ile minęło czasu. Nie słyszała też uderzenia w dziobowej części. Tylko odbiła się od podłogi, a potem od sufitu, jak piłka. Miała wrażenie, że to sufit spada na nią. Cienka warstwa pianki na suficie nie zgasiła całej siły uderzenia i Sandra straciła przytomność.

Leżała na pewno bardzo krótko. Jakiś mechanizm, tracąc obroty, ciągle jeszcze piszczał przenikliwie. Pierwszym, co rzuciło się jej w oczy, było to, że sufit obniżył się o metr. Poruszyła ramionami, zgięła nogi w kolanach. Ciało słuchało. Wyczołgała się na korytarz, gdzie mogła się już wyprostować, i zawołała:

– Hej, żyjecie?

Cisza. Sandra popędziła do sterówki, potykając się o rozrzucone po podłodze akumulatory. Po drodze uderzyła w klawisz aktywizacji modułu medycznego. Podłoga wyraźnie wyginała się ku górze. Arkusze plastiku na ścianach popękały, wygięły się w harmonijkę. Sandra wpadła do kabiny…

– Nie-e-e! – Krzyk rozniósł się po statku. Cztery poranione ciała na podłodze i pulpicie w nienaturalnych pozach, pień drzewa i gałąź z zielonymi liśćmi zamiast szyby czołowej, porwane rzemienie foteli, smużki dymu w promieniach latarni na hełmie…Z pięściami przyciśniętymi do twarzy Sandra z przerażeniem przenosiła spojrzenie z jednego na drugie. Spod pulpitu dobiegło głuche klapnięcie, przywracając jej zdolność ruchu. Złapała najbliższe ciało, potaszczyła po podłodze do modułu medycznego, pobiegła po następne. Kolejno wlokła je, ślizgając się na krwawej ścieżce. Tylko jeden z czwórki zajęczał. Zawodząc i pochlipując, w pośpiechu zdzierała z ludzi skafandry, rozrywała ich ubrania. Noga Liwii poniżej kolana wyginała się we wszystkich kierunkach, nie dawała się wyjąć z buta skafandra. Sandra ciachnęła po niej pistoletem laserowym, kopnęła odcięty kawałek, wyciągnęła cylinder biowanny, wrzuciła do niego ciało, z impetem wepchnęła w ścianę i wyszarpnęła następny.

Po pięciu minutach, gdy wszystko już było zrobione, wyzuta z sił siedziała na podłodze oparta o ścianę i cicho pochlipywała. Kiedy obróciła głowę i światło latarni padło na odciętą nogę Liwii, rozpłakała się na cały głos. Wypłakawszy się, zaczęła zbierać rozrzucone akumulatory i oczyszczać ich zaciski z resztek przewodów. Nieuszkodzone układała w kontenerze. Poszła do ładowni. Blok żyroskopów urwał się zzamocowań, rozbił przepierzenie i zmiażdżył oba cybery. Obie zero-kabiny leżały na boku i wyglądały na uszkodzone. Sandra wytężyła wszystkie siły i postawiła jedną z nich pionowo. Kontrolny monitor rozbity. Podeszła do drugiej. Monitor cały, ale część bocznej ścianki wgnieciona do środka. Czy to duże uszkodzenie, czy nie, Sandra nie wiedziała.

Moduł medyczny zaśpiewał melodyjnie. Sandra podbiegła do niego i przeczytała najpierw ogólną diagnozę: wszyscy żyją. Potem zaczęła czytać szczegóły. Wszyscy czworo w bardzo ciężkim stanie. Czas regeneracji tkanek od 560 do 700 godzin, czyli, jak, jak z trudem obliczyła, od 18 do 22 miejscowych dni. Wprowadziła rozkaz: zaczekać, aż wyzdrowieje ostatni i obudzić wszystkich jednocześnie. Tragedia się skończyła. Teraz wszystko wydawało się być zwykłą przygodą, którą przyjemnie będzie wspominać i opowiadać przyjaciołom, dzieciom, wnukom. Poszła do kabiny pilota, spróbowała uruchomić pulpit. Żaden z systemów nie odpowiadał. Znalazła śrubokręt, zdjęła pokrywę. Wewnątrz była kasza. Elektronowe podzespoły wymieszane pół na pół z ziemią, kamieniami, gałązkami i ceramiką z pokrywy zewnętrznej.

– Oj la, la… A niech to! – powiedziała głośno. – Ale Kim i tak to naprawi!

Nawet nie bardzo się zmartwiła brakiem łączności ze stacją orbitalną. Wszyscy żyli, cała reszta była tylko kwestią czasu. A komisja rewizyjna, magister Anna, lady Terrible, której Sandra od jakiegoś czasu bała się panicznie, aż drżały jej łydki – o tym wszystkim można było zapomnieć na cały ziemski miesiąc. Szkoda tylko Węgielka… Za to, dopóki Kim będzie naprawiał statek, Sandra będzie tylko z Samem. A Liwia sama sobie winna. Niech teraz chodzi w spodniach. Jedna noga opalona, druga biała.

Dziewczyna powróciła do swojej kajuty na rufie, rozciągnęła się na sprężystych wydmach piany i odtworzyła sobie w pamięci wszystkie szczegóły lotu. Im dłużej wspominała, tym bardziej była z siebie dumna. Nawet Sam przyznał, że nie zrobiła ani jednej pomyłki. I teraz też nie zawiodła! Sam będzie z niej dumny! A przecież to jej pierwsza w życiu wyprawa.

– A nie chcieli mnie zabrać, tępe bałwany! – słowa zabrzmiały nieśmiało, zupełnie nie tak, jak chciała. Wsłuchała się w ciszę statku – i nagle skądś z zewnątrz dobiegł potężny niski ryk. Sandrze znowu zrobiło się strasznie.

**SEKOND**

– A już chciałem cię zabić.

– Za co? – Sandra mocniej przycisnęła się do jego ciepłego boku, głaszcząc palcami liczne szramy na piersi.

– Żeby zdjąć twoje przekleństwo.

– Jakie przekleństwo?

– Nic nie mogłem zrobić z Ptaszyną.. – Szram obrócił się na brzuch. – Patrzę na nią, jak leży na kocu – i nic... Tylko twoje słowa brzęczą mi w głowie.

– Szram, czyż można dziewczynę wbrew jej woli...

– Zapomnij o niej. Jutro wymienię ją na twoją Kałużę. Baraki to dla niej najwłaściwsze miejsce. Rok temu ośmieliła się śmiać się ze mnie. Przy wszystkich! Byłem tam wtedy w gościnie i nie tknąłem jej. Ale nie zapomniałem! – Szram mówił coraz głośniej, rozpalając się własnymi słowami. –Ona jest córką wodza, myśli, że wszystko jej wolno! Jeszcze wtedy przysiągłem sobie, że kiedyś będzie moja! Jutro obetnę jej język, napiętnuję na czole i wyślę do baraków.

Sandra gwałtownie usiadła, zeskoczyła z łóżka.

– Ty zwierzaku, ty parszywy zwierzaku! Nie chcę cię znać, nienawidzę ciebie! – Wybiegła na korytarz, złapała klamkę drzwi, przycisnęła czoło do desek. Zimny nocny wiatr dmuchał w wybite okno

„Zamieniłam Sama na takiego…” – myślała. – „Co się ze mną dzieje? Dlaczego? Zwariowałam czy co? Nago na ulicę – no, to rzeczywiście zwariowałam!”.

Weszła do sypialni Szrama. Na łóżku twarzą w dół leżała związana Ptaszyna. Odwróciła się na dźwięk kroków. Sandra zdjęła ze ściany nóż. Ptaszyna zaczęła rzucać się na łóżku, mamrocząc coś bez ładu i składu. Sandra rozcięła jej więzy i zaczęła rozcierać zdrętwiałe mięśnie.

– Słuchaj uważnie – wyszeptała. – Słyszałaś, co gospodarz chce z tobą zrobić? – Ptaszyna skinęła głową ze strachem – Musimy natychmiast uciekać. Znasz drogę? – Kolejne skinienie. – Ubieraj się.

Sandra pomyślała, że jej ubranie pozostało w pokoiku, gdzie jest teraz Szram, będzie więc musiała włożyć coś z jego odzieży. Ale wtedy zimne żelazo przycisnęło się do jej gardła.

– Gospodarzu! – wykrzyknęła Ptaszyna. – Tutaj! Trzymam ją! Chciała uciec i mnie do tego namawiała.

W drzwiach stanął Szram.

– Chciała uciec. Złapałam ją. – Ptaszyna jedną ręką trzymała Sandrę za włosy, drugą przyciskała do jej gardła nóż.

Szram zabrał jej nóż i rzucił tak, że ten wbił się w ścianę.

– A ty co powiesz?

– Naprawdę tak było – odpowiedziała zmęczona Sandra. – Chciałam uciec, namawiałam ją. – Wskazała Ptaszynę. – Niepotrzebnie chciałeś ją wysłać do baraków. Widzisz, jaka wierna?

– A mówiłaś mi, że nie masz dokąd uciekać.

– Nie chodziło o mnie. Chciałam ją uratować. Zresztą wtedy to była prawda, a teraz został mi już tylko tydzień. Czarny Ptak na mnie czeka. Tydzień w lesie bym przeżyła razem z nią.

– Kłamiesz, suko! – Szram złapał ją za włosy, spojrzał jej w oczy. – Byłem w twoim Czarnym Ptaku, nie minęły jeszcze cztery dni. To oszustwo. On jest martwy, podrobiony, z kamienia i żelaza!

Przerażona Ptaszyna przycisnęła się do ściany. Na nią nikt nie zwracał uwagi.

– A ludzie? Ludzi tam widziałeś? – Sandra przycisnęła rękę Szrama do swojej piersi. – Proszę cię, powiedz, czy tam byli ludzie?

– Nie było tam nikogo. Ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Tylko stare plamy krwi na podłodze.

– A ubrania tam na podłodze leżą? Widziałeś? Leżą tam?

– Pocięte, całe we krwi? Tak, leżą.

– No widzisz! To znaczy, że muszę tam niedługo być – niezbyt zrozumiale powiedziała Sandra. W tym momencie Ptaszyna się ocknęła.

– Gospodarzu, ona ci tylko głowę zawraca, nie słucha, a ja będę cię słuchała. Podaruj mi obrożę, a nie pożałujesz. Gospodarzu, czekałam na ciebie cały rok. Nie drażniłam ciebie ze złości, chciałam żebyś mnie zauważył, gdyż nie patrzyłeś na mnie. A czyż nie jestem ładna?

Sandra spojrzała na nią. Ptaszyna klęczała koło łóżka, przyciskając rękę Szrama do piersi. Szram poklepał ją po głowie, przeniósł wzrok na Sandrę i uśmiechnął się ponuro. Sandra odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

– Ona mówi do rzeczy, Szram, naprawdę.

– Może, ale w tej chwili mówimy o tobie.

– Odprowadzisz mnie do Czarnego Ptaka?

– Dziewczyno, zwariowałaś czy co? – Szram chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią tak mocno, aż zadzwoniły jej zęby. – Jesteś moja. Masz robić wszystko, co ci rozkażę.

Sandra pokręciła przecząco głową i przytuliła się do jego piersi.

– Nie, gospodarzu. Mój czas mija. Nie jestem już twoja. Nie wyszła ze mnie dobra niewolnica, ale nie klnij mnie. Jeśli mnie tam nie będzie, naprawdę może wydarzyć się nieszczęście, uwierz mi, proszę. Do Czarnego Ptaka trzy dni jazdy. Nie mogę być już w forcie więcej niż cztery dni. Tyle tu spraw zaczęłam, a żadnej nie skończyłam.

– Zbiorę swoich ludzi i odbijemy ciebie Czarnemu Ptakowi.

– Dziękuję, gospodarzu, ale źle mnie zrozumiałeś. Mnie tam się nic nie stanie. Muszę tam być, żeby ratować swoich przyjaciół.

– Gdybym mógł ci uwierzyć… – Szram odepchnął ją, i przeszedł się po pokoju. – Zobacz, co znalazłem przy tobie wtedy, przy ognisku. – Otworzył skrzynię w kącie i wyjął z niej owinięty szmatą pistolet laserowy z celownikiem optycznym. Sandra zauważyła, że ma zdjęty bezpiecznik. – Wiesz, co to takiego? Jeśli popatrzeć z tej strony, dalekie przedmioty widać jak bliskie nawet w nocy. –Szram zaczął celować to w Sandrę, to w Ptaszynę. Sandra pobladła, zagryzła wargi – A jeśli popatrzeć z tej strony – Szram odwrócił pistolet, który teraz mierzył w jego czoło – to przez to szkiełko nie widać nawet światła.

– Gospodarzu, stój! – wyszeptała Sandra. – Stój, nie ruszaj się. Opuść rękę. O tak. Tylko nie ściskaj rękojeści.

Szram opuścił rękę, teraz pistolet mierzył w Ptaszynę. Sandra pociągnęła dziewczynę za rękę, usuwając ją z linii wystrzału, ta podporządkowała się, nic nie rozumiejąc.

– A tu mamy ciekawy haczyk. – Szram znowu skierował pistolet na siebie.

– Szram, nie ruszaj! To śmierć!

– Czyżby? – Zdziwił się. – A ja go już naciskałem. – Położył palec na spuście.

– Nie trzeba! Nie naciskaj! Patrz w okno, w okno!

Szram rzucił szybkie spojrzenie w okno, potem na Sandrę.

– Popatrz przez dziurkę.

Pistolet celował w księżyc.

– Teraz naciskaj.

Szram roześmiał się, zdjął palec z kurka, założył bezpiecznik.

– Każdy chłopiec słyszał u nas o broni przodków. Myślisz może, że wojownik nie zorientuje się, do czego służy język spustowy w kuszy?

– Dureń! Gad! Swołocz! – Sandra rzuciła się na niego z pięściami, ale on zgrabnie przechwycił jej ręce i ze śmiechem przewrócił ją na łóżko. Przez jakiś czas młóciła pięściami po jego szerokich plecach, potem ucichła.

– Nie rób tak więcej. Wiesz, jak się o ciebie zlękłam? – Chlipnęła.

– Musiałem cię sprawdzić. – Przylgnął do niej pożądliwym pocałunkiem.

Ranek. Łóżko się kołysze. Sandrę bezlitośnie poszturchują. Obok rozlegają się jęki i ryki. Dziewczyna otworzyła oczy. Szram kocha się z Ptaszyną.

– Dureń. Gad. Swołocz. I kobieciarz! – Podsumowała go.

**ZIEMIA**

Konspiratorzy, niech ich diabli porwą! Anna miała rację, nie nadaję się na kierownika. Rozpuściłem wszystkich, rozłożyłem dyscyplinę. O wszystkim dowiaduję się jako ostatni. Głowę Samowi oderwę! Żeby tylko przeżyli!

Biegnę korytarzem. Z mijanych drzwi czasem wyskakują nasi współpracownicy i biegną za mną. Wpadam do sali dowodzenia. Przy pulpicie – Kora. Od razu ustępuje mi miejsce. Na ekranie Węgielek.

– Węgielku, gdzie jesteś?

– Na orbitalnej Sekondu.

– Idę do ciebie. – Zrywam się z miejsca i zaraz rzucam przez ramię: – Gdzie jest wielka zero-komora?

– Na Ziemi nie ma ani jednej.

Biegnę już do drzwi, ale zaskoczony tymi słowami zapominam je otworzyć i wpadam na nie z rozbiegu. Drzwi wylatują z zawiasów i z łoskotem padają. Ktoś odskakuje ze strachem. Wracam, próbuję się zorientować w sytuacji.

– Węgielku, powtórz dla idioty, gdzie jesteś?

– Na orbitalnej Sekondu.

– Jak się tam dostałaś?

– Przez średnią komorę. Ustawiasz się po przekątnej, głowa między nogami, ogon podwijasz, skrzydła – gdzie wejdą.

Średnia komora ma objętość piętnaście metrów sześciennych. Mnie teoretycznie wystarczy sześć, ale przynajmniej cztery długości. Podbiegam do niej, wybieram kod ziemskiej orbitalnej, wciskam się.

– Kora, pomóż!

Zuch, rozumie z półsłówka. Upycha mnie, naciska ramieniem na drzwi, mój kręgosłup wygina się w kształt litery S. Zamek szczęka i jestem w komorze. Kora ją uruchamia i już jestem na orbitalnej. Do diabła! Jak tu otworzyć drzwi? Trzeba nacisnąć klamkę, ale ona jest gdzieś koło ogona. Wpadłeś, półgłówku! Siedź sobie w tej puszce konserwowej. Smok w sosie własnym. Skąd taki bałagan? Dlaczego przez całe lato nie odtworzyli ani jednej wielkiej komory na powierzchni? Ano dlatego, że to ja jestem kierownikiem! Zwolnię łajdaka, massaraksz!

Ktoś stuka magnetycznymi butami po korytarzu.

– Hej tam, w korytarzu, proszę otworzyć drzwi średniej komory!

I jestem wolny. Ostrożnie wyłażę z komory tyłem i biegnę korytarzem. Dziewczyna sprawdza klamkę komory. Prawidłowo, niech myśli, że klamka od wewnątrz się zacina. Ale jak ona tak szybko się zjawiła? Głupieję! Przecież nadaję jak silna radiostacja. Poczuła gniew kierownika i pobiegła wyjaśnić powód. Dziękuję, kochana. Masz u mnie czekoladkę.

Oto wielka komora. Wybieram kod orbitalnej Sekondu, naciskam klawisz. Wyskakuję na korytarz, biegnę do przedziału dowodzenia. Ściany obdarte, wszędzie śmiecie, sterczą pourywane kable. Remontowe cybery uciekają spod łap na wszystkie strony. Węgielek czeka na mnie pośrodku sali, z podwiniętym tchórzliwie ogonem. Pierwszy raz od wczesnego dzieciństwa widzę ją z podwiniętym ogonem.

– Gdzie oni są?

Na ekranie panoramicznym widzę plan przelotu z orbitalnej na Sekond. Zielona linia to trasa planowana, czerwona – rzeczywista. Wzdłuż czerwonej linii znaczki czasu i napisy.

– Tu włączyli silnik marszowy. Tu wysiadły im akumulatory i urwała się telemetria – pokazuje na schemacie Węgielek. Z obu jej oczu ciekną łzy, od czasu do czasu zlizuje je językiem. – Tu telemetria wróciła, ale bez łączności. Tu otworzyli luk towarowy, tu go zamknęli i włączyli antygrawy. Po dwu sekundach telemetria znowu się urwała, a tu – znów zadziałała. Tu znowu włączyli antygrawy, ale na trzy procent pełnej mocy. I tak do samej atmosfery. Kiedy weszli w atmosferę, znowu się urwała. I koniec… Ja do teleskopu. – Węgielek zmienia schemat na mapę obu półkul. – Tu, tu, tu i jeszcze tam – to stare pożary lasów. A tu i tu zaczęły się owe. Jak myślisz, czy oni żyją?

– Dlaczego mnie nie wezwałaś od razu?

Węgielek chce coś powiedzieć, ale nieoczekiwanie wkłada głowę pod moje skrzydło. Coś takiego ostatni raz miało miejsce pięć lat temu. To znaczy: bardzo mocno zawiniła, z góry zgadza się na każdą karę, prosi o przebaczenie i już nigdy tak nie postąpi.

Wywołuję na ekran plan promu. Piękna maszyna, ale prymitywna. Deltokształtne skrzydło, dwa pionowe kile. Silniki zwykłe, nie jądrowe. No oczywiście, przecież w zasadzie miał latać w atmosferze, nie w kosmosie. W razie katastrofy nie będzie promieniowania. Maszyna niezbyt wielka, ale mocna. A to ciekawe: paliwo na pokład dostarczane przez zero-t. No tak, takim silnikom zawartości baków nie wystarczy nawet na cztery godziny. I jakie potężne antygrawy! Mogą dać nawet dwadzieścia g. Koniec, wyobrażam sobie możliwości maszyny. Dalej! Stan promu w chwili startu? Kiepski… Śpieszyły się dzieciaki. Dalej!

Rozkazuję obliczyć według posiadanych danych manewr wejścia w atmosferę. Przeciążenia, temperaturę, wszystko, co możliwe. Wyniki kiepskie. Przy optymalnym kierowaniu przeciążenie co najmniej sześć g – a prom może rozlecieć się już przy pięciu. Był wprawdzie obliczony na dwadzieścia pięć g, ale tysiąc lat temu. Po pierwszym wejściu w atmosferę prom mógł się od niej odbić i wykonać jeszcze jedno-dwa okrążenia. Mógł też wykonać w atmosferze manewr aerodynamiczny. Czyli mógł wylądować w każdym miejscu od bieguna północnego do południowego. A mógł też w ogóle nie wylądować – runąć…

Uspokajam Węgielka. Smoczka płacze i mamrocze coś bez ładu i składu. Przed nami zadanie: znaleźć w możliwie najkrótszym czasie prom na terenie całej planety. Wylądować na planecie. Okazać pomoc ewentualnym rannym. Ewakuować wszystkich z planety. Termin – nie więcej niż doba. Inaczej ranni mogą umrzeć.

Wzywam cybery, rozkazuję im połączyć się z moim laboratorium, mam tam w komputerze projekt skafandra dla smoka. Wnoszę ostatnie poprawki, dodaję warstwę termoizolacyjną oraz specjalne urządzenie do natychmiastowego rozkładania na plecach, tam, gdzie skrzydła, i każę to wyprodukować. Węgielek zamawia jeszcze dwa, dla siebie i dla Kory, dopasowane do ich wymiarów. Zuch. Ale dla niej mam inne zadanie.

– Skafander nie będzie ci potrzebny. Będziesz siedziała tu i utrzymywała łączność.

Na powierzchni będą potrzebne biowanny, cyberchirurg, mobilne komory zero-t. Każe przygotować. Cybery komunikują, że na bazie jest zapasowy blok medycznego modułu promu: sześć cylindrów biowanien z modułem cyberchirurga pośrodku, przeznaczony dla dalekiego kosmosu i zasilany autonomicznie. To znaczy, że wytrzyma praktycznie wszystko oprócz wybuchu atomowego. W sam raz to, co potrzebne. Pytanie: jak dostarczyć to wszystko na planetę? I gdzie konkretnie?

Węgielek patrzy na mnie z nadzieją i oczekiwaniem. Jest pewna, że sobie poradzę. Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Anna nauczyła ją, że dla mnie nie ma nic niemożliwego i ona w to wierzy. Ba, gdybym mógł być równie pewny jak ona… „Smok wszystko może!”. Tu nie smok jest potrzebny, tylko czarodziej.

Okazuje się, że w magazynie orbitalnej są dwa bieguny do wielkiej komory zero-t. Działające. Sam zastąpił je nowymi, a stare zmagazynował. Mając bieguny, można już zbudować stację zero-t bardzo łatwo, poradziłby sobie z tym nawet przedszkolak. Rozkazuję cyberom zbudować komorę w hangarze. W pierwszej chwili każę im też zamontować na niej silniki orbitalnego holownika, ale potem zmieniam: prościej przylutować po bokach dwa holowniki – i gotowe. Teraz będzie można spuścić się na niej do wysokości dwustu kilometrów. Stamtąd lepiej widać. Może uda się wypatrzyć prom. Tak, do diabła!

Rozkazuję umieścić na niskiej orbicie pięćdziesiąt sond z aparaturą rejestracyjną: optyczną, podczerwoną, radiolokacyjną. Cel – odnaleźć prom. Niepowodzenie: na obu stacjach orbitalnych jest w sumie tylko dziesięć sond w stanie nadającym się do użytku. Cholera, kurwa, massaraksz! Nie wytrzymuję, krzyczę na komputer, na cybery. Dobrze, niech w takim razie cybery przylutują sobie silniczki do tyłków, wezmą aparaturę w łapki i same lecą! Przegrzeją się na słoneczku? To niech zrobią sobie parasole z folii! Przeszło, odwołałem rozkazy, co dalej? Znajdę prom, jeśli nie utonął w oceanie! Opuszczę się na wysokość dwustu kilometrów. Szybkość stacji względem powierzchni planety – trzydzieści tysięcy kilometrów na godzinę. Spadochron nie pomoże. Drugiego promu nie ma. Zanim go zrobią, upłynie dwa tygodnie. Ale musi być jakieś wyjście! Potrzebny mi jest jak najłatwiejszy do zbudowania lądownik. Od początku. Co mam? Planetę. I dwie komory zero-t. Gdybym miał tu moją konstrukcję tunelową! Nie, nie pomoże. Nie da się jej przenieść, montaż tu trwałby tydzień, a i tak nie pociągnie. Odległość w przestrzeni za duża. Ale myśl prawidłowa, coś w tym jest. Jedna komora z jednej strony planety, druga z drugiej – i wysadzają mnie prosto na powierzchnię. To są wielkie komory, mogą zrzucać ładunek w każdym miejscu na łączącej je prostej. Czyli tak: Najpierw z miejsca lądowania usuwamy powietrze, a po mikrosekundzie przerzucamy tam mnie, lepiej nie na powierzchnię, a na wysokość około kilometra. Dalej sobie poradzę. Prędkość pionowa w chwili lądowania – zero, pozioma – trzeba obliczyć… Zależy od szerokości. Do diabła, do czterystu pięćdziesięciu metrów na sekundę. Nie osiem kilometrów, ale też za dużo –tysiąc sześćset kilometrów na godzinę. Pięćset kilometrów bym wytrzymał, no, może sześćset, ale tysiąc sześćset rozerwie mnie na kawałki. Musiałbym wylądować w strefie polarnej, a to za daleko. A na wysokości dwudziestu kilometrów? Znowu trzeba obliczyć. Ładunki można tak zrzucać. Przykryte z obu stron aerodynamicznymi stożkami, kilka kilometrów spadają swobodnie, potem na spadochronie. Ą przecież można i mnie takimi stożkami przykryć – wyjdzie latający talerz, NOL, Nietutejszy Organizm Latający. A ładunek można zrzucić we flyerach. Poradzę sobie! Żeby tylko oni tam wytrzymali!

Plan gotowy. Komenderuję stanowczo, nie wdając się w szczegóły, te będę mógł korygować na bieżąco podczas operacji. Dałem zajęcie wszystkim cyberom z obu baz orbitalnych. Na Ziemi cybery i ludzie rozbierają flyery, żeby przerzucić je przez średnią komorę. Wydałem rozkazy i przez sześć godzin nic już ode mnie nie zależy, mogę odpocząć, rozluźnić się. Węgielek przyciska się do mnie, płacze, twierdzi, że to wszystko tylko jej wina. Wzywam Lirę. Ujrzawszy mnie w objęciach Węgielka bardzo się ucieszyła. Nie dając jej powiedzieć ani słowa, wprowadzam w sprawę i wyznaczam dowódcą na czas mojej nieobecności. Zuch dziewczyna, trzyma się. Oczy jak szparki, na policzkach grają nabrzmiałe mięśnie.

– Rozumiem, wykonuję – mówi. Tylko niższy o oktawę głos zdradza jej napięcie.

Wyłączam się. Na ekranie znowu Kora.

– Afa, już się pogodziliście?

Ze zdumieniem patrzę na nią, na Węgielka. Ta, pochlipując, opowiada. Okazuje się, że trzy tygodnie temu żona porzuciła mnie „na zawsze”. I nie wiedziałem o tym! Dniami i nocami nie wychodziłem z laboratorium, spałem urywkami i nawet nie wiedziałem, że mnie porzuciła! Wszyscy wiedzieli, a ja nie. Nikt mi nie powiedział. Dlaczego mnie porzuciła? Z powodu nocnego koszmaru dotyczącego spraw sprzed trzydziestu lat.

Idę do kąta, kładę się na podłodze, nakrywam głowę skrzydłem

Ale z nas para! Mąż, który nie zauważył, że żona go opuściła, i żona, która nawet nie wyjaśniła, dlaczego odchodzi! Nie, to nie tak. Po prostu ja uważałem ją za dorosłą. Dziewięć metrów długości, cztery i pół tony wagi, IQ ponad dwieście pięćdziesiąt. A to przecież jeszcze dziewczynka. Jedenaście lat, żadnego doświadczenia życiowego. I testy na inteligencję kłamią. Obliczone są na mózg ludzki, a nie na smoczy, szybki, ośmiosekcyjny, równoległy. Ale ja jestem dopiero! Słusznie ode mnie odeszła. Ale wstyd!

– Mistrzu, Afa, Czarku, nie jestem taką świnią, jak myślisz. Jestem świnią, ale nie aż taką! Dowiodę tego, zaraz zobaczysz! – Węgielek wyjmuje pistolet laserowy, przyciska lufę do podbródka…

Nie zdążę!

– Daj powiedzieć! – Palec zamarł na spuście. – Węgielku, ty miły, kochany głuptasie, ja nie myślałem o tobie, tylko o sobie!

**SEKOND**

Tego dnia przy pniu stała Kałuża. Na policzku miała świeży siniak.

– Za co cię tak? – Przeraziła się Sandra.

– Napaskudziłam w pościel Frantowi.

– Jak to?

– Sam sobie winien! Nie zapytał Czerepa o pozwolenie, porwał mnie do domu, kiedy wracałam od Kreta. Ale żona mu potem zrobiła skandal! Zapamięta mnie na długo!

– Postój spokojnie, uwolnię ciebie.

– A gdzie ja pójdę? – Kałuża roześmiała się i potrząsnęła łańcuchem kajdan.

Sandra pobiegła do Czerepa. Ten wymamrotał coś o upadku dyscypliny i braku porządku. Kierując się tymi słowami, Sandra później wyjaśniła Frantowi niewłaściwość jego postępowania, opowiedziała mu anegdotę, podrapała go w plecy pod łopatką – i dostała klucze od kajdan. Uwolniła Kałużę, zwróciła kajdanyi pobiegła do baraków. Panował tam smutek, opłakiwano Tchórza. Jak się okazało, w barakach był lubiany – za dobroć, szczodrość, brak pychy. Sandra rozdzieliła prace unowocześniające. Musiała przy wszystkich skląć matkę za brud na podłodze. Kiedy tylko odwróciła się, zaświszczał bicz, kobiety zaczęły krzyczeć. Matka wpajała zasady higieny prostymi i ogólnie znanymi metodami. Letnia kuchnia i jadalnia były już prawie skończone. Sandra pobiegła do kuźni.

Szkło nie udawało się. Próbki wychodziły mętne, brudnożółte. Zawer twierdził, że to wina piasku. Potrzebny był taki, jaki wydobywali u siebie Aksowie. Ten źle się topił i w ogóle się nie nadawał. Sandra poleciła dodawać do mieszaniny ołowiu. Szkło było bardzo potrzebne. Miała zamiar wyciąć w ścianach baraków dwukrotnie więcej okien, a na zimę potrzebne były podwójne ramy.

Zostało najważniejsze. Sandrze nie chciało się do tego brać, było jej wstyd i bała się.

– Gospodarzu, pokazywałeś mi wczoraj mój pistolet. Umiesz z nim pracować? – zapytała.

– Wycelowałem, nacisnąłem spust. Dziecko sobie z tym poradzi.

– To znaczy, że nie umiesz. Muszę cię nauczyć, bo jeszcze coś źle zrobisz. Wiesz, jak się tym rozpala ognisko?

– Nie. Przecież to rozetnie drwa na kawałki.

– Daj, pokażę ci.

Szram przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu dziewczynie, po czym wyjął z torby pistolet, podał go jej. Sandra przyniosła ze stodoły trochę siana, położyła je na kamieniu.

– Popatrz, tu jest regulator ogniskowej. Przesuwam go w lewo do oporu, uzyskuję szeroki promień. A to jest regulator siły. Ustawiam go na zero. A teraz odrobinę, o włos powyżej zera. Naprowadzam na siano i naciskam na spust. – Siano na kamieniu zapaliło się. – A teraz zrób to sam.

Pod jej kontrolą Szram wykonał wszystkie manipulacje i ucieszył się jak dziecko.

– Teraz nauczę cię pracować z pełną siłą. Tylko że to trzeba na ulicy, bo spalimy dom.

– Siodłaj konie, pojedziemy w step – zaproponował Szram po chwili namysłu.

– Prawidłowo. Bo jeszcze przetniemy kogoś na pół. – Sandra pobiegła na podwórze. Wszystko szło nawet lepiej niż planowała.

Kiedy przyprowadziła konie pod ganek, Szram już na nią czekał z torbą podróżną w rękach. Sandra wbiegła do domu, powiesiła na pasie pochwę z mieczem, zwinęła w rulon koc i skórzaną derkę, po namyśle zdjęła ze ściany bicz i wsunęła go za pazuchę.

– Wydaje mi się, że ty coś knujesz, Chartachana – powiedział Szram, gdy już ruszyli..

– Nigdzie nie ucieknę, gospodarzu. Daję ci słowo, że razem wrócimy.

– A po co ci miecz?

– Tak jak tobie. Z nim jestem spokojniejsza, a bez niego czuję się jak naga.

– Daleko się wybieracie? –Zawołał do nich z wieżyczki Ślad.

– Do wieczora wrócimy – odkrzyknął Szram.

Jechali długi. Szram powiódł ją do tego samego wyschłego strumienia, gdzie odbywała się Gra. Nie można było wymyśleć lepszego miejsca, jak ten wymyty przez strumień wąwóz o wysokich kamienistych brzegach.

Po wyregulowaniu pistoletu na pełną moc i wąski promień Sandra dwa razy przejechała nim po głazie. Zmieniła miejsce i wykonała jeszcze dwa cięcia. Otrzymała czworościenną piramidę o wysokości człowieka. Szram ostrożnie dotknął gładkiego zbocza.

– To broń bogów – wyszeptał.

– Nie, to tylko broń.

Zaczęła się nauka. Sandra pokazywała ćwiczenie, po czym długo poganiała Szrama. Dążyła do tego, żeby mógł ustawić pistolet na określone parametry. Cięli kamienie nieprzerwanym promieniem, dziurkowali je impulsami, podpalali kępki trawy blisko, prawie pod nogami, z odległości dziesięciu, pięćdziesięciu, stu metrów. Od czasu do czasu Sandra rzucała spojrzenia na pasek wskaźnika energii. Energii powoli ubywało. Bardzo powoli.

– Ostatnie ćwiczenie – zakomunikowała dziewczyna. Ustawiła pistolet na szeroki promień i pełną moc, pokazała to ustawienie Szramowi, kazała mu odejść o dziesięć kroków, usiadła za kamieniem, nakryła się derką, wycelowała w czterometrowy urwisty brzeg odległy od niej o dziesięć do dwunastu metrów i nacisnęła spust.

Grunt popłynął. Kamienie i piasek topiły się i gęstym jak krew strumieniem zaczęły ściekać w dół. Powstało wgłębienie. Sandra nieco kołysała promieniem, poszerzając ściany pieczary i nie dając im ostygnąć. Strumień płynnego gruntu nabierał siły. Dosięgnął kałuży, z której uniósł się obłok pary, która, znalazłszy się na drodze promienia, znikła. Pieczara miała już trzy metry głębokości i stale rosła. Jej ściany świeciły się na jasnoróżowo, prawie na białoi wciąż płynęły. Derka, okrywająca Sandrę, zaczęła dymić. Dziewczyna zrzuciła ją, odbiegła kilka metrów dalej, ukryła się za innym kamieniem, wystawiwszy tylko lufę pistoletu, naciskała i naciskała pobladłym palcem na spust, już nawet nie patrząc, gdzie trafia promień.

I wreszcie promień znikł.

Jakiś czas Sandra leżała za kamieniem nieruchomo. Potem ostrożnie wyjrzała. Ściany pieczary świeciły na ciemnobordowo. Lawa zastygała i potrzaskiwała. Ziemia parowała, wiatr rzucał w twarz kłęby palącego dymu. Sandra zakaszlała się, z jej oczu pociekły łzy. Zmrużyła oczy i szybko odbiegła dalej od wypalonego placyku.

– To niewiarygodne! – krzyczał Szram, ściskając ją w objęciach. – Moja malutka, my jesteśmy najsilniejsi! Nie ma nam równych na świecie, rozumiesz?! Cały świat jest nasz! Zrozumiałem! Zrozumiałem, co wtedy mówiłaś o najsilniejszym! – Szram tańczył jakiś dziki taniec.

Sandra spojrzała na indykator naboju. Zielony pasek zniknął. Usiadła na ziemi, objęła kolana. Czekała ją najbardziej nieprzyjemna część.

– Dlaczego płaczesz?

– Od dymu. – Podała mu pistolet. – Oszukałam cię, gospodarzu.

– Niemożliwe! Kiedy?

– Teraz. Nie możesz władać taką bronią. Jest dla ciebie zbyt potężna. Można ją powierzyć tylko temu, kto nie będzie chciał jej używać.

– Pomyślę nad twoimi słowami.

– Trzymasz w rękach zwykły kawałek metalu. Już nie strzela.

Szram wycelował pistolet w kamień, nacisnął spust. Nic. Poszczękał bezpiecznikiem, regulatorem mocy, regulatorem ogniskowej.

– Wyczerpałam całą jego siłę – wyjaśniła mu. Jednym ruchem postawił ją na nogi.

– Oszukałaś mnie! Przed chwilą byłem wodzem wodzów! Tysiące przywódców klanów stało przede mną i czekało na moje rozkazy! – Sandra wyjęła zza pazuchy bicz, podała mu. – Byłem władcą! Zmieszałaś mnie z błotem! Chcesz wykpić się chłostą?

– Zabijesz mnie?

Szram włożył pistolet do torby, pogrzebał w niej, znów wyjął, poszczękał bezpiecznikiem.

– A jak myślisz?

Sandra ostrożnie wyjęła z pochwy miecz, pocałowała ostrze, położyła mu pod nogami. Odpięła od pasa nóż, dwa inne wyjęła zza cholew mokasynów. Z tajnych kieszonek wyciągnęła dwie gwiazdki do rzucania. Szram podniósł jedną z nich, obejrzał z ciekawością.

– To wszystko? – Obmacała się po kieszeniach i dodała do stosu mały ciężarek na gumce. – Ręce! – Pozwoliła związać sobie ręce za plecami. – Coś chcesz mi powiedzieć?

Pokręciła przecząco głową, po czym nagle, krztusząc się słowami, zaczęła wyliczać wszystko, czego nie zdążyła zrobić w barakach: łaźnię, podłogi, okna z podwójnymi ramami, stoły, ławy, szafy i szafki, umywalnię, zasłony na okna, prześcieradła i poduszki. Kiedy doszła do opisu krosna, nagle urwała wpół słowa.

– Chciałaś to wszystko zrobić w ciągu czterech dni? – Zdumiał się Szram.

– Nie, to… Cóż, teraz to już na pewno nikt tego nie zrobi. Nie bądź na mnie zły, Szram. Robiłam nie to, co chciałam, a to, co trzeba było zrobić.

– Trzeba było? Dla kogo? Dobrze, a gdybym miał drugi pistolet, co byś zrobiła?

– Dokładnie to samo.

Szram wycelował pistoletem w kamień i… rozciął go na pół.

– Jak?! Jak to?! – Sandra wpatrzyła się zdumiona w indykator naboju. Zielony pas ciągnął się przez całą długość. – Jak go naładowałeś?

– No i co ja mam z tobą zrobić? – myślał głośno Szram.

– Nie wiem. Sama sobą gardzę. Zrób ze mną co chcesz, tylko nie męcz mnie, proszę.

– Obiecałaś nauczyć mnie posługiwać się pistoletem. To wykonałaś. O tym, że jego siła może się wyczerpać, nie mówiliśmy.

– Z boku jest zielony pasek, tak zwany indykator naboju. Im mniej w pistolecie pozostaje siły, tym jest on krótszy.

– Nie będę cię karał, jeśli przysięgniesz, że nie będziesz się mieszała do męskich spraw.

– Szram, mój miły, kochany, będę się mieszała. Muszę ten pistolet zniszczyć.

– Jak mnie nazwałaś? Dobrze, to później. Rozumiesz, że nie pozostawiasz mi wyboru? Zresztą jak zamieszasz go zniszczyć?

– Jesteś mężczyzną. Jesteś mądry i silny, wymyśl coś.

– Ja sam? Dzisiaj mnie oszukałaś. Wczoraj namawiałaś do ucieczki Ptaszynę. Przedtem zorganizowałaś ucieczkę kobiet z baraków. Pobiłaś matkę. Nałożyłaś na mnie zaklęcie. Opróżniłaś piwnicę. Rozbiłaś szkło. U nas za mniej otwierali żołądek i wlewali tam wrzący olej. Teraz prosisz, żebym sam wymyślił, jak zabić swoje marzenie. Kto dał ci prawo do decydowania, kto może nosić pistolet, a kto nie?

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Zrozumiesz. – Sandra uchwyciła się tej myśli jak słomki i zatrajkotała, dopóki Szram jej słucha i nie przerywa. – To nie ja decyduję. To trzeba czuć. Smok mówił, że tą broń może mieć ten, kto życie innego ceni bardziej niż swoje własne, kto nawet do wroga nie będzie strzelał bez potrzeby. Do tej broni trzeba dorosnąć, stać się jej godnym.

– A ty jesteś godna?

– Już nie. Byłam, dopóki mój pistolet nie trafił w twoje ręce.

– A ja mogę stać się jej godnym?

– Ty nie dorosłeś, Szram. Będziesz musiał uczyć się tego dziesięć lat. Rzucić tu wszystko i wyjechać bardzo daleko na dziesięć lat. Zdołasz to zrobić?

– Dziesięć lat to naprawdę drogo. – Szram się zamyślił.

Sandra czekała w napięciu.

– W pojedynkę będę tam samotny…

Dziewczyna podniosła głowę.

– No i nie mogę pozostawić tu bez dozoru pewnej malutkiej chytrej bestii samej na dziesięć lat. Albo nie zostawi z fortu kamienia na kamieniu, albo wszystkich bogactw zachodnich miast nie wystarczy na spłatę moich długów. Będę musiał zabrać ją z sobą.

– Szram, zgadzam się! – krzyknęła zachwycona.

– A to co? Czy ktoś pyta swoją niewolnicę o zgodę?

Sandra przygryzła wargę.

**SEKOND. ORBITALNA.**

Leżymy głowa przy głowie na zimnej metalowej podłodze. Milczymy. Słowa są zbędne. Jak to się mówi, zjedli razem pud soli. Okazuje się, że ten pud można zjeść w półtorej sekundy. Kocham Węgielka i kocham Korę. Może to dobrze, może źle, ale tak jest. Nie chcę i nie będę wybierać między nimi. Węgielek to rozumie i kocha mnie. Pełne i wieczne wzajemne zrozumienie. Jesteśmy rodziną, jedną całością. Wdycham czysty, świeży oddech dziewczynki

Przybywa baryłkowaty cyber i komunikuje, że nowa komora zero-t opuściła hangar i wykonała manewr. O’key. Za osiem godzin zajmie potrzebne położenie na orbicie po drugiej stronie Sekondu. Będę musiał być gotowy za te osiem godzin.

Przybiega inny cyber, komunikuje, że dostarczono skafander. O’key. Czas wstawać. Wkładam skafander, sprawdzam systemy. Wbiega kolejny cyber. Komunikaty teraz nadchodzą jeden po drugim. Flyery – dostarczone i zmontowane. O’key. Hamujący stożek aerodynamiczny Załadunek flyerów zakończony. I wreszcie najważniejsze. Radary wymacały na powierzchni prom. Bardzo wyraźne echo na nocnej stronie planety. Komputery zaraz przedstawią jego model holograficzny. Gotowe! Nie ma wątpliwości, to prom. Skrzydła, poziome kile – wszystko się zgadza. Szczegóły mniejsze niż metr są nierozpoznawalne, ale to, co widzę, cieszy. Wydaję rozkaz skorygowania orbity stacji i zero-komory, żeby wysadziły mnie i flyer z modułem medycznym w potrzebnym rejonie. Do chwili ZERO siedem i pół godziny. To nawet dobrze, gdyż w rejonie desantu będzie już ranek. Złe jest co innego. Kiedy tam przybędę, od czasu lądowania minie już dwadzieścia godzin. Żyją?

Ostatni raz wzywam Korę i proszę, żeby w czasie mojej nieobecności troszczyła się o Baka. Idę korytarzem do wielkiej komory zero-t. Dopiero teraz zauważam czerwony dywanowy chodnik na podłodze. I wcale mi się to nie podoba, nie pasuje… Oglądam stożek od zewnątrz. Wykapany latający talerz ze starego filmu fantastycznego. Zajmuję miejsce w stożku, nakrywają mnie daszkiem. Hermetyzują z brzękiem instrumentów. Pode mną, z przodu, z tyłu, po bokach jest siedem iluminatorów. Węgielek odlicza czas do startu. Chwytam wszystkimi łapami i ogonem specjalne klamry.

Sześć. Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. ZERO!

Rzuca mnie w górę, w dół, znowu w górę, oj! Skręca, odrywa od klamer, bije o sufit, rozmazuje po ścianie. I nagle zrywy i przeciążenia się kończą. W tylnej łapie zaciśnięta wyrwana z podłogi klamra. Rękawiczka na przedniej łapie podarta. Krew z rozbitego nosa i przygryzionego języka zalewa szkło hełmu. Oglądam i obmacuję resztę – chyba cała, o ile mogę się zorientować przez skafander. Połykam krew i wylizuję językiem szkło hełmu. Żaden człowiek by tak nie potrafił! Podłoga stała się ścianą. Chwytam klamry, zajmuję prawidłową pozycję – i znowu jest podłogą. Moim prymitywnym aparatem latającym kieruje się jak deltaplanem – przez zmianę środka ciężkości pilota. Patrzę na przyrządy. Wysokość już 17 kilometrów. W iluminatorach obłoki i ziemia. Łączę się z orbitalną.

– Węgielki, wszystko zgodnie z planem. Wytrzęsło mnie mocno, ale żyję. Zorientuj przed zrzutem flyer według wektora szybkości.

– Flyer już zrzucony. Z nim też wszystko w porządku. Znajduje się teraz o czterdzieści pięć kilometrów na zachód od ciebie.

– Znakomicie. Do następnego połączenia.

Dwanaście kilometrów. Wypuszczam hamujący spadochron. Początkowo otwieram kopułę na jedną czwartą objętości. Szarpnięcie niezbyt silne. Czekam dziesięć sekund i otwieram całkowicie. Chlast! Jak rybę o stół!! Aż dech zaparło. Z nosa znowu poszła krew. Ale szybkość spada, to dobrze i zgodnie z planem. Dziesięć. Kładę się na brzuchu i zachwycam się pejzażami. Do pięciu kilometrów i tak nie mam co robić.

Pięć. Otwieram mały luczek, wyrównuję ciśnienie z zewnętrznym.

Cztery. Otwieram skafander na plecach, uwalniam skrzydła.

Trzy i pół. Ciągnę za dźwignię, rozlegają się głośne trzaski i daszek znad głowy ucieka do góry. Ściślej: to ja ze stożkiem zwalamy się w dół. Daszek powoli opuszcza się na spadochronie. Nad głową niebieskie niebo z rzadkimi obłokami. Przysiadam i ze wszystkich sił odbijam się wszystkimi czterema łapami i ogonem od stożka. W pierwszej chwili stożek ucieka w dół, ale odciążony, hamuje mocniej, jakby skacze na mnie od dołu, boleśnie uderza mnie w ogon i tylne łapy, przewraca się i unosi, koziołkując, ku górze. W uszach świszczy wiatr, kieruję ogonem. Kiedyś lecąc z taką szybkością wpadłem we flatter. Nieco rozwieram końce skrzydeł. Lot staje się kontrolowany. Uciekam w bok od spadochronu i stożka, robię świecę, zwalniam i otwieram całkowicie skrzydła. Zdejmuję hełm, pełną piersią wdycham miejscowe powietrze. Zrobiłem to! Prosto z orbitalnej wylądowałem na planecie i przeżyłem! Wątpliwe, czy ktokolwiek zechce powtórzyć ten trick.

Komunikuję o tym Węgielkowi. Patrzę na mapnik i kieruję się ku promowi. Obok przelatuje flyer. Też mu się dostało: reflektor głęboko wgnieciony. Ale najważniejsze, że ocalał.

Obieram kurs. Do celu mam około osiemdziesięciu kilometrów. Lecę szybko i już po pół godzinie podlatuję do świątynnego kompleksu albo do monastyru. Za wysoką ścianą coś połyskuje złotem. Obniżam lot. Nie, to niemożliwe! To pomnik promu! Złoty pomnik na kamiennym postumencie. Naturalnej wielkości.

Siadam na wytartych kamiennych stopniach. Obchodzę dookoła, dotykam. Nie, pomyliłem się. To jednak nie pomnik. To najprawdziwszy prom, pokryty pozłotą. Złotymi arkuszami o grubości ćwierć milimetra. Stoi tu od tysiąca lat.

Znowu się pomyliłem. Znowu mi się nie udało! Ale dlaczego? Przecież wszystko zrobiłem jak najbardziej prawidłowi. To naprawdę nie moja wina. Kto mógł się spodziewać, że oni tu z promów robią pomniki?

„Idioto!” – mówi we mnie drugi ja. – „Właśnie tak napiszesz na ich mogile: «To nie moja wina». I podpiszesz się «Kierownik ekspedycji»”.

Wzbijam się i lecę gdzie oczy poniosą. Flyer opisuje nade mną szerokie koła.

**SEKOND**

Życie w osadzie toczy się wartko. Młodszy Borsuczek włożył obrożę na przywiezioną z napadu dziewczynę, a Starszy wymienił swoją u Świntucha na konaka. Z tej okazji urządzono pijatykę. Świntuch upił się i przegrał do Kreta cztery owce, za które ten wykupił u społeczności Kałużę. Kałuża od razu zrobiła skandaliczną scenę rodzinną, żądając obroży, za co została publicznie wychłostana i postawiona na noc przy słupie. Sandra obrugała ją i poszła sprawdzić, co się dzieje w barakach. Kiedy wracała, obok Kałuży stała przy słupie Ptaszyna.

– O Boże! – przeraziła się Sandra. – Posmarowano tu miodem, czy co? Pocierp trochę, postaram się ciebie uwolnić.

Ptaszyna odpowiedziała długim, soczystym przekleństwem.

– Nie chcesz, to sobie stój – obraziła się Sandra – Kałużo, co to jest chartachana?

– To jest nieszczęście, żywioł, klęska żywiołowa. Zdarza się raz na około trzydzieści lat, a i tak za często. Wielka burza pyłowa. Piękne ci dali imię, nieprawdaż?

Na stole leżała brudna torba podróżna Szrama. Sandra już chciała powiesić ją w kącie na miejsce, ale poczuła pod palcami znajome kształty. Nie wytrzymała, rozwiązała torbę i zajrzała do środka. Blada jak trup, wyjęła i ułożyła na stole w rzędzie cztery pistolety laserowe. Jeden, jej, był pusty, trzy pozostałe, przyniesione przez Szrama z promu, naładowane do pełna. Obejrzawszy się na okna, szybko włożyła je z powrotem do torby, zrobiła dwa kroki w kierunku kufra, ale zamyśliła się, powiesiła na zwykłym miejscu w kącie i tylko zasłoniła starą podartą kurtką Szrama. Poszła do swojego pokoiku i położyła się na kocu w brudnych mokasynach, z dłońmi zaciśniętymi między udami. W korytarzu rozległy się kroki Szrama, otworzyły się drzwi. Nawet się nie obejrzała, tylko mocniej zacisnęła dłonie.

– Sprawdzałeś mnie, co? Podglądałeś ze strychu przez szparę. Nie wierzyłeś mojemu słowu.

– Jak się domyśliłaś?

– Jak mogłeś wejść do korytarza, jeśli nie słyszałam otwierania drzwi wejściowych? Poza tym brakowało piątego pistoletu. Każdy głupek zrozumie.

– Patrzcie ją! – Szram się zamyślił. – Jeśli się domyśliłaś, to sprawdzian się nie udał…

– Nie-e.

– Po co mi to powiedziałaś?

– Ze złośliwości. Żebyś miał zagadkę: wierzyć mi czy nie.

– Jak mogę wierzyć takiej chytrej, złośliwej, nieposłusznej niewolnicy? Będę ci chyba musiał założyć obrożę siłą. – powiedział wesoło.

– Włóż na siebie – odrzekła prawie z płaczem. Szram posadził ją i objął jej ramiona.

– Po co obroża wojownikowi?

– Właśnie. Mówimy o tym samym.

Roześmiał się, przewrócił ją na koc.

– Ech, mój ty wojowniku z perkatym nosem! Ubrałaś moje stare spodnie i już jesteś wojownikiem? – Zaczął ściągać z niej ubranie.

– Może u was wojownika czynią spodnie, a u nas nawet goły samuraj pozostaje samurajem.

– Kto to jest samuraj?

– To wojownik, który wart jest dziesięciu.

– Zaraz popatrzymy sobie na gołego samuraja. Aha, samuraje boją się łaskotek!

– Oj, przestań! Oj, nie trzeba! Przecież nawet najsilniejsi ludzie mogą mieć swoje drobne słabostki, nieprawdaż?

W nocy, gdy tylko Szram zasnął, Sandra wyśliznęła się z pościeli, wzięła dwa koce i pobiegła do słupa. Kałuża i Ptaszyna wściekle klęły się nawzajem szeptem, co zresztą im nie przeszkadzało mocno przytulać się jedna do drugiej i synchronicznie drżeć z zimna. Sandra obie zawinęła w koce, sklęła jeszcze raz Kałużę i rozejrzała się po forcie skąpanym w blasku księżyca. W oknach domu Świntucha paliło się światło i dochodziły stamtąd pijackie głosy.

Wróciła do domu i cichutko dała nura pod koc.

– Co tym razem spsociłaś? – zapytał Szram.

– Zaniosłam koce dziewczynom. – Pocałowała go. – Śpij. Jutro czeka nas długa jazda.

– Jutro nigdzie nie jedziemy.

– Jak to: nie jedziemy? Szram, przecież obiecałeś! – jej głos aż zadzwonił z oburzenia. – Dałeś mi słowo! Jak mam ci wierzyć? Czyżby słowo wojownika nic dla ciebie nie znaczyło?

– Jesteś piła, a nie samuraj. Jeszcze nie włożyłaś obroży, a już zaczynasz zrzędzić. Przecież powiedziałem: jak tylko skończę swoje sprawy. Jutro mam dyżur na wieży obserwacyjnej. Pojedziemy pojutrze.

– Gospodarzu, wybacz gówniarze. – Polizała go w szyję. – Już więcej nie będę.

– I nie podlizuj mi się tu! – mruczał Szram, zasypiając. – Mówił mi Rozumek: jeśli chcesz mieć dobrą żonę, weź sierotkę z baraków, wyrwij jej język, i dopiero potem załóż obrożę. Dlaczego nikt tak nie robi?

**SEKOND. SMOK**

– Mistrzu, odbiór! Mistrzu, odbiór! Czarku, słyszysz mnie?

Okazuje się, że wzywa mnie już od dawna Węgielek.

– Słyszę. Węgielku, to nie ten prom. Ten wylądował tysiąc lat temu.

– Ja wiem, Mistrzu. Wykopałam w komputerze program pełnego odtworzenia telemetrii. Jak się okazuje, tam jest nawet audiokanał. Przewinęłam cały zapis ich rozmów. Wylądowali na nocnej stronie, na wschodnim kontynencie. A ty jesteś teraz na zachodnim. Co robimy?

– Jak to co? Szukamy promu. Puść mi zapis.

Przesłuchuję, analizuję błędy. Oczywiście nie powinni byli aż tak się śpieszyć. Jeśli już chcieli ukryć prom przed komisją, to mogli po prostu odholować go o sto czy dwieście kilometrów od stacji i spokojnie tam remontować. Orbitę mogli korygować głównym silnikiem, włączając go kilka razy na dwie, trzy sekundy i wyłączając, zanim wibracja nie stanie się zbyt sil-na. W zasadzie jednak dzieci nieźle walczyły o życie statku. Żadnej paniki czy zakłopotania.

– Mistrzu, na stację przybyła komisja. Mama nie zdołała ich powstrzymać. Posłać ich… polem, lasem, lasem, polem?

– Dawaj ich do sterówki i włącz tam głos. Sam z nimi porozmawiam.

O czym by z nimi mówić? Może kontynuować spektakl ze scenariusza Anny?

– Mistrzu, oni już tu są – komunikuje półgłosem Węgielek i włącza ogólny mikrofon. Słyszę szuranie nogami.

– Po co tu jesteście?! – Przez nauszniki słyszę, jak mój głos grzmi w całym pomieszczeniu.

– Nie zrozumiałem pytania. Jesteśmy przedstawicielami kontrolnego organu Synodu – po głosie poznaję przewodniczącego komisji, a zarazem przywódcę frakcji konserwatystów.

– Pytam, jaki jest pożytek z waszej obecności tutaj? Bo szkoda jest oczywista: przeszkadzacie w akcji ratunkowej.

– Sir Dżafar, nie rozumiem, skąd taki wrogi ton. Wydawało mi się, że kilka dni temu dobrze rozumieliśmy się nawzajem. – To Matwiej.

– Na stacji jest sytuacja nadzwyczajna. Trwa akcja ratunkowa. Może jesteście specjalistami od systemów zabezpieczenia życia? Albo inżynierami-zerowcami? Albo kosmicznymi desantowcami? Tylko tacy ludzie są nam potrzebni. A wy tu po co?! Węgielku, daj mi Annę.

– Słyszę cię, Mistrzu. Co u diabła…

– Anno, mówiłaś komisji, że orbitalna Sekondu jest zamknięta dla obcych?

– Sir Dżafar, jesteśmy kontrolnym organem Synodu i członek Synodu, magister Anna, ma obowiązek podporządkowania się jego postanowieniom. No, chyba że ma tu coś do ukrycia, ale wtedy…

– Jesteście kompanią leniwych paranoików! Komisją nieodpowiedzialnych plotkarzy…

– Mistrzu!!! – woła rozpaczliwie Anna.

Z szumem wypuszczam powietrze i udaję, że się uspokajam.

– Mistrzu, co się stało?

– Stało się to, że pięć młodych, gorących głów postanowiło zachwycić Synod owocami swojej pracy. Zapomnieli, że kosmos nie wybacza pośpiechu i działania na pokaz. Załatali naprędce niesprawną maszynę i gruchnęli na nocną stronę. I to wszystko po to, żeby jak najszybciej złożyć Synodowi raport o nowym zwycięstwie.

– Sir Dżafar, przyznajemy się częściowo do winy, ale lady Węgielek zakomunikowała nam, że pan wylądował na Sekondzie. Stąd wniosek, że miał pan sprawną maszynę i nie pozwolił skorzystać z niej młodym ludziom…

– Jestem smokiem. Wylądowałem bez maszyny. Drugiej maszyny nie ma, a jej wyprodukowanie trwałoby zbyt długo. I tak od czasu awarii minęła już cała doba.

– Pan wprost z kosmosu wylądował na planecie? Ależ to niemożliwe!

– We Wszechświecie nie ma nic niemożliwego. Są tylko rzeczy, które wymagają więcej albo mniej wysiłku i są obarczone większym albo mniejszym ryzykiem.

Rozglądam się i widzę, że niebo za mną poczerniało. Zbliża się burza, i wygląda na to, że będzie niezwykle silna.

– Węgielku, wygoń ich ze sterówki, jeśli będą ci przeszkadzać. Mamy tu problemy. Nadchodzi burza. Usuń flyer w bezpieczny rejon.

Nieźle byłoby także znaleźć kryjówkę dla siebie. Wznoszę się wyżej, lecę z maksymalną szybkością. Słyszę, jak Węgielek wyłącza moje połączenie głosowe. Teraz ja ich słyszę, a oni mnie nie. Anna wyjaśnia sytuację członkom komisji i wszyscy przechodzą do messy. Węgielek od razu włącza translację stamtąd. Omawiają moje zachowanie.

– To smok, i w dodatku Władca. Nie da się go podporządkować Synodowi – to mówi Anna.

– Ale zachowuje się po chamsku i wyzywająco.

– A jest pan pewny, kolego, że normy moralne smoków są zgodne z ludzkimi?

– Są zgodne, a nawet je przewyższają. Na przykład smoki zawsze mówią prawdę i nie potrafią lizać dupy.

– Uważa pan, że mówić prawdę i zachowywać się po chamsku to jedno i to samo?

– Nie, to pan tak uważa.

– Brawo!

– Spokojnie, bracia. Przybyliśmy tu pracować, a nie wyrównywać rachunki.

– A propos tego miejsca. Chciałbym zwrócić obecnym uwagę na pewien drobiazg. W obecnej chwili bez powiadomienia i bez stosownego zaproszenia wtargnęliśmy na terytorium obcego państwa. Czy ten fakt nie budzi waszego zaniepokojenia, bracia? – To głos Matwieja. Ciekawa myśl. Ja także o tym nie pomyślałem.

– Bzdura! Pan chce przez to powiedzieć, że naruszyliśmy prawo?

– Łagodnie mówiąc, tak.

– Do kogo w takim razie należy to terytorium?

– Oczywiście do mieszkańców planety. Albo do Władców w osobie sir Dżafara.

– Sir Dżafar wypowiedział kilka ciekawych myśli o celowości naszego przebywania tutaj.

– A wiecie, koledzy, że z tego punktu widzenia nasza rozmowa ze smokiem wygląda zupełnie inaczej?

– Inaczej? Ależ pan jeszcze nie zrozumiał całej powagi sytuacji! Bracie Luco, pan jest prawnikiem. Jaka kara może nam grozić?

– Każda, dosłownie każda. Myślę, że lepiej załagodzić tą sprawę natychmiast.

Cała kompania wraca do sterówki. Węgielek włącza łączność głosową i przez pięć minut rozpływamy się we wzajemnych przeprosinach. Opowiadam im też, jak dostałem się na planetę. Potem Węgielek znowu nas rozłącza.

Dwie godziny lecę z pełną szybkością. Jestem wykończony, ale chmura prawie zniknęła za horyzontem. Kryjówki ciągle nie widać, za to wprost przede mną pojawia się jakieś miasto. Łapię drugi oddech i lecę z szybkością podróżną, obniżając się stopniowo. Typowe średniowieczne miasto. Nie, chyba niezupełnie typowe. Grube wysokie mury i uzbrojeni wartownicy, stojący na nich w czasie pokoju co dwadzieścia metrów dają do myślenia. Może jednak wybrałem na swoją wizytę niezupełnie pokojowy czas? A wartownicy już nie stoją. Ależ się zakrzątnęli! Na wszelki wypadek wkładam ochronne okulary z trzecim okiem-kamerą na czole.

– Obraz wyraźny – komunikuje Węgielek.

Trzeba było włożyć okulary na samym początku. Gapa! Tracę kwalifikacje komandosa.Przelatuję nad miastem lotem koszącym. Pode mną panika. Ludzie porzucają wszystko, uciekają w popłochu, krzyczą, że jestem czarnym ptakiem. Daltoniści. Mój skafander jest koloru jasnoczerwonobrązowego, rudego. Czy u wszystkich mieszkańców planety mógł rozwinąć się daltonizm? Czemu nie? Jeśli w miejscowym pokarmie czegoś brakuje, albo…

– A-a-au! – Kanciasty kamień wielkości ludzkiej głowy przebija błonkę skrzydła. Robię beczkę. Żołnierze w dole krzątają się wokół katapulty. Wyrównuję lot, energicznie pracując skrzydłami, nabieram wysokości. Dziura w błonce powiększa się, ależ to boli! Przechodzę na lot w stylu Węgielka – na samych biograwach. Skrzydła nieruchome, mięśnie szybko i energicznie napinam i rozluźniam. Ale taki lot wymaga olbrzymiego wysiłku, a ja jestem zmęczony jak zaszczute zwierzę.A te pasożyty znowu nabijają katapultę! Ogarnia mnie zwierzęca wściekłość. Powoli, z szeroko rozłożonymi skrzydłami, opuszczam się prosto na nich. Ludzie rozbiegają się, z ogromnym trudem powstrzymuję się przed atakiem na nich. Ból błonki jest nie do wytrzymania. Ryczę, z wysiłkiem podnoszę nad głowę ważącą ponad dwie tony katapultę, ściskam z całej siły. Rozlega się trzask, sypią się na mnie kawałki bierwion i urywki lin. I już po katapulcie. W najbliższym kącie kuli się żołnierz z wystawioną przed siebie piką. Macham łapą, zabieram mu pikę i w zamyśleniu dłubię nią w zębach, po chwili zaczynam żuć drzewce. Smak ma całkiem przyjemny, odrobinę słonawy.

– Po coś we mnie rzucił kamieniem? – pytam żołnierza. – Leciałem sobie spokojnie, nikogo nie ruszałem, a ty we mnie – kamieniem.

– Ukarz mnie, ale nie ruszaj mojej rodziny – odpowiada, padając na kolana. Wymowę ma potworną, ale można zrozumieć.

– Mam ukarać tylko ciebie czy ich też? – Wskazuję łapą łuczników, zajmujących pozycje.

Opuszczają broń, przerażeni. Ciężko wzdycham, zabieram na kolację spore bierwiono ze szczątków katapulty i lecę na biograwach do na wpół rozwalonego kamiennego budynku o trzy kilometry od murów miejskich. Ląduję wyciśnięty jak cytryna i idę do budynku. Przez okna wyskakuje i ucieka w kierunku miasta ze dwudziestu żebraków. Wchodzę do środka. Starożytna popękana mozaika na ścianach, resztki fresków na suficie. Znajduję duży i nieco czyściejszy pokój bez okien, wyjmuję i włączam silną latarnię, kładę ją na podłodze skierowaną promieniem w sufit, biorę w łapy igłę i najmocniejszą żyłkę i zaczynam zaszywać skrzydło. Jedną łapą przytrzymuję krawędzie, drugą zeskrobuję nożem skorupę zaschniętej krwi i zszywam krawędzie na styk. Taki szew chyba nazywa się żaglowym. Procedura potwornie bolesna. Pod koniec cała podłoga zalana jest krwią, pochlipuję, szczękam zębami, drżą mi łapy, jestem półprzytomny. Przechodzę do drugiego pokoju, kładę się na podłogę, zamykam oczy. Nawet leżąc mam wrażenie kołysania. Za to okazuje się, że to nie ja pochlipuję, tylko Węgielek w nausznikach. Obserwowała całą operację przez przekaźnik w okularach, a co to jest porwana błonka, wie z własnego doświadczenia.

I akurat wtedy na zewnątrz zaczyna się burza.

**SEKOND. SANDRA**

Obudziła się, kiedy jeszcze było ciemno. Narzuciła na ramiona kurtkę Szrama i pobiegła do słupa kar. Trzeba było zabrać koce, zanim zobaczy je ktoś z mężczyzn. Kiedy podeszła, przeraziła się zmianą, jaka zaszła w Ptaszynie. Oczy zapadnięte, pełne cichej rozpaczy. Nadgarstki poobdzierane kajdankami. Koc, cały podeptany, leży na ziemi. Kałuża, zapłakana i wystraszona, pociesza ją, okrywając własnym kocem.

– Co się stało? – zapytała Sandra. Ptaszyna odwróciła się.

– Powiedz jej, powiedz – poparła Sandrę Kałuża. – Pani pomoże. Ona wszystko może.

– Co się stało, Kałuża?

– Oni całą noc męczyli Wolę.

– Jacy oni? I kto to jest Wola?

– Wola to przyjaciółka Ptaszyny. Przywiózł ją starszy Borsuczek. Krzyczała przez całą noc. Świntuch pewnie ją już zabił.

Ptaszyna wyprostowała się przy pniu, podniosła na Sandrę suche, pełne wściekłości oczy

– Pani, otwórz te kajdany i daj mi nóż. Masz go, widziałam. Będę ci za to wdzięczna do końca życia. Tylko policzę się z nimi za Wolę.

– Coś ty? Ty nie możesz! Zabiją ciebie od razu! – Zmieszała się Sandra.

Ptaszyna bezsilnie jęknęła i wtuliła twarz w słup.

– Poczekaj, ja sama, ja zaraz– rzuciła Sandra i popędziła do domu. Szybko się ubrała, rozłożyła po kieszeniach swój arsenał, przypasała miecz. Obudził się Szram.

– Dokąd to?

– Ja szybko. Zaraz wrócę – wyskoczyła na ulicę i pobiegła w kierunku domu Świntucha.

Zaraz za progiem potknęła się o coś miękkiego. Otworzyła drzwi szerzej, zapaliła swoją latarkę, przyjrzała się, przysłuchała. Na podłodze w kałuży krwi leżała goła dziewczyna. Z pokojów dochodziło chrapanie. Dziewczyna na podłodze jęknęła. Sandra podniosła ją i wytaszczyła na ulicę. Z szopy na siano wyjrzała przestraszona kobieca twarz.

– Pomóż – rozkazała Sandra.

Kobieta szybko podeszła, wzięła dziewczynę za nogi. Zaniosły ją do studni, położyły na szerokiej drewnianej ławce.

– Przynieś czyste prześcieradło – poleciła Sandra. Kobieta pobiegła.

Dziewczyna spróbowała obrócić się na bok, wypchnęła z ust duży krwawy skrzep. Sandra obejrzała ją. Na obu rękach ze wszystkich palców oprócz kciuków obcięto skrajne człony. Uniosła głowę dziewczyny i otworzyła jej usta. W ustach nie było ani jednego zęba, zniszczone dziąsła krwawiły. Sandra aż jęknęła ze zgrozy. Przybiegła kobieta z prześcieradłem, razem oderwały kilka kawałków, zamoczyły w zimnej wodzie, przemyły i przewiązały palce, zaczęły ścierać krew z ciała.

– Za co ją tak? – zapytała Sandra.

– Ugryzła Świntucha w człon, podrapała mu całą twarz.

– Odgryzła mu go?

– Nie. Wtedy by ją od razu zabił.

Zawinęły dziewczynę w koc. Sandra chciała zanieść ją do swojego pokoju, lecz nagle z domu Świntucha wypadli wzburzeni mężczyźni.

– Dziewka uciekła! Polowanie! Polowanie! – krzyczeli.

– Hej, wcześniaki! – zawołała Sandra. – Na kogo chcecie polować? Jeśli na Wolę, to tu jest. Umierająca. Obetnę ręce pierwszemu, kto jej dotknie. A ty, Świntuchu, już jej nie dostaniesz. To mówię ja, Sandy Chartachana!

– Pojedynek? – Zdziwił się ktoś.

– A co? Matkę rozłożyła dwoma ciosami. Ha, a może i Świntucha powali? Chłopcy, pojedynek! Chartachana przeciw Świntuchowi!

Sandra speszyła się. Reakcja tych ludzi była nieprzewidywalna.

– Walczyć z dziewczyną bez obroży? – Świntuch też się speszył. Wyglądał malowniczo: na lewym policzku cztery głębokie zadrapania, na lewym, nie wiadomo czemu, tylko trzy.

– A gdzieś ty widział wojownika w obroży? – zapytał głośno Szram, przepchnąwszy się do pierwszego rzędu. – Jak wygrasz, dziewczyna będzie twoja. A o tą będziesz walczyć ze mną. – Wskazał zawiniętą w koc Wolę. Świntuch roześmiał się:

– Tą możesz wziąć sobie choćby zaraz. Walczymy za godzinę na placu.

Naród, podniecony oczekiwanym widowiskiem, powoli się rozchodził. Szram podniósł Wolę i szybkimi krokami poszedł do domu. Sandra dreptała za nim. Przy słupie zatrzymał się i uwolnił Ptaszynę. Kałuży już nie było.

– Szram, po co mnie obiecałeś Świntuchowi? – zapytała Sandra, kiedy weszli do domu.

– Może cię nie zabije, jeśli zechce sobie zostawić. Doigrałaś się, wariatko! Przecież on rozerwie ciebie na pół dwoma palcami!

– Jak się odbywają pojedynki?

– Jak się umówicie. Jeśli z bronią, to zwykle na śmierć. Bez broni – dopóki ktoś nie wygra. Dobrze rzucasz nożem?

– Nie. Z pięciu kroków nie trafiłam w drzwi.

– Na miecze nie możesz. Twój jest za cienki, złamie się. Umiesz strzelać z łuku?

– Tylko teoretycznie. Umiem z kuszy.

– Zanim ją nabijesz, on z ciebie zrobi kaktus. Trzeba było postawić na noc przy słupie ciebie, a nie Ptaszynę.

– Kiedy walczą bez broni, wolno bić nogami?

– Wszystko wolno.

– Szram, jeśli ze mną coś się stanie, jedź do Czarnego Ptaka i pomóż moim przyjaciołom.

**SEKOND. SMOK**

Burza wreszcie się kończy. Takiej burzy nie powinno tu być! To pomyłka przyrody! Na Elvisie – proszę bardzo, na Forsydzie – jeszcze ujdzie, ale na Sekondzie to gruba przesada!

Jeszcze godzinę siedzę w skafandrze, czekając, aż osiądzie pył. A ten pada i pada z nieba. To chyba nigdy się nie skończy. Zdejmuję hełm i… zaraz nakładam go z powrotem. Teraz przez kwadrans będę kichał. Wychodzę na zewnątrz. Ciemno jak w noc księżycową, a widoczność czterdzieści metrów. Pył drobniutki, nieważki, więc wisi w powietrzu. Wszystko wokół szare. Szary świat. Wracam do pokoju.

Wzywam Węgielka. Łączność rwie się. Pewnie to pył pochłania albo rozprasza fale radiowe. Jeszcze zasypie prom. Nie, on jest przecież na drugim kontynencie. Ale dlaczego radary go nie znalazły? Czyżby chłopcy obudowali go antyradarowym pancerzem? Nie, to raczej jeszcze przed nimi. Amoceramika coś tam robi z falami radarowymi, odbija je, czy pochłania?... Zadaję to pytanie Węgielkowi, a ta obiecuje przekazać je Korze.

W pokoju zauważalnie pociemniało. Czyżby wysiadł akumulator w latarni? Nie,po prostu na szkle latarni nagromadziła się warstwa pyłu. Oczyszczam i obserwuję, jak znów pokrywa się nieważkim puchem. Głupio wyszło z tym kamieniem. Nie dopatrzyłem. A ci żołnierze to zuchy! Z katapulty za pierwszym razem trafić do ruchomego celu! Teraz przez trzy dni nie będę mógł latać. Źle się stało, że ludzie widzieli, jak wchodziłem do domu. Mogą zechcieć na mnie zapolować. I co ja wtedy z nimi zrobię? Przecież nie będę ich zabijał. Nawet dobrze, że zaraz przyszła burza. Dała mi wytchnienie, co najmniej do jutra. Trzeba to wykorzystać.

Kładę się w kącie, przodem do drzwi. Z przyzwyczajenia próbuję nakryć głowę skrzydłem, ale skafander nie pozwala. Zasypiam prawie natychmiast. Budzi mnie sygnał radiostacji.

– Mistrzu, Kora mówi, że ta ceramika pochłania dziewięćdziesiąt osiem procent promieniowania elektromagnetycznego na częstotliwości radarowej.

– Szukajcie w zakresach podczerwonym i optycznym.

– Już szukamy.

– A jak komisja?

– Mama jest bardzo zadowolona. Wszyscy uważają, że ty w ziemskich sprawach i polityce ani be, ani me. Tkwisz po uszy tylko w maszynach i wzorach. Poza tym jesteś prostym, naiwnym, uczciwym chłopcem. Podsłuchałam tajne zebranie stabilistów, ich hasłem teraz jest: „Nie budzić śpiącego smoka”. Zresztą podsunął im je wujek Matwiej.

„Wujek Matwiej”. Ciekawe, czy naprawdę, czy tylko tak powiedziała?

– Dobrze, Węgielku, idź spać. Koniec połączenia.

Budzi mnie niezrozumiały hałas od strony miasta. Strząsam pył i patrzę na zegarek. Przespałem prawie dobę, i to miejscową! Trzydzieści godzin! Zdejmuję hełm i wychodzę na ganek. Do domu zbliża się dziwna procesja. Biją bębny, niemuzykalnie wyją trąby, periodycznie ktoś wali w gong. Tego łajdaka chętnie bym zastrzelił. Procesja zatrzymuje się o dwadzieścia metrów ode mnie. Trzech wychodzi naprzód.

– Zwykle zabijam tych, którzy zbliżają się do mnie z bronią – mówię.

Wszyscy w pośpiechu kładą broń na ziemię. Ciekawe. Czyli to ja komenderuję paradą.

– Hej, chłopcze z gongiem, chodź tu i połóż swoją muzykę na ziemi.

Podchodzi i kładzie drewnianą ramę, na której zawieszono na łańcuchach miedziany gong. Wyjmuję pistolet laserowy. Wąskim promieniem obcinam łańcuchy, po czym szerokim topię gong. Chłopiec patrzy z przerażeniem na kałużę metalu i dymiącą ziemię pod swoimi nogami.

– Jesteś wolny – mówię.

Zabiera pustą ramę i śpieszy na swoje miejsce, a ja zwracam się do parlamentariusza:

– Więc co chcieliście mi przekazać?

– Władco Śmierci, nie karz całego miasta. Przyprowadziliśmy ci winnych.

Szereg rozstępuje się i widzę zakutych w łańcuchy żołnierzy. W pierwszym rzędzie obsługa katapulty, dalej oddział łuczników. Przechodzę wzdłuż szeregu i zatrzymuję się naprzeciw komendanta łuczników.

– Gdzie twoja broń, żołnierzu?

Ktoś zaraz podnosi łuk, kołczan strzał i krótki miecz. Biorę i oglądam łuk. Stufuntowy – potężna zabawka. Na człowieka, oczywiście. Nie na mnie – nie przebije nawet skafandra.

– Chciałeś mnie tym zatrzymać?

– Tak, Władco.

– Zdejmijcie z niego łańcuchy. – Rozkaz zostaje wykonany natychmiast – Chcesz wypróbować na mnie swoją zabawkę? – Podaję mu łuk.

– Jak Władca sobie życzy. – Bierze łuk, kłania się, odchodzi o dwadzieścia metrów.

Unoszę się na tylne łapy, rozprostowuję ramiona. Żołnierz próbuje łuk, nie śpiesząc się wyjmuje strzałę, kładzie na cięciwę. Dzyń, dzyń, dzyń – trzy strzały odskakują od szkieł okularów prawie równocześnie. Nawet przestraszyć się nie zdążyłem. Myślałem, że będzie strzelał w pierś albo w brzuch. Dobrze, że nie celował w nos.

– Znakomity kadr, Mistrzu – komunikuje Węgielek. – Strzała szła prosto w obiektyw.

Żołnierz wraca do szeregu, kładzie na ziemię łuk i kołczan. Na jego twarzy nie widać żadnych emocji. Mam nadzieję, że i na mojej także.

– Jesteś dzielnym żołnierzem i znakomitym strzelcem – mówię. – Uwolnić ich wszystkich.

– Władco, proszę cię, przyjmij dary i zostaw nasze miasto w pokoju – ciągnie swoje parlamentariusz. Tragarze stawiają przede mną i otwierają skrzynie. Złoto, tkaniny, coś niezrozumiałego: ni to suszone żmijki, ni to korzonki.

– Zostanę tu na pięć dni medytacji o marności życia. Miasta nie ruszę. Dopilnuj, żeby nikt nie zakłócał mojego odosobnienia. To – wskazuję szerokim gestem rząd skrzyń – usuń. Nie rozśmieszaj mnie. Teraz odejdźcie.

Tragarze chwytają skrzynie i pośpiesznie się wycofują. Cała procesja z nieskończonymi pokłonami wycofuje się, idąc tyłem. Odwracam się plecami do nich i idę do domu. Na schodach oglądam się. Procesja jest już daleko, ludzie biegną truchtem. Na miejscu pertraktacji pozostało coś w rodzaju otwartego palankinu, a w nim ktoś siedzi. Podchodzę. W palankinie siedzi dziewczyna. W ciężkim, obszytym złotem i drogimi kamieniami ubraniu, ale przywiązana tak, że nie może ani wstać, ani poruszyć ręką. Uznajmy to za wzięcie języka. Wyjmuję nóż i obcinam wszystkie sznurki. Dziewczyna od razu pada mi pod nogi. Nieprzytomna. Massaraksz! Podnoszę ją i wraz z palankinem taszczę do domu.

**SEKOND. SANDRA**

Wszyscy mieszkańcy fortu oprócz wartowników na wieżyczkach zebrali się, żeby popatrzeć na pojedynek. Nawet kobiety z baraków. Mężczyźni robili zakłady. Sandra weszła do środka koła i krzyknęła:

– Hej, Świntuchu, Krowi Placku, wyłaź!

Widzowie ryknęli z zachwytu. Zanim Świntuch przecisnął się do koła, znowu zawołała:

– Stawiam baryłkę wina przeciw wiadru wody, że pokonam ciebie bez broni!

– Dobrze! – odkrzyknął Świntuch. – Każę ci to całe wiadro wypić!

– Zdejmujemy broń! – Odpinając po drodze miecz, Sandra skierowała się w stronę Rozumka i Szrama,swoich sekundantów.

– Sprytnie go oszukałaś – pochwalił ją Rozumek.

Dziewczyna obejrzała się na Świntucha. Ten wyjął miecz z pochwy, podniósł go wysoko nad głowę i podał Kopytu. Wyjął nóż, podniósł nad głowę, oddał. Sandra domyśliła się, że to rytuał. Sama rozbrajała się dużo dłużej. Miecz, nóż na pasie, nóż z lewego mokasyna, nóż z prawego. Każdy przedmiot widzowie witali coraz głośniejszym krzykiem zachwytu. A Sandra kontynuowała. Gwiazdeczka z lewej kieszeni, gwiazdeczka z prawej, mały ciężarek na łańcuszku, ołowiana kulka. Po chwili namysłu zdjęła skórzaną kurtkę, pozostając w leciutkiej, sportowej, przylegającej do ciała i niekrępującej ruchów. Świntuch też zdjął swoje okrycie, odsłaniając kosmaty brzuch. Łoś, który był sędzią na polu walki, rozkazał jej zdjąć amulet, więc ściągnęła sznurek z łuseczką, pogłaskała ją i oddała Szramowi.

– Szram, a po co sędzia, jeśli wszystko wolno? – zapytała.

– Sędzia pilnuje, żeby widzowie wam nie przeszkadzali.

– Gotowi? – zapytał Łoś. Oboje potwierdzili. – Zaczynajcie!

– Szerzej koło! – krzyknęła Sandra.

Kiedy byli już tylko o pięć metrów, krzyknęła na cały głos: „Banzaj![[3]](#footnote-4)”, wyskoczyła w górę, wylądowała na jednej nodze, okręciła się i drugą kopnęła go z całej siły w brzuch. Noga zabolała. Dwa centymetry tłuszczu, a pod nim twardość litej gumy. Świntuch odstąpił na dwa kroki, potarł dłonią brzuch i podłubał palcem w uchu.

– No, chłopcy, to jakby koń mi kopytem przyłożył! – zakomunikował poufale widzom.

Sandra zrozumiała, że przepadła.

Świntuch następował. Nieco pochylony, z wyciągniętą przed siebie lewą ręką, szedł na nią. Sandra cofała się, krążąc wokół niego. Zobaczyła kałużę śliskiego błota i próbowała zapędzić w nie Świntucha. Gdy tylko na nią stanął, z krzykiem rzuciła się koło niego. Pośliznął się, a Sandra zgięła się, przeskoczyła pod jego ręką, chwyciła go za kostkę i pobiegła dalej. Świntuch rozpłaszczył się na ziemi. Jak kot wskoczyła mu na plecy, zastosowała bólowy chwyt.

– Poddaj się, będzie bolało!

Ale mężczyźni Sekondu nie potrafili się poddawać. Świntuch naprężył się, i Sandra, fiknąwszy koziołka, wylądowała w tym samym błocie. Widzowie ryknęli.

– Ach, ty parzystokopytny niedźwiedziu! – krzyknęła, rozmazując błoto po twarzy, i spróbowała powtórzyć cios nogą. Świntuch opędził się dłonią jak od owada. Sandra obróciła się w przeciwnym kierunku i z rozpędu aż usiadła. Świntuch ruszył ku niej, ale dziewczyna zaczepiła lewą nogą jego piętę, prawą oparła o kolano, nacisnęła z całej siły, i ten, niebotycznie zdumiony, runął na plecy.

Dalej walka układała się coraz gorzej i gorzej dla Sandry. Pomimo tuszy i pozornej niezgrabności Świntuch był doświadczonym wojownikiem i nigdy nie dawał się nabrać dwa razy na tą samą sztuczkę. Nie przepuścił ani jednego ciosu w głowę, a ciosy w korpus zdawały się nie robić na nim żadnego wrażenia. Sandra krążyła wokół niego, atakowała go, obrażała, próbowała wyprowadzić go z równowagi.Jej ciosy czasami dochodziły do cellu, ale Świntuch, niby powoli, gonił ją jednak po całym kręgu. Wychwyciwszy odpowiedni moment, Sandra zadała mu cios nogą w podbródek. Chciała zadać. Nogę odbiła jego włochata ręka. Sandra wykręciła salto w tył i jednak zadała mu cios podbródkowy drugą nogą. Ale salto nie wyszło jak należy i dziewczyna rozciągnęła się pod jego nogami. W następnej chwili ręce Świntucha zacisnęły się na niej, podniosły ją nad głowę i rzuciły o ziemię. Na chwilę straciła przytomność, a kiedy ją odzyskała, zobaczyła zataczającego się przeciwnika z szeroko otwartymi, ale coraz bardziej szklistymi oczami. Odtoczyła się zgrabnie, a Świntuch padł na miejsce, gdzie dopiero co leżała. Pod jego lewą łopatką sterczał gruby, nierówno ostrugany bełt, podobny bardziej do zwykłej strzały. Sandra stanęła na czworakach, potarmosiła trupa za ramię, wpatrzyła się w drzewce strzały i zapiszczała przenikliwie.

**SEKOND. SMOK**

– Jak się nazywasz?

– G-G-Gałązka.

– Po prostu Gałązka?

– Gałązka Kwitnącej Jabłoni.

– No i co ja mam z tobą zrobić?

– Daj mi lekką śmierć, Władco. Nie zjadaj mnie żywcem.

Więc to tak! To ona ma być śniadaniem. Śniadaniem turysty – czyli moim.

– Myślisz, że jesteś smaczna? Na surowo, i to bez soli? Nie miej nadziei, nie jem takich.

Zaszyła się w kącie, spoziera stamtąd ze strachem. Do Liry jej daleko.

– Ja i ty jesteśmy jednej krwi!

– Wypijesz moją krew? – Biedaczka oczywiście nie czytała Kiplinga.

– Uciekaj do domu, nie denerwuj mnie!

Boczkiem, wzdłuż ściany, przemyka koło mnie, wybiega z pokoju. Słyszę szmer sukni i oddalający się tupot lekkich kroków. Cóż, chyba znowu popełniłem błąd. Trzeba było najpierw wypytać ją o miejscowe zwyczaje, Kogóż to ona mi przypomina? Centy? Jeśli zmienić uczesanie, dać jej grzywkę… Nie, podobieństwo zbyt dalekie, poza tym to tchórz. Kątem oka zauważam ruch, oglądam się – dziewczyna jest z powrotem.

– Władco, jeśli wrócę, zabiją mnie. Pomyślą, że ci uciekłam.

–Mojeż ty nieszczęście! No dobrze, żyj sobie tutaj, później pomyślę, co z tobą począć.

Rozpinam skafander, zdejmuję go, wychodzę na wewnętrzne podwórko, szukam kąta, w którym mógłbym urządzić sobie toaletę. W najmniej odpowiednim momencie zza rogu wysuwa się bojaźliwa fizjonomia.

– A kysz! – Fizjonomia znika.

Wracam. Znowu wtula się w kąt, drży.

– Teraz mnie zabijesz?

– Nie zabijam młodych dziewczyn. Zabijam tylko szkodliwe, gadatliwe, uprzykrzone staruchy, i to wyłącznie na ich własną prośbę.

– Nawet dziewic nie zabijasz?

– Zwłaszcza dziewic.

– A ja jestem dziewicą! Mam pierścień czystości! Zaraz pokażę! – Unosi suknię i spódnice.

Niczego sobie! Taki pierścień u nas wstawia się wołu do nosa, a tutaj –dziewczynie w intymne miejsce. To jest starsze od pasa wierności. I tańsze. Tam był pas z zamkiem, tu – sam zamek. Ekonomia! Tutejsi mężowie wolą, jak widać, proste, ale niezawodne środki. Nie wierzę, żeby cnotliwe panienki dobrowolnie zgadzały się na podobną operację. To znaczy, że w mieście istnieje niewolnictwo. Zaraz sprawdzę, czy nadaję się na detektywa.

– Byłaś niewolnicą? – Massaraksz, znowu ją przestraszyłem!

– Tak, Władco. Wolną zrobili mnie dopiero dziś rano, kiedy zanieśli do ciebie – mówiąc to, zdejmuje naszyjnik i kładzie go mi pod łapy. Ten „naszyjnik” bardziej mi przypomina obrożę. Kiepskich tutaj mają jubilerów, nie umieją dobrze obrabiać kamieni. Nawet ja zrobiłbym to lepiej.

–Weź sobie swoje błyskotki.

– Dziękuję ci, Władco. A może będę twoją niewolnicą? Dopóki nią będę, nikt z nich nie ośmieli się mnie tknąć.

– Zgódź się Mistrzu! Będzie ci co rano polerowała skórkę aksamitką i sprzątała ptasie kupki – słyszę w nausznikach chichot Węgielka.

– Oddam ci ją na wychowanie. Ale skąd dowiedziałaś się o Baku?

– Zgadzam się. Tobie nie można powierzyć wychowania. Rozpuściłeś ptaszka. Kora go tu zabrała. Całe ucho mi podziobał. Mamie ściąga kąski z widelca. Członków komisji zupełnie sterroryzował.

– Węgielku, nie pozwalaj mu na tak skandaliczne zachowanie. On wszystko świetnie rozumie. Nachuligani – dotknij go nosem i powiedz „Zwolnię!”. Aha, to komisja jeszcze tu jest?

– Kora posadziła wszystkich przy monitorach, szukają promu. Jeśli jest bardzo uszkodzony, komputer może nie zidentyfikować szczątków.

Gałązka patrzy na mnie z otwartymi ustami i oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Nie zwracaj uwagi, rozmawiam z żoną, nie z tobą – wyjaśniam jej – Podobasz jej się.

– Ja jej nie widzę.

– Ja też jej nie widzę. Ona jest tam. – Dotykam palcem sufitu. – Daleko.

Atak strachu dziewczyny nagle zmienia się w atak niemal histerycznej wesołości.

– Władco, mówiłeś, że bez soli jestem niesmaczna. Mamy sól! I korzenie mamy, i wino! – Biegnie do swojego palankinu, podnosi siedzenie i przynosi zapasy. Dla smoka to za mało.

Wynoszę rzeczy z pokoju, u żebraków znajduję miotłę i każę Gałązce zamieść. Gałązka zrzuca suknię i wszystkie spódnice prócz ostatniej. Jedną rozdziera, okręca głowę. Wspominam, jak kiedyś wspólnie z Korą zadamawialiśmy się w bunkrze. Wszystko się powtarza. W tym świecie nie ma nic nowego.

W czasie, gdy Gałązka pracuje, oglądam budynek. Wszędzie na wszystkim pełno kurzu. Dachu częściowo brakuje, mogę wejść na resztę. Dookoła miasta niezwykły ruch. Żołnierze w błyszczących zbrojach chodzą grupami po trzech-czterech. Z wszystkich bram wyjeżdżają wozy, żołnierze wskazują, gdzie mają jechać i rozładowywać się. W wozach… zwykła ziemia. Kopią tam metro czy co? Z dołu woła mnie Gałązka. Rozpościeram skrzydła i spuszczam się z dachu metodą Węgielka, na samych biograwach. Szwy na błonce spuchły i bolą. Gałązka stoi pośrodku pokoju i, widząc mnie, dumnie zatacza ręką koło. Zupełnie jak wtedy Kora. Mozaikowa podłoga z geometrycznym rysunkiem czysto zamieciona, ściany też – do wysokości ludzkiego wzrostu, powyżej szare od kurzu. Na przeciwległej ścianie mozaika. Odkurzam ją całkowicie. Gałązka od nowa żwawo zamiata podłogę. Stosik kurzu w sąsiedniej sali powiększa się. Już wiem! To stąd tyle ziemi w mieście! Przyniosła ją burza pyłowa! A mozaika bardzo ciekawa. Wielki wojownik stoi w rozkroku. Po obu jego bokach klęczą dziewczyny, których długie włosy oplatają mu dłonie. Jedna z nich obejmuje go za kolano, druga ma ręce związane za plecami. Nieco ponuro, ale wyraziście. Pytam Gałązkę, co było wcześniej w tym domu. Targ niewolnic. No tak, pasuje.

Jemy obiad. Gałązka dojada zapasy z palankinu, ja męczę się z bierwionem z katapulty. Smak to ma wręcz ohydny. Gorzkie, pozostawia w gębie jakiś mydlany posmak. Zapijam go winem. Po obiedzie wypytuję Gałązkę o miasto. Zna je słabo, gdyż większość życia spędziła za murami świątyni na jakichś niezrozumiałych dla mnie obrzędach związanych z płodnością i tańcach. Tańczy naprawdę pięknie.

Pod wieczór robi się zimno. W sąsiednim pokoju rozpalamy ognisko. Palankin idzie na drwa. Co prawda w smaku jest od katapulty dużo lepszy. Ten sam słonawy posmak, który tak mi się podobał w kopii. Resztę belki z katapulty kruszę na szczapy i wrzucam w ognisko. Syczy, zwęgla się, ale nie płonie. Gałązka komunikuje, że żołnierze moczą belki i liny w jakimś roztworze, Żeby nie zapalały się od ognistych strzał koczowników. To przeciw nim zbudowano takie wysokie mury. Ale pięćset lat temu nawet mury nie pomogły. Koczownicy puścili wtedy na miasto dym usypiający i wszyscy żołnierze na murach zasnęli. Koczownicy opanowali wszystkie miasta, spalili je, a później odbudowali i sami w nich zamieszkali. Na tym kończyły się wiadomości Gałązki z historii.

Kładziemy się spać. Gałązkę zawijam w swój skafander jak w koc, sam kładę się pod ścianą. W nocy budzę się od potwornego bólu w brzuchu. Ryczę, beczę i toczę się po podłodze. Wypijam resztki wina. Od czasu, kiedy jestem w smoczej skórze, zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Pewnie to przez tą przeciwogniową impregnację belki. Próbuję ją wyrzygać, ale gdzie tam! Przestraszona Gałązka też wierci się i płacze. Ból stopniowo słabnie, ale i ja też. Wreszcie, kompletnie wykończony, zasypiam.

Budzę się z pierwszymi promieniami słońca. Gałązka śpi siedząc na mojej łapie, owinąwszy się moim skafandrem i przytuliwszy się do mojego ciepłego boku.Już mnie się nie boi, to przyjemne. Kładziemy się jak najwygodniej i znowu zasypiamy.

Budzi nas werbel bębna i wycie trąb. Gałązka ubiera bluzkę z krótkimi rękawami i minispódniczkę. Wychodzimy z domu. Miasto już nie śpi, z wrót znów ciągną wozy z ziemią. Do nas zmierza procesja. Znacznie skromniejsza niż wczoraj, ale znowu niosą palankin. Muzykant od gongu tym razem przyniósł coś w rodzaju pralniczej tarki, po której przesuwa w górę i w dół żelazną pałeczką. Dźwięk cichszy niż wczoraj, ale też okropny. Szukam na pasie pistoletu laserowego, ale ten pozostał w skafandrze.

– Władco, to Kwiat Kaktusa, moja przyjaciółka. Nie będziesz jej jadł, prawda? – pyta Gałązka i na wszelki wypadek dodaje: – Ona też jest dziewicą.

Kiedy parlamentariusz wychodzi naprzód, mówię głośno do Gałązki:

– Przekaż mu, że dziewica Kwiat Kaktusa jest wolna i nie jest mi potrzebna. Jedna gaduła zupełnie mi wystarczy. Palankin mogą zostawić. A zamiast dziewic niech lepiej przynoszą upieczonego byka i parę beczek wody.

Gałązka kłania mi się i przekazuje parlamentariuszowi moje słowa. On i tak wszystko słyszał, ale zachowuje subordynację. Wysłuchuje Gałązkę, kłania się, wydaje rozkazy swoim ludziom. Żołnierze odwiązują Kwiatka, Gałązka ciągnie ją za rękę do mnie. Kwiatek, przestraszona, dziękuje mi urywanymi słowami, kłania się, podnosi sukienkę i biegnie za odchodzącymi ludźmi. Gałązka, z rozłożonymi rękami, tańczy na schodach coś podobnego do sirtaki, podśpiewując sobie. Żołnierze oglądają się, ona kiwa im ręką, nie przerywając tańca. Kiedy procesja znika, wnoszę palankin do domu i otwieram skrzynkę pod siedzeniem. To samo, co wczoraj. Beczułka wina, przyprawy, korzenie, trochę chleba. Sprawdzam, ile wody zostało w kontenerze skafandra. Dla mnie na jeden łyk, ale Gałązce wystarczy na dwa dni. Odlewam trochę wina do butelki dla Gałązki, resztę wypijam. Zagryzam beczułką, po czym biorę się za palankin. Gałązka je chleb, popija mocno rozrzedzonym winem i bez przerwy gada. O tym, jaki jestem dobry. Surowy, ale sprawiedliwy. Już wiem, kogo mi przypomina. Julię! Ona była tak samo gadatliwa.

– Z czego to wzięłaś, że jestem surowy, ale sprawiedliwy?

– Nasłałeś chartachanę, żeby ukarać miasto. Ale oni się pokajali i przebaczyłeś im. Nie zjadłeś mnie, a Kwiatek teraz jest wolna i bogata.

– Co to jest chartachana?

– Burza pyłowa. Czy nazywasz ją inaczej?

Mam nad czym pomyśleć. Jestem Czarnym Ptakiem, Władcą Śmierci, i to właśnie ja nasłałem burzę na miasto. Za to mnie szanują i podkarmiają. Wygląda na to, że usiadłem nie na swoim fotelu. No i dobrze. Powiedziane jest „Nie twórz sobie bożyszcza”. A jak już stworzyli? Niech podkarmiają! Następnym razem nie będą rzucali kamieniami. A ja będę rozmyślał o marności wszystkiego, co żyje, jak obiecałem. Jednak kiepski ze mnie Władca. Najpierw wywołałem burzę, a potem zrobiłem z siebie tarczę strzelecką i wygłupiłem się ze strzelaniem z pistoletu laserowego do gongu. Zbyt płytkie, jak na Władcę. Niesolidnie, kolego ptaków!

Oglądam szwy na błonce. Gojenie idzie znakomicie. Snuję się z kąta w kąt po wielkiej sali irozmyślam, dlaczego tak długo nie ma informacji od Węgielka. Oczywiście, gdyby odkryli prom, zaraz by mi o tym zakomunikowali, ale… Nie wytrzymuję i łączę się z Węgielkiem.

– Mistrzu, sprawdziliśmy po raz pierwszy cały kontynent i nie znaleźliśmy. Zostało pięć procent, pokryte chmurami na wszystkich zdjęciach. Teraz sprawdzamy po raz drugi. Zwiększyłam dwukrotnie dokładność, ale zdjęć teraz jest czterokrotnie więcej.

Źle. Bardzo źle. Czyli teraz już nic ode mnie nie zależy. Jeśli przeżyli, to żyją. Ale dwadzieścia przeciw jednemu, że prom spadł w ocean, rzekę, jezioro, błoto czy ruchome piaski. Wcześniej czy później go znajdziemy. Wypytamy jednego po drugim wszystkich mieszkańców planety, przetrząśniemy całą po ziarenku, ale znajdziemy. A ludzi? Coś ty narobił, Sam?

– Władco, co z tobą? Znowu źle się czujesz? Powiedz, co się z tobą dzieje?!

Opowiadam Gałązce, po co tu jestem. Jak zwykle wszystko rozumie po swojemu.

– Chcesz zabrać ich dusze?

– Nie, chcę uratować im życie. Są za młodzi, żeby umierać.

**SEKOND. SANDRA**

Mężczyźni momentalnie chwycili za broń. Kobiety zapiszczały i przycisnęły się do ścian domów. Przez kilka sekund wszyscy rozglądali się w napięciu. Szram podbiegł do Sandry, rzucił jej miecz i wpatrzył się w kierunku, skąd wystrzelono bełt. Stamtąd już wracało trzech wojowników, niosąc kuszę. Podszedł Łoś, wyjął z trupa strzałę i dokładnie ją obejrzał.

– Strzelający wyrzucił kuszę i ukrył się – powiedział któryś z wojowników. – Szukają go.

– Czyja to strzała? – zapytał głośno Łoś. – Albo robił ją pacan, albo w wielkim pośpiechu.

– To moja strzała – powiedziała Sandra. – I kusza też jest moja.

– Ty tu byłaś. Wszyscy ciebie widzieli. Kto mógł wziąć twoją kuszę?

– Każdy. Była złamana i wyrzuciłem ją na sąg. I bełty po zdjęciu grotów – odrzekł Szram.

Wszyscy obejrzeli kuszę. Pęknięte łożysko zostało przewiercone i związane w trzech miejscach skórzanymi rzemykami. Podszedł Ślad i jeszcze kilku wojowników.

– Fort nie step. Tu wszędzie pełno śladów. Ale obcych nie ma – zakomunikował Ślad.

– Obcy zostaliby zauważeni z wieżyczki. – Machnął ręką Łoś. – To ktoś z naszych.

– Sandra, idź do domu i nigdzie nie wychodź, bo znowu w coś się wplączesz– rozkazał Szram. – Ja muszę iść na wieżyczkę. Ślad, przypilnuj jej.

Dziewczyna powlekła się do domu. Na jej łóżku leżała Wola. Koło niej krzątały się babcia Katty i Ptaszyna. Sandra rozebrała się i zwinęła się w kłębek na łóżku Szrama. Miała dreszcze. Babcia Katty podeszła do niej, położyła rękę na jej czole i zmusiła ją do wypicia czegoś gorącego i gorzkiego.

Obudziły ją donośne męskie głosy za przepierzeniem. Zawinęła się w koc i zajrzała do sąsiedniego pokoju. Łoś i Kopyto wypytywali, gdzie była Ptaszyna podczas pojedynku. Ślad słuchał w milczeniu, oparty o ścianę. Zdenerwowana Babcia Katty przysięgała, że Ptaszyna nie wychodziła z pokoju ani na chwilę.

– Panie, przecież ona całą noc stała przy słupie – wmieszała się Sandra.

– I co z tego? –zapytał Łoś.

– Nie miałaby kiedy naprawić kuszy.

– Zgadza się – Kopyto aż się zdziwił. – Naprawić maszynkę – na to czasu trzeba.

– A ty sama co o tym sądzisz? – zapytał bez ogródek Łoś.

– Nie wiem. Myślę tylko… – urwała.

– Co?

– To nie wojownik. Wojownik, który zna się na broni, nie związywałby sznurkami złamanego łożyska, tylko zrobiłby nowe. Dlatego właśnie Szram wyrzucił kuszę – myślał, że to nie da się naprawić. I kowal tak myślał, i ja też.

– Dziewka słusznie mówi. To nie wojownik. Poza tym wojownik nie porzuciłby broni – zgodził się Kopyto.

– A z pacanów nikt nic do Sandry nie miał – myślał głośno Łoś. Wyciągnął rękę i pogłaskał Sandrę pieszczotliwie po głowie, jak psa. – Więc wychodzi na to, że baba. Od czego zaczynamy? Od baraków czy od domu mężczyzn?

– Do domu mężczyzn Świntuch nie chodził. Miał dosyć własnych bab. A w barakach niczego się teraz nie dowiesz. Matka ryczy jak wół. Dziesięć lat wpraszała się do niego, a on wolał chude – odrzekł Kopyto.

Łoś zaklął i wyszedł, Kopyto zaraz po nim. Sandra pobiegła się ubierać, ale Ślad chwycił ją za włosy.

– A ty dokąd? Szram kazał ci siedzieć w domu. – Zaciągnął ją do kuchni i popchnął na ławę. – Nie masz tam teraz nic do roboty. – Ściszył głos prawie do szeptu, żeby kobiety nie usłyszały. – Świntucha zabiła matka. Kiedy wróci Szram, będziemy ją sądzili w naszym gronie. – I znowu głośno: – Jak pójdziesz do baraków, to ci nogi powyrywam. Zrozumiano?

Sandra kilkakrotnie skinęła głową, a kiedyŚlad wyszedł, zamyśliła się na temat przyszłości. Wydobyła z przewodu kominowego trochę sadzy, rozwodniła i przygotowała atrament. Pogrzebała w skrzyni, wyjęła najstarsze prześcieradło, rozłożyła je na stole i zaczęła robić spis prac do wykonania w barakach. Po trzech godzinach skończyła, poczekała, aż wyschnął ostatnie litery, zwinęła w rulon i zamyśliła się. Czerep nie umiał czytać, a Rozumka baraki nie interesowały. Umiała czytać także żona Rozumka, ale, jak wszystkie wolne kobiety, unikała wszelkich spraw, związanych z barakami. Nie było wyboru. Sandra zwinęła prześcieradło i poszła do Rozumka. Ten wyszedł na stuk, ale do domu jej nie zaprosił. Sandra zaczęła wyjaśniać, po co przyszła, ale wtedy z pokoju wyszedł Łoś i umilkła, speszona.

– Dlaczego gości trzymasz w drzwiach? – zapytał Rozumka.

– Przeszkodziłam? – zapytała Sandra – Przyjdę później.

– Jak już przyszłaś, to wchodź – pozwolił Łoś.

W pokoju siedzieli za stołem Kopyto, Czerep i Zawer. Sandra rozwinęła prześcieradło.

– Ależ tu błędów! Kto cię uczył pisać? – przeraził się Rozumek.

– Oj, nie pomyślałam! To nie są błędy, napisałam to po naszemu. Ale da się przeczytać? – zapytała z nadzieją dziewczyna.

– Da się, da. Tylko wychodzą śmieszne słowa – uspokoił ją Rozumek.

Sandra przeczytała plan głośno dla wszystkich. Łoś bardzo się nim zainteresował. Kazał jej przeczytać jeszcze raz, wodząc palcem po literach. Potem kilka razy wskazywał palcem tekst, każąc jej czytać od wybranego miejsca. Zamyślił się głęboko.

– Po coś to zrobiła? – zapytał, wychodząc nagle z zamyślenia i wskazując prześcieradło.

– Anuż coś się ze mną stanie? Tak jak dzisiaj?

– Właśnie o tym mówimy. Ten, kto Świntucha wyprawił w zero – ratował ciebie czy aż tak go nienawidził?

– Nie wiem. Jestem tu od niedawna – wymamrotała Sandra, stropiwszy się i czerwieniejąc.

Łoś podniósł jej twarz za podbródek, spojrzał w oczy.

– Mów do końca.

– Jeśli ktoś mnie ratował, nawet, jeśli się dowiem, nie powiem.

– A dlaczego wcześniej mówiłaś?

– Byłam głupia, nie pomyślałam.

Mężczyźni się roześmiali.

– Która z bab miała powód do zabicia Świntucha? – myślał głośno Łoś.

– Łatwiej wskazać, która nie miała. Nawet jego żona teraz się cieszy – odezwał się Zawer.

– A która z bab umie strzelać z kuszy? Chartachana, matka, kto jeszcze?

Sandrze zrobiło się zimno.

– Powiedzą ci? Jeszcze czego! – burknął Kopyto.

– Matka strzeliłaby w Chartachanę – powiedział Zawer.

**SEKOND. SMOK**

Gałązka z własnej inicjatywy wzięła się do sprzątania wielkiej sali obok naszego pokoju. Znalazła gdzieś w piwnicy nieco wyłysiałą szwabrę oraz drewnianą łopatę i uparcie zgrabia kurz i ziemię do okien, po czym łopatą wyrzuca na zewnątrz. Ja snują się bez celu z kąta w kąt i pętam się pod jej nogami. Jutro już będę mógł latać, tylko nie wiadomo, dokąd. Mogę lecieć trasą północną, po wyspach, albo południową, przez przesmyk. Różnica, jeśli się pomylę, dziesięć tysięcy kilometrów. Bagatela!

Sygnał radiostacji. To Kora. Prosi, żebym zagonił spać Węgielka i lady Terrible. Pracują już trzecią dobę bez odpoczynku i praktycznie bez przerw. Mówię, że spróbuję, ale nie ręczę za rezultat. Łączę się z Lirą.

– Lira, kładź się spać. Teraz i tak nie ma z ciebie żadnego pożytku. Możesz przegapić prom.

– Ależ Czarku..

– To rozkaz.

– Nnoo dobrze.

Udało się.

– Kora, dawaj Węgielka.

– Słyszę, Mistrzu. My, smoki, jesteśmy bardziej wytrzymałe od ludzi. Jeszcze popracuję.

– Język ci się plącze. A jeśli będziesz musiała desantować?! Kładź się natychmiast! Liczę do trzech. Dziesięć. Dziewięć. Osiem.Siedem…

– Przekonałeś, złotousty. Już się kładę.

To nasza stara zabawa. Zawsze się bałem, że kiedyś doliczę, a ona i tak nie posłucha.

Znowu plączę się z kąta w kąt. Gałązka skończyła odkurzanie, wzięła latarkę i poszła zbadać piwnice. Wróciła bardzo szybko, zdenerwowana i wystraszona. Chciałem zapytać, co ją tak przeraziło, ale akurat włączyła się radiostacja.

– Nie śpisz, Mistrzu?

– Tu jest dzień, Anno. Co tam u was słychać?

– Rano, czyli u ciebie pod wieczór, otrzymamy kompletną informację. Pochmurny front odejdzie, cyklon uspokoi się i białych plam na mapie już nie będzie.

– A co z komisją?

– Właśnie o nich chciałam z tobą porozmawiać. To zadziwiające, Mistrzu. Najpierw ty nakrzyczałeś na nich jak na dzieci. Potem Kora wypowiedziała się w duchu: „Jesteście nam potrzebni. Ochotnicy, wystąp!”. Te fotografie na drzwiach kajut, na których chłopcy i dziewczynki tacy młodzi, piękni, aż zazdrość bierze... I jeszcze ta notatka na szafce nocnej u Sama… To ich wzruszyło i pojawił się u nich wspólny cel.

– Co to za notatka?

– Nie widziałeś? Kobiecą ręką: „Nie pomyl: nóż i łyżka z prawej, widelec z lewej”. I narysowany człowieczek. Taki z kresek, jak go rysują dzieci. Na piersi serwetka, w jednej ręce łyżka, w drugiej widelec. Otoczenie tu takie… Brak mi słów. Jak zaczarowany las z bajki. Cybery pętają się pod nogami, wszędzie ekrany, czarne niebo. Nieprzywykłemu człowiekowi chciałoby się wyć. Nie wiem, czy bardziej z zachwytu, czy ze strachu. A ta notatka – taka zwykła, domowa. Od razu wszystko stawia na swoje miejsce. No i praca stępia emocje. Moi intryganci po dwanaście godzin dziennie siedzą przy terminalach, tłoczą się przy ogólnej mapie Sekondu, prawie modlą się do fotografii tych młokosów. Od dwu dni nie było ani jednej politycznej kłótni.

– W ogóle się nie kłócą?

– Oni nie potrafię w ogóle się nie kłócić. Jeszcze jak się kłócą! Do zachrypnięcia, do wypominania sobie osobistych uraz. Zwłaszcza przy jedzeniu – aż przewracają szklanki. Dzielą Sekond na sektory administracyjne. Każdy kadr twoich przekazów omawiają godzinami. Dlaczego żołnierze mają broń żelazną, a zbroje miedziane? Jaki tu jest system pieniężny, jaka religia, co to jest ten dym usypiający? Aha, na ten dym lepiej uważaj. Kora mówi, że może podziałać i na ciebie.

– Dziękuję, będę uważał. W razie czego włożę skafander,

Dyskutujemy prawie trzy kwadranse. Potem Anna się wyłącza, a ja długo rozmawiam z Gałązką. Dziewczyna już wymyśliła, jak będzie dalej żyła. Obie z Kwiatkiem sprzedadzą skarby, połowę pieniędzy przekażą na odsetki najbardziej wiarygodnym lichwiarzom, za drugą połowę otworzą karczmę, a potem wyjdą za mąż za bogaczy. Opowiedziawszy o sobie, Gałązka bierze się za mnie. Wypytuje, ile mam lat (prawie tysiąc sto, ale przeżyłem około pięćdziesiąt, w tym jako smok trzydzieści), kim jest moja żona, czy mamy dzieci. Tu zupełnie się gubię: czy mogę ja-smok uważać się za dziecko mnie-człowieka? I to samo z Korą. Wyjaśniam Gałązce – ogólnie i na właściwym dla niej poziomie – naszą sytuację, a ona twierdzi, że nie, tak się nie liczy. Do rozmowy włącza się Kora, która też myśli, że to się nie liczy. Przekazuję jej słowa Gałązce. Ta dziwi się, dlaczego ja słyszę, a ona nie. Zdejmuję słuchawki i laryngofon, daję jej posłuchać. Od razu o mnie zapominają. Zaczyna się intensywna wymiana kobiecych sekretów. Potem Gałązka wybiega do sąsiedniego pokoju. Oho, doszło już do Wielkich Kobiecych Sekretów. Zadziwiające. Kora zazwyczaj trudno zaprzyjaźnia się z ludźmi, a tu – od pierwszego słowa. Nagle Gałązka przybiega do mnie i zmieszana przekazuje mi nauszniki. Okazuje się, że Bakowi nie spodobało się, iż nauszniki przemówiły nie moim głosem. Drzemał sobie spokojnie na głowie Kory, a usłyszawszy głos Gałązki, najpierw się zmieszał, potem oburzył i zaczął szczypać Korę za ucho. Besztam go i obiecuję zwolnić, jeśli nie przestanie chuliganić. Odpowiada „Cza-cza-cza-czaa-a”. Gałązka wytrzeszcza oczy. Wyjaśniam jej, że Bak – to duży, biały ptak. Gałązka pada na kolana, bije głębokie pokłony, całuje podłogę. W jej oczach widzę zachwyt, szczęście i jeszcze coś w tym duchu. Czuję, że i Bak, podobnie jak ja, znalazł swoje miejsce w miejscowej mitologii. Wypytuję. Okazuje się, że Biały Ptak to przeciwieństwo czarnego. Pełni funkcje bociana i Niebieskiego Ptaka, czyli odpowiada za terminową dostawę dzieci i w ogóle szczęścia. Z tym szczęściem to się Bakowi nieźle udało. Gałązka jest szczęśliwa, krąży po sali, z przyzwyczajenia podśpiewując sama sobie. Urodzona baletnica. Swobodnie podnosi nogę powyżej głowy. Wołam Korze, żeby włączyła z komputera taniec małych łabędziu z „Jeziora Łabędziego” Czajkowskiego. Biegnę do skafandra po megafon. Kora puszcza muzykę, ja przyciskam nauszniki do megafonu. Gałązka słucha, wstrzymując oddech i od czasu do czasu poruszając to ręką, to nogą, zaznaczając przyszły kierunek tańca. Kiedy muzyka się kończy, prosi o powtórzenie – i tańczy! Swobodnie, beztrosko! Anna mówiła, że dzikusy nie mogą mieć kultury, dopóki nie wynajdą długotrwałego nosiciela informacji – czyli, jednym słowem, pisma. Ci na pewno je znają, ale w bardzo wąskim kręgu, resztę uznałaby za dzikusów. A czy to nie jest kultura? Czy język tańca to nie kultura? I piśmienność nie ma tu nic do rzeczy! O właśnie!

Nie rozumiem tutejszych mieszkańców. Oddać mi taki talent na śniadanie! Ale z drugiej strony pochlebia mi to. Poważają! Do diabła! Przecież poważają nie mnie, a Czarnego Ptaka.

W nocy budzi mnie Kora. Znaleziono prom. Na lądzie, w rejonie zasłoniętym wcześniej przez chmury. Lądowanie było bardzo ciężkie, na wzgórzach pokrytych lasem. Prom zrobił ścieżkę na wierzchołku jednego wzgórza, przeleciał dolinę i uderzył o drugie. Na orbitalnej pogotowie. Korygują orbitę wielkiej komory zero-t, którą przekształciłem w samodzielny sputnik, przygotowują do zrzutu flyer z ceberami, wytyczają optymalną trasę mnie. Na miejsce katastrofy przybędę jednak nieprędko. Punkt upadku dosłownie po drugiej stronie planety. Osiemnaście tysięcy kilometrów w linii prostej. Dwadzieścia pięć, jeśli lecieć nie przez biegun i okrążać oceany. A siła ciążenia jest tutaj większa niż na Ziemi.

Komunikuję Gałązce, że jutro się rozstaniemy. Instruuję, żeby jak najmniej o mnie opowiadała. I tak jej nie uwierzą, a będzie miała kupę nieprzyjemności. Dziewczyna smutnieje.

**SEKOND. SANDRA**

Wracała do domu ledwie powłócząc nogami. Widziała chodzących po forcie mężczyzn, ponurych i złych. W domu na jej łóżku leżała Wola, na łóżku Szrama Ptaszyna. Babcia Katty kręciła się po gospodarstwie. Sandra zajrzała do pieca, wzięła żytnie placki, ser, garnek zupy i poszła do wieżyczek. Wlazła na samą górę, gdzie Szram znowu ją objechał. Najpierw za to, że weszła na wieżyczkę, potem za to, że przyniosła za mało zupy i nie wzięła łyżki dla dyżurującego z nim Borsuczka. Dopóki mężczyźni po kolei jedli, opowiadała o przebiegu śledztwa. Potem zapytała, co Szram zamierza zrobić z Wolą.

– Walczyłaś o nią, więc jest twoja. Rób z nią co chcesz – odrzekł. Borsuczek chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– Dam jej skórzaną obrożę – postanowiła Sandra po chwili namysłu. Szram i Borsuczek wymienili spojrzenia i roześmiali się.

– A u kogo będzie mieszkała? – Zainteresował się Szram.

– Najpierw u nas, potem coś wymyślę. No co wy tak na mnie patrzycie?

– Teraz zrozumiałeś? – zapytał Szram Borsuczka. – To najprawdziwsza Chartachana. Nie uznaje żadnych zakazów, robi, co chce.

Sandra wzięła pusty garnek, zaczęła schodzić.

– A jednak przeciw Świntuchowi jest nieco za słaba. – doszedł ją z góry głos Borsuczka.

– Za słaba – zgodził się Szram.

Idąc do domu przyglądała się obrożom niezamężnych dziewczyn. Poszła na strych, znalazła tam kawałek skóry zawera, wykroiła z niej pasek, oskrobała, wypłukała, złożyła podwójnie, zszyła i zrobiła na końcach dziurki, przez które przechodził cienki skórzany rzemyk, wiążący je. Obudziła się Ptaszyna i obserwowała jej manipulacje, wyraźnie na nią zła. Babcia Katty dezaprobująco pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Przyszła Kałuża, Ptaszyna wyprowadziła ją na korytarz, gdzie długo o czymś szeptały, aż Sandra zmieszała się i rozzłościła.

– Pani, ty robisz to dla Ptaszyny? – zapytała Kałuża.

– Nie, dla Woli.

– Co, chcesz ją wypędzić z domu?

– Nikt nie zamierza jej wypędzać. Będzie mieszkała u nas. A jak zechce odejść, to jej sprawa. Nie będę jej trzymała siłą.

– A twój nie wypędzi?

– Co ty tak w kółko: wypędzi, nie wypędzi?

– Przecież to zakładają, gdy mąż zabiera żelazną i wygania z domu.

Sandra roześmiała się ponuro.

– Ne będę jej zakładała tego siłą. Nie mogę przecież na nią włożyć żelaznej obroży, zrozum, głuptasko. Dam taką. Zechce – założy, nie zechce – jej sprawa.

Kobiety poszły do jej pokoju, który teraz zajmowała Wola, gdzie zaczęły trajkotać. Sandra szybko dała nura pod koc na łóżku Szrama. Miała dreszcze. Ale głosy za ścianą nie dawały jej spać. Kałuża opowiadała Ptaszynie i babci Katty o pojedynku – szczegółowo, namiętnie, nie opuszczając żadnego szczegółu. Zadziwiająco dokładnie opisywała, gdzie kto stał, jak się zamachnął, gdzie uderzył. Pomijała tylko to, że Świntuch większość ciosów blokował albo odbijał. Może źle z daleka widziała, a może po prostu tak było ciekawiej. Na słuchających opowiadanie wywarło wielkie wrażenie, szczególnie na Sandrze. Ta zmrużyła oczy i schowała się z głową pod koc.

– Już niedługo, już niedługo – szeptała, podzwaniając zębami. – Nie zostało mi już dużo, mniej niż tydzień. Wytrzymam. Chłopcy obudzą się i pomogą. Wszystko naprawią. Wyrwę się z tego piekła. A co ze Szramem?

**SEKOND. SMOK**

Jak zwykle w tym domu, budzą mnie dźwięki „muzyki”. Ten pasożyt zdobył gdzieś nowy gong! Z arkusza blachy. Gałązka wyplątuje się z mojego skafandra i naprędce upiększa się. Wychodzimy na spotkanie. O Boże, toż to cała procesja! Jeśli Czarny Ptak nikogo nie zabija, czemuż by nie pójść na niego popatrzeć? Najśmieszniejsze, że wszyscy udają, iż są potrzebni. Pieczonego byka niesie pięćdziesięciu ludzi, każdą beczkę wody po dwudziestu czterech. No i czterdziestu niesie niski stół, na którym Kwiatek Kaktusa demonstruje taniec brzucha.

– Słyszałam głos Białego Ptaka! – woła Gałązka i biegnie im na spotkanie. Rozkazuję ludziom zanieść wszystko do wielkiej sali. Kiedy koło mnie przechodzi muzykant z gongiem, chwytam go za kołnierz i zdejmuję z niego ubranie.

– Nie masz za grosz muzykalnego słuchu. Jeśli będziesz dalej udawał muzykanta, tak samo zdejmę z ciebie skórę – wyjaśniam mu i wypuszczam go. Młokos rzuca się do ucieczki, spostrzega się, wraca po gong i pędzi do miasta, aż się za nim kurzy. No i po co, po co mu ten gong?! Wzdycham ciężko. „Nie strzelajcie do pianisty, on gra jak potrafi”…

Ludzie wychodzą z domu, kłaniają mi się i idą do miasta. W sali pozostają Gałązka i Kwiatek, coś gorąco omawiają szeptem. Siadam do śniadania, zapraszam do stołu dziewczyny. Ale Kwiatek za bardzo się mnie boi. Gałązka podaje jej jakieś zawiniątko i tamta odchodzi. Zjadam pół byka, wypijam beczkę wody i czuję, że będzie bardzo trudno lecieć. Gałązka ospale odczepia włókna mięsa od udźca. Napełniam wodą kontener skafandra, resztę dopijam. Rozcinam i pakuję resztki mięsa, zbieram rozrzucone po całym pokoju rzeczy, umocowuję je przy pasie i na grzbiecie. Koniec. Aha, jeszcze muszę pożegnać się z Gałązką.

– Władco, zabierz mnie z sobą.

– A umiesz latać? Nie.

– Władco, jestem twoją niewolnicą. Nie możesz mnie zostawić.

– Ciekawe. A co w takim razie mam z tobą zrobić?

– Musisz albo mnie zabrać, albo zabić – odrzekła i sama się przeraziła własnych słów. Zadrżała, usiadła na podłodze i rozpłakała się.

– No dobrze, właź mi na grzbiet, bekso. Ale jak będziesz jęczeć w powietrzu, to cię zrzucę. Bez spadochronu. I ubierz się jak najcieplej.

Wyjaśniam, gdzie ma siedzieć i czego się trzymać, po czym startuję, zły na siebie i na wszystko dookoła. Znowu pozwoliłem przekonać siebie. Kiedy nauczę się oddzielać emocje od sprawy? Teraz będę musiał przez dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów taszczyć sześćdziesiąt pięć kilo balastu, którego w dodatku trzeba będzie karmić.

Z miasta ciągle jeszcze wyjeżdżają wozy z ziemią.

Wiadomość od Węgielka. W rejonie lądowania promu zrzucono dwa flyery z cyberami. Pierwszy runął i rozsypał się. Żaden z cyberów nie ocalał. Drugi leci na miejsce upadku promu. Ma do niego około dwustu kilometrów.

Pół godziny później kolejny komunikat: flyer krąży nad miejscem lądowania promu. Ludzi nie widać. W okolicy nie ma miejsca na lądowanie. Jeśli w ciągu dwudziestu minut nikt z promu nie wyjdzie, będzie szukał lądowiska poza obrębem lasu. Radzę nie czekać.

Po dalszej godzinie fatalna nowina: flyer szczęśliwie wylądował na polu około dwadzieścia kilometrów od promu, ale, kiedy cybery, ustawiwszy się w szereg, zbliżały się już do lasu, napadli na nie jeźdźcy i porąbali całą czwórkę mieczami. Wyłączam laryngofony i długo klnę siarczyście. Zbyt późno przypominam sobie, że, oprócz plecaka, niosę na grzbiecie jeszcze młodą dziewczynę. Ryczę ze złości, ale już bez słów.

– Węgielku, połącz się! Węgielku, gdzie jesteś, do diabła! – I przypominam sobie, że wyłączyłem laryngofony. Kosmiczny desantowiec ze mnie, jak ze zmokłej kury rajski ptak. Włączam. – Węgielku, poślij Lirę do Zamku po jeżyki-zwiadowców. Ona wie, o co chodzi.

Mam na myśli małe cybery o kształcie jeżyków. Kiedyś, ponad dziesięć lat temu, jeszcze zanim Anna została magistrem, wykorzystywałem je w walce z kościołem. Teraz trzysta jeżyków kurzy się w składzie. Węgielek nic nie rozumie, ale Lira łapie pomysł w lot. Źle tylko, że następny dobra pora na zrzut flyera nadejdzie dopiero za dobę, i to miejscową.

Koniec, już dalej nie mogę. Ląduję, prawie spadam w wysoką trawę na skraju lasu. Od razu zasypiam i budzę się o zachodzie.

Słyszę, jak Gałązka komuś skarży się na los. Jakiego ma niedobrego gospodarza. Zawiózł ją do lasu, rozłożył się i chrapie. A jej strasznie, ona boi się lasu. Kiedy miała trzy lata, zabrali ją ze wsi i całe życie spędziła w mieście. Ciekawe, z kim rozmawia?

Otwieram jedno oko. Siedzi plecami do mnie i przez moje nauszniki rozmawia z orbitalną.

– Beksa – mówię. – I skarżypyta. Zrobiłabyś chociaż kolację.

– Nie umiem.

–To przygotuj ognisko.

– Trzeba pozbierać drwa?

– Oczywiście, że trzeba, moja ty nieszczęsna ofiaro urbanizacji.

Idzie w las, ostrożnie stawiając nogi w trawę, zatrzymuje się i ogląda ze zmieszaniem.

– Co się stało?

– Tu rośnie żagała.

Idę wyjaśniać, co to jest żagała. Zwykła ziemska pokrzywa. A Gałązka ma gołe, bose nogi.

– I co teraz zrobisz, żabko-podróżniczko?

Gałązka ogląda się na mnie, zaciska wargi i nagle rusza prosto w pokrzywy. Chwytam ją, zanim zdążyła się sparzyć, stawiam przodem do siebie.

– Rozwiązanie śmiałe, ale nieprawidłowe. Trzeba zrobić obuwie i ubrać się jak należy. Idź, wybierz miejsce na ognisko. Drwa ja pozbieram.

Rozpalam ognisko, podpiekam jeszcze raz mięso dla Gałązki.

– Niepotrzebnie tak śmiejesz się z niej, Afa – komunikuje mi Kora. – Trochę mi opowiadała o swoim życiu w świątyni. Mają tam ścisły podział pracy i taką surową dyscyplinę, jaka nie przyśniłaby się nawet żołnierzom w koszarach.

Zostawiam na rano dwa kilo mięsa dla Gałązki, resztę zjadamy. Patrzę na ognisko, na gwiazdy, wspominam młodych ludzi, opowiadam o nich Gałązce. Czy można było poszukiwania przyśpieszyć? W tych warunkach – nie. Czy jest sens desantować Korę albo Węgielka? Dzisiaj nie, zbyt niebezpieczne. Jutro – w zależności od tego, co przekażą jeżyki.

**SEKOND. SANDRA**

Do wieczora Sandra upewniła się, że zachorowała. Głowę miała ciężką, w stawach łamało, po całym ciele biegały mrówki. Babcia Katty poiła wywarem z ziół i mocnym bulionem już dwie pacjentki.

Rano z dyżuru powrócił Szram, chciał położyć się obok Sandry, ale babcia Katty nie pozwoliła mu niepokoić dziewczyny i, burcząc pod nosem, powlókł się do szopy na siano.

Koło południa w domu zaczęli zbierać się mężczyźni. Pierwszy przyszedł Ślad, po nim Borsuczki i Tupot. Potem Rozumek i Kret. Gdy Łoś zobaczył takie zgromadzenie całego klanu Szrama, zajrzał i zapytał, co się stało.

– Będziemy zastanawiali się, kto zabił Świntucha – odrzekł Szram. – Zaraz poślę po matkę. Chartachana ją wypyta. Baba więcej powie babie niż chłopu.

Łoś ponuro skinął głową, patrząc w podłogę.

– Wczoraj myśmy zastanawiali się nad tym samym. Rozumek wam opowie. Próbowaliśmy wyjaśnić, kto koło kogo stał, kogo nie było. I nie wyszło. Kompletny rozgardiasz. Chłopy stali w pierwszym rzędzie, tu wszystko jasne. A baby biegały z miejsca na miejsce. Mówiły, że po to, aby lepiej widzieć. Wielu w ogóle nie było. Niektóre mają dzieci, inne nie mogły odejść od pieca. Jak się dowiecie, kto zabił, przekażcie mi go. – I wyszedł.

Sandra, z czerwonymi, załzawionymi oczami i zatkanym nosem, ubrała się po męsku i usiadła w kącie. Niedługo babcia Katty przyprowadziła matkę. Babcię Katty od razu wyproszono za drzwi, a matce Tupot wprawnie związał ręce i nogi, po czym ustawił ją na kolanach pośrodku pokoju. Ta ani się nie zdziwiła, ani nie sprzeciwiała.

– Wiemy już, że zabiłaś Świntucha – powiedział Ślad – Widziałem, jak kradłaś z kuźni grot do bełtu. Tupot widział z wieżyczki, jak wczoraj chowałaś kuszę w łopianach za ogrodzeniem. Chcemy wiedzieć, dlaczego go zabiłaś.

– A czy ja wiem? – odrzekła matka. – Przecież to waszą dziewkę, Chartachanę, trzymałam przez cały pojedynek na celowniku. Gdyby ona wygrała, na pewno bym ją zastrzeliła. A kiedy on ją o ziemię… Coś mnie złapało za serce. Wyobraziłam sobie, jak on zaraz jej nogą na gardło i… To nie ja strzelałam, moje ręce same… Róbcie ze mną, co chcecie. Z baraków jest tylko jedna droga – w zero na zawsze…

Sandra pociągnęła nosem. I nagle zrozumiała, że jeśli którykolwiek z mężczyzn powie choć słowo, matki już nic nie uratuje.

– Chwileczkę, nic nie mówcie! – zawołała rozpaczliwie. – Szram, gdyby ciebie w walce uratował wróg, co byś z nim zrobił?

– Jeśli uratował, to znaczy, że już nie jest moim wrogiem.

– Zacząłbyś go bronić?

– Tak.

– A co ja mam teraz robić? – zapytała bardzo cicho Sandra,.

– Wyjść! – ryknął Szram.

– I gdzie ja pójdę? Przed sobą nie uciekniesz. Szram, kochany, co jest droższe: honor czy życie? – Sandra zdjęła skórzaną kurtkę, zostając w koszuli. Wyjęła zza cholewy nóż, chwyciła jego rękojeść obiema rękami, przycisnęła ostrym końcem do brzucha. Na jasnej koszuli pojawiła się mała czerwona plama.

– Co chcesz zrobić?

Sandra chlipnęła.

– Szram, nie obrażaj się na mnie. Jeśli przekażecie matkę Łosiowi, to co ja zrobię? Wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi i nie mogę na was podnieść broni. Prędzej już zabiję samą siebie. A jej muszę bronić. Co mam robić, Szram?

– Więc twoim zdaniem mamy jej nie karać?

– Sama już nie wiem. Jesteście mężczyznami, jesteście mądrzy. Wymyślcie coś. A matka już ukarała samą siebie, pozbawiając się ostatniej nadziei na wyjście z baraków.

Mężczyźni, podłechtani tym, że nazwała ich mądrymi, zamyślili się.

– Znowu te twoje sztuczki! – rozzłościł się Szram

– Jakie sztuczki? – zdziwił się Ślad.

– Najpierw napsoci, a potem: „Jesteś mężczyzną, jesteś mądry, wymyśl, co robić”.

Wszyscy popatrzyli na Sandrę z wyrzutem.

– Właśnie od tego jest Chartachana – zauważył filozoficznie Rozumek. – Pomyślcie lepiej, chłopcy, czy mamy taką babę, która nadawałaby się na nową matkę. Łapa trafiła na kołowrót, pozostałym nie starczy polotu.

– Chcesz jej wybaczyć? – zapytał Kret.

– A przypomnij sobie, co przed nią było. Żarliśmy na wiosnę mech, zabijaliśmy konaki na mięso.

– Wtedy zawery przedarły się na pola.

– Trzy lata temu też się przedarły, ale matka miała zapasy. Żarliśmy suszone świństwa, ale nie głodowaliśmy. Jasne, o czym mówię?

Zaczął się ostry spór. Szram słuchał go, ale nie brał w nim udziału. Podszedł do Sandry, objął ją za ramiona, wyjął z ręki nóż i włożył z powrotem za cholewę. Sandra potarła policzkiem o jego palce. W tej chwili do pokoju weszła Ptaszyna. Przeszła obok mężczyzn jak somnambuliczka i padła przed Sandrą na kolana. Rozmowy umilkły, wszyscy spojrzeli na nią.

– Zrób cud i uratuj Wolę. Kałuża mówi, że ty wszystko możesz. Uratuj ją i żądaj ode mnie, czego chcesz. Weź nawet moje życie, ale nie daj jej umrzeć. – Od jej cichego, równego, prawie spokojnego głosu mówiącego takie słowa aż dreszcze przebiegały po skórze.

– Co się stało, co się z nią dzieje?

– Septyczny ogień poszedł jej w ręce – Ptaszyna zapłakała. Sandra przytuliła ją do piersi.

– Co to takiego?

– Kiepska sprawa – powiedział Ślad, marszcząc czoło. – Kiedy rana się zapala i zaczyna gnić. Jeśli na ręce albo nodze, jedyny ratunek obciąć. Inaczej śmierć.

– Gangrena – domyśliła się Sandra. – Zakażenie krwi, sepsis… Szram, musimy jechać! Jeśli dowieziemy do Czarnego Ptaka, będzie żyła! Zdążymy? Szram!

– Jeśli będziemy mieli dużo szczęścia. Świntuch wypuścił z niej całą krew.

– Świntuch! Znowu Świntuch! Czy jest sprawiedliwość na świecie? Świntuch wybił oko Jeżykowi, Świntuch zamęczył Wolę, a wy go bronicie?! Chłopcy, czy wy macie sumienie? Dlaczego nas przed nim nie obroniliście? On już poszedł w zero, a nasza, kobieca krew ciągle się przez niego leje! Ile można? – Sandra prawie płakała.

Rozumek ciężko wstał, opierając się o kostur podszedł do matki i rozciął jej więzy.

– Pewnie Biały Ptak wrzucił ci swoje pióro do kołyski. Zapomnij, co tu słyszałaś i precz z moich oczu! – Popchnął ją w stronę drzwi i objął gniewnym spojrzeniem twarze mężczyzn. Nikt się nie sprzeciwił. – A ty, Chartachana, zapamiętaj: sprawiedliwości na świecie nie ma. To ludzie ją wymyślili. Nawymyślali wiele głupstw: sumienie, sprawiedliwość, nie zabijaj, nie kradnij… Gdzieś ty widziała, żeby człowiek nie zabijał człowieka?

**SEKOND. SMOK**

Rano Gałązka wącha mięso i marszczy nosek. Ja też wącham. N-tak…

– Nie chcesz jeść, to siedź głodna do wieczora. – Resztę mięsa po kawałku wrzucam do pyska i przełykam nie żując i jak najszybciej zagryzając młodą brzózką. Gałązka żuje czerstwy chleb, mały kawałek sera, popija wodą i udaje, że jest zadowolona.

Zbieram rzeczy, rozprostowuję skrzydła. Mięśnie bolą. Nie jestem ptakiem wędrownym, massaraksz! Słyszałem, że dzikie gęsi miewają pod skrzydłami nagniotki wielkości ludzkiej pięści. A ja mam lecieć pięć razy dalej! Początkowo lecę jak ekranolot, nad samą ziemią. Stopniowo mięśnie się rozgrzewają, nabieram wysokości i szybkości. Wczoraj przeleciałem nieco ponad tysiąc kilometrów. Padnę, ale dzisiaj przelecę tyle samo!

Komunikat od Liry. Zrzucili na planetę dwa flyery z jeżykami. Jeden z nich nie wytrzymał ciśnienia aerodynamicznego, wpadł w korkociąg, upadł na bagno i zatonął. Jeżyki na pokładzie są całe, ale nie mogą opuścić kabiny. Drugi flyer w porządku.

Po kolejnej godzinie następny komunikat. Flyer wysadził jeżyki, po czym wystartował i leci nam na spotkanie. Wiezie jakieś podarunki dla mnie i dla Gałązki. Na Ziemi w Zamku kończą montaż wielkiej komory zero-t. Trwa także montaż konstrukcji latających, wyposażonych w antygrawy. Właśnie z tymi antygrawami mają największy problem, gdyż to konstrukcja z końca XXII wieku, a całe wyposażenie Zamku jest na poziomie XXI. Tak, że będę musiał na nie czekać jeszcze co najmniej miesiąc.

Gałązka krzyczy, podskakuje na mojej szyi i wskazuje w dół. Pod nami stado leśnych jeleni. Pikuję, chwytam jednego, znowu nabiera m wysokości. Wiązanie w powietrzu nóg brykającego jelenia nie jest łatwe, ale radzę sobie. Podwieszam u pasa. Niewygodnie. Ląduję i przywiązuję na grzbiecie. Ponownie startuję.

Kolejny komunikat od Liry. Jeżyki podeszły do promu. Lira kieruje nimi i opisuje mi wszystko, co widzą. Luk jest zamknięty. Nie mogą go otworzyć, są na to za słabe, szukają przebicia. Znalazły. Wybita szyba w kabinie pilotów. Kabina kompletnie zniszczona. Rzemienie foteli porwane, plamy zaschniętej krwi na podłodze, ale ciał nie ma. Pokrywa pulpitu odśrubowana i postawiona w kącie. Ktoś próbował naprawiać. Jeżyki idą za śladami krwi na korytarzu. Moduł medyczny pracuje. Przed nim na podłodze stos skafandrów i ubrań. W module zajęte są cztery biowanny z sześciu. Niestety, jeżyki nie mogą bezpośrednio połączyć się z komputerem modułu. Lira każe im zbudować piramidę, górny wybiera na klawiaturze pytania. W wannach leży trzech mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy trafili tu w bardzo ciężkim stanie. Regeneracja idzie normalnie, zagrożenia nie ma. Głos Liry staje się triumfalny.

– A gdzie piąta? – pytam.

– Znajdziemy, na pewno znajdziemy! – Cieszy się Lira. – Ktoś ich przecież włożył do biowanien i próbował naprawić pulpit. Pewne to Liwia. Ona nigdy nie traci głowy.

– Zapytaj medyczny moduł o wzrost i wagę pacjentów.

– Czarku, to nie Liwia. To Sandra. Liwia jest w wannie. Straciła nogę – komunikuje Lira po kilku minutach.

Jeszcze około godziny jeżyki przeszukują prom. Śladów mało. Nieśmiała próba naprawy zero-komór. Zapis w dzienniku pokładowym. W kontenerze dokładnie ułożone akumulatory. I to już chyba wszystko.

Lira wyprowadza jeżyki na zewnątrz i każe im przeszukać okolicę. Znajdują pozostałości po ognisku sprzed kilku dni. Obok zapas drewna i nadpalona strzała. Ślady stóp zmył deszcz.

Najbardziej niepokoi nas ta strzała. Sandra nie mogła wykuć jej grotu. Strzelano do niej? Ale dlaczego strzała jest nadpalona? Sandra wrzuciła ją do ogniska, ale później wyjęła? Czy wyjął ją ten, kto strzelał do niej?

Lira przekazuje jeżykom program poszukiwania Sandry po rozszerzającej się spirali. Radzę jej spuścić na planetę jeszcze ze dwieście sztuk.

Ląduję jeszcze bardziej zmęczony niż wczoraj. Ale plan wykonałem: przeleciałem tysiąc sto kilometrów. I wylądowałem na brzegu rzeczki, tak, że nie trzeba chodzić po wodę. Zdejmuję jelenia z grzbietu. Gałązka marudzi, żal jej biedaka. Wyjmuję pistolet i wąskim promieniem odcinam jeleniowi głowę. Tuszę wieszam na drzewie, żeby wyciekła krew. Gałązka płacze i twierdzi, że jestem zły i okrutny. „Jestem Czarnym Ptakiem” – odpowiadam. Nie, nieprawda, jestem dobry. Oto kobieca logika! Daję dziewczynie nożyk i mówię, że będzie mi pomagała oprawiać tuszę. Następną będzie oprawiała sama. Oczywiście nie ma z niej żadnego pożytku, ale niech przywyka. Kiedy na ziemię wypadają wnętrzności, rzuca nożyk, zatyka usta i odbiega. Otrzymuję naganę od Liry za to, że męczę biedną dziewczynkę. Jestem zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Kończę oprawiać tuszę, rozpalam ognisko, zaczynam piec mięso i w trakcie pieczenia zasypiam.

Budzę się znowu bez nauszników. Są na głowie Gałązki, która krząta się przy ognisku. Nastawiam na nią uszy i wytężam słuch. Z orbitalnej na dwa głosy wyjaśniają, jak się piecze mięso na ognisku. Siadam i też zaczynam dawać rady. Otrzymuję przypalony kawał mięsa, chrzęszczący w zębach i cały w popiele. Gałązka oddaje mi nauszniki, żeby mieć obie ręce wolne i teraz ja pracuję jako retranslator. W górze trwa ostry spór między Anną a Łucją, główną kucharką Zamku. Żeby go ugasić, proszę Annę o informacje. Komisja udaje się na Ziemię. Sandry nie znaleziono. Poza tym nic nowego.

Rano widzę flyer z obiecanymi podarunkami. Kiedy spaliśmy, Lira posadziła go na polu i podgoniła po ziemi pod sam obóz. Wśród ładunku pełny komplet umundurowania kosmicznego desantowca dla Gałązki, wielka ilość odwodnionej żywności i mnóstwo kilogramów „potrzebnych” drobiazgów. Jeśli Kora myśli, że jestem ciężarowym śmigłowcem, to się myli. Jeszcze o świcie turystyki ustalono: zabierać nie to, co potrzebne, a to, bez czego nie można się obejść. Sprawdzam, co jeszcze jest niezbędne i usuwam z umundurowania Gałązki pistolet laserowy. Wzywam orbitalną i mówię Lirze, żeby nie ustalała tak szczegółowo pory zrzutu flyera z przelotem stacji nad punktem lądowania. I tak w ciągu doby flyer doleci do każdego punktu planety, a jeśli nawet się rozbije, to ładunek powinien ocaleć i, ponieważ mamy już na planecie trzy sprawne flyery, wyślemy po ten ładunek najbliższy. Lira się nie zgadza, i dobrze robi. Kolejny flyer spada w nieprzebyty las o trzysta kilometrów od promu. Drzewa złagodziły uderzenie i ładunek – sto jeżyków-zwiadowców – ocalał. Ale znowu kłopot: jeżyki praktycznie nie mogą poruszać się po grubej, miękkiej warstwie mchu. Radzę ustawić je w łańcuszek i tylnym biegać po grzbietach przednich na sposób gąsienic traktora.

Gałązka podczas lotu gada bez przerwy. Ale nie ze mną. Jeszcze pierwszego dnia jej za broniłem i przestrzega tego święcie. Rozmawia z orbitalną, Ma teraz własne nauszniki i komunikatorz malutkim ekranem. Dowiaduję się o Sekondzie dużo nowych rzeczy. Gałązka mi o nich nie opowiadała, myśląc, że i tak wiem. Na przykład o przeznaczeniu obroży, tych przerośniętych pierścionków zaręczynowych.

**SEKOND. SANDRA**

Jak zwykle u mężczyzn, przygotowania do podróży trwały krótko. Ze Szramem postanowili jechać Ślad i starszy Borsuczek. Babcia Katty krzątała się, doradzała, jak i czym karmić i leczyć Wolę. Zawinięto ją w koc, przyciskała do piersi zabandażowanymi rękami skórzaną obrożę, zrobioną dla niej przez Sandrę, ale wkładać jej na szyję nie chciała. Borsuczek próbował posadzić ją przed sobą na konaku, ale Wola rzucała się, odpychając go, więc posadził ją przed sobą Ślad. Dziewczyna uspokoiła się, zamknęła oczy, przycisnęła się do jego piersi.

– Sandy, a ty gdzie się wybierasz? Spójrz na siebie. Przecież od razu spadniesz z siodła. – Szram odebrał jej torbę podróżną, chcąc zanieść do domu.

– Beze mnie nie dacie tam sobie rady. Nie nauczyłam cię czytać, a tak się tego nie da wyjaśnić. Zrozum, kochany, jeśli dojadę, następnego dnia będę już zdrowa.

Babcia Katty zaczęła protestować, ale Szram pozwolił Sandrze jechać i na tym spór się zakończył. Wtedy podała Sandrze niewielkie naczynie, będące właściwe wyżłobionym i zakorkowanym kamieniem.

– Jeśli z tobą będzie zupełnie źle, zażyj to. Odrobinkę, tylko poliż korek. Od jednej kropli zrobisz się silniejsza od ursusa, dziesięć kropel podniesie umarłego. Ale rano zażyjesz, a wieczorem padniesz bez sił, nawet palcem nie zdołasz poruszyć. To straszne lekarstwo. Wysysa siły do ostatniej kropli. A ty i tak teraz jesteś jak źdźbło.

– Zrozumiałam, to jest doping, babciu Katty. Dziękuję. – Sandra troskliwie schowała naczyńko, po czym zaczęła gorączkowo macać po kieszeniach. Pobiegła do swojego pokoju, przetrząsnęła wszystkie rzeczy, zajrzała pod łóżko. Przerzuciła wszystko na łóżku Szrama.

– Sandy, gdzie się podziewasz? – zawołał z podwórza Szram. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do pokoju, gdzie zobaczył ją siedzącą na podłodze i pochlipującą. Usiadł koło niej i wziął jej twarz w ręce.

– No, co tym razem spsociłaś?

– Zgubiłam łuskę Smoka.

Szram pogrzebał w kieszeniach.

– Trzymaj swój skarb. Przecież oddałaś mi ją przed walką ze Świntuchem, zapomniałaś?

Gdy Sandra usiadła w siodle, podeszła do niej Ptaszyna. Ale tylko popatrzyła w oczy i uderzyła się pięścią w pierś. Sandra mrugnęła do niej porozumiewawczo. Ptaszyna długo biegła koło nich, od czasu do czasu trzymając się strzemienia.

– Kiedy wrócicie? – zawołał ktoś z wieżyczki.

– Nieprędko! – odpowiedziała Sandra. Od własnego krzyku zakręciło się jej w głowie.

Godzinę później straciła przytomność i wypadła z siodła. Szram przełożył część ładunku na kulawego konia, posadził dziewczynę przed sobą i przytrzymał ją lewą ręką. Ocknąwszy się, Sandra przez jakiś czas nie mogła się połapać, gdzie się znajduje. Wsłuchała się w prowadzoną obok rozmowę, starając się nie dawać znać, że odzyskała przytomność. Ślad z Wolą jechał nieco w przodzie, a Szram niezbyt głośno rozmawiał z Borsuczkiem.

– W klanie Łosia pozostało tylko czterech wojowników. Jeśli Chorcowie połączą siły z Aksami, będzie z nami krucho – to mówił Borsuczek.

– U Chorców nie jest lepiej niż u nas. Prawie sama nieobstrzelana dzieciarnia. Myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy to my się z nimi połączyli.

– Po naszej wizycie? Ależ oni nas nie puszczą blisko!

– Sam pomyśl. My uprowadziliśmy im cztery dziewki, ale straciliśmy wojownika i konaka. Ich Bąk uprowadził nam trzy dziewki, co prawda z baraków. Idziemy równo, nieprawdaż? Bąk, jeśli zobaczy Chartachanę, na pewno będzie z nami. Jego trzy dziewki też, zwłaszcza że jednej z nich obiecał założyć obrożę. Teraz weźmy naszych. Twój brat na ich dziewkę włożył obrożę. Kopyto swoją oddał najstarszemu synowi. Chłopiec na jesieni skończy piętnaście lat, jest jeszcze zupełnie zielony. Dziewka dobije się u niego obroży z łatwością. Z Ptaszyną ja się umówię. Dziewki zabierzemy ze sobą, więc wszystkie ich baby prawie na pewno będą za nami. Tylko z twoją wyszło kiepsko.

– Jestem wojownikiem, więc potrzebuję konaka. Wykupiłbym ją u Świntucha później. A on… Szram, czy ja nie mam racji?! – Wybuchnął Borsuczek.

– Nie wiem. Tydzień temu powiedziałbym, że masz rację. Przydałby się Rozumek. On by rozstrzygnął.

Sandra podniosła głowę.

– A sami nie potraficie? Gdyby twojego konaka nie zabili, włożyłbyś jej obrożę?

– Oczywiście.

– A takiej jak teraz, bez palców, bez zębów, włożyłbyś?

Borsuczek wyjął zza pazuchy błyszczącą metalową obrożę.

– Oto ona.

– Więc na co czekasz?

Borsuczek zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem, potrząsnął rękami, poruszył bezdźwięcznie wargami, wypowiadając dla siebie przekleństwa, i na koniec uderzył się pięścią w kolano.

– Nie zrozumiałam… – zdziwiła się Sandra.

– Ona jest teraz twoją niewolnicą, zgadza się?

– Tak.

– Dałaś jej skórzaną obrożę, ale ona jej nie włożyła, zgadza się?

– Tak.

– Więc co wychodzi? Na twoją niewolnicę nie mogę włożyć obroży. A ty nie możesz mi jej sprzedać. Jeśli zechcesz sprzedać, ona włoży twoją skórzaną obrożę i będzie wolna.

– Tydzień temu też miała na sobie skórzaną obrożę.

– Tydzień temu mieszkała u Chorców, a teraz jest nasza, z naszego fortu! Już rozumiesz, coś ty narobiła przez tą swoją obrożę?

Sandra wtuliła twarz w skórzaną kurtkę Szrama.

– Ależ z was głupcy, chłopcy. Najpierw wycieracie sobie nogi o nas, dziewczyny, a potem sami plujecie sobie w brodę.

**SEKOND. SMOK**

Dni zlewają się w jeden. O Sandrze ciągle żadnych wieści. Co dwa-trzy dni Lira przerzuca na nowe miejsce dwa towarzyszące nam flyery. Mało przygód. Był atak latających jaszczurów. Pierwszego przegryzłem prawie na pół, trzy zestrzeliłem z pistoletu, resztę zostawiłem z tyłu. Nie były w stanie wzbić się za mną na wysokość pięciu kilometrów. Było spotkanie ze zdziczałym kotem niewiele mniejszym od rysia. Gałązka przestraszyła go krzykiem, z czego była później bardzo dumna. Był napad drapieżnego jaszczura. Był dwa razy mniejszy ode mnie, ważył tylko dwie, najwyżej trzy tony, ale napadł. Miał olbrzymią paszczę, pełną ostrych zębów i woni zgniłego mięsa, ale spóźnioną reakcję. Uderzyłem go tylną łapą w brzuch, walnąłem prawym prostym w dolną szczękę i podciąłem ogonem, aż padł na bok,po czym podniosłem za łapy i z półobrotu wrzuciłem do rzeki. Popłynął w dół z prądem, a ja słuchałem, jak klął mnie w swoim języku. Był sztorm nad oceanem. No i spotkanie z załogą statku żaglowego, rozbitego na rafie, które wymaga nieco dokładniejszego opisu.

Było ich niespełna stu. Kiedy wylądowałem, leżący na kamieniach ludzie tylko odwrócili głowy w moim kierunku. Kapitan niechętnie podniósł się, podszedł, oddał honory. Zapytał, czy ma ludzi ustawić, czy nie trzeba. Ani zdumienia, ani strachu. Postanowiłem zagrać swoją rolę. Powiedziałem, że ich czas jeszcze nie nadszedł i dlatego jestem tutaj, żeby ich uratować. Nowinę przyjęli spokojnie, zaledwie z lekkim ożywieniem. Zaczęła się akcja ratunkowa. Przewoziłem ich po pięciu na raz na najbliższą wyspę – zielony raj o trzydzieści kilometrów od skały. Myślałem, że to nigdy się nie skończy, ale uwinąłem się w piętnaście godzin. Kapitan, jak się należy, poleciał ostatnim rejsem. Ze mną marynarze nie rozmawiali, bali się, ale Gałązce na wyspie opowiedzieli wszystko, a ja słuchałem ich opowiadań przez radio.

Sztorm wyrzucił statek na skałę. Uratowali się wszyscy. Kapitan kazał budować tratwy. Zdążyli wyładować topory, piły, liny, dwie beczki ze słodką wodą. Ale wiatr się zmienił, statek został zepchnięty ze skały i zaraz zatonął.

Wśród marynarzy było pięciu rannych. Kapitan zapytał, czy ich też wezmę. Wezwałem towarzyszący nam flyer z modułem medycznym, włożyłem poszkodowanych do biowanien,ustawiłem program i zakazałem pozostałym dotykać flyera. Wyjaśniłem wszystkim, że za pięć dni ludzie wyjdą zdrowi, a flyer odleci.

Było już późno i, ku radości Gałązki, postanowiłem przenocować z marynarzami. Marynarze kręcili się dookoła niej hurtem, ale ona, podniósłszy spódnicę, zademonstrowała im pierścień czystości. Wtedy zaczęli ją uważać niemalże za święta.

Kapitan okazał się człowiekiem twardym jak stal. Zanim zacząłem rozmawiać z nim przy ognisku, rozdzielił już ludzi na brygady. Jednej kazał budować domy, drugiej nowy statek w lagunie, a trzeciej, nurkom, łowić katarę. Nie zrozumiałem, co to jest ta katara, ale nie pytałem. Może gąbka, może perły, może jeszcze co innego. Obiecał załodze, że za rok wszyscy wrócą do domu, grubi i bogaci – i nikt w to nie wątpił. Był również filozofem.

– Jesteś wspaniałym kolegą – mówił do mnie przy ognisku – i jestem ci wdzięczny po szczyt masztu, ale nie wierzę w ciebie. Naruszasz harmonię wszechświata.

– A w centaury wierzysz? – zapytałem i podałem mu fotografię Centy. Długo ją oglądał. Widać było, że bardzo chciałby w nią uwierzyć, ale realia były mu droższe.

– Nie, ona także narusza harmonię wszechświata.

– Ale ja przecież siedzę koło ciebie.

– Teraz. A jutro odlecisz. Może gdybyś został z nami dłużej, znalazłbym dla ciebie miejsce na obrazie świata. Ale odlecisz.

– Tak, odlecę – odpowiedziałem i podarowałem mu nóż kosmicznego desantowca z latarenką w rękojeści. To nie był do końca uczciwy podarunek. W rączkę noża wmontowany był także radionamiernik-pelengator. Dopóki będzie miał ten nóż, dopóty będę mógł go znaleźć i porozmawiać. O gwiazdach, o życiu, o harmonii wszechświata.

**SEKOND. SANDRA**

Zatrzymali się na godzinę przed zachodem słońca. Obie dziewczyny posadzili pod grubym drzewem. Ślad rozpalił ognisko, a Szram wyjął butelkę z bulionem dla Woli i podgrzał ją w garnku. Sandra chciała pomóc, ale zrobiwszy kilka kroków, zrezygnowała i wróciła pod drzewo. Czuła się znacznie gorzej niż rano.

– Wola, jeśli Borsuczek zaproponuje ci obrożę, przyjmiesz ją? – zapytała.

– A niech ją włoży na swojego konaka–wymamrotała Wola.

– Nie potępiaj go tak. To wojownik, a co wart jest wojownik bez konaka? Wojownicy często muszą robić nie to, co chcą, tylko to, co potrzebne.

– Chcesz mnie oddać jemu? Czy Szram wymieniał ciebie na konaka?

– Zrobił ze mną coś jeszcze gorszego. Myślałam, że nigdy mu tego nie wybaczę. – Sandra zamyśliła się. Rozmowa przebiegała zupełnie inaczej, niż zakładała. – Wola, przyjrzyj się Borsuczkowi uważniej. Nie odrzucaj go od razu, proszę cię.

Wola długo patrzyła Sandrze w oczy.

– Czy to prawda, że zawróciłaś zawery? – zapytała niespodziewanie.

– Wrzuciłam przywódcy stada pochodnię do paszczy. A zawrócił czy nie – nie widziałam. Tak uderzyłam plecami o ziemię, aż poszłam w zero.

– A czy to prawda, że pobiłaś matkę?

– Tak, ale nie chciałam. To było konieczne.

– Ptaszyna mówiła, że zabroniłaś mężczyznom zabijać matkę.

– Zapomnij o tym. – Przeraziła się Sandra.– Jak Łoś się dowie, to ją zabije. I nie zabroniłam, tylko prosiłam ich o to.

– Jak prosiłaś, Ptaszyna słyszała przez dwoje drzwi. Ja też częściowo. Dziwna jesteś. Jakaś nieprawdziwa. Prawdziwa ty powinna być cicha i pokorna.

– Udaję. Zauważyliście to tylko ty i Rozumek.

– Po co?

Na to pytanie Sandra nie zdążyła odpowiedzieć. Znów dopadła ją fala słabości, zadzwoniło jej w uszach.

– …mówię ci, że to to.

– Niemożliwe, na to chorują tylko dzieci.

Sandra otworzyła oczy.

– Możliwe. Przyjechałam z daleka, na wasze choroby tam się nie choruje i nie jestem na nie uodporniona. Mówcie, co mnie czeka? – Zmieszani mężczyźni odwrócili głowy. – Szram… Ile?...

– Dorośli na to nie chorują. Tylko małe dzieci. Do pójść w zero dochodzi bardzo rzadko. Ale jeśli już doszło… – Szram nie wiedział, gdzie podziać oczy. – Dwa dni. Rzadko trzy.

– Zdążymy dojechać do promu?

– Nie wiem. Mówię ci, że dorośli na to nie chorują. Jedziemy powoli. Konie są wyczerpane, przydałby się im tydzień odpoczynku. A tu po dwóch jeźdźców. Gdybyście ty i Wola trzymały się w siodle… A tak – we dwójkę na koniu…

– A ja dzisiaj rano w zero…

Jedli kolację w ponurym milczeniu. Wolę karmił łyżką Borsuczek. Wbrew obawom Sandry, Wola się nie sprzeciwiała. Po posiłku zaraz poszli spać.

Mężczyźni wstali o wschodzie słońca. Rozpalili ognisko, przygotowali śniadanie i obudzili dziewczyny. Po śniadaniu zajęli się rękami Woli. Kiedy Szram rozwinął bandaże, Borsuczek aż jęknął.

– Szram, spójrz – wezwał go Ślad.

Szram, który szeptał coś Sandrze na ucho, podszedł, długo macał, pytał, gdzie boli, w końcu zaklął siarczyście. Podniósł się, klepnął Borsuczka po ramieniu, ten skinął głową i obaj poszli w las. Ślad dorzucił drew do ognia, wyjął ciężki szeroki nóż z torby przy siodle i zaczął go ostrzyć.Szram z Borsuczkiem wrócili z lasu wlokąc dość gruby pień brzozy. Postawili go na ziemi, Szram zaczął zdejmować nożem warstwę kory, a Borsuczek pogrzebał w torbie i wyjął pękatą butelkę wina. Ślad skończył ostrzenie i przyłożył ostrze do płomienia ogniska.

– Szram, chodź tutaj – wezwała go Sandra – Chcecie na tym pniu odciąć jej ręce?

Szram skinął głową.

– Nie nożem, bo straci całą krew. Trzeba to zrobić laserem. Masz przy sobie pistolet laserowy? – zapytała szeptem.

Szram znowu skinął głową.

– Wyjmuj.

– Prosiłaś przecież, żeby nikomu nie pokazywać.

– Chłopcy, odejdźcie stąd, proszę was. Lepiej będzie, jeśli nie zobaczycie, co my tu zaraz będziemy robili – krzyknęła Sandra.

– I zabierzcie konie – dodał Szram, wyjmując z torby przy siodle zawiniątko.

Ślad i Borsuczek wymienili spojrzenia. Ślad wzruszył ramionami, wziął za uzdę jednego z koni, do którego przywiązano pozostałe, i poszedł drogą z powrotem. Borsuczek, oglądając się ze zdziwieniem, powlókł się za nim.

Wola zdawała się nic nie słyszeć i tylko siedziała, trzymając na kolanach okaleczone ręce i miarowo kołysząc głową. Kiedy ludzie i konie zniknęli za zakrętem, Szram podszedł do niej i nieoczekiwanie uderzył ją w głowę trzonkiem noża. Chwycił padające ciało i delikatnie położył na ziemi.Wyjął z zawiniątka pistolet laserowy, wyregulował, pokazał Sandrze, która zmniejszyła moc promienia. Podniósł prawą rękę Woli, wycelował i przeciągnął promieniem po dłoni na ukos, nieco powyżej dużego palca. Szybko i sprawnie zabandażował, dziwiąc się, że krew prawie nie płynie. Podniósł kawałki dłoni i wrzucił je do ogniska. Sandra odetchnęła słodkawym dymem i aż zmrużyła oczy i przycisnęła dłonie do ust, walcząc z chęcią wymiotów. Szram schował pistolet i zawołał przyjaciół. Borsuczek zaczął cucić Wolę, wlał w jej usta wino, poklepał po policzkach. Ślad przyjrzał się ściętej promieniem lasera trawie, dwóm paski wypalonej ziemi, gwizdnął i spojrzał na Sandrę. Dziewczyna prawie uspokoiła swój żołądek i teraz rozmazywała po twarzy brud i łzy. Ślad pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Wola jęknęła, otworzyła oczy i podniosła do twarzy zabandażowane ręce. Wskazała oczami butelkę wina. Borsuczek włożył jej szyjkę do ust i wypiła wszystko, do ostatniej kropli. Potem roześmiała się ochryple, krzywiąc się z bólu.

– Z czego się śmiejesz? – zdziwił się Borsuczek.

– Teraz to już pewnie nie zechcesz włożyć na mnie obroży?

Borsuczek spojrzał pytająco na Sandrę. Dziewczyna skinęła głową.

**SEKOND. SMOK**

Czas leci, a o Sandrze ciągle nie ma żadnych wiadomości. Na planecie jest już sto osiem jeżyków w akcji. Lira ustawiła je w szeregu co dziesięć metrów i przeszukuje okolicę po rozszerzającej się spirali. Dziesięć kilometrów kwadratowych na godzinę, trzysta dwadzieścia na dobę Sekondu. Wstępną obróbkę informacji przeprowadzają na planecie komputery dwóch flyerów: tego, który utonął w bagnie i tego, który dostarczył cybery. Najciekawsze zdjęcia przekazywane są na orbitalną, do analizy przez ludzi. Jeżyki mogłyby poruszać się szybciej, ale komputery się krztuszą. To są słabiutkie modele, zaledwie po sześćdziesiąt cztery tysiące procesorów w każdym. Do kierowania jednym flyerem to wystarczy, ale na analizę zdjęć, otrzymywanych od pięćdziesięciu czterech jeżyków, to trochę za mało.

I nagle – jest!!! Około sto kilometrów od miejsca awarii na pniu drzewa wycięty wyraźny napis: SANDRA TU BYŁA. MOIM GOSPODARZEM JEST SZRAM. Pierwsza połowa zupełnie jasna. Szram – szrama – to na pewno imię. Na planecie jest niewolnictwo. Czyli: jeśli Sandra ma gospodarza, to znaczy, że trafiła do niewoli. Biedna dziewczynka.

– Lira, proszę cię, pokaż mapę – oboje z Gałązką staramy się coś rozróżnić na malutkim ekranie jej komunikatora.

– Tu rozbił się prom. Tu jeżyki znalazły napis. Jeśli przez te dwa punkty przeprowadzić prostą, trzysta kilometrów – nic. Dopiero dalej osada. Widzicie? – Lira pokazuje na mapie, my z Gałązką prawie nic nie widzimy, ale zgodnie potakujemy. Lira kontynuuje: – Jeśli stąd pójść na prawo, to do tej oto wioski jest około dwustu kilometrów, a na lewo – zaledwie sto dwadzieścia.

– Lira, serce-wieszcz mówi mi, że to w tej najdalszej. Pamiętasz, co ci opowiadałem o teorii kanalii? Prawo zachowania złośliwości: chleb spada stroną posmarowaną, a to, czego szukasz, zawsze leży w ostatnim pudełku. Goń jeżyki do najdalszej, nie pomylisz się. Słuchaj dalej. Czas zaczynać drugi etap. Zapytaj Węgielka, czy już jest gotowa składana komora zero-t. Jeśli gotowa, niech zrzuca ją na powierzchnię Sekondu. Jak zrzucać, ona wie.

– Ja też. Tak jak ciebie – w stożku.

– Zgadza się. Mnie pozostało jeszcze dwa tysiące sto kilometrów. Będę jutro przy promie, choćbym miał umrzeć!

Podniecony kładę się spać. Z każdym dniem nasz byt coraz bardziej się upraszcza. Dziczejemy. Ognisko rozpalamy tylko rano, gotujemy jedzenie dla Gałązki i wkładamy do termosu. Śpimy pod chmurką. Mógłbym postawić namiot, ale to taka mordęga i wymaga czasu. A dzisiaj leciałem dwadzieścia godzin prawie bez przerwy. Zmęczyłem się jak trzy tysiące diabłów. Gałązka włazi pod moje skrzydło. Nauczyła się też drzemać na moim grzbiecie w czasie lotu Ziemskie lwy śpią dwadzieścia godzin na dobę, ona ten rekord dawno pobiła. Co prawda, tutejsza doba jest dłuższa… W czasie podróży Gałązka opaliła się, zmężniała, nabrała śmiałości i godności, zupełnie nie przypomina tej zastraszonej bladej roślinki jaskiniowej. Gdybyż jeszcze mniej gadała… Ale chyba wymagam od życia za wiele. Albo się starzeję. Ktoś, nie pamiętam kto, powiedział: Jeśli przestajesz robić głupstwa, to znaczy, że się starzejesz. Jeśli ma rację, to jestem wiecznie młody.Trzeba to przemyśleć. Ale nie teraz. Rano.

Doleciałem! Do promu pozostało może z pięćdziesiąt kilometrów. Ale w którym kierunku? Oto jest pytanie! Ciemna, pochmurna noc, a gdzie sputniki nawigacyjne? Co za dureń wybierał ich orbity? Ja. I nie wybierałem, tylko wypuszczałem jak popadło. Nie chciało mi się liczyć. Teraz trzeba ustalić miejsce, a one wszystkie krążą nie tam, gdzie trzeba.

Ląduję. To, co w ciemności wziąłem za trawę, okazało się lasem miejscowych paprotników. Natychmiast składam skrzydła, żeby nie rozerwać błonki, i opadam jeszcze dziesięć metrów na miękki mech. Osłabił uderzenie, ale szczęka trafiła na pień. Zęby chyba wszystkie ocalały, ale boli!

– Kwa kuii-i! – krzyczy gniewnie Gałązka, która stoczyła się ze mnie. To fraza z leksykonu zębatego dinozaura, z którym kilka dni temu walczyłem. Powtórzyłem ją raz, kiedy wdepnąłem łapą w ognisko. Gałązka poprosiła o przekład. Powiedziałem, że to nieprzetłumaczalny zwrot, przekleństwo dopuszczalne w każdym towarzystwie.

– Wybacz, malutka. Nie potłukłaś się?

– Głupstwo. Kiedy spadłam z głównych schodów świątyni, było gorzej.

Usuwam połamane paprotniki, rosnące rzadko, ale z obfitymi koronami, rozciągam się na mchu, kładę na nim zmęczone skrzydła.

– A kolacja?

– Wybacz, Gałązko. Zrób coś sobie. Ja jestem bardzo zmęczony.

– O tobie właśnie mówię. Zostały z ciebie skóra i kości. Wczoraj położyłeś się głodny, dzisiaj też. A jeśli ty nie jesz, ja mogę jeść, a jestem głodna.

Nakrywam głowę skrzydłem i udaję, że zasnąłem. Gałązka jakiś czas marudzi, po czym zwija się w kłębek pod moim bokiem. Nakrywam ją skrzydłem i to ostatnie, co pamiętam.

**SEKOND. SANDRA**

Borsuczek jednym szybkim ruchem wyjął obrożę zza pazuchy i zapiął ją na szyi Woli. Dziewczyna przez minutę w milczeniu poruszała ramionami i kręciła głową, przywykając do nowego uczucia zimnego metalu na skórze, po czym podniosła na młodzieńca oczy.

– Zostało mi tylko po jednym palcu na każdej ręce. Będziesz musiał przez całe życie karmić mnie łyżeczką.

– Nakarmię.

– Nie mam zębów. Będziesz musiał gotować mi kaszki.

– Ugotuję. Za to nie będziesz gryźć.

Wola znowu roześmiała się ponuro. Jej ochrypły, szczekliwy śmiech stawał się coraz głośniejszy. Borsuczek rozejrzał się z konsternacją.

– Atak histerii – wyjaśnił Szram.

Borsuczek objął ją za ramiona i potrząsnął, po czym wymierzył jej dwa policzki.

– To zemsta… kara dla ciebie… za konaka… za Świntucha. – Wola kręciła głową, wypluwając słowa przez śmiech. Stopniowo się uspokajała, jej głos znowu zrobił się opanowany i zły. – No, powygłupialiśmy się i starczy. Zdejmij obrożę, póki nie wypowiedziałam Słowa.

Borsuczek wziął jej twarz w dłonie i ostrożnie pocałował ją w usta.

–Przyjmujesz moją obrożę?

– Będziesz tego żałował.

Borsuczek znowu pocałował ją i powtórzył:

– Przyjmujesz moją obrożę?

– Ja, Wola, przyjmuję twoją obrożę. – Dziewczyna padła mu twarzą na pierś.

Szram i Ślad wymienili spojrzenia, uśmiechnęli się i poszli przygotować konaki do jazdy. Sandra patrzyła z szeroko otwartymi oczami i ustami, zacisnąwszy piąstki na piersi.

Dzień wydał jej się ciężki i nieskończenie długi. Sandra chciała wsiąść na kulawego konia, ale Szram posadził ją przed sobą. Jechali stępa, tylko czasami, na otwartym terenie, przechodząc na szybki kłus. Trzy albo cztery razy Wola przesiadała się na jakiś czas na konia Ślada, a Sandra i Szram wsiadali na kulawego konia, żeby dać odpocząć zmęczonym zwierzętom. Ponad połowę drogi Sandra przejechała półprzytomna, z głową na ramieniu Szrama, a przez resztę czasu z zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowom mężczyzn. Ci dyskutowali o kobietach, jak zwykle nie zwracając uwagi na to, że przedmiot ich rozmów jest tuż obok.

– …nie tylko nabrały śmiałości. Zaczęły już strzelać do ludzi.

– Ale siłę mamy my. Kto ma siłę, ten ma władzę.

– A wiesz, co na ten temat mówi Rozumek?

– Co?

– Nie można tak bardzo odchylać wahadła. Przeciągnęliśmy całą władzę na siebie. Wcześniej czy później przyroda się odgryzie.

– I co wtedy będzie?

– Matriarchat.

– Nie klnij. Co to takiego?

– To kiedy cała władza przejdzie do bab. Będziesz robił to, co matka ci powie.

– Straszne. Czy to możliwe?

– A no pomyśl, przecież ich jest trzy razy więcej, niż nas. Rozumek mówi, że Chartachana to prototyp. No, taka pierwsza śliwka. I wszystko, co robi, to pierwszy krok do matriarchatu.

– Jak to?

– Bzdura! – Oburzyła się Sandra. – Nie jestem żadną pierwszą śliwką, tylko wysłanniczką jasnej przyszłości.

– Słyszeliście? – zapytał Szram. Wszyscy się roześmieli.

**SEKOND. SMOK**

Piękny ranek. Promienie słońca przebijają się przez liście, las jest jasny i przejrzysty. Gałązka już się obudziła i gdzieś pobiegła. Wyjmuję pelengator, określam kierunek i odległość do jej radionamiernika. Trzysta metrów na zachód. Wczoraj widziałem tam strumień albo rzeczkę. Idę w tym kierunku. Las się kończy. Słyszę głos Gałązki. Rozsuwam krzaki i wyglądam. Bardzo sympatyczny kawałek piaskowej plaży. Węgielek siedzi na ogonie i patrzy na Gałązkę. Dolna szczęka jej opadła i w ogóle nigdy w życiu nie widziałem tak zdumionego smoka. Gałązka klęczy przed nią, załamując ręce.

– Czarny Ptaku, nie zabieraj mnie teraz! Daj mi jeszcze chociaż trzy dni! Ja dopiero zaczęłam żyć. Potem zrób ze mną co chcesz, ale jeszcze nie teraz! Sama do ciebie przyjdę…

– Gałązko, to przecież ja!

– Rozumiem, że nie wolno prosić, ale chociaż jeden dzień! –Gałązka rozmazuje łzy po twarzyczce.

– Gałązko, to ja, Węgielek! Nie poznajesz mnie? Opowiadałam ci wczoraj o chmurach.

Niema scena. Ależ one są teraz podobne! Można byłoby namalować o nich studium „Zdumienie”. W końcu Gałązka przychodzi do siebie i biegnie do Węgielka. Ta chwyta ją, przyciska do piersi, pieści jak małe dziecko. W moich oczach aż łzy się zakręciły ze wzruszenia. Gdyby mnie tak ktoś kochał!....

Daję im trzy minuty na wyrażenie uczuć, po czym wychodzę z lasu.

– Mistrzu!!! – Węgielek wypuszcza Gałązkę, przeskakuje przez nią i rzuca mi się na szyję.

– Przyjaciółki tak nie postępują – mamrocze obrażona Gałązka, podnosząc się z piasku i rozcierając stłuczony tyłek.

– …Nie w stożku, po co mnie zaraz klniesz? Sama wiem, że w stożku jest niebezpiecznie. W stożku przybyła komora zero-t, a ja przez nią. A okularów po prostu nie zdążyłam włożyć. Masz przymierz. To moje, ale dla ciebie mam takie same. Zupełnie nowy typ.

Zdejmuję ochronne okulary i wkładam te, które przywiozła. O rany, ależ to nie są zwykłe okulary! Zielone cyfry u góry – to zegar. Ten indykator to kompas. A te linijki na górze? Menu komputerowego terminalu! Tak, jasne. W tych okularach jest komputer, komunikator, noktowizor i wiele innych różności. Słyszałem o takich ludzkich, nawet sam wkładałem. Ale nie podobały mi się. Ważyły chyba ze dwa kilogramy i nadawały się tylko w kosmosie, w nieważkości, na Ziemi po godzinie zaczynała boleć szyja. Wywołuję na monitorze mapę części kontynentu, w której jesteśmy. Wrażenie jakbym patrzył na świat przez szkło, na którym narysowana jest mapa. Ruchem oka reguluję jasność i kontrastowość. Świat za szkłami okularów mętnieje, za to mapa wypełnia się kolorami. Migający punkt to my, na lewo prom, na prawo komora zero-t. Kółeczko na skraju mapy – to ta wioska, w której powinna być Sandra. Gaszę mapę i wracam do realnego świata.

– Węgielku, proszę cię, nie zdejmuj okularów. I nie nastawiaj karku. Ile waży zero-komora?

– Około tony.

– Postaraj się dostarczyć ją do promu. Weź ze sobą Gałązkę, a ja polecę do wioski.

– Panie, ty jeszcze nie jadłeś śniadania! – wtrąca się Gałązka.

– Mistrzu, lepiej będzie, jeśli ja polecę do wioski.

– Niby dlaczego?

– Sandra boi się ciebie. Jeśli zacznie się przed tobą ukrywać...

– Dlaczego? Przecież nigdy nie zrobiłem jej nic złego.

– Kiedy widzisz ją razem z Samem, zawsze ci się psuje nastrój. W twojej obecności ona boi się nawet patrzeć na niego, a cóż dopiero usiąść przy nim.

Jeśli ratowany zaczyna ukrywać się przed ratownikami… Wiem coś o tym, właśnie przez to utknąłem tysiąc lat temu w tym continuum.

– Dobrze. Tylko… Węgielku!

–Wszystko będzie-e dobrze-e, Mistrzu-u… – I już jej nie ma. Ależ ona ma start z niskiej pozycji! Może czas pomyśleć o smoczych rodzajach sportu?

Podmuch przewraca Gałązkę,ta toczy się po piasku, wstaje, wytrząsa go z włosów, pluje.

– Przyjaciółki tak nie robią!

**SEKOND. SANDRA**

– Szram, przecież my najpierw tam jechaliśmy, a teraz skręciliśmy.

– Prosta droga nie zawsze jest najbezpieczniejsza. Tam jest ziemia Aksów, a tam – Chorców. My jedziemy granicą.

– Rozumiem. A jeśli jednak napadną?

– Wątpliwe. Przecież nie jedziemy po towar, tylko w naszej sprawie.

– A skąd będą wiedzieli, że w sprawie?

– Na wypad nie zabiera się dziewek.

– Gdy dojedziecie do promu, poczekajcie tam na moich przyjaciół. Trzech wojowników i Liwia. Pokażesz im łuskę Smoka, powiesz, żeby Wolę umieścili w biowannie. Nie zapomnisz? Oni wam pomogą.

– Sama powiesz.

– A jak wrócicie, dopilnuj, żeby matka zrobiła wszystko, co zapisałam w planie. Plan przekazałam Rozumkowi.

– Sama dopilnujesz. Dojedziemy jutro wieczorem.

– Ja nie dojadę. Dziś rano zażyłam lekarstwo babci Katty.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, ty tumanie! Wszystkie baby są durne! Kochanie moje, tylko wytrzymaj! Pojedziemy bez zatrzymania, będziemy jechali całą noc zagonimy łoszaki, ale dojedziemy rano! Tylko wytrzymaj, dobrze?

– Szram, ja dobrze wiem, że nie dojadę. Zdradziłam siebie. Nie wolno siebie zdradzać.

– Kiedy wziąłem twój pistolet? Jak chcesz, to je wszystkie utopię w bagnie.

– Nie. Przekaż je Samowi, gdy przyjedziesz. Zdradziłam siebie, kiedy cię pokochałam. Kochasz mnie, Szram?

– Głuptasko, przecież ci proponowałem obrożę.

– Nie mówiłeś mi, że mnie kochasz.

– Nikomu tego nie mówiłem.

– Powiedz mi.

– Zebrało ci się na czułości. Nie mogę przy ludziach mówić takich słów. Będą się śmiać.

– To znaczy, że nie kochasz… Szram, czy do morza stąd daleko?

– Tak. A po co ci morze?

– Nigdy go nie widziałam. Mieszkałam niedaleko, dziesięć minut lotu – a ciągle nie było okazji. Teraz już nie zobaczę. I Fudżijamy nie zobaczę. Mama mówił, że nie ma nic piękniejszego niż świt nad Fudżi. A sama nie widziała. Opowiadała jej o tym jej matka.

– Co to jest Fudżi?

– Góra. Wierzchołek cały biały, pokryty śniegiem. Błyszczy…

– Daleko do niej? Sandy… SANDY!!! Słyszysz mnie?! Sandy! Kocham cię, słyszysz!?

Podjechał Ślad. Wziął ją za rękę, namacał puls. Sprawdził na gardle.

– Szram, ona żyje.

–Ty nie wiesz! Ona rano próbowała szalonego soku! Rozumiesz? Babcia Katty jej dała. Rozumiesz, co ona narobiła?!

– Przestań biadolić, mamy jeszcze trzy godziny.

–Ale co można zrobić w trzy godziny? W trzy godziny nie dojedziesz nawet galopem.

– Mam taki zwariowany pomysł. Jak będzie całkiem źle, damy jej znowu szalony sok.

– Drugi raz?! Ależ od tego zdrowy umrze!

– Może i umrze, ale nie od razu. Otrzymamy odroczenie. Potem jeszcze raz damy. Gorzej niż teraz i tak nie będzie. Najważniejsze, żeby dojechać. Czarny Ptak to Władca Śmierci. Zechce – weźmie życie, nie zechce – nie weźmie. A jak nie weźmie, to Chartachana będzie żyła, choćby wypiła całe wiadro tej trucizny. Co się tak rozkleiłeś jak baba? Jesteś wodzem klanu! O czym ty myślisz?

– Czy widziałeś kiedyś wschód słońca nad Fudżi?

**SEKOND. SMOK**

Idziemy po brzegu rzeczki,

Śpiewamy pieśń do słoneczka!

Aj-da-da aj-da,

Aj-da-da aj-da,

Śpiewamy pieśń do słoneczka!

Hej, no dalej!

– Panie, odpocznij, jesteś zmęczony.

– Do lasu doniosę, tam odpocznę. He-ej, no da-alej! Jeszcze ra-az, jeszcze razik!

– A jak przez las?

– Drogą powietrzną.

– Taką ciężką? A dasz radę?

– Dam radę. Jeśli wezmę rozbestwiacz. Żartuję.

Skraj lasu.Zrzucam brzemię z ramienia, oglądam się. Równy ślad ciągnie się aż do horyzontu. Ze stożka aerodynamicznego zrobiły się niezłe sanie dla komory zero-t. Teraz muszę dokonać iście heroicznego czynu: przenieść w powietrzu jedną tonę ładunku na odległość pięciu kilometrów. Czy zdołam to zrobić?

– Czekaj tu na mnie. Jeśli ktoś się zjawi, ukryj się w lesie i wezwij mnie przez komunikator.

– Nie bój się o mnie, panie.

Wzlatuję wysoko, zapamiętuję punkty orientacyjne. Ląduję, ostatni raz sprawdzam zamocowanie lin.

– Od śruby-y!!! – Z całej siły biję skrzydłami, odrywam od ziemi ten straszny ciężar, przechodzę do lotu poziomego z nabraniem wysokości.

Węgielek powiedziała – tona. Tu na pewno co najmniej półtorej. Ściana lasu gwałtownie się zbliża, a zapasu wysokości nie mam. Kieruję się na prawo, tam drzewa są niższe, i jednak zahaczam komorą o wierzchołki. Nieważne, przejechaliśmy. Szybkość mam już prawie dwieście kilometrów na godzinę. Zapasu wysokości – żadnego… Półtorej minuty wytrzymać, tylko półtorej minuty! Prosto na kursie – drzewo wyższe od innych. Ryczę, wściekle biję skrzydłami i jakimś cudem przelatuję nad jego wierzchołkiem. Teraz mam zapas wysokości! Pięć metrów! Ale co to? Czy mi się wydaje, czy komora naprawdę zrobiła się jeszcze cięższa? Trzymać wysokość! Trzymaj, sukinsynu! Jesteś smokiem czy kurą? No, to już widać prom, Trzeba hamować!

Wylądowałem… Tętna walą w skroniach, skrzydeł nie czuję. Kładę się na ziemi. Zkońmi wyścigowymi po gonitwach się chodzi. Z pewnością nie bez powodu. Nieważne. Jestem smokiem. Gdyby mi się nawet coś stało, zagoi się jak na psie. Miałeś jednak szczęście, zielony i łuskowaty, że zdołałeś wylądować nie uszkadzając komory. Gdybyś przynajmniej przedtem potrenował… Już wiesz, po kim Sam ma charakter?

– Czarku, wybacz, zjawiłam się nie w porę.

Oglądam się. Z komory wychodzi Lira. W dodatku w zbroi i z bagażem. Grubo ponad sto kilo. To znaczy, że mi się nie wydawało. Komora naprawdę zrobiła się cięższa. Zamykam oczy, ale i tak widzę przepiękne kolorowe plamy.

– Czarku, źle się czujesz?

– Jestem wykończony. Sprawdź, jak tam dzieci w biowannach.

Niechętnie otwieram oczy. Lira mówi coś do komunikatora i znika w promie. Z komory, jakby z czarodziejskiej szkatułki, wyłażą i wyłażą cybery. Ponad sto. Potem zaczynają pojawiać się kontenery z urządzeniami i materiałami.

– Hej, chłopcze – wołam jednego z cyberów. – Tu, w promieniu dwustu metrów wokół promu będzie strefa muzealna. Zacznijcie budowę bazy poza strefą muzealną.

– Informacja przyjęta – odpowiada cyber i odbiega do swoich. Z promu wychodzi Lira.

– Oni wszyscy wyjdą za dobę. Sandra zaprogramowała, żeby wszyscy równocześnie i nie będę tego zmieniała. A gdzie Gałązka?

**SEKOND. FORT**

Węgielek lotem koszącym przeleciała nad fortem. Ze wszystkich wieżyczek wartowniczych rozległy się sygnały trąb. Główna ulica momentalnie wymarła.Węgielek nabrała wysokości. Pola także opustoszały. Nigdzie nikogo nie ma. Tylko wartownicy na wieżyczkach krzyczą coś niezrozumiałego. Węgielek ponownie zniżyła lot i przeleciała nad główną ulicą wioski. Jakaś kobieta rzucała się, przykuta kajdanami do pierścienia na szczycie słupa. Węgielek rozpostarła skrzydła i płynnie opuściła się na biograwach obok słupa. Kobieta przewróciła oczami i zawisła na łańcuchach. Smoczyca włączyła megafon.

– Sandra! Przyleciałam po ciebie! Wychodź! – Zagrzmiał nad osadą jej głos. W którymś domu zapłakało dziecko. – Szram! Jesteś tutaj? Wychodź, bo się rozzłoszczę!

W pobliżu trzasnęły drzwi. Młoda barczysta kobieta wyszła na ulicę, rozejrzała się i nieśmiałym krokiem, zagryzając wargi do krwi, skierowała się w stronę lądującej smoczycy.. Było widać, że idzie zmagając się ze sobą. Węgielek wyłączyła megafon, rozpostarła skrzydła. Nikomu by się do tego nie przyznała, ale w tej chwili ogarnęła ją zgroza. Kobieta szła na nią jak żołnierz na czołg z ostatnim granatem. Zatrzymała się trzy metry przed nią.

– Chartachana pojechała do ciebie. Powiedziała, że możesz uratować Wolę. Ale ty przyleciałaś tutaj. Ciebie tam nie ma, więc kto uratuje Wolę? – zapytała kobieta z rozpaczą.

– Kto to jest Chartachana?

– Chartachana to wojownik. Wyzwała Świntucha na pojedynek i walczyła z nim o Wolę.

– A kto to jest Wola?

– Wola to moja przybrana siostra. Ratuj ją, Czarny Ptaku.

– Znasz imię Szram?

– To mój gospodarz.

– Gdzie on jest?

–Razem z Chartachaną wiezie Wolę do ciebie.

– A to dopiero! A słyszałaś o dziewczynie imieniem Sandra?

– To właśnie Chartachana. Sandy Chartachana, o niej mówię.

– Więc po co mi zawracasz głowę? Gdzie oni pojechali? Kiedy wyjechali?

– Tam. – Kobieta wskazała ręką. – Wyjechali trzy dni temu.

– Ach, do diabła! Rozminęliśmy się. Wsiadaj na mnie, będziesz pokazywała mi drogę.

– Czarny Ptaku, zabierzesz moją duszę?

– Wraz z ciałem i bezmyślną głową. Właź szybciej. Nie tu, siadaj na szyi. Trzymaj się mocno.

Węgielek nabrała wysokości, skierowała się z powrotem. Kobieta rozpłaszczyła się na niej, wczepiła się w jej szyję.

– Jak się nazywasz?

– Ptaszyna.

– Ptaszyna, a boisz się wysokości?

– Ja się nie boję. Mnie jest strasznie.

– Ciekawa myśl. Opowiem Mistrzowi, będzie nad nią dumał dwa dni. A ja nazywam się Węgielek.

**SEKOND. PROM**

Komunikat od Węgielka. Sandra z całą grupą ludzi jedzie do promu. Wiozą chorą dziewczynę. Sandra też jest chora na jakąś dziecięcą chorobę. Na świnkę, czy co? Innej nie pamiętam. W jakiś niezrozumiały sposób przejechali obok jeżyków, nie zobaczyła ich także Węgielek. Kora daje jeżykom rozkaz zmienić szyk i ruszyć w przeciwną stronę. Teraz ustawione są co pięćdziesiąt metrów, więc szerokość pasa poszukiwania wynosi pięć kilometrów. Zmieniło się także zadanie: szukać nie śladów Sandry, tylko jeźdźców albo pieszych, zmierzających w kierunku promu, dlatego jeżyki mogą poruszać się z maksymalną szybkością. Węgielek wypytuje swojego respondenta, ja słucham przez radio. Sandra otrzymała ni to nazwisko, ni to przezwisko Chartachana. Ciekawe, co takiego ona zrobiła, że przezwali ją klęską żywiołową? Pytam Węgielka, a ta swojego respondenta. Respondent nie wie. W wiosce ona sama jest nowa. Status socjalny Sandry jest niejasny. Wszystko przemawia za tym, że jest niewolnicą Szrama, nawet ona sama tego nie odrzuca. Ale zachowuje się jak wojownik. Słuchają i radzą się jej poważani ludzie. Nosi bron, komenderuje kobietami, a nawet wyzwała wojownika na pojedynek. Nie mogę sobie wyobrazić Sandry w roli komendanta, choć życzyłbym jej tego. Wprawdzie wyrosła w Europie, ale pozostała Japonką do szpiku kości. Chodzi pół kroku za mężczyzną, zanim coś przykaże, cztery razy przeprosi. Matka ją tak wychowała.

Z pomocą dwóch cyberów i łomu udało mi się otworzyć luk towarowy i wejść do ładowni. Były tam tylko dwie uszkodzone kabiny zero-t. Obejrzałem je. Jedna z nich, z wgniecioną do wewnątrz ścianą, była poza tym w dobrym stanie. Wysłałem cybera na bazę orbitalną po akumulator, podłączyłem go i wysłałem tamże powietrze z kabiny. W miejscu wgniecenia zrobiła się dziura. Rozkazałem cyberom przyspawać od zewnątrz arkusz metalu i przestrzeń między starą i nową ścianką zalać plastikiem. Teraz na Sekondzie są dwie komory: mała i średnia. Zakomunikowałem komputerowi orbitalnej, że może wykorzystać obie. Od razu z komory wylazł cyber z muszlą klozetową w manipulatorach i pobiegł w swoich sprawach. Upewniło mnie to, że budowa bazy już ruszyła. Cokolwiek ludzie by nie budowali, najpierw stawiają toalety. Tak było, tak jest i tak będzie. Na wieki wieków, amen. Potem chciałem popatrzeć na monitor modułu medycznego, ale się nie oddało: korytarz był za wąski.

Przez komputer okularów wezwałem Annę. Komputery znalazły ją w Rzymie. Zapytałem, czym zakończyła się wizyta komisji. Odpowiedziała, że jest zadowolona, choć sądząc po jej wyglądzie nie powiedziałbym tego. Przedwyborcza kampania została zerwana, ale to mało kogo wzrusza, wszyscy pochłonięci są Sekondem. Dzielą planetę, tworząnowe struktury kierownicze, instytuty – w których jednak jest olbrzymia ilość… wakatów. Nie ma dostatecznej ilości odpowiednio przygotowanych ludzi, dlatego Anna także wszelkimi sposobami stara się hamować ten proces – czym zyskała sobie wielki autorytet również w obozie stabilistów. To się nazywa dialektyka w działaniu! Jedność i walka przeciwieństw! Co dwadzieścia cztery godziny Anna przekazuje byłym członkom komisji komunikat o przebiegu akcji ratunkowej na Sekondzie. Twierdzi, że to podtrzymuje w nich ducha jedności i zaangażowania w ogólnospołeczne sprawy. Czyli, mówiąc prościej, wychowuje ich po nowemu.

W kulminacyjnym punkcie dyskusji włącza się Kora i komunikuje, że jeżyki znalazły jeźdźców. Sądząc po ich rozmowach, Sandra jest w bardzo ciężkim stanie. Utrzymują ją przy życiu jakimś silnym stymulatorem. Węgielek już do nich leci.

Wyskakuję na zewnątrz i zaczynam biegać dookoła promu. Proszę Lirę, żeby sprawdziła blok medyczny, ale nagle z promu wychodzi sześcioro ludzi w białych fartuchach. Dwóch z nich rozkłada na ziemi nosze. Gałązka zaraża się ogólnym poruszeniem. Podbiega do mnie i prosi o wyjaśnienie, co się dzieje. Łączę się z komputerem w okularach Węgielka i przełączam monitor w okularach na odbiór z jej przekaźników. Teraz widzę to samo, co ona. Rozkazuję cyberom ustawić wielki ekran, żeby wszyscy widzieli. Zdążyły akurat w samą porę. Węgielek przeleciała wysoko nad ludźmi i wylądowała dwieście metrów przed nimi na drodze za wzgórzem. Pytam, co zamierza robić. Odpowiada, że zaraz zobaczę, po czym włącza podświetlenie okularów i megafon pod dolną szczęką.

**SEKOND. WĘGIELEK**

Minąwszy wzgórze mały oddział zamarł. Dosłownie o dziesięć metrów przed nimi stał koszmarny potwór. Czarny jak smoła, pokryty łuską, z ogromnymi, pałającymi czerwonym światłem oczami i przerażającą paszczą. Potwór rozłożył, po czym ponownie złożył skrzydła. Najbardziej zdumiewające było jednak to, że obok niego stała… Ptaszyna.

– Gospodarzu – powiedziała. – Czarny Ptak przyleciał po Sandrę. Dodatkowo obiecał uratować Wolę.

Koń zachrypiał, ale Szram targnął wodzami i ścisnął mu boki kolanami. Miecz sam mu wskoczył w rękę, choć walczyć z takim potworem, i to jeszcze trzymając drugą ręką dziewczynę, nie miało najmniejszego sensu. Wola ześliznęła się z siodła i, jak somnambuliczka, poszła drobnymi krokami w kierunku potwora.

– Stój! – krzyknął Szram – To nie ten Czarny Ptak! Nie wiem, kto to jest, ale na pewno nie ten, którego potrzebujemy.

– Wiem. Wam jest potrzebny prom. Zaniosę tam Sandrę i Wolę. – Głos potwora grzmiał tak potężnie, aż bolały uszy. Wydawało się, że trawa od niego pochyla się ku ziemi.

– Kim jesteś i czego od nas potrzebujesz?

– Jestem smoczycą. Możesz nazywać mnie Węgielek. Przyleciałam po Sandrę.

Głos bił po uszach, przeszkadzał w skupieniu się. Szram gorączkowo myślał. „To nie jest Czarny Ptak, to jest ta smoczyca, o której opowiadała Sandra po Grze. Czyli mówiła prawdę. I łuska jest prawdziwa. Sandy mówiła przecież, że będą jej szukały smoki. Podawała nawet ich prawdziwe imiona. Jak tej było?... Aha, już wiem, Berta! W sagach każdy smok podporządkowuje się temu, kto nazwie go prawdziwym imieniem. Nie mam nic do stracenia, więc czemu by nie spróbować?”.

Szram wyprostował się w siodle, wysoko podniósł miecz.

– Zaklinam ciebie twoim prawdziwym imieniem! Słuchaj mnie, Berta!

Smoczyca z zaskoczenia aż podrapała się w podbródek. Szramowi wydało się, że czegoś słucha. I naprawdę słuchała: „Przypochleb mu się. Udaj, że jesteś smokiem z bajki” – mówił do niej przez nauszniki niesłyszalny dla ludzi głos Mistrza.

– Skąd znasz moje imię? – zapytała zwykłym, cichym, ludzkim głosem.

– Nieważne. Podałem je i musisz mi się podporządkować.

„Węgielku, oni przecież do nas jadą! Przypochleb się, zrób człowiekowi przyjemność” – brzmiało z nauszników.

Smoczyca usiadła na tylnych łapach, wygięła ogon na kształt dzióbka czajnika, podniosła przednie jak służący piesek.

– Słucham i jestem posłuszna tobie, który wypowiedziałeś moje prawdziwe imię.

Szram zdziwił się niezmiernie, ale udało mu się tego po sobie nie poznać. Nie wierzył w bajki o smokach, jeszcze mniej wierzył, że wypowiedziane głośno słowo może podporządkować potwora człowiekowi. Trzeba było tak wiele przemyśleć… Dlaczego Ptaszyna nazwała smoka Czarnym Ptakiem? A może smoki i Czarny Ptak to jedno i to samo? Ależ nie w porę Sandra, jedyna, która miała do czynienia ze smokami, poszła w zero! To było niewiarygodne, ale oto smok, żywy smok, czeka na jego rozkazy! I w dodatku czarny! Ale Rozumek mówił, że u podstaw każdej sagi, bajki czy legendy leży rzeczywiste wydarzenie.

– He-ej, wo-ooju! Długo mam tak stać? – Zainteresowała się Węgielek.

Szram potrząsnął głową, obejrzał się na Borsuczka i Ślada. Widok wpatrzonych w niego z zachwytem w oczach przyjaciół dodał mu pewności siebie.

– Usiądź jak ci wygodniej. Możesz uratować Chartachanę?

– Mogę, ale nie tutaj. Trzeba ją zabrać do promu, i to im szybciej, tym lepiej.

– Wierzysz jej? – zapytał zza pleców Ślad.

– Nie wiem. Sandy mówiła to samo – odrzekł Szram i spojrzał z niedowierzaniem na Węgielka. – Możesz przenieść nas wszystkich razem z konakami do tego… promu?

– Coś ty, młodzieńcze, z dębu spadłeś? Nie jestem twoim ciężarowym śmigłowcem. Tam jest sto kilometrów z hakiem. Czterech ludzi mogę, ale nie więcej. I bez koni.

Szram posmutniał. Właśnie tym różni się bajka od realnego życia. W bajce wystarczy tylko zamknąć oczy – i już jesteś na skraju świata. Natychmiast. Aha, a oczy smoczycy zgasły. Już się nie świecą. I nie są czerwone, tylko zielone.

– Ty z Chartachaną i Borsuczek z Wolą – to w sam raz czterech ludzi. A ja zostanę z konakami – zaproponował Ślad. – Jutro podjadę.

– Dobrze. I przypilnuj Ptaszyny.

– Chcesz lecieć na smoku? – zapytał zdumiony Borsuczek. – Życie ci się sprzykrzyło?

– Ptaszyna latała i nic jej się nie stało.

– Ba, ale to Ptaszyna – powiedział niepewnie Borsuczek. – A ja boję się wysokości.

– Ja też się boję. Ale to ostatnia nadzieja. Inaczej Sandy nie dowieziemy. Nie zdążymy.

Węgielek położyła się na ziemi. Jako pierwszą posadzili Wolę, za nią usiadł Borsuczek. Szram podał mu Sandrę, po czym usiadł jako ostatni. Sandra ciągle była nieprzytomna, ale jej oddech był równy i głęboki.

– Wszyscy usiedli? Ptaszyno, odejdź, bo cię zahaczę skrzydłem. Trzymajcie się mocno, startujemy! – Węgielek rozbiegła się jak samolot, ze snobizmu oderwała się od ziemi na samych biograwach i dopiero na wysokości pięciu metrów zaczęła szybko i mocno pracować skrzydłami. Ślad usłyszał jej triumfalny okrzyk: – Naprzód, wojownicy, napiszą o nas pieśni!

**SEKOND. PROM**

Węgielek o dziesięć minut lotu od nas. Na powierzchni Sekondu już około dwudziestu Ziemian.Jeśli myślą, że obiad zjedzą na Sekondzie, a na kolację będą mogli wrócić na Ziemię, to grubo się mylą. Ustanowiłem kwarantannę i, żeby powrócić, będą musieli przejść kilka dość nieprzyjemnych procedur dezynfekcyjnych. Będzie to trwało tak długo, aż zbierzemy kompletną informację o wszystkich miejscowych mikroorganizmach. Z ziemskimi bakteriami system zabezpieczenia życia orbitalnej poradzi sobie w trybie automatycznym, ale od miejscowych można oczekiwać wszelkich świństw. Do diabła! Kiedy nauczę się myśleć przed, a nie po fakcie? Przecież to nie mikroorganizmy zarąbały mieczami pierwszą czwórkę cyberów!

Łączę się z głównym komputerem orbitalnej i każę mu dookoła wznoszonej bazy utworzyć systemy ochronne. A dopóki ich nie ma, rozkazuję spuścić na powierzchnię planety całą resztę jeżyków-zwiadowców i zorganizować je w grupy patrolowe.

Węgielek ukazuje się zza lasu. Leci lotem ślizgowym ze zniżeniem, robi piękny wiraż nad promem, gasi szybkość i spuszcza się pionowo na biograwach. Wychodzi to jej naprawdę pięknie. Będę musiał też się tak nauczyć.

Lira, ciągle w swojej czarnej zbroi, lecz już bez hełmu, biegnie do Węgielka. Za nią śpieszą sanitariusze z noszami. Węgielek kładzie się na brzuchu.

– Stójcie! – krzyczy młodzieniec, siedzący na smoczycy jako ostatni. – Który z was to Sam?

– Nie ma tu Sama. Będzie jutro – wyjaśnia mu Lira i próbuje zdjąć Sandrę z grzbietu Węgielka. Młodzieniec odpycha ją, wyjmuje miecz.

– Odejdź! Nie oddam! – krzyczy.

W następnej sekundzie miecz leci w jedną stronę, młokos w drugą. Lira bierze Sandrę na ręce i śpieszy do luku promu. Za nią drepczą sanitariusze z noszami, krzycząc coś w biegu. Podchodzę bliżej i niby przypadkowo staję na mieczu. Młodzian zrywa się na nogi, chce biec za Lirą, ale Węgielek obejmuje go ogonem za talię ze słowami:

– Nie rozdrażniaj jej lepiej, wojowniku. To lady Terrible. Komenderowała setką takich jak ty w wieku zaledwie czternastu lat.

– Matriarchat! – szepcze z przerażeniem drugi młodzieniec, wciąż jeszcze siedzący na grzbiecie Węgielka.

Patrzcie go, jakie słowa zna! Widocznie oczytany.

Sanitariusze wreszcie doganiają Lirę, kładą Sandrę na noszach, szybko i fachowo rozbierają, po czym znikają w promie. Trzech innych sanitariuszy zdejmuje z Węgielka, rozbiera, zdejmuje bandaże z rąk i kładzie na noszach drugą dziewczynę. W żaden sposób nie mogą zdjąć z niej żelaznej obroży. Dziewczyna pozwoliła się rozebrać, ale z obrożą nie chce się rozstać. Podchodzę do niej.

– Nie bój się, głupiutka, twoja obroża nigdzie ci nie ucieknie. Za parę dni znowu ją założysz. A tam – wskazuję prom – trzeba iść, w czym matka rodziła.

Oczytany młodzieniec zdejmuje jej obrożę i chowa za pazuchę, szepcząc coś dziewczynie na ucho. Sanitariusze kładą ją na noszach, nakrywają kocem i niosą do promu. Chłopiec idzie obok, aż znikają razem w promie. Zobaczywszy, że kolega wszedł do środka, pierwszy młodzian wychodzi z osłupienia i biegnie ku promowi. Ale na jego spotkanie już wychodzi Lira i pierwsza para sanitariuszy z pustymi noszami. Lira ma w rękach tobołek z ubraniem Sandry.

– Czarku, zobacz. – Lira podnosi za sznureczek moją łuseczkę.

Młokos wyrywa jej łuseczkę i chowa za pazuchę.

– Trzymaj. – Lira podaje mu węzełek z odzieżą. – I pilnuj łuski. Sandy ją bardzo ceni.

Podnoszę z ziemi miecz i podaję mu. Machinalnie wsuwa miecz do pochwy. Jest kompletnie zdezorientowany, nie wie, jak ma się zachować. Nie wie też jeszcze, że odczuwane przez niego radosne pobudzenie nie jest jego nastrojem, tylko moim.

– Jak się nazywasz? – pyta go Lira.

– Szram. Co będzie z Chartachaną?

– Niedługo się dowiemy. Poczekaj dziesięć minut.

– Nie umrze?

– Ależ oczywiście, że nie! Nie bój się, jeśli trafiła żywa do biowanny, to na pewno nie umrze. Jutro, najpóźniej pojutrze wyjdzie zdrowa.

– Zdążyliśmy! – Na twarzy Szrama pojawia się dość głupi uśmiech szczęścia.

– Szram, kim ty jesteś dla Sandry? – pytam.

– Proponowałem jej obrożę.

– To znaczy narzeczony. – Lira zamyśla się na chwilę. – Nie odchodź na razie daleko, zaraz wydam rozporządzenia w sprawie obiadu.

Szram kiwa głową, podchodzi do Węgielka, wyjmuje miecz, salutuje.

– Ja, który znam twoje prawdziwe imię, wypuszczam cię na wolność. Moje usta nigdy więcej nie wypowiedzą go ponownie.

– Dziękuję ci, kochany. Pozwól, że cię pocałuję w nosek – wygłupia się Węgielek i oblizuje mu całą twarz.

Pokazuję jej figę. Lira śmieje się, trąca mnie łokciem w bok i mruga porozumiewawczo.

**SEKOND. ŚLAD**

– … połączyć się z Chorcami? A da mi obrożę?

– Jeden mężczyzna dwu obroży nie daje.

– No to się nie doczeka! Prędzej utopię się w studni!

Ślad dał konakowi ostrogę i wyjechał nieco naprzód. Ptaszyna szybko go dogoniła.

– Panie, sam pomyśl. Wszystkie nasze dziewczyny będą w obrożach, a ja, córka wodza, mam być zwykłą niewolnicą? Żeby mną pomiatały? Myślisz, że nie mam swojej dumy?

– Też mi klan! Sami starcy i dzieci. Zaledwie czterech wojowników.

– Łoś ma tyle samo. A wy to już w ogóle nie jesteście klanem.

– My jesteśmy silniejsi od każdego klanu.

– Chartachana też tak mówi – zauważyła Ptaszyna i jakiś czas jechali milcząc.

– Panie, czy to twoja obroża była na Woli?

– Nie, Borsuczka.

– A, prawda!

Ślad pochylił się w siodle, zerwał źdźbło trawy i pożuł je w zamyśleniu.

– Kiedy jesteśmy we dwójkę, nie nazywaj mnie panem.

– Ślad, masz przy sobie obrożę? – zapytała nagle Ptaszyna zmienionym głosem.

– Nie taskam ze sobą niepotrzebnych rzeczy.

– Szkoda. Bardzo by ci się teraz przydała. Nie rób szybkich ruchów i spójrz w lewo.

Ślad powoli odwrócił się i zatrzymał konaka. Dwóch młodych ludzi celowało do niego z łuku. Z prawej strony rozsunęły się krzaki i wyszedł jeszcze jeden.

– Witajcie, chłopcy! – zawołała radośnie Ptaszyna. – Usuńcie łuki. Tu nie ma do kogo strzelać. Ależ się za wami stęskniłam! Ślad, poznajcie się. To mój braciszek, Chrap. Ten po prawej to brat Woli, Kosz. A to Bąk. Chłopcy, to Ślad.

– Odejdź na bok, siostrzyczko.

– Chrapie, coś ty? Powiedziałam przecież, że to Ślad.

– A ja nie słyszałem. To są cztery konaki. One są nam potrzebne.

– Chrapie,zabierzesz mojego konaka? Bąku, pozbawisz konaka Chartachanę? A ty, Koszu? To konak Borsuczka, ale Wola nosi jego obrożę i godzinę temu jechała na nim. Z powrotem ma iść piechotą czy co?

– A gdzie twoja obroża, siostrzyczko?

– Mnie jest niepotrzebna. Widziałeś kiedyś wojownika w obroży?

Chorcowie spojrzeli po sobie i roześmiali się. Napięcie trochę spadło. Podczas gdy Ptaszyna mówiła, Ślad powoli zszedł z siodła i stanął między dwoma konakami, zasłonięty ich ciałami.

– Bąku, powiedz im, czy widziałeś obrożę na Chartachanie? Trzyma ją pod poduszką, sama widziałam. Zapytaj swojej żony. Chartachana ani razu jej nie zakładała.

– Wojownik nosi broń, siostrzyczko.

Ptaszyna podniosła skórzaną spódnicę i wyjęła skądś ciężki nóż do rzucania. Podrzuciła go do góry i złapała za ostrze.

– Chłopcy, a gdzie Ślad?! – wykrzyknął nagle Kosz. W tej samej sekundzie Ślad wynurzył się z krzaków za jego plecami, złapał go za włosy i przyłożył mu kindżał do gardła.

– Nie trzeba, Ślad! –zawołała Ptaszyna. – Nie trzeba!

– Ja też mówię: nie trzeba – odrzekł Ślad. – My do was, chłopcy, przyjechaliśmy w pokoju, a wy rozrabiacie. Odłóżcie łuki albo on zginie.

Ptaszyna podeszła do nich, wyjęła z palców Kosza łuk i rzuciła go na ziemię, po czym odsunęła rękę z kindżałem od jego gardła. Ślad puścił chłopaka, poklepał po ramieniu. Ten pokręcił głową, jakby sprawdzał, czy jego szyja jest w porządku.

Ptaszyna podeszła z kolei do brata, odsunęła jego rękę z naciągniętym łukiem, objęła go.

– Dziękuję ci, że nie zacząłeś strzelać, braciszku.

Bąk zrozumiał, że głupio stać z naciągniętym łukiem i schował strzałę do kołczanu.

– Oj, chłopcy, co to dzisiaj ze mną było! Za nic w świecie nie uwierzycie! Leciałam na Czarnym Ptaku! Możecie zapytać Ślada. Ależ się najadłam strachu!

– Na kim latałaś, to jest jeszcze kwestia sporna – zauważył Ślad. Chorcowie otworzyli usta.

– Jak to: na kim?! – Oburzyła się Ptaszyna.

– Jeden Czarny Ptak – to ten, który przyniósł Chartachanę. Do niego właśnie jedziemy. On jest martwy, Szram sądzi, że jest podrobiony, z żelaza i kamienia. A drugi to ten, na którym latałaś. On jest żywy, ale mówi, że nie jest ptakiem, tylko smokiem, a raczej smoczycą. Ptak ma dwie nogi, a ona cztery, z takimi wielkimi pazurami na przednich.

– Nieprawda. Ona ma dwie nogi i dwie ręce. A na palcach nie ma pazurów.

– Jakie palce? Ma pazury dłuższe niż mój kindżał.

– Siostrzyczko, opowiedz z sensem. – O utarczce już wszyscy zapomnieli. Ślad jednak ciągle stał tak, żeby widzieć wszystkich trzech.

– A co ja robię? Chartachana zachorowałai Czarny Ptak po nią przyleciał, A Chartachany już w forcie nie ma, wiezie do niej Wolę. No więc Czarny Ptak mówi do mnie: „Siadaj, będziesz mi pokazywała drogę”. A sama zna drogę lepiej ode mnie.

– Jak powiedziałaś? – przerwał Ślad. – Sama zna drogę?

– Daję słowo! Słyszała nawet, o czym rozmawiacie. Ale nie wszystko rozumiała i prosiła mnie o wyjaśnienia. Na przykład co to jest szalony sok. Ona go nazywała inaczej, jakoś na „sty”. Nie zapamiętałam.

– Po co ciebie wzięła, jeśli sama znała drogę?

– Nie wiem. – Speszyła się Ptaszyna. Ślad się zamyślił.

– Chłopcy, słuchajcie mnie i poprawcie, jeśli się mylę. Czarny Ptak i Władca Śmierci to jedno i to samo. Prawda?

– No!

– Czarny Ptak przyleciał do nas po Chartachanę, choć wiedział, że jej tam nie ma. Tak?

– Chyba tak. – Tylko Ptaszyna milczała, próbując wspomnieć, jak było. Nie wychodziło.

– W forcie wzięła Ptaszynę i poleciała do nas. Ja zostałem z konakami i Ptaszyną, pozostałych zabrała. Czyli poleciała tam po Ptaszynę, a potem zostawiła ją mnie, tak? Ale po co?

– A kto ją tam wie?

– To bardzo proste, chłopcy! Spotkałem was i omal się wzajemnie nie pozabijaliśmy. Tak?

– No i co z tego?

– A to, że gdyby nie obecność twojej siostry, Chrap, nie zastanawiałbyś się, tylko od razu wypuścił strzałę. Jestem na waszej ziemi, twoje prawo. Najpierw wysłalibyście w zero mnie, potem Szram wykończyłby waszą trójkę, potem reszta waszych zaczęłaby polować na Szrama. Czarny Ptak przyniósł Ptaszynę, żebyśmy się wzajemnie nie wybili. Można zbaranieć!

Ktoś gwizdnął.

– No i co teraz zrobimy?

– Jedziemy. Opowiemy Szramowi. Lepiej byłoby Rozumkowi, ale Szram jest bliżej. I trzeba mu odwieźć konaki.

– Nie mamy konaków. – Spochmurniał Bąk. – Właśnie szliśmy po nie do Aksów, kiedy ciebie spotkaliśmy.

– I do baraków?

– Do baraków też. – Uśmiechnął się Kosz.

– Siadajcie na nasze.

Chorcowie wymienili spojrzenia.

– A nie boicie się, że uprowadzimy?

– Czarny Ptak nie pozwoli. Zwrócił na nas uwagę.

– A to dopiero! Jak opowiem, nikt nie uwierzy.

– Z czego się tak cieszysz? Ci, na których on zwrócił uwagę, nie żyją długo.

– Żyją, żyją, żyją, żyją, żyją – odezwało się z lasu. Z różnych stron.

**SEKOND. SMOK**

– Kwa kuii-i!

– Co takiego?

– Sam się zabawiasz, a ja nie mogę polizać w nosek?

– Wcale się nie zabawiam, Węgielku, tylko spajam młody kolektyw pokonywaniem niebezpieczeństw i trudności. W pierwszej chwili omal się wzajemnie nie pozabijali. Dobrze, że nikt nie odwołał jeżyków, chociaż i tak nie zdążyłyby się wmieszać.

Węgielek jakiś czas nastraja okulary-komputer, przegląda filmy z jeżyków, potem burczy:

– Przestraszyłeś Ptaszynę prawie śmiertelnie.

– Ty wcześniej też. To nic, za to teraz wiedzą, że zwróciłaś na nich swoją uwagę.

– I co z tego? Po co im moja uwaga?

– Przewiń zapis do tyłu i przesłuchaj. Ślad opracował taką hipotezę! Palce lizać! To wprost zadziwiające, jak na podstawie prawdziwych faktów ludzie tworzą fałszywe hipotezy.

– Mistrzu… Czarku, co teraz będzie z Sandrą?

– Jak to co? Wyjdzie za Szrama, urodzi mu dzieci… Będą ciebie ciągnęły za ogon.

– Za dzikusa?

– Czy roczne dziecko można nazwać dzikusem? Nie. Różnica w wykształceniu, a to rzecz nabyta. A propos, doceniłaś to, że on ciebie od razu wypuścił na wolność? Ani jednej zbędnej minuty nie trzymał ciebie w niewoli. A ty mu całą twarz obśliniłaś. Niepoważnie.

– Ty go bronisz, a ja bym mu głowę urwała!

– Może poczekamy i zapytamy Sandrę: urwać mu głowę, czy nie?

– Ale Sandra kocha Sama!

– Powiem ci sakramentalne: wszystko minie. I gorycz, i radość. Sandra sama poradzi sobie ze swoimi problemami. Bądź przy niej, wspieraj ją, Ale rozwiązać je musi sama.

Węgielek odchodzi gdzieś, zagniewana. Kilka minut kręcę się bez celu, po czym nastawiam okulary-komputer i łączę się z Anną. O rany, tam przecież czwarta rano! Ale Anna nie śpi.

– Witaj, Mistrzu. Coś się stało?

– Jakby ci to powiedzieć… Operacja ratunkowa zakończyła się sukcesem. Wszyscy żyją. Znaleźliśmy Sandrę, nawiązujemy kontakty z miejscową ludnością. A ty dlaczego nie śpisz?

– Jak tu przy was zasnąć? Najpierw Kora. Potem Lira. Przed chwilą Węgielek: „Nie śpisz, mamo?”. Teraz ty. Krokodylu troskliwy! No dobrze, nie obrażaj się. Gratuluję wam z całego serca!

– Anno, masz nieprzyjemności?

– Jeśli nawet ty to zauważyłeś, to znaczy, że ze mną jest już zupełnie źle. Tak, Mistrzu. Ugryzłam kawałek większy, niż jestem w stanie przełknąć. Tracę kontrolę nad sytuacją, jak ty to nazywasz. To przez ten cały Sekond, niech go diabli porwą!

– Och, mój Boże…

– Tylko bez twoich żarcików w stylu: pożądanie gubi! Nie chciałam gryźć, samo wyszło. Ja tylko chciałam wiedzieć, czy Sekond nam zagraża, czy nie. Według mojego zamysłu Synod miał o nim w ogóle nie wiedzieć. Dowiedział się – i poszło!

– Anno, może zaczniesz od początku? W czym problem?

– We mnie samej. Jestem administratorem. Specjalistą od intryg i walki o fotel z wysokim oparciem. A teraz potrzebna jest realna praca. Wiesz, to tak, jak w armii. Bywają generałowie od parad i generałowie od wojny.U nas tak samo. Tylko nie myśl, że mam jakieś złudzenia, co do własnego miejsca. Jestem generałem od parad. Na naradach polowych siedzę i zupełnie nie rozumiem, o czym oni mówią. No i milczę jak grób. Ale długo tak nie pociągnę. Tu działa prawo wilczego stada. Nie można się pomylić, a stare zasługi się nie liczą. Gdy tylko przejawię niekompetencję, od razu wylecę ze wszystkich komitetów i potoczę się w dół po wszystkich szczeblach drabiny administracyjnej.

– Nie bój się, pościelimy ci warstwę słomy. Z jawnego lidera staniesz się przywódcą gabinetu cieni. Znajdziesz wreszcie czas dla dzieci, które pewnie już zapomniały, jak ich mama się nazywa.

– Mistrzu, tu nie chodzi o mnie. Nie stoczę się sama, pociągnę za sobą wielu innych.

– Rozumiem... Czego ci brakuje? Wiedzy? Możemy opracować przyśpieszony kurs, jak wy to nazywacie, socjotechniki. Miesiąc, najwyżej dwa – i już będziesz na poziomie.

– Nie mam miesiąca. Nie mogę na miesiąc porzucić wszystkiego. Zresztą, czego ja się przez ten miesiąc nauczę? Terminologii? Potrzebne mi jest doświadczenie, praktyczne doświadczenie, którego ludzie nabierają latami w selwie czy w dżunglach Amazonii.

– Dobrze, a gdyby zorganizować ci brygadę wsparcia? Konsultantów, którzy będą opracowywali dla ciebie zadania domowe?

– Mistrzu, ja tak właśnie robię. Mam jeden włączony komunikator w kieszeni, a drugi przy uchu. Przez pierwszy moi eksperci słuchają, o czym mówi się na naradach roboczych, a przez drugi, jeśli zajdzie taka potrzeba, wzywają mnie i dają rady. Ale nie mogę cały czas siedzieć z tym pudełkiem przy uchu. I nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, o czym się mówi w Synodzie. No dobrze, zapomnij. Jakoś poradzę sobie ze swoimi problemami.

– Złe jest w naszym świecie życie, nie ma w nim dobrego kraju.

– Co?

– Wcześnie rano już o świcie wilki zajączki zjadają?

– Kiedy ty wreszcie spoważniejesz, Mistrzu?

– Głośno myślę, nie przeszkadzaj. Masz może socjotechnika, któremu mogłabyś powierzyć wszystkie tajemnice Synodu i połowę swoich osobistych?

– Chcesz nam pozamieniać mózgi?

– To także ciekawy pomysł. Ale mój jest prostszy. Stały kanał łączności między tobą a ekspertem. Będzie słyszał wszystko, co ty słyszysz i widział twoimi oczami. Można zdjąć sygnał wideo i mowy bezpośrednio z mózgu. To taki sensowizor na odwrót. Dzięki temu będziesz mogła z nim rozmawiać niesłyszalnie dla otoczenia. Wstawimy ci w kość czaszki taką malutką kapsułkę i będziesz miała spokój.

– Nie mam takiego eksperta. Zresztą powierzać wszystkie kobiece sekrety mężczyźnie... Chyba, że… Mistrzu! Twoja żona Kora! Ma dziesięcioletni staż i jest dobrze zorientowana w tych sprawach.

– Wybacz, Anno, ale ona ma uprzedzenie do kapliszy. Myślę, że się nie zgodzi.

– Nie zgodzi się podłożyć kapliszom jeża w spodnie? Zresztą zamiast zgadywać, możemy jej zapytać.

Z ciężkim sercem łączę się z Korą. Anna też. Otrzymujemy trójstronną wideokonferencję. Anna wyjaśnia zadanie i, ku mojemu zdumieniu, Kora od razu się zgadza. Zaraz potem obie o mnie zapominają i zaczynają rozmowę o swoich sprawach typu przeniesienia gdzieś kogoś. Wygląda na to, że są przyjaciółkami. Tego się doprawdy nie spodziewałem. Pozostałem w tyle za życiem. No, jeden kłopot mniej. Zostawiam je zagadane i łączę się z głównym komputerem Zamku, któremu zgłaszam zadanie skonstruowania mikrokomunikatora, z grubsza opisując jego wygląd i przeznaczenie. Główny komputer próbuje przekazać zamówienie komputerowi bazy inżynieryjnej, ale przecinam ten zamiar. Tamten jest słabiutki, będzie mozolił się nad tym tydzień, a zamówienie jest pilne. Jednak to zadziwiające. Do Anny jest ponad dwadzieścia lat świetlnych, dziesięć retranslatorów na drodze sygnału – i żadnych opóźnień. Kiedy byłem człowiekiem, na takim samym Sekondzie stałem po czterdzieści minut w kolejce, żeby zadzwonić do domu. Co prawda, teraz jestem szychą. Mam swoją wagę. I dosłownie: pięć ton z groszami, i w przenośni.

Z Ziemią mogę się połączyć, a nie mogę się dowiedzieć, co dzieje się o dwadzieścia metrów ode mnie, w module medycznym. Korytarz za wąski, ludzki. A nie, mogę! Tam krzątają się cybery, zaraz jednego tym zajmę.

Idę wyjaśniać, co cybery remontowe robią koło promu. O Boże, wewnątrz jest ich chyba z półtorej setki! Pytam, co robią? Naprawiają! Po co? Komputer orbitalnej miesiąc temu otrzymał rozkaz odtworzenia promu i nikt tego rozkazu nie odwołał. Wszystkim pracom mającym na celu uratowanie załogi promu sam osobiście dałem zielone światło i maksymalny priorytet. Ponieważ załoga jest wewnątrz modułu medycznego, a moduł jest elementem składowym promu, naprawa tej pomiętej puszki po konserwach, tego kawałka podartego żelastwa została utożsamiona z ratowaniem załogi. No i mamy rezultat: setka cyberów buduje podziemną bazę, a dwie i pół setki usiłuje odtworzyć statek.

Dziesięć minut zastanawiam się, czy nie przerwać tego skandalu. Trzeba go przerwać, ale… Mogłem nie zauważyć, co one robią. No, powiedzmy, do rana. A rano wyjdzie z biowanny Sam. W końcu to jego statek. Jest ważniejsza sprawa. Lira chce ich triumfalnie powitać. A czy przyjemnie jest wyłazić nago pod dźwięki fanfar? Trzeba ratować sytuację. Najprościej obudzić ich sześć godzin wcześniej, gdy obóz będzie spał. To bezpieczne, leczenie zostało już zakończone, trwa tylko proces przywracania równowagi hormonalnej po regeneracji tkanek.

Rozkazuję cyberom wynieść ubranie załogi i położyć na zewnątrz przy wejściu. Pytam, czy komputer modułu podłączono już do sieci. Tak. Więc zapytuję, co z pacjentami. Czwórka wcześniej poszkodowanych już właściwie zdrowa. Miejscowa dziewczyna ma traumatyczną amputację obu dłoni i wybite wszystkie zęby. Sandra ma wyczerpanie nerwowe, wyczerpanie fizyczne, chorobę infekcyjną i ci… O, do diabła!

**SEKOND. SZRAM**

Szram siedział pod drzewem i uważnie obserwował otoczenie. Wszyscy dookoła byli młodzi, weseli, podnieceni. Dziewczyny zachowywały się zadziwiająco swobodnie, lecz nikt je za to nie osadzał.Cztery miały coś na szyi. Ni to naszyjnik z błyszczących jagód, ni to taka obroża. Skórzanej czy metalowej obroży nie miała żadna.

Podszedł Borsuczek i usiadł obok. Trzymał w ręce szklane naczynie z żółtym napojem. Nie, nie szklane. Naczynie wyginało się przy ściśnięciu, ale potem wracało do swojego kształtu.

– Spróbuj, to smaczne. – Borsuczek podał mu naczynie..

– A nie boisz się, że mogą nas otruć?

– Coś ty?! Przecież przyjechaliśmy z Chartachaną, a ona tu się cieszy szacunkiem. Wiesz, kiedy oni się zaznajamiają, wyciągają rękę. Trzeba ją uścisnąć, ale nie za mocno. A teraz pękniesz ze śmiechu. Oni swoim dziewczynom obroże wkładają na palec. I sobie też.

– Zboczeńcy! Byłeś w środku. Co oni tam zrobili z Chartachaną?

– Wysunęli ze ściany łóżko. Takie wąskie, jak koryto, z którego poimy konaki. Włożyli do niego Chartachanę i wsunęli z powrotem. Ten w białym powiedział, że Chartachana wyjdzie zdrowa za dwa, najwyżej trzy dni, a Wola poleży siedem. Szybciej się nie da, bo zęby długo rosną i kości muszą stwardnieć. Wiesz, powiedział, że Woli nowe palce wyrosną. Wierzysz?

– Jeśli zęby wyrosną, to dlaczego nie palce?

– Zęby to co innego. Dzieciom jedne wypadają, drugie wyrastają.

– Pamiętasz, jak Rozumek miał zawerka? Obetnie mu łapę – i nowa odrasta.

– Ale on nie zorientował się, dlaczego zawerkowi łapa odrasta, a jemu noga nie.

– On się nie zorientował, a ci się zorientowali. Ale zobacz, co oni robią.

Na polanie rudowłosa kobieta, ta sama, która zrzuciła Szrama ze smoka, ubrana od stóp do głów w jednoczęściowy czarny kostium, pokazuje młokosowi zasady walki na dwuręczne drewniane miecze. Potem do koła wchodzi wysoki i barczysty wojownik. Kobieta wkłada na głowę czarny worek z otworami na oczy, odchodzi na trzy kroki, salutuje mieczem i zaczyna się walka. Mężczyzna ma przewagę zasięgu ramion i siły, kobieta – szybkości i techniki. Jej miecz już dwa razy dotknął ciała wojownika. Ale nieoczekiwanie złamał się, pozostawiając w ręce kawałek nie dłuższy od noża. Kobieta odpina coś od pasa i rzuca pod nogi. Trzask, i do góry podnosi się gęsty kłąb dymu. Widzowie krzyczą. Kiedy dym się rozwiewa, wojownik rozgląda się skonsternowany, a kobieta szybko i bezdźwięcznie przemieszcza się tuż za jego plecami? Przy tym udaje, że chce poniżej jego pleców wbić miecz, ale nie wchodzi. Widzowie wpadają w nieopisany zachwyt, tylko sam wojownik nic nie rozumie. Kobieta kontynuuje pantomimę. Udaje, że wytęża wszystkie siły. Próbuje wbić miecz uderzeniami w rękojeść, ale miecz odskakuje jak od kamienia. Gestami prosi widzów, by jej pomogli. I przy tym nie zapomina o przemieszczaniu się tak, by przeciwnik jej nie zobaczył. W końcu, zmęczona, opiera się łokciami o jego szerokie plecy jak o drzewo i wyciera pot z czoła. Dopiero wtedy wojownik dostrzega na ziemi drugi cień obok swojego, śmieje się i wskazuje na niego palcem.

– Jak myślisz, czy ona pokonałaby Świntucha? – Zapytał Szram.

– Nawet dwóch Świntuchów na raz – odrzekł Borsuczek.

– Smoczyca powiedziała, że ona, jako zupełna dziewczynka komenderowała setką wojowników. A Chartachana mówiła, że smoki nigdy nie kłamią.

– Do czego zmierzasz?

– Zastanawiam się, po co oni przyszli na nasze ziemie.

**SEKOND. ŚLAD**

Ślad obudził Chrapa, przekazał mu dyżur i chciał się położyć, ale nagle przypomniał sobie, że derkę i koc oddał Ptaszynie. Spojrzał na Chorców, śpiących pod jednym kocem. Jedno miejsce było wolne, ale nie chciał kłaść się koło nich. Kulawy koń zachrapał. Noc była zimna i wietrzna.

– Nie przywykać – mruknął pod nosem i położył się na ziemi. Z tyłu rozległ się szmer i Ślad poczuł na boku koc. Do pleców przycisnęła się ciepłą piersią Ptaszyna.

– A ty czego? – zapytał szeptem.

– Zmarzłam. Masz zimny koc. Przesuń się na derkę, zagrzałam ci tu miejsce.

Ślad przesunął się. Zaczął już zasypiać, gdy nagle poczuł na piersi ostrożną rękę Ptaszyny, która zaczęła mu rozpinać kurtkę.

– Coś ty? Dawno nie stałaś przy słupie? – wyszeptał.

– A kto mnie postawi przy słupie? Ty?

– Szram.

– Szram nie jest już moim gospodarzem. Braciszek mnie uwolnił. – Ptaszyna roześmiała się cicho.

– Zapytamy Szrama.

– Lepiej zapytajmy Chrapa. Hej, braciszku!

Ślad napiął mięśnie, namacał na boku rękojeść noża, przygotował się na skok i walkę.

– Czego tobie? – odpowiedział półgłosem Chrap.

– Kureczce jeszcze nikt nie założył obroży?

– Żartujesz? Śpij.

Ślad rozluźnił się.

– Teraz jestem twoja – wyszeptała mu do ucha Ptaszyna. Jej ręka już poradziła sobie z kurtką i przesunęła się niżej.

Ślad chciał odsunąć jej rękę, ale jego dłoń natknęła się na miękką, gorącą pierś Ptaszyny. Na jego rękę od razu legła jej druga ręka, poczuł, jak bije jej serce.

„Czemuż by nie?” – pomyślał.

Rano gardził samym sobą. Leżał na plecach i patrzył ponuro w zaczynające rozjaśniać się niebo. Miał wielką ochotę plunąć sobie samemu w twarz. Spojrzał z ukosa na śpiącą obok dziewczynę i beztroski uśmiech na jej twarzy rozzłościł go jeszcze bardziej. Jak gdyby poczuwszy na twarzy jego spojrzenie, Ptaszyna obudziła się. Podniosła się na łokciu i spojrzała mu w oczy. Wyraz szczęścia na jej twarzy wyparował, zamieniając się najpierw w zmieszanie, potem w ból. Obróciła się na brzuch, i Ślad poczuł, jak jej ciało podryguje od płaczu. Podniósł się i poszedł w kierunku strumienia. Przechodząc obok drzemiącego na posterunku Kosza, chwycił go za ramię i potrząsnął. Za plecami usłyszał szybkie kroki. Obejrzał się.

– Nie idź za mną – powiedział Ptaszynie, kiedy ta zamarła o metr od niego. Poszedł dalej. Kiedy zatrzymał się, Ptaszyna była znowu koło niego. Zamachnął się i uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Ani krzyku, ani jęku. Tylko czerwona kropelka kapnęła z kącika ust. Poszedł naprzód. I znowu szybkie kroki za plecami.

– Czego chcesz?

– Powiedz, co ja zrobiłam nie tak? Dlaczego nie jestem nikomu potrzebna? Ani tobie, ani Szramowi. Może jestem szkaradna? Dlaczego Szram patrzył na mnie jak na ślimaka w pościeli? Przecież ja nie jestem ślimakiem! Sam mnie przywiózł. Po co? Żeby od razu oddać w baraki? Za co? Za nic, tak po prostu w baraki się nie wysyła. Myślałam, że to z powodu Chartachany, ale dla ciebie też jestem wstrętna. Dlaczego? Co ja mam w sobie takiego? Może zdołam to poprawić? Tylko powiedz, a będę się starała! Co ja robię nie tak? Może jestem za gruba? Mogę schudnąć. Ukarz mnie, tylko powiedz, za co. Co mam zrobić, Ślad, powiedz?...

Ptaszyna starała się mówić spokojnie, ale ostatnie jej słowa utonęły w bezładnych szlochach. Ślad chciał nią potrząsnąć, wziął za ramiona, ale dziewczyna zrozumiała ten ruch po swojemu i przycisnęła się do jego piersi, zraszając mu kurtkę łzami. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko pogłaskać ją po głowie. Jej płacz od tego tylko się nasilił.

– Jaka z ciebie Ptaszyna? – zapytał. – Jesteś malutkim zwierzątkiem, które straciło mamę. Leśnym zielonym jeżykiem żółtopyskim, z ogonkiem zakręconym w kółeczko.

**SEKOND. SMOK**

Budzi mnie komputer w okularach. Spałem mniej niż godzinę. Całą noc próbowałem zorientować się w układzie sił politycznych na Ziemi. Chciałem zająć się tym jeszcze przed lądowaniem na Sekondzie, ale nie zdążyłem. Akurat wtedy Kora zakończyła tworzenie modelu naszego współczesnego społeczeństwa. Co do Sekondu, Anna nie ma racji. Gdyby go nie było, należałoby go wymyśleć. Kryzys zaszedł już tak daleko, że potrzebny jest wentyl awaryjny, żeby spuścić parę i nie dopuścić do wybuchu. Plan mam już w ogólnych zarysach gotowy. Detale ustalimy z Korą, Anną i Matwiejem. Liczba mieszkańców Sekondu wynosi niecałe dwa procent ludności Ziemi, ale terytorium jest olbrzymie. Tu jest ogromne pole działania dla wszystkich, niemal nieograniczone możliwości rozwoju. Na razie jednak nie bardzo jest komu się tym zająć, brakuje kadr i dlatego postępowcy hamują wszystkie projekty integracji Sekondu, wysuwane przez neutralnych. Stabiliści, oczywiście, także. Minie chyba ze trzy, może nawet cztery lata, zanim ci ostatni zorientują się, że prowadzą politykę nie swoją, a naszą.

Podnoszę się cichutko, nakrywam Gałązkę kocem i na miękkich łapach idę w kierunku promu. Gałązka się jednak budzi. Wlecze się za mną z kocem pod pachą, przecierając oczy piąstkami i zataczając się z niewyspania. Za nią, przewalając się z łapy na łapę, idzie tak samo senny Bak. Zrobił się gruby i leniwy. Włażę w krzaki, łamię część z nich swoim ciałem, skręcam, kładę się na ziemi i wyglądam, częściowo zasłonięty. Liczę na to, że nie będą patrzyli uważnie w tym kierunku, sam zaś widzę stąd dobrze luk promu. Po chwili komputer komunikuje, że chłopcy i Liwia są już obudzeni. Luk się uchyla, ukazuje się w nim głowa Sama, a potem cały Sam. Zakrywa genitalia dłonią i drży z zimna. Za nim ukazuje się tak samo drżący Dick, wypchnięty na zewnątrz przez Liwię. Ta trzyma się z opanowaniem zatwardziałej nudystki. Wygina plecy, przeciąga się, patrzy na ziemię i nagle zauważa, że ma różne nogi. Jedna ciemna, opalona, drga różowa jak pupka noworodka.

– Nie, no spójrzcie tylko! – oburza się. Sam i Dick, którzy już przetrząsają stosiki pociętych ubrań, oglądają się. – Mam teraz tak chodzić z różnymi nogami czy co?

– Liwia, to chyba twoje – Dick podaje jej but skafandra. Liwia bierze go za nosek i nagle z cholewy wypada biała kość. Liwia piszczy, odskakuje o dwa metry i rzuca butem w Dicka. Ten uchyla się u rzut trafia w Sama. Sam podnosi but, wytrząsa z niego nie wiadomo przez kogo częściowo połączone kości stopy, ogląda je uważnie.

– Dick, zobacz, ona ma na tej nodze sześć palców.

Dick pochyla się z zaciekawieniem.

– A rzeczywiście! – Ogląda się przez ramię i patrzy na nogi Liwii.

– Gdzie sześć palców? Gdzie naliczyłeś sześć?

– A tam – pięć. – Dick wskazuje palcem w kierunku Liwii, starannie ignorując jej pytanie.

– No tak, tego szóstego pewnie nie było widać – wyjaśnia Liwii Sam.

Liwia patrzy na swoje nogi, porusza palcami.

– Którego tam nie widać? Pokażcie!

Chłopcy zasłaniają kości swoimi ciałami. Liwia próbuje ich rozsunąć, ale Sam wrzuca kości do buta, patrzy na jej nogi i mówi:

– Masz rację, Dick. Teraz ma pięć, a miała sześć. To trzeba zachować dla nauki.

– Oddaj! – Liwia próbuje wyrwać mu but, ale Sam przekazuje go Dickowi.

– Co się tu stało? – pyta Kim, wychodząc z promu.

– Kimeczku, oni nie chcą mi oddać nogi!

– Nie wierz jej, Kim. Oddałem jej do rąk własnych, daję słowo smoka! A ona zamachnęła się i przekazała na wieczny spoczynek do muzeum patologii. Sam może poświadczyć.

Sam podaje Kimowi slipki.

– Kim, raport!

– Sandra naprawiła zero-komorę i zaczęła remont promu.

– Czy da się go naprawić?

– Nie wiem. Zresztą to i tak teraz eksponat muzealny. Cybery mówią, że tu jest strefa muzealna. Aha, Sandra jest w biowannie. I obok niej jeszcze jedna dziewczyna.

– Coś poważnego?

– Sandra jutro wyjdzie. A druga poleży cały tydzień. Nie ma obu dłoni, pewnie czymś je przycisnęło. I wszystkie zęby wybite. Rozminęliśmy się wszystkiego o parę dni. Dziewczynki położyły się do biowanny przedwczoraj. Aha, a Sandra ma wyczerpanie fizyczne i nerwowe. I jeszcze… Nie, to ci sama opowie.

Liwia tymczasem wyrywa Dickowi but, liczy kości.

– Zuch Sandy! Trzeba powiedzieć Węgielkowi, że u nas wszystko w porządku.

– Zero-komora jest w ładowni. Tylko najpierw się ubierz.

– Pięć! – woła Liwia i wymierza Dickowi cios w kark.

Czas już na moje wejście na scenę. Właściwie to, co zamierzam teraz im powiedzieć, trzeba było powiedzieć już dawno. Mentor ze mnie do chrzanu. Zaraz im zrobi się naprawdę niedobrze. Sam czuję się podle, ale inaczej już się nie da. Za późno. Co myśli o życiu kawałek stali podczas hartowania?

Wychodzę z krzaków i idę do młodzieży, niosąc stosik pakietów z ubraniem. Zawinięta w koc Gałązka ziewa na cały głos i wlecze się za mną.

– Oj! – woła Liwia, zakrywa się dłońmi i czerwienieje.

– Czarek? – pyta bezsensownie Sam.

– Ubieraj się i komunikuj! – Obserwuję całą gamę zmieniających się uczuć na jego twarzy.

– Kierowana przeze mnie załoga dokonała nieudanej próby lądowania na powierzchni planety Sekond – raportuje Sam. – Przyczyny niepowodzenia: pośpiech w przygotowywaniu wyprawy i pomyłki dowódcy, czyli moje. Pełnej katastrofy udało się uniknąć dzięki biegłym działaniom Sandy… kosmicznego desantowca Sandry. To wszystko.

– Rozbiór lotu. Siadajcie. Zaczynamy od wariantu, w którym działacie autonomicznie, czyli pomoc z Ziemi nie przychodzi. Straty: jeden człowiek.

– Kto? – pyta Liwia.

– Kosmiczny desantowiec Sandra. Umarła wczoraj na miejscową chorobę około pięćdziesięciu kilometrów stąd.

Liwia blednie i patrzy zmieszana na Kima.

– Nie bój się, Liwia. Węgielek zdążyła uratować jej życie. Dalej. Sam, wylicz szkody, jakie przyniosło wasze niewczesne lądowanie na Sekondzie.

– Na pewno kosztowaliśmy was dużo niepokoju. I zerwaliśmy wizytę komisji.

– Czy przed lądowaniem konsultowałeś się z magister Anną w sprawie właściwego czasu akcji?

– Nie.

– Z lady Terrible?

– Nie.

– Ze mną też nie.

– Czarku, co się stało?

– Stało się to, że podłożyłeś ogromną świnię całej frakcji postępowców z magister Anną na czele.

– Ja? Jak to?

– Operacja ratunkowa, w której brali udział członkowie komisji, wywołała olbrzymie zainteresowanie Sekondem, co z kolei spowodowało zmianę celów i przemieszczenie priorytetów działalności Synodu. Postępowcy nie byli na to przygotowani. Stworzyłeś niebezpieczeństwo zniweczenia całej dziesięcioletniej pracy magister Anny. Może nawet już zniweczyłeś.

Sam siedzi czerwony, spocony. Wodzi wzrokiem po ziemi. Na policzkach na przemian nabrzmiewają i opadają mięśnie. Zapamięta to sobie na całe życie. I przestanie żartować z kosmosem. Kosmos tego nie rozumie. Sprawdziłem to na sobie tysiąc lat temu. O! Nowe filozoficzne pytanie do kolekcji bezsensownych pytań. Co lepsze: stracić życie czy iluzje?

– Czarku, co ja mam teraz robić?

– Masz poprawiać własne błędy, to chyba oczywiste. Grać przed Synodem rolę bohatera-pioniera. Siedzieć w prezydium na śmiertelnie nudnych prezentacjach, na posiedzeniach i naradach polowych i śpiewać cudzym głosem. Słowa my ci podpowiemy. Jeśli pierwszy tu wylądowałeś, będą cię uważali za eksperta w sprawach Sekondu. Wiem, że to głupio, ale taka jest już ludzka psychika. I będziesz musiał udawać eksperta. A my będziemy ci podrzucali w porę potrzebne fakty. Jesteś teraz waletem atutowym w talii Anny. Nie najwyższa karta, ale jednak wysoka. Ściślej: można ciebie przedstawić jako waleta, a tak naprawdę jesteś gdzieś na poziomie trójki-czwórki. Polityka jest subtelną grą i nie wolno ci się pomylić. Czyli: żadnej samodzielności. Zadanie jasne?

– Tak, dokładnie.

Gałązka unosi Baka z ziemi, bierze na ręce i głaszcze jak kota. Bak to znosi. Zadziwiające!

**SEKOND. SZRAM**

Rudowłosa kobieta-wojownik cały ranek chodziła po obozie zła. Jak powiedział Borsuczek, chciała urządzić Samowi triumfalne powitanie, ale zielony smok jej w tym przeszkodził. Borsuczek znał już z imienia prawie wszystkich, a już jego na pewno wszyscy znali. I, jak zwykle, znał wszystkie ostatnie nowości.

Zbliżało się południe, kiedy do Szrama podeszła kobieta-wojownik z wiadomością, że do obozu zbliżają się Ślad i jego przyjaciele. Trzeba ich spotkać, zaznajomić ze wszystkimi i zapoznać ze stanem rzeczy.

Szram i Borsuczek wstali z ziemi i poszli za nią. Ku ich zdumieniu, czarna smoczyca też poszła na spotkanie Ślada, rozmawiając przyjacielsko o głupstwach z rudą kobietą.

– Za trzy minuty tu będą – powiedziała smoczyca, zatrzymując się na skraju polany.

Rzeczywiście nie minęły nawet trzy minuty, kiedy na drugim końcu polany pojawiło się czterech jeźdźców. Sekundę później Szram zorientował się, że jeden z obcych siedzi na jego koniu! Ręka sama sięgnęła po miecz.

– Witajcie, wojownicy. Ptaszyno, oni nie obrażali ciebie? – zawołała smoczyca. Ślad w odpowiedzi pomachał ręką. Ptaszyna siedziała za jego plecami, obejmując go w talii.

– Szram, pozwoliłem Chorcom jechać na naszych koniach. Tak szybciej. To jest Kosz, brat Woli, to Chrap, brat Ptaszyny, a to Bąk. Ten sam.

Szram zazgrzytał zębami, Ale koniec smoczego ogona objął jego rękę i nie udało mu się obnażyć miecza. Nie udało się go nawet o centymetr wyciągnąć z pochwy. Smoczy ogon nieoczekiwanie zrobił się twardy jak stal. Tymczasem smoczyca przedstawiała witających. Usłyszawszy swoje imię, Szram ponownie zazgrzytał zębami i dał spokój próbom wyciągnięcia miecza. Ogon od razu się wycofał. Jeźdźcy zsiedli z konaków i wszyscy poszli do obozu.

– Szram, chcę zamienić z tobą parę słów – mówiąc to, Ślad rzucił cugle swojego konaka Ptaszynie.

– Tak?

– Ile chcesz za Ptaszynę? Wiesz, że mam dom, konaka i broń.

– Jeśli pomiętosiłeś ją parę razy po drodze, to zapomnij o tym. Jeśli zechcesz ją jeszcze pomiętosić, powiedz mi, a przyślę ją do ciebie.

– Podaj cenę, Szram. Ja chcę jej założyć obrożę.

Szram z zaskoczenia aż się potknął i zatrzymał.

– Ty?... Jej… Kwa-kui!

– Co?

– Miejscowe przekleństwo. Co się dzieje z naszym światem, Ślad? Dziewki kierują wojownikami. Niewolnica lata na Czarnym Ptaku. Ślad się żeni!

– To nie jest odpowiedź, Szram.

– Powiem ci tak, Ślad: Bierz ją za darmo, wprowadź do swojego domu, ale nie zakładaj obroży. To nie jest partnerka dla ciebie, wierz mi.

– Podaj cenę, Szram.

– Uprzedzałem cię? Uprzedzałem. Ona jest twoja. Ale żebyś mi się potem nie skarżył. Nie wezmę jej z powrotem. Nawet z podarunkami. Podarunki wezmę, a ją nie.

– Dziękuję ci, Szram.

– Tu jest taka sprawa… – zaczęli obaj równocześnie, spojrzeli po sobie i roześmiali się.

– Mów pierwszy – powiedział Szram.

– Pojawiły się nowe zwierzęta. Jest ich cała chmara. Gdziekolwiek pójdę, natykam się na ich ślady. Małe, szare, okrąglutkie. Szczecina krótka, stoi dęba. Przypominają nasze jeżyki leśne, ale są szare i bez ogonków. Łapki mają króciutkie, ale biegają… Przegonią konaka.

– Próbowałeś któregoś zastrzelić?

– Dwa razy. Bardzo zwinne, nie do trafienia z łuku. Uchylają się przed strzałami.

– A co jedzą?

– To mnie najbardziej zastanowiło. Nie widziałem. I nie znalazłem ani jednej kupki. Ale jeśli wpadną na nasze zasiewy, będziemy żarli korę. Ich najście będzie gorsze od zawerów. Zawery są głupie, a te są mądre jak cholera. No, teraz ty.

Szram opowiedział o swoich obserwacjach i wątpliwościach co do celu wizyty Ziemian. Zakończył, odpowiadając na pytanie Ślada::

– A po co by ryli w tym wzgórzu pieczary? Nie, oni przyszli na długo.

– A co, myślisz, że Chartachana nam szykuje śmierć?

– Nie, tylko nie ona! Ale ty nie widziałeś, jak ta rudowłosa, Lira, włada mieczem. Zresztą, co tam mieczem! Oni mają broń starożytnych! Kamienie tnie!

– Więc napaść w nocy i wybić ich, póki jest ich niewielu?

– A jeśli się mylę? Wierzysz, że Chartachana mogłaby komukolwiek zrobić coś złego? Przecież ona nie skrzywdzi nawet norika! A to wszystko są jej przyjaciele. Możesz zapytać Borsuczka.

– Wyzwała na pojedynek Świntucha.

– Na uczciwy pojedynek. I ani razu nie kopnęła go w jajka. A mogłaby.

– Coś ona jest u ciebie głupkowata. Pusta głowa, życie się jej sprzykrzyło.

– Nie. Ona jest mądra. Mówiła, że broni starożytnych godny jest tylko ten wojownik, który nie zechce jej użyć.

– Właśnie mówię: głupkowata. Kompletnie mnie skołowałeś. Więc co mamy zrobić?

– Mam pewien plan. Porozmawiać ze smokiem. Chartachana mówiła, że smoki nie kłamią.

– Z którym? Z zielonym czy z czarnym?

– Z czarnym. Chartachana zielonego się boi. Z pewnością nie bez powodu. Poza tym znam prawdziwe imię Węgielka.

– Ale masz łuskę zielonego. Nie bez powodu Chartachana nosiła ją przy sobie.

– A niby skąd mam wiedzieć, co z tą łuską należy zrobić? Smok podarował ją przecież Chartachanie. Może ona działa tylko w jej rękach?

Czarny cień zakrył słońce. Szram i Ślad podnieśli głowy i zdrętwieli. Z góry, z szeroko rozpostartymi skrzydłami powoli i płynnie spuszczała się czarna smoczyca. Groźna i nieruchoma. Dotknąwszy ziemi wszystkimi czterema łapami równocześnie postała jeszcze chwilę w bezruchu, po czym złożyła skrzydła. Otworzyła się jej straszna zębata paszcza.

– Witajcie, chłopcy. Słyszałam, że chcieliście ze mną porozmawiać. Niedługo obiad, więc walcie szybciej, z czym macie problem.

Szram i Ślad spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

– Nie sformułowaliście pytania gnozeologicznego? W takim razie opowiem wam przypowieść, a wy słuchajcie i na wąs motajcie. Byli sobie kiedyś ludzie na Ziemi…

**SEKOND. SANDRA**

Sandra obudziła się i spróbowała przypomnieć sobie sen. Śniło się jej coś bardzo przyjemnego. Z oczami ciągle jeszcze zamkniętymi rozłożyła ręce na boki. Oparły się o ciepłe metalowe ścianki, co zmusiło ją do otworzenia oczu. Metalowa rura, słabe zielonkawe światło, malutki ekran monitora nad głową. Obok monitora pulpit z około dziesięcioma klawiszami. Na monitorze kilka słów.

– Po przebudzeniu proszę nacisnąć klawisz ze strzałką w górnym rzędzie – przeczytała na głos. Zaśmiała się i nacisnęła ów klawisz. Rozległ się cichy poszum silników elektrycznych i Sandra poczuła, że jej łoże się porusza. Monitor i pulpit przepłynęły pod oczami i zostały gdzieś z tyłu.

„Moduł medyczny” – domyśliła się. Usłyszała stuk butów po metalu.

– Sandy! – Ijuż utonęła w potężnych objęciach Liwii.

– Uważaj, Liwia! Teraz nie można jej tak ściskać! – rozległ się głos z tyłu.

„Oj, mamusiu” – pomyślała Sandra. – „To lady Terrible! Co teraz będzie?...”.

Ale groźna lady przytuliła ją do siebie i ucałowała w oba policzki. Potem rzuciła jej na kolana pakiet z ubraniem.

– Ubierz się szybko. Na zewnątrz czeka na ciebie tłum. Jeszcze trochę, a wtargną do środka.

Plącząc się w rękawach i nogawkach, zadając bezsensowne pytania, Sandra włożyła śnieżnobiały mundur galowy z emblematem kosmicznego desantowcana rękawie. Liwia pomogła jej zapiąć guziki i zamki błyskawiczne, po czym pociągnęła ją za rękę do luku. W oczy uderzyło jasne słońce, a w uszy głośna muzyka. Dziesiątki rąk chwyciły ją i gdzieś poniosły.

– W górę! – krzyknął ktoś. Propozycja została przyjęta z entuzjazmem. Sandra wyleciała wysoko w górę. Raz, drugi, trzeci…

– Oj, mamusiu! – piszczała za każdym razem, wzlatując nad lasem rąk. Było jej radośnie, ale i trochę strasznie.

– Wystarczy, wystarczy! – przekonywała wszystkich Węgielek. – Bo jeszcze ją upuścicie.

Nikt jej nie słuchał, więc Węgielek zadziałała sama. Przy kolejnym wzlocie Sandra wylądowała na sprężystej błonce jej skrzydła. Smoczyca nieco uniosła skrzydło i dziewczyna płynnie stoczyła się po nim na jej grzbiet. Usiadła i dopiero teraz zdołała się rozejrzeć. Znajome radosne twarze. Załoga promu, zbita w ciasną grupę. Koło nich Szram, Ślad, Borsuczek, Ptaszyna i jeszcze trzech jawnie miejscowych. Ależ to Bąk! Sandra skinęła im ręką.

Węgielek triumfalnym krokiem ruszyła wydeptaną ścieżką do lasu. Ludzie hałaśliwą gromadą poszli za nią. Po dwustu metrach w ścianie wzgórza błysnęły metalowe wrota. Ktoś podał hasło i wrota się otworzyły, a za nimi ukazała się olbrzymia, jasno oświetlona sala. Z ekranów na przeciwległej ścianie patrzyły dziesiątki twarzy. Węgielek podeszła do podwyższenia z trybuną przy tej właśnie ścianie, zdjęła Sandrę z grzbietu i zaczęła ją instruować:

– Teraz wygłaszasz mały ogólno-przeglądowy wykład o Sekondzie, potem oboje z Mistrzem odpowiadacie na pytania, potem bankiet.

Podjechał cyber z tacą, zastawioną wysokimi kielichami z sokiem i pucharami z szampanem. Sandra wypiła jeden kielich, pozostałe wlała sobie do paszczy Węgielek.

– No, zaczynaj – powiedziała, oblizując się. Ludzie już rozsiedli się przy stołach. Światło nieco przygasło. Za plecami Sandry rozjaśnił się ogromny stereoekran, na którym Węgielek wyświetliła widok Sekondu z kosmosu.

Sandra była w ekstazie. To był jej dzień! Dzień triumfu, o którym ona nawet nie marzyła. Jej mózg pracował szybko i precyzyjnie. Sformułowania były zwięzłe i dokładne, w odpowiedziach na pytania teoretyczne rozważania były opatrzone opowiadaniami o konkretnych przypadkach i opisami scen z życia fortu. Najbardziej skomplikowane pytania zadawali socjotechnicy magistra Anny, którzy także często kłócili się między sobą półszeptem. Po dwu godzinach dziewczyna czuła się wyciśnięta jak cytryna. Z pomocą przyszła jej lady Terrible. Weszła na trybunę i zakomunikowała, że wszyscy wokoło są krwiożerczymi aligatorami i kompletnie zamęczyli biedną dziewczynkę. Dość już wyciągania rąk w górę, czas przystąpić do bankietu. A żeby nikt nie mógł zaprzeczyć, puściła głośną muzykę. Do pytań do Smoka już nie doszło. Dopiero teraz Sandra zobaczyła, że podłoga, ściany i sufit sali jeszcze nie są wyrównane, a nadtopione kamienie niezasłonięte przez dekoracyjne boazerie. Poszukała oczami Sama. Nie znalazła. Borsuczek, Ptaszyna, Ślad i inni siedzieli przy stolikach, ale Szrama również nie było. Przypomniała sobie wyraz twarzy Sama, kiedy opowiadała o Grze i w jej mózgu rozległ się dzwoneczek alarmowy.

– Węgielku, nie ma Sama i Szrama. Boję się. – szepnęła do ucha smoczycy. Ta pojęła wszystko w lot, przewróciła oczami, coś wymamrotała. Sandra już wiedziała, że tak smoki naradzają się z komputerami w okularach. Klnąc półgłosem, Węgielek złapała Sandrę, posadziła ją sobie u nasady szyi i pokłusowała do wyjścia.

– Zabierają solenizantkę! To niezgodne z regułami! – krzyknął ktoś, ale Węgielek była już na zewnątrz. Z głośnym klaśnięciem otworzyła skrzydła i ostro wystartowała, tak stromo, że Sandra o mało z niej nie spadła. Przeleciawszy około kilometra, przeszła na bezdźwięczny lot ślizgowy, zakończony ostrym wirażem i prawie poziomym lądowaniem na malutkiej polanie. Mężczyźni odskoczyli na boki. Obaj byli goli do pasa, błyszczeli od potu, ciężko oddychali.

– Co z was za ludzie! Zepsuliście mi takie święto! Sam, jak mogłeś?

– Odejdź stąd, Sandy. Mamy tu męską rozmowę.

– Ach, tak? – Sandra zaczęła zdejmować kurtkę. – Wiesz, Sam, że tu walczy się do śmierci jednego z przeciwników? No więc ja będę walczyła z tym z was, który zostanie. Zrozumieliście? Na śmierć i życie.

Przeciwnicy spojrzeli na siebie z konsternacją. Szram wydał dźwięk przypominający muczenie przyduszonej krowy.

– Nie wolno ci się wzruszać, Sandy – powiedział Sam.

– Może ich stuknąć głowami? – zaproponowała Węgielek.

– Nie, Węgielku, niech się biją. – Sandra już zdjęła i odrzuciła na bok bluzkę. – No to zaczynajcie. A potem ja ze zwycięzcą.

– A niech zdechnę! – Szram usiadł pod drzewem i objął głowę rękami. – Ej, chłopie, czy ty na pewno jesteś ten sam Sam? Możesz mnie zabić, nie będę z tobą walczył.

Sandra podniosła z ziemi kurtkę, rzuciła ją Samowi. Najgorsze miała już za sobą. O Sama się nie bała, jemu można było wszystko wyjaśnić słowami. Ale dla mieszkańców Sekondu przekonywujący był tylko język broni.

– Sandy, coś ty, naprawdę zaczęłabyś ze mną walczyć? – Sam obracał kurtkę w rękach, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

– Jak Chartachana powie, to zrobi – pewnym głosem powiedział Szram, wyjął z rąk Sama kurtkę i włożył ją na siebie. Sam podniósł swoją, otrząsnął.

– Sandy, chciałem ci powiedzieć… Wyjdź za mnie. Wezmę cię z dzieckiem, będę mu ojcem.

– Z jakim dzieckiem?

– Z twoim.

Z minutę Sandra stała z otwartymi ustami, po czym poprosiła wysokim, rwącym się głosem:

– Węgielku, proszę cię, zanieś mnie do modułu medycznego.

– Po co, milutka? Połączę się z jego komputerem. Czego się chcesz dowiedzieć?

– Jestem w ciąży?

– Tak, moja malutka.

– Dawno?

– Od szóstego miejscowego dnia po lądowaniu. Jeśli chcesz, możesz zrobić aborcję. To zupełnie bezpieczne.

Sandra podniosła ubranie z ziemi i powlekła się w las.

– O czym mówiłyście? – zapytał Szram – Słowa zrozumiałem, ale sens mi uciekł.

– Sandy oczekuje dziecka.

– To zrozumiałem. Ale dalej.

– Powiedziałam, że można się go pozbyć.

– Pozbyć się mojego dziecka? Tak, tak… ona też coś takiego mówiła… Ona go zabije! Ty najgłupszy na świecie ptaku! Po coś ty jej?... – Szram odwrócił się i położył się na brzuchu wśród korzeni najbliższego świerka, z kurtką naciągniętą na głowę. Sam i Węgielek popatrzyli na niego, potem na siebie nawzajem. Sam wzruszył ramionami.

– Hej, miejscowy! – okrzyknęła go Węgielek, odchylając dolną gałąź świerka.

– Zostawcie mnie samego – dobiegł głos spod kurtki.

– Sam, bądź tak dobry i uciekaj stąd – powiedziała Węgielek.

Na dwie godziny przed kolacją zapłakana Sandra pojawiła się w montażowni. Złapała za łapkę pierwszego napotkanego cybera i zaciągnęła go do rysownicy. Zrobiła szkic, podała wymiary, wskazała materiał: stal nierdzewna. Dała zamówieniu najwyższy priorytet, na jaki pozwalał jej indeks informacyjności. Cyber niedługo przybiegł z gotowym wyrobem. Sandra pokręciła go w rękach.

– Nie ta stal. Musi być twarda jak sprężyna, a ta się gnie. Ostre krawędzie trzeba zaokrąglić, wypolerować powierzchnię. Zameczek zbyt oporny.

Cyber wybiegł. Po kwadransie wrócił z drugim wzorem. Sandra i ten odrzuciła. Trzecia próba okazała się udana. Przymierzyła. Wąziutki, o szerokości zaledwie siedmiu milimetrów, błyszczący metalowy paseczek z wykwintnym zameczkiem-zatrzaskiem nazwać obrożą można było tylko umownie. Zadowolona Sandra schowała go do kieszeni i poszła szukać Szrama.

**SEKOND. SMOK**

Gałązka staje się problemem. Anna żartuje, że wziąłem sobie pieska. Nie, to, że plącze się po całym obozie i wsuwa swój ciekawski nosek do każdej szczelinki, to nic strasznego. Że wszystkim razem i każdemu z osobna komunikuje z dumą, że jest moją niewolnicą, to też nic strasznego. Nasi tylko się uśmiechną, a miejscowi boją się ją obrazić. Ale trzeba ją uczyć i poświęcać jej czas, którego nie mam zupełnie. Chciałem skierować ją do szkoły przyklasztornej w Litmoondzie. Były dwa wiadra łez, prośba o chłostę, jeśli w czymś zawiniła, i przysięga, że ucieknie stamtąd przy pierwszej okazji. Poprosiłem biologów o opiekę nad nią, a ci wydzielili jej praktykantkę. Nie wiem, czy Gałązka dowiedziała się czegoś z zakresu biologii, ale praktykantka nauczyła się tańczyć, co przy jej figurze może być tylko korzystne.

Jak zwykle. Gdy tylko na skraju świadomości zamigotał pomysł, od razu rozległ się sygnał trąbki. Ogólna zbiórka! Wzywam sztab, ale na moje wezwanie odpowiada Węgielek.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, Mistrzu. Oj, ależ się denerwuję! Jeden z tych dwóch mnie zabije. I będzie miał rację!

Niewiele informacji, ale nic więcej nie udało mi się dowiedzieć. Wychodzę z namiotu i śpieszę na Plac Szóstego Palca Liwii. Teraz każda ścieżka w lesie nosi szumne miano ulicy albo alei, o czym komunikują tabliczki na skrzyżowaniach. Na „placu” już tłum. Jasno świecą reflektory na drzewach. Węgielek przemawia.

Ach, więc o to chodzi! Sandy wychodzi za mąż, a pretendentów jest dwóch. Węgielek postanowiła zrobić z tego spektakl. No, ona się u mnie doigra! Niech no tylko…

Dostaję sójkę w brzuch. Patrzę, od kogo.

– Nic nie wiesz, Czarku. Tak trzeba – szepcze mi do ucha Lira – Mnie też się to nie podoba.

Tłum rozstępuje się, tworzy koło. Pośrodku, w połowie odległości między obiema pretendentami, stoi Sandra. Czy ja się mylę, czy ona ma zapłakaną twarz?

– Sandy, znam cię od wielu lat – mówi Sam. – Nie zwracałem na ciebie uwagi, a ty płakałaś w poduszkę. Całymi dniami siedziałaś za pulpitem, kiedy wybierałem się na kosmiczne wyprawy. Doprawdy nie wiem, ileż to razy ratowałaś moją bezmyślną głowę. Byłem głupszy od pingwina, Sandy, nie rozumiałem, jakie to szczęście, kiedy jesteś ze mną. Proszę cię, bądź ze mną zawsze. Sandy, kochanie, zostań moją żoną.

– A ty co powiesz, Szram?

Szram ściska rękojeść noża u pasa. Widzę, jak pobladły jego palce. Do diabła! To nieuczciwe! Sam uczył się retoryki u Tytusa Gaduły! Ale komu ja tu właściwie kibicuję?

Szram ciągle milczy. Sandra robi krok w kierunku Sama. Malutki i powolny. Jeszcze jeden. Jeszcze.

– Władco, dlaczego on milczy? Powiedz mu! –Gałązka szarpie mnie za łapę.

Sandrze pozostało już tylko pięć małych kroczków. Cztery. Trzy

– Kocham cię, Chartachana! Kocham! – krzyczy Szram.

– Sam, wybacz mi – mówi Sandra, odwraca się do niego tyłem i wyciąga ręce do Szrama. Ten chwyta ją, przyciska do siebie, odrywa od ziemi i zaczyna z nią wirować. Sandra szepcze mu coś na ucho, uwalnia się i wyjmuje z kieszeni błyszczącą metalową tasiemkę. Nastawiam na nich uszy i wytężam słuch.

– I to ma być obroża? – pyta ze zdumieniem Szram.

– Tak, kochany. Innej nie założę.

Sam powątpiewająco ogląda cieniutki paseczek, po czym zapina go na jej szyi.

– Wojownikowi obroża niepotrzebna, co? – Całuje ją w nos.

– Tak i nie. Później ci to wyjaśnię, dobrze?

Węgielek puszcza z głośników marsz weselny Mendelsohna. Gałązka próbuje dobrać pod niego taneczne ruchy. A gdzie się podział Sam?

Nareszcie na Sekondzie wylądowała Kora. Moja dobra, miła, wierna, milcząca, pracowita Kora. Moja kochana. Teraz będziemy razem co najmniej tydzień. Wielkiej zero-komory na Sekondzie jeszcze nie ma, a średnia, składana, ma cienkie i giętkie ścianki. Jeśli upchnie się w niej smoka, wygnie się na zewnątrz. No i na orbitalną przybędzie nie cały smok, tylko jego część, okrojona z boków.

Kora powiadomiła Rzym, wzięła u Anny dwie godziny wolnego, polecieliśmy w step i wspaniale spędziliśmy ten czas. Kiedy powróciliśmy, przyłączyły się do nas Gałązka i Węgielek i urządziliśmy cudowną wieczornicę przy ognisku. Kora opowiadała najnowsze rzymskie anegdoty, Gałązka miejscowe, a ja o swojej podróży z Gałązką przez pół Sekondu. Potem przyszła Lira, ustawiono stereoekran dla Anny i zaczęły się nieskończone „A pamiętasz?”. Lira była zadziwiająco cicha, spokojna i szczęśliwa. Z olbrzymim świeżym siniakiem na lewym policzku. Siniak pierwsza zobaczyła Anna. Telekamera zero-t pozwala widzieć w nocy jak w dzień.

– Lira, kto cię tak urządził?

– Samik. – Lira popatrzyła marzycielsko na księżyc.– Jeszcze dwa zęby mi się ruszają. Co by Sandra nie mówiła, a przeciw niemu Szram nie wytrzymałby nawet trzech minut. On ma taki cios z prawej! Jak młotem!

– Wariaci! Jutro mu głowę urwę! – Wścieka się Anna.

– Nie, on jest mój. Dałam mu dwa dni do namysłu. Jeśli się nie rozmyśli…Wiecie… Tak mi strasznie!

– Co?

– Za mąż. Straszniej niż na stosie.

Rano dowiedziałem się, że Sam miał złamane żebro i spędził noc w biowannie. Dzisiejsza młodzież nie ma tu żadnych kompleksów. Z każdym drobiazgiem kładą się na noc do biowanny, a rano wyskakują rześcy i świeżutcy. My w swoim czasie tak nie robiliśmy. A Lira ma cios nie gorszy od Sama. Sprawiedliwość wymagałaby ukarania obojga. Jeden z jeżyków systemu strażniczego sfilmował całą scenę. Lira przekonywała Sama dwadzieścia minut, a pod koniec zdzieliła go jak się patrzy. Sam odpowiedział czysto odruchowo. Lira straciła przytomność, czy, jak to się tu mówi, poszła w zero. A może udawała, nie wiem. Sądzę, że właśnie o to jej chodziło. Biedny Sam przestraszył się śmiertelnie. Chodził dookoła niej na kolanach, krzątał się, pochlipywał. Można go było brać na gorąco. Co Lira zrobiła zaraz po otwarciu oczu. Najdziwniejsze zaręczyny, o jakich słyszałem.

Dokąd zmierza ten świat? To, że Ptaszyna włożyła obrożę a la Sandra, mnie nie zdziwiło. Kiedy jednak zobaczyłem błyszczącą tasiemkę na szyi Liwii, wezwałem ją na dywanik.

– Liwia, co to takiego?

– Obroża.

– Symbol niewolnictwa, ucisku kobiet. Musimy z tym walczyć, a nie popierać. Zdejmij.

– Mistrzu, a kto mówił: „Wlazłeś między wrony – krakaj jako one”?

– Zdejmij. Nie budź we mnie zwierza.

– Jestem gotowa na trzy dodatkowe dyżury.

O tempora, o mores! No i co mam z taką zrobić? Może jestem kiepskim kierownikiem, ale nie wiem. Wezwałem do siebie Sandrę. Przyszła zaspana, z czerwonymi od bezsenności oczami, przyprowadziła męża. Przez dwie godziny omawialiśmy plan działań na najbliższy miesiąc. Kochana dziewczynka. Okazuje się, że plan już ma. Zjednoczyć na początek trzy forty. Poziom życia w barakach podnieść powyżej przeciętnego w domach. Otworzyć szkoły, a przy nich węzły łączności i kliniki z biowannami. Przez biowanny przepuścić najpierw poszkodowanych w utarczkach wojowników, potem kobiety z baraków. Węzły łączności – jak na ziemiach lady Terrible. Dla pewności, szczególnie w początkowym okresie, wykorzystać Węgielka w charakterze Czarnego Ptaka.

N-tak… W głowie ma jeszcze mętlik. Nie myśli systematycznie. To bardziej przypomina nie plan, a spis zadań, ale pomysły ciekawe. Można wziąć jako podstawę i dopracować w trakcie realizacji. Na wiosnę, kiedy ujawnią się wszystkie słabe miejsca, a Rzym i Anna przygotują misjonarzy, można będzie zacząć pracę jeszcze w dwudziestu-trzydziestu fortach, a przyszłą jesienią już w kilkuset i założyć bazę na drugim kontynencie.

– To jest ścisłe?

– Plus-minus półtora człowieka.

– Kiedy ty spoważniejesz, Mistrzu? Tak, jeden procent, mówisz? To już argument. Nienaukowy, ale ty nigdy nic nie robiłeś zgodnie z nauką. Mistrzu, czy ty czytałeś chociaż jedną naukową pracę o rozwoju społeczeństwa? Kora właśnie mi podpowiada, że czytałeś. Nie wierzę. Według twojego planu do każdej wioski potrzebne byłoby indywidualne podejście. Nie przeczę, Sandra w ciągu miesiąca wykonała ogromną pracę. Ale skąd ja wezmę po Sandrze na każdą wioskę?

– Nie bój się, kochana teściowo. Węgielek pomoże. Czarny Ptak cieszy się tutaj olbrzymim autorytetem. A kiedy przygotujemy miejscowe kadry, to już żadnych problemów nie będzie. Za jakieś dziesięć lat.

– Dziękuję, latający krokodylu! Uspokoiłeś mnie. Przyjęte. Koniec łączności.

Ekran gaśnie. Przez kilka minut rozmyślam nad rozmową. Na razie nie będę Annie mówił, że plan nie jest właściwie mój, tylko Anny, ja go tylko trochę doprecyzowałem. I dobry tylko dla wiosek. W miastach, z ich dawno ustalonymi, skostniałymi strukturami władzy, to nie przejdzie. Ale miasta Anna gotowa jest wziąć na siebie. Ciekawe, że Szram początkowo był przeciwny połączeniu się z Aksami, ale kiedy usłyszał o dziesiątkach i setkach fortów, wycofał sprzeciw. Po jego wyjściu zapytałem Sandrę, dlaczego włożyła obrożę.

– Ależ to takie proste! Chcę zamienić element obowiązkowy w dekoracyjny. Przecież nikt nie będzie wymagał stałego noszenia ozdoby.

–Ciekawa myśl. Tylko nie mów Szramowi. Mógłby to źle zrozumieć.

– Już mu powiedziałam.

Element dekoracyjny… Piękna obroża. Piękno ratuje świat, jak twierdzili już starożytni. A czemuż by nie?

Pod koniec Sandra zakomunikowała, że jutro musi obowiązkowo polecieć do domu, żeby sprawdzić, co się dzieje w kuźni i w barakach. Tak właśnie powiedziała: polecieć do domu.

**SEKOND. FORT**

Ranek był ponury, pochmurny. Bolały wszystkie stare rany, pewnie pogoda zepsuje się na dłużej. Rozumek dokuśtykał do studni, umył się w lodowatej wodzie. Z domu Szrama wyszła babcia Katty ze skopkiem i poszła w kierunku baraków. Minęło dopiero kilka dni, ale dom już wyglądał jak opuszczony. Pewnie to przez wybitą szybę w drzwiach. A może przez ogólny nastrój. Od dnia przylotu Czarnego Ptaka cały fort żył w trwożliwym oczekiwaniu, graniczącym z apatią. Nawet niewolnice baraków przestały śpiewać wieczorami.

Za plecami rozległo się ciężkie westchnienie. Łoś mocno osłabł, chodził zgarbiony. Patrzył w tym samym kierunku, na dom Szrama.

– Chciałem z tobą porozmawiać, jeśli nie jesteś zajęty – zaczął. – Usiądźmy gdzieś.

Poszli ku domowi, usiedli na przyzbie. Przez kilka minut Łoś milczał.

– Myślisz, że Szram może jeszcze wrócić? – zapytał w końcu prosto z mostu.

– Chciałbym wierzyć. Nie wiem. Ale nie widziałem Czarnego Ptaka. Może to nie był on?

– Ja widziałem. Olbrzymi, czarniejszy od nocy. Skrzydła jak ściany tego domu. Ogon jak u zawera. Paszcza jak u psa, tylko tak wielka, że cały pies by się w niej zmieścił. Głos jakby żeński, ale tak głośny, aż uszy bolą. Jeśli to nie był Czarny Ptak, to ja nie wiem, co.

– Głos słyszałem. Byłem z Czerepem w barakach. Myśleliśmy, że ktoś krzyczy na dworze.

– Przyleciał po Chartachanę, to jasne. Chłopcy widzieli, jak trzy dni wcześniej Chartachana spadła z siodła. Godziny nie przejechała – i buch! Na ziemię. A do fortu przyleciał przez pomyłkę. No bo kto chory siada w siodle? Pomyślał, że dziewka jest w forcie, nie zastał, więc wziął Ptaszynę. Myślę, że Szram chciał odbić Chartachanę Czarnemu Ptakowi, no i wszyscy tam zginęli.

Posiedzieli, pomilczeli. Potem Łoś znów przemówił:

– Mówię o tym, ponieważ w moim klanie pozostało czterech wojowników, a w klanie Szrama – trzech. Należałoby się zjednoczyć.

– A czy oni zechcą wstąpić do twojego klanu?

– O to właśnie chodzi. Jeśli ja to zaproponuję, będą się śmiać. A jeśli to wyjdzie od ciebie, pomyślą. Więc niech to będzie twój pomysł. Szram i Ślad ciebie słuchali, więc i oni też powinni posłuchać.

Rozumek zaczął masować bolące kolano.

– Mówisz do rzeczy. Porozmawiam z chłopcami. Ale nie ma co się z tym śpieszyć. Dzisiaj rzucę pomysł, niech zakiełkuje, a za jakieś trzy dni omówimy to na po… PATRZ!!!

Wartownicy zakrzyknęli na wieżyczkach. Baby i dzieci zapiszczały i uciekły do domów. Nad fort, w szyku klinowym, nadlatywały trzy smoki. Prowadził czarny, za nim dwa zielone. Na smokach siedzieli ludzie.

– No i masz, one poszły już całą masą – powiedział zmęczony Łoś, wyciągnął miecz z pochwy i znowu usiadł na przyzbie. Czekał.

Czarny smok zniżył lot, leciał teraz tuż ad dachami. Dwa pozostałe, zachowując szyk, powtórzyły manewr. Przelatując nad placem, czarny smok wypuścił strugę płomieni w słup kar. Słup i ziemia wokół niego zapłonęły. Smoki doleciały do wieżyczek, zawróciły, znowu przeleciały nad fortem. Nad placem wyhamowały, i zawisnęły absolutnie nieruchomo, z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Potem powoli opuściły się na ziemię obok płonącego słupa. Na ziemię zeszli z nich ludzie. Szram, Chartachana, Ślad, Ptaszyna, jakaś obca dziewczyna bez obroży. Zobaczywszy Rozumka, Chartachana rzuciła się do niego z radosnym piskiem, cmoknęła go w policzek. Przed Łosiem jakoś dziwnie przysiadła, wysuwając jedną nogę przed drugą i rozprowadzając na boki krawędzie spódnicy, pozdrowiła go. Potem chwyciła obcą dziewczynę za rękę i w podskokach pociągnęła ją do domu. Szram i Ślad statecznie podeszli do osłupiałych mężczyzn i usiedli koło nich.

– Nigdy nie widziałem Chartachany takiej wesołej – powiedział Rozumek, żeby zacząć rozmowę. – A gdzie Borsuczek?

– Czeka, aż wyzdrowieje Wola, poza tym ktoś musi doglądać koni. – Szram zerwał trawkę i nieśpiesznie ją pogryzał, obserwując smoki. Te odwiązały od grzbietu największego długą i ciężką skrzynię, poniosły w kierunku domu i wsunęły do szopy na siano. Szram kontynuował: – Mamy tyle nowości, że ich wyliczanie potrwa chyba do wieczora. Zwołamy ogólne zebranie, żebynie opowiadać każdemu z osobna. Jutro znowu odlatujemy. Trzeba ustanowić pokój z Chorcami. Potem z Aksami, Waskami, Tajcami i tak dalej. Ślad, pamiętasz może, czy Kałuża jest z Aksów?

Ślad nie zdążył odpowiedzieć. Podszedł do nich czarny smok.

– Wyładowaliśmy aparaturę. Co z nią robić, Sandra wie. Czyli tak, jak się umawialiśmy: jutro po obiedzie.

– Tak, albo nieco później – odrzekł Szram.

– No to do widzenia. – Czarny smok rozwinął skrzydła i pionowo wzbił się do góry. Oba zielone za nim. Szram i Ślad wstali i długo patrzyli w ślad za nimi. Gdy zniknęły, Łoś głośno westchnął i włożył miecz do pochwy. Z domu wybiegła zasmucona Sandra.

– Szram, to skandal! Kurłapka uciekła, noriki rozkradły całą potejtę! Nie wiem, co mam ugotować na obiad!

Z domów wysypali się na ulicę ludzie.

**EPILOG**

Wszystko zakończyło się nawet lepiej niż sądziłem. W takim razie dlaczego mi tak smutno? Nie jestem już samotnym smokiem, ze mną są Kora i Węgielek. Mam przyjaciół, ciekawą pracę, naukę, sztukę. Dlaczego znowu wyję na księżyc? Czego mi brakuje? Dlaczego coraz częściej zatrzymuję się w swoim gabinecie i przed portretem kapitana i wspominam sztorm nad oceanem, kiedy, zmęczony, leciałem naprzód z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę,huragan znosił mnie do tyłu z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a wokoło grzmiało i błyskało? Przeklinałem wtedy wszystko na świecie, wodę na górze, wodę na dole, a na moim grzbiecie płakała Gałązka. Zwinęła się w kłębuszek i cała wcisnęła się w hełm mojego skafandra, ale było jej zimno i strasznie. Teraz myślę, że to właśnie wtedy było prawdziwe życie. Gałązka się ze mną zgadza.

Zatrzymuję się przy przeciwległej ścianie przed portretem Centy, kartkuję atlasy nieba. Kiedyś mi się przydadzą, ale nieprędko, nieprędko. Za jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat. Zaczęliśmy dopiero montaż gwiazdolotów. Ale tam na mnie czekają gorące dżungle Lawandy, pocięte fiordami brzegi Maracota, kwitnące, ale śmiertelnie niebezpieczne doliny Hanuanua. Dlaczego tak mnie ciągnie za horyzont? Tam, gdzie tak łatwo stracić głowę…

Bak wlatuje na stół, pochyliwszy głowę na bok studiuje mapę półkul Pandory i pyta:

– Herr-baty?

**Koniec tomu trzeciego**

1. Tytuł powieści SF Czingiza Ajtmatowa. Wyd. polskie: Warszawa 1986. [↑](#footnote-ref-2)
2. W oryginale w tym miejscu jest wyjaśnienie. Po rosyjsku łoszad’ to koń, a łoszak – prawie synonim muła, mogło więc nastąpić pomylenie bliskich fonetycznie i znaczeniowo terminów. Po polsku to jest nie do oddania, a poza tym słowo „łoszak” oznacza młodego łosia, więc po prostu z konia zrobiłem konaka. [↑](#footnote-ref-3)
3. Okrzyk bojowy japońskich samurajów. [↑](#footnote-ref-4)